

Józef Wojciechowski - autor

107

KOBIETY I MEŹCZYŹNI.

POWIEŚĆ

1874

Wydawnictwo M. Dątkowskiego.

KOBIETY I MEŹCZYŹNI.



INSTITUT

WYDAWNICTWA


WARSZAWY

1874

Nakładem Wydawnictwa M. Dątkowskiego.

Wydawnictwo Nr. 2 nowy.

1874



KOBIETA I MĘCZYZNI

KOBIETY I MĘZCZYŹNI, POWIEŚĆ

PRZEZ

Józefa z Mazowsza.



**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA**
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

WARSZAWA.

Nakładem Wydawnictwa **M. Dzikowskiego.**
Ulica Sienna Nr. 2 nowy.

1871

KOBIETY I MĘDZYSZY



HOWEŚĆ

1871

Ліста з Мазова.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.

Варшава, 8 (20) Февраля 1871 года.



INSTITUT
BIBLIOTEKI
KRAJOWEJ
W WARSZAWIE
UL. SIENNA NR 2



3676

Nakładem Wł. Dąbkowskiego,
Ulica Sienna Nr 2 nowy

Drukiem J. Psurskiego,

ulica Niecała Nr 12 nowy.

<http://rcin.org.pl>

Rozniosła się pogłoska, że młody matema-
tyk pragnie żony, co tym więcej przyszyło wiele kółek
niewieści i panińskich, że matematyk ów z po-
zorną zdawał się wcale żonę nie pragnąć. — Na
wdzięki i uśmiechy zawsze prawie obojętny, prze-
chodził nie tracąc powierzchni dumy, około naj-
piękniejszych kobiet.

1.
Zdawało się, że matematyka pożerała w nim ca-
łą. Rozniosła się pogłoska, że młody i i pełen świe-
tłych nadziei matematyk szczerze pragnie się
ożenić.

Ale może rozgniewają się czytelnicy, gdy się do-
wiedzą, że pogłoska ta rozniosła się mniej więcej
przed laty dwudziestu, to jest że od chwili, kiedy
zaczęto ją rozszerzać, do dnia w którym powieść na-
szą rozpoczynamy, mógł się wykształcić i wykształ-
tować całkowicie, ku pociesze lub strapieniu świata,
nie jeden przedstawiciel męskiego rodu i nie jedna
reprezentantka piękniejszej połowy ludzkiego ro-
dzaju! Dwa te jednak lat dziesiątki wcześniejsze od
naszej powieści, tak jój są potrzebnymi, jak czasem
niezbędnym jest kobiecie cofnięcie się z prawdziwą
liczbą lat swoich. Niech więc będą łaskawemi na nią
choć Czytelniczki i wyobrażą sobie, że jest znacznie
młodsza powieść ta już dwudziestoletnia; jak my,
mężczyźni, wyobrażamy sobie nieraz z niewzruszo-
ną naiwnością, młodszemi te wdzięki, z których
czas nieposkromiony szydzić zaczyna....

Rozniosła się tedy pogłoska, że młody matematyk pragnie żony, co tém więcej ożywiło wiele kólek niewieścich i panieńskich, że matematyk ów z pozoru zdawał się wcale żony nie pragnąć. — Na wdzięki i uśmiechy zawsze prawie obojętny, przechodził nie tracąc powierzchownej dumy, około najpiękniejszych kobiet.

Zdawało się, że matematyka pożerała w nim całkowicie wszystkie miększe i delikatniejsze uczucia, że osoby ukazujące się massom zwykłych śmiertelników w postaciach wzbudzających marzenia, dla niego stanowiły liczb szeregi...

Zbrodnia ta przeciw majestatowi piękna, zdawała się zuchwale wyglądać z jego podniesionego zwykle czoła i spokojnego na widok liljowych liców spojrzenia.

Chociaż to się działo przed dwudziestu laty, były i wówczas kobiety, które gniewała taka obojętność. Przed dwudziestu bowiem laty, kobiety z równą jak dzisiaj trudnością zdołałyby się zdobywać na obojętność ku temu, kto był w ich oczach wcale dzielny mężczyzną, mogącym kochać, a jednak — jakby pozbawionym serca.

Dumny matematyk obfitujący we wszystkie mężkie dary natury, przechodził po salonach, między tłumami szeleszczących w balowych ubraniach istot skrzydlatych, niby pośród suchych pni sosnowego

lasu. Patrzył prosto przed siebie i zdawał się żadnej nie widzieć.

O czém myśli ten człowiek, pozbawiony wzroku i serca? mówiły do siebie piękne istoty. Że jednak mówiły to do siebie, kwestja została nierozstrzygnięta.

W tém niespodzianie kwestja się rozstrzygnęła—matematyk rozmyślał zawzięcie o pięknej żonie, wyraźnie o „pięknej,” bo wyraz ten powtarzany był w kole istot nadziemskich w takim samym cudzysłowie, w jakim i my go tu kładziemy.

Zaczęto się w matematyku domyślać serca. Wyraźnie umyślił coś sobie, wyrachował i pozwolił sercu uderzyć; dopatrywano w nim bowiem tyle siły, charakteru, że serce uważano wprost za podległe rozkazom jego głowy.

Przyjemnie jednak było dosyć znacznej liczbie serc piękniejszych, że i w matematykach są serca. Jedna nawet z właściolek owych piękniejszych skrytek miłości napisała z tego powodu wiersze, drukowane w jedném z pism czasowych.

Bierze jednak szczęśliwy, a nie zasłużony. Nie ta co pisała wiersze, lecz ta co pisać nie lubiła, zdołała zwrócić na siebie matematyczne oko. A że była jedną z tych, które nie wybredzały w sercach, zniżywszy się więc do matematycznego oka, łatwo się pociągnęła ku matematycznemu sercu. Zdawało się jej nawet, że zaczyna kochać tego, który wy-

niósł ją ponad matematykę. A kiedy zaczęły się poufniejsze rozmowy, wspólne zabawy, przy których matematyk okazał wiele usposobień wcale przyjemnych, nie obiecujących aby to był człowiek zimny i niepojmujący subtelności uczuć kobiecych, zdawało się jój, że go już kocha.

To sobie wyobraziwszy, młoda osoba zaczęła się okazywać zakochaną w naszym matematyku.

Ku wielkiemu zdumieniu wielu a wielu osób, matematyk okazywał się również zakochanym!

Kobietą obraną za przedmiot téj miłości, była córka pewnego zwierzchnika w jednym z publicznych specjalnych zakładów. Przy nim kandydat na męża, pracował jako kandydat na głównego mechanika. Młody specjalista wcale dobre miał utrzymanie, a jeszcze lepsze widoki, bo zdolność jego była niezwykłą. Należał do ludzi pomysłowych, twórczych, czynnych, niezmordowanych w pracy. Pomimo więc że majątku nie posiadał, znalazł bardzo przychylne przyjęcie w domu swego zwierzchnika, tém bardziej, że panna była wyraźnie za nim.

Zwierzchnik ten był dosyć praktycznym człowiekiem, ale praktyczność tę i rozsądek zaćmiewały porywczosć i mściwość, które mu już nieraz zaszkodziły. Unosił się łatwo i wtedy głupstw się dopuszczał. Żałował później, ale najczęściej po niewczasie. Gdyby nie miał uniesień, życie jego by-

łoby zegarowo wzorowém. Matematyka zaś naszego lubił i cenił jego przymioty, a nadewszystko jego umiarkowanie i dojrzałość umysłu.

Za to córka porywczego ojca miała być w jego oczach nagrodą dla rodzaju ludzkiego, za wybryki, których sobie czasem pozwalał. Traktował podwładnych z góry, w razie sprzeczki pozbawiał ich miejsca, w żywszych rozmowach poniżających używał wyrażen: za to delikatna, powiewna, cicha, rozsądna, wykształcona istota, jego prześliczna córeczka jedyna, powinna była, podług jego mniemania, uszczęśliwić którego z mężczyzn i podnieść go do siebie.

Jakże się więc ucieszył tak idylliczne snujący marzenia ojciec, kiedy spostrzegł, że ta delikatna, przyszła pociecha rodzaju ludzkiego, rada pocieszyć i podnieść do siebie tak świetnego młodzieńca, jakim był jego podwładny kandydat na głównego mechanika! Że zaś był, jak to już powiedziano, człowiekiem praktycznym, patrzył więc na tę skłonność swojej gołąbki przychylnym okiem, olicząc prawie napewno, że taki zięć może zrobić kolosalny majątek, témbardziej że i dzisiaj, znaczna jego pensja równa się procentóm krociowego majątku. Kiedy mu jeszcze młody mechanik zaczął pomagać w trudnych projektach i zawilych matematycznych działaniach, przychylność jego doszła do szczytu, tak, że pewnego razu po obiedzie, rzekł do córki:

— Ty bardzo kochasz naszego mechanika, vale doprawdy, gdybym był kobietą, musielibyśmy chyba strzelać się o niego.

— Nadewszystko, że jest takim spokojnym, przyzwyczajonym a nawet potulnym? Zdaje się że wszystko by z niego zrobić można,—odpowiedziała delikatna przyszła pocieszycielka niedoli i samotności mężkiego rodu.

— Czy myślisz nim powodować, moja droga — po co ci to?

— O nie, o tém nie myślę, bo się spodziewam, że on mną powodować nie zechce.

— Więc lubisz potulnych tak sobie — nie wiedzieć dla czego?

— A tak, unika się przez to sprzeczek.

— Więc byś się sprzeczała — ty, taka delikatna?

— Ho, gdyby mnie zmuszał!

— Jakto, zmuszał ciebie, moją córkę? To być nie może, — dokończył ojciec z dumą i zapalił cygaro.

Tak mniej więcej rozumieli swoje stanowiska ojciec i córka. Ale panna prędzej niż mogła się spodziewać, rozpoczęła sprzeczkę, której — nie lubiła.

Miała na imię Donata, ponieważ Ś-ty Donat był jej patronem; gdyby słodka jej postać nosiła miano Maryi lub Józefy, natenczas być może i owę sprzeczkę nie byłoby wcale. Być może bowiem, że konkurent w dniach tak powszednich imiennin, jakimi są dnie tych ostatnich patronów, słysząc po-

winszowania na każdym kroku, zdołałby, pomimo głębokich matematycznych zatrudnień, wpaść na myśl, że dziś właśnie imieniny jego ukochanej. O dniu imienia Donaty, nie pamiętał na nieszczęście. Dzień ten przemiął a on nie dał dowodu pamięci!

Nazajutrz delikatna ukochana spotkała ukochanego z uśmiechem słodszy niż zwykle.

— Cóż słyhać, jakże się pan bawił wczoraj? — zapytała.

— Wczoraj? wybornie; jeździłem konno z dwoma towarzyszami. Po długich poprzednich ślęczeniach była to szczęśliwa sposobność rozrywki.

— Szczęśliwa.... panu, widać, nie wiele do szczęścia potrzebował—rzekła ukochana tracąc uśmiech słodczy i wylewając na usta goryczy cokolwiek....

— Co oznacza ten wyrzut niespodziewany i.... niezasłużony?

— Jeżeli pan to za wyrzut uważa, śmiało mówię, że jest zasłużonym.

— Czy obraziłem pannę Donatę czémkolwiek?

— Pannę Donatę? i pan nie zapomniałeś, że ja się nazywam Donatą? To tak niezwykle imię — wszak prawda....

— Na Boga, pamiętam o tém, co mi jest najdroższém!

— I pozwala się, aby to najdroższe nudziło się w kącie, kiedy się samemu szukało szczęśliwej.... rozrywki?

— Pani! przedewszystkiem myślę i mówię prosto; objaśnij mnie pani, czego żądasz; nic nie rozumiem.

— Pan jeszcze nie rozumie?

— Ani trochę. Jestem zdumiony.

— Mówię o dniu wczorajszym.

— Więc gniewasz się pani za moją rozrywkę? Zabraniasz mi jeździć konno?

— Ech nie, panie... zresztą, któż panu powiedział, że się gniewam? rzekła piękność uderzając książką o stół, ale lekko, bardzo lekko, jak jęć się zdawało.

— Nikt nie powiedział.... bo... widzę sam, że pani nietylko się gniewa, ale nawet — dąsa.... co pani nie do twarzy.

— To nadto! Zkąd ta gburowatość? Nie dawałam panu powodu do takiego postępowania. Żegnam.

Tu powstawszy z krzesła rozgniewana jeszcze bardziej, wyszła dumnym krokiem z salonu, tak że nietylko konkurent, ale nawet jęć ojciec zdumiał się niemało nad tém uniesieniem.

W skutek tęj sprzeczki zakochani pogniewali się. To także było powodem, że w kole znajomych domu szanownego zwierzchnika, mówiono z pewnym akcentem podziwu:

— Jak ta panna umie kochać! Nikomu zaś na myśl nie przyszło dodać: Jak ta panna umie się gniewać!...

Tymczasem panna Donata była również przekonana, że kocha matematyka. Zmizerniała, zbladła, była posepną i melancholijną; chodziła po pięknych pokojach rozległego apartamentu ojca krokiem powolnym a tak cichym, że słycać było tylko żalobne szelesty jęj czarnej sukni, w którą się zwykle ubierała w wypadkach wielkiego smutku, albo wielkiego — gniewu...

— Jak cierpię dla niego! mawiała spoglądając w okno wzrokiem zamierającego serca.

Mówiąc tak, mniemała naturalnie, że bardzo kochać musi niewdzięcznego, który od ostatniej sprzeczki wcale się w domu jęj ojca nie pokazywał. Przy spotkaniach zaś, które były ostatnią deską nadziei na nowe zbliżenie, odstraszone konkurent kłaniał się — ale tylko z uszanowaniem. Od pewnego wreszcie czasu przestał zupełnie z domu wychodzić, musiał zasłaćnąć...

Gdy się o tęp dowiedziała panna Donata, przestała i ona z domu wychodzić, większą część dnia przepędzając w łóżku. Czytywała przytem z niektórych romansów miejsca najposepniejsze. Wyrazy: kir, ponure chmury, ciemność rozpaczy, toń okropności i t. p. dobitne określenia utrapień, miały dla niej jakieś sympatyczne brzmienia.

Przy tak wielkiej jednak miłości, i przy tęp większej boleści, ani razu nie przyszło jęj na myśl uśmiechnąć się pokrzywdzonemu wielbicielo-

wi. Owszem, wielka jój miłość przy tych spotkaniach marszczyła jój białe czoło i usta karminowe tak fatalnie, że trzebaby było być czarnoksiężnikiem, aby się domyślić, że takie miny oznaczały wspaniałe uczucia.

Niestety! matematyk nie był czarnoksiężnikiem. Ale on znowu dziwne miał pojęcie o obowiązkach mężczyzny, może nadto matematyczne. Ubrdał sobie (a zdawało mu się, że myślał zdrowo), że kobiecie nie należy dawać zachęty do deptania mężczyzny, nawet gdy kocha, zapominając o tém, chociaż matematyk, że kobieta kochająca nie może i nie umie deptać ukochanego... Czując się przeto matematycznie niewinnym, pomimo że cierpiał, nie chciał także uśmiechnąć się pierwszy i pomimo że jak się zdawało, kochał, nie pośpieszył z prośbieniem panny Donaty, bo mniemał, że nie było wcale za co przepraszać.

Więc i on myślał, że kocha prawdziwie! Gdzież jest prawda? Czy oboje bardzo i zarówno się kochali, czy też z nich obojga, jedno tylko pałało prawdziwą miłością? Kto to rozsądzi?

Nie rozsądzajmyż, lecz spojrzjmy co zaszło dalej.

W owym właśnie czasie, zakładał swoją szkołę domowy pewien nauczyciel, którego wielu, dla komi- czeńj jego miny i trywialności, nazywało zwykle Miusiem. Zdrobnienie takie powstało z jego nazwiska.

Depcząc o protekcję ojca panny Donaty, zasługiwał mu się najświetniejszym kaligraficznym przepisywaniem rozmaitych skryptów, których ten pan jako człowiek naczelny, mnóstwo posiadał. Micuś wówczas miał lat trzydzieści i był jeszcze ruchliwszym niż dzisiaj. Umiał się podobać zwierzchnikowi konkurenta i przez pewien czas pełnił obowiązki, śródkujące między obowiązkami lokaja i poufnego factotum. Gdzie należało wywiedzieć się o czém, kupić cokolwiek, przynieść, odszukać dobre cygara, albo wprost czekać tylko na skinienia protektora w przedpokoju, tam Micuś był nieporównanym: miał zręczność lisa, węchliwość wyża i potulność baranka. Bywając więc ciągle u protektora, poznał tam i podwładnego, którym był konkurent jego córki. Umiał się wkreślić i w jego łaski; często przychodził rano na herbatę i wyręczał matematyka w ambarasie nalewania do szklanki, przytém brał robotę do przepisywania, ale już płatną i rozweselał zamyślnego często młodego technika rozmaitemi anegdotami.

Był więc on niejako powiernym dwóch nateraz cokolwiek nieprzyjaznych obozów.

Ojciec panny widząc co się dzieje, myśląc że córka jego zgaśnie jak lilja delikatna, a nie śmiąc ciągnąć do swego domu konkurenta, postanowił posłużyć się w tym razie nieocenionym Micusiem.

— No, mój kochany — rzekł zwierzchnik klepiąc go po ramieniu — będziesz professorem.

Micus chwycił rękę która go klepała i ucałował rękaw z zapalem godnym lepszego przedmiotu.

— Panie dyrektorze! — zawołał w cichém uniesieniu. — Moje życie dla pana, cóż więcej dać mogę?

— Nie, życia nie chcę, zachowaj je dla kogo innego; pragnę tylko pewnej, małej, poufnej usługi.

— Tysiąc usług!

— Tylko jedną, powtarzam. Słuchaj: od pewnego czasu nie wychodzi z domu i nie uczęszcza do biura mój pomocnik, znany ci dokładnie. Doniósł mi że chory, ale nie doniósł, co to za choroba. Wiesz że mu życzę bardzo dobrze i srodze bym cierpiał, gdyby się z nim stało co złego. Udaj się więc do niego i wywiedz się, co może być powodem jego zamknięcia się w domu. Ja przewiduję, że nietylko choroba jest tym powodem. Przytém daj mu poznać, że byłbym rad bardzo widzieć go u siebie i pomówić o jednym ważnym planie, który przed wydaniem ostatniej decyzji, muszę koniecznie przepatrzyć z nim razem. Nie byłoby także zbyt cennym, mój kochanku, gdybyś zmiarkował, czy mu twoja propozycja, niby poufna, sprawi przyjemność, czy też przykrość. Mam nadzieję, że mi w tém dopomożesz.

— Zdaje się, że nikt tego nie wypełni sumieniem, jak ten, kto będzie to wypełniał dla swego do-

broczyńcy, — zawołał Micuś i pod pozorem zapytania o nową robotę, udał się do chorego matematyka.

Zdziwił się na wstępie i oczy wytrzeszczył. Na stoliku, gdzie nigdy nie było widać nic innego prócz stosów papierów, planów i książek, leżały dwa pistolety a papiery w części wały się porzucane po ziemi. Stolik ten dotykał do łóżka, na którym leżał w szlafroku matematyk i spoglądał zamyślony — na pistolety. Micuś to spostrzegłszy kłaniał się leżącemu z wytrzeszczonemi oczami.

— Moje uszanowanie, moje najniższe uszanowanie panu dobrodziejowi, — powtarzał ciągle patrząc to na leżącego, to na broń zabójczą.

— Chodź pan, chodź i raz przecie drzwi zamknij, — rzekł wreszcie chory.

— Niech pan dobrodziej daruje, ale to niezwykle widowisko!

— Czy to takie przerażające?

— Wiem przecie, że mnie pan nie zastrzeli, ale trzeba przyznać, że mnie to cokolwiek przeraża; dla czego teraz właśnie zjawiły się tutaj te lufy?

— Tak samo zjawiły się teraz, jak mogły się ukazać w każdym innym czasie.

— Co pan dobrodziej będzie robić z temi narzędziami?

— Strzelać.... wróble.

— Na to lepsząby była dubeltówka.

— Już ja wiem lepiej, czego mi potrzeba.

— Wątpię, czy panu dobrodziejowi lepiej to wiadomo, — rzekł z nagłym przebiegłym uśmiechem Micuś, który teraz zdawał się pojmować doskonale, dla czego protektor byłby zadowolonym z przybycia mechanika do jego domu, témbardziej, że i o bołości panny także słyszał wiele.

— Tak, wątpię — powtórzył;— mnie się zdaje, że to ja wiem właśnie, czego panu potrzeba.

— A panie, zkąd ta zarozumiałość?

— To nie zarozumiałość, to zdrowa świadomość rzeczy.....

Pomimo złowieszczych spojrzeń, jakie rzucał niekiedy matematyk na pistolety, przebiegła i czelna mina Micusia zaciekawiała go wyraźnie. Zdawał się go słuchać z pewnym pobłażaniem.

— Czegóż mi więc potrzeba?— rzekł znowu z półuśmiechem chory.

Micuś spostrzegłszy że to jego wyrażenie wzbudziło zajęcie, postanowił przystąpić do przedmiotu; puścił więc na zdumionego matematyka potok tak obfity swojej wymowy, że nagły wybuch wulkanu nie zrobiłby na nim większego wrażenia, jak te trywialne, nieco grube a nawet ckliwe wykrzykiwania Micusia.

— Panie, mówił kandydat na bakala rza—panie albo ja jestem capem niedomyślnym; albo pan najdzi-

wniejszym z ludzi na całym świecie! Mówi pan, że te dwie lufy przeznaczone są na wróble; no może być że pan kiedykolwiek będzie wróble zabijać, ale zapewniam że teraz nie złapie pan starego wróbla na plewę! A kto się tym starym wróblem nazywa? Sam ja się tak nazywam, bo myślę że dosyć jestem starym i doświadczonym na pańskie przebiegi. Czy to czasem nie pański mózg albo serce miały być owemi wróblami, czy to czasem nie tam miały się obrócić te podle lufy? Żebym się nie bał wystrzału, porąbałbym je w oczach pana na drobne kawałki! Jak pan może myśleć o lufach, o pistoletach, o śmierci, jak można dopuszczać podobne myśli? Pyta się pan, czego panu potrzeba, pyta pan o to mnie, to jest obcego, biednego człowieka? A czy sam pan nie ma dosyć przenikliwości, co się panu należy? Jakto, i nie miarkuje się tego, że młodemu mężczyźnie może być potrzeba czego lepszego niż pistolety? Nie miarkuje się, że gorący pocałunek w białą prześliczną rękę jest coś więcej wart od tego? Czy się nie widzi, że można być kochanym, bardzo kochanym? Czy się nie wie o tém, że panienki które się bałamuciło, mogą także pragnąć śmierci, tylko że nie mają takich strasznych pistoletów? Pytam się pana, czy się czego podobnego nie pamięta? Czy się czego nie ma na swoim sumieniu? O! rad bym żeby mój głos był straszniejszym od tych fatalnych narzędzi. Tak smutne mieć zamiary wtedy,

kiedy nas kochają; zapamiętałe i chcą umrzeć za nas — to nadmiar okropności, panie — to zbrodnia!!.

— Dosyć, dosyć kochany mówco! zawołał z uśmiechem chory, siadając na łóżku. — Czy masz kogo na myśli wspominając o płaczących pannach?

— To mało mieć na myśli; schnę z żalu widząc cierpienia najpiękniejszej kobiety na świecie!

— Którzej kobiety?

— Córki mojego protektora a pańskiego zwierzchnika — panny Donaty. Nie dość że pan ją obraził zapomnieniem o imieninach i hulanką wtenczas kiedy na pana czekała, ale....

— A! to były imieniny panny Donaty? kilka dni temu?

— Tak właśnie.

Ostatnie słowa magiczny wywarły wpływ na matematyka. Micuś sam nawet nie spodziewał się tak szybkiego skutku swojej piorunującej mowy.

Chory zeskoczył z łóżka na równe nogi i wcale już nie zwracając oczu ku pistoletom, zaczął się ubierać.

— I rzeczywiście panna Donata jest cierpiącą? — mówił zapinając surdut.

— Ja myślę, że to dopiero początek cierpienia; może być, że choroba stanie się niebezpieczną, — odrzekł Micuś tonem surowym.

Matematyk nic więcej nie mówił. Chociaż znał Micusia tylko powierzchownie, przeniknął jednak

swoim zdrowym umysłem, że to dusza poziomy mająca kierunek, i osądził go za niegodnego podzielać obawy i nadzieje swego uczucia. Chociaż więc wyszli razem, pożegnał Micusia u progu domu, i pomimo zapytania, nie powiedział mu dokąd się udaje.

Ale autor i czytelnik muszą wiedzieć, dokąd się udał. Poprzednio jednak niepodobna się nam wstrzymać od wykrzyknika, mającego wyrażać żal, że nie pozostał w domu choćby rok cały, naturalnie bez niebezpiecznego sąsiedztwa pistoletów i że wtedy zamiast serca nie miał czegoś innego, ukutego z kwintessencji matematycznej!

Nim jednak zdołał przebrzmieć ten wykrzyknik już się czytelnik domyślił zapewne, że matematyk udał się nie do kogo innego, jak tylko do szanownego swego zwierzchnika, aby tam ujrzeć cudne lica — panny Donaty.

Tak właśnie powinien był uczynić, powie każda, z czytelniczek. Niestety! powiedziałyby czytelniczki zupełnie co innego, gdyby znały pannę Donatę tak dobrze, jak później miał ją sposobność poznać nieszczęśliwy matematyk.

Dla czego zaś był nieszczęśliwym — boimy się teraz rozgłaszać w formie subiektywnych poglądów które dziś uważane są za zbrodnię w świecie powieściowym. Pozostawimy lepiej sąd o tém samym czytelnikom, przeprowadzając ich odrazu w nową fazę życia kandydata na naczelnego mechanika.

Pan kandydat na naczelnego mechanika, został kandydatem na małżonka, a potem i samym małżonkiem niegdyś panny Donaty.

Uroczystości weselne odbyły się pod najlepszymi wróżbami. Szanowny zwierzchnik palił wyborne swoje cygara z takim zadowoleniem, że wszyscy uważali młodego małżonka za jakiegoś tajemniczego bogacza, tembardziej, że i dziewiczej pamięci panna Donata, zostawszy małżonką bynajmniej nie zdawała się żałować pełnego czystości stanu lilji polnych i fijołków, kryjących swe wdzięki przed argusowemi oczu mężczyzny. Owszem teraz właśnie czuła się w prawdziwym swoim żywiole i znajdowała stan swój pierwotny godnym politowania. Znajome panie i panny dziwiły się niepomalu, że matematyk mógł jej zapewnić tyle przyjemności pod godłem hymenu. Wszyscy mówili i ona sama to widziała, że ten dobry małżonek ma ją za bóstwo, za władczynię jego losu, na skinienie której gotówby był wydstać znowu z ukrycia swoje pistolety, aby życie sobie odebrać.

Młoda małżonka była widać tego przekonania, że nie dość to być boginią, władza albowiem bogini spoczywa niejako w sferach nadto mglistych i nieokreślonych, tak, że częściej panowanie podobne nie jest niczem więcej jak pustem słowem. Postanowiła przeto władzę swoją okazywać widocznie, silnie, dotykalnie, aby i ona i szczęśliwy

małżonek mogli ją uczuwać — postanowiła być królową, co tem łatwiej spodziewała się doprowadzić do skutku, że mąż niejednokrotnie i dobrowolnie nadawał jój to wysokie miano.

Królewskość ta miała być nieograniczoną; za przyzwoitą ku temu podstawę uważała wniesiony przez siebie posag, wynoszący trzykroć sto tysięcy złotych.

Wkrótce więc małżonek odbierać zaczął napomnienia, że mało zajmuje się małżonką; wskazał mu także drogę innych powinności, to jest, że powinien stosować się we wszystkim do gustu połowicy, koniecznie pożywać potrawy których nigdy nie jadał, jeździć z nią do wszystkich znajomych, choćby ich nie lubił, przyjmować u siebie i śmiać się do tych, którzy go obmawiali, ubierać się tak a nie inaczej, jak ona wskazała, uważać swoje zatrudnienia i cele życia za rzeczy nie mające żadnej wartości w porównaniu z szczęściem, jakie on przez jój osobę osiągnął.

Ze zdumieniem jednak spostrzegła, że pomimo takiego planu królewskiej połowicy, małżonek objawia pewne cechy samodzielności i postępuje w jój majątku, jakby z swoim własnem dobrem.

Z dziewiczej pamięci panny Donaty wytworzyła się otwarcie bojująca przeciwnica męża. Nie wiedzieć z kąd zaczęły się wybuchy i napady, o jakich matematyk nasz, żadnego nie miał pojęcia. Napady

te kończyły się okropnym krzykiem spazmów, których się mąż najwięcej obawiał. Mimo to jednak ku zdziwieniu żony, nie zmieniał on wcale swego postępowania. Jak przedtém gotów był posunąć się do ostateczności w uczuciu miłosném, tak teraz był niewzruszonym w swoim postępowaniu, dając jój poznać, że o tyle może mu być boginią, o ile pozwoli się szanować.

Może on rzeczywiście ocenić jój nie umiał? Zobaczmy.

Pewnego razu, kiedy matematyk nasz dużo miał zatrudnień, pani Donata przyszła czynić mu wymówki, że o niej zapomina i że ona zanudzi się na śmierć.

— Pojedziemy jutro moja Doniu; dzisiaj dużo mam pracy.

— Pracujesz chyba na to, aby mną pogardzać.

— Po co tak ostateczne wyrażenia? Pracuję dla tego, że to potrzeba mego ducha i celu. Mamże przy tobie przestać być tym człowiekiem, jakim byłem wtenczas, kiedym uważał ciebie za moje światło przewodnie?

— Światło przewodnie, które dziś stało się rzuconym w kął niedopalkiem pochodni, — odrzekła szydyczko pani Donata.

— Nie — zmień tylko swoje postępowanie, a mozesz jeszcze być tém światłem dla mnie.

— Dla czegoż nie zmienisz ty swego dla mnie?

— Bo stałbym się małodusznym mężczyzną.

— Czegoż dotąd na świecie dowiodłeś?

— Jeżeli jeszcze nie dowiodł, to pragnę dowieść, że kto zechce, może przynieść ludziom pożytek.

— Chcesz ludziom przynieść pożytek a żonę wtrącić w niedolę, kiedy żona tymczasem los twój zapewnia. Czemu byłeś, kiedyś we mnie widział światło przewodnie? nędzarzem!

— Jak pojmujesz swoją niedolę, to należałoby rozstrzygnąć, odrzekł z pozornym, ale niewzruszonym spokojem. Jest wiele, są tłumy żon i matek, nie mających pomimo pracy, przyodziewku dla dzieci i dla siebie — ty masz wszystko, czego nietylko twoja potrzeba ale fantazja wymaga. Korzystasz ze wszystkiego, co daje ci wynalazek i cywilizacja i, to właśnie jest twojem nieszczęściem. Mając to wszystko, tak się rozgrymasiłaś jak dziecię kiedy zabawki potłucze. Dla ciebie świat jest zabawką i mąż tylko zabawką, którą znudzona pomiatasz. Zapominasz, po jakich szczeblach niedoli, pracy, usiłowań muszą przechodzić kobiety, któreby pragnęły zdobyć choć małą częśćkę twojego bytu; zapominasz że otacza cię świat płaczący, często pełen cierpienia. Czegoż ci potrzeba? Czy chcesz mego posłuszeństwa, uległości? Będę najuleglejším, ale wówczas, kiedy, mnie zostawisz

panem mego postępowania. Nie wiem jak ci to wytłumaczyć, bo nie wiem, czy podzielasz moje uczucie; nie wiem jak ci wyjaśnić, że mi żal porzucać świat, gdzie czuję się człowiekiem, dla tego świata, w którym ślaniałbym się jako narzędzie lub przedmiot kobiecych gniewów, dziecinnych fantazji, plotek, drobnych celów i drobniejszych jeszcze uciech. Pragnę być mężczyzną; czuję na swoich barkach brzemie obowiązków względem ludzi; tymczasem gdybym cię słuchał, stałbym się sługą twego bezcelowego despotyzmu kobiecego. Będąc ci posłuszny tam, gdzie ty tego wymagasz, zagrzebałbym w śmietniku życia dary, które koniecznie muszą mieć szersze niż dom nasz zastosowanie. Do niu, ty bądź kobietą, jeżeli nie umiesz dźwignąć obowiązków mężczyzny, mnie zaś pozwól być mężczyzną. Gdybym te obowiązki porzucił, stałbym się godnym najpierw twojej pogardy. Jeżelibym się dla ciebie celów życia pozbawił, musiałbym pochylić głowę, stępieć umysłowo i chodzić jak widmo tam, gdzie dziś jeszcze oddycham i czuję się człowiekiem... Co zaś do majątku, to prawda że mi go wniosłaś. Ponieważ go wymawiasz, traci on całą dla mnie wartość i powiem ci otwarcie, że z rozkoszą pochwyliłbym sposobność pozbycia się tego ciężaru. Zdajesz się używać wszelkich sposobów, aby uczynić moje dawne uczucia dla ciebie, złudzeniami. Niezmierzone krańce oddzielają ciebie przedślubną

od ciebie poślubnej. Wtedy byłaś dla mnie aniołem, dziś pragniesz zostać tyranem. Doniu! zatrzymajmy się na tej drodze okropnej i zobaczmy, co nas czeka. Doniu, mówię to do ciebie z ciężkim żalem, bo nie kłamałem, kiedym cię nazywał najdroższą. Nie zdzieraj ze siebie szaty gwiazdzistej!..

Żona odeszła po tym dytyrambie, choć spokojnie ale jednym tchem wyrzuconym. Zdawała się rozmawiać męża i na ten raz spazmów nie było.

Ale na ten raz tylko! Wkrótce powtórzyły się sprzeczki i starcia. Pewnego razu byli oboje na wieczorze, wydanym z powodu imienin kogoś ze znajomych. Pani Donata nudziła się na tym wieczorze. Znudzenie przeszło w nieukontentowanie i niecierpliwość, a niecierpliwość pani Donaty doprowadzała ją zwykle do spazmów. Niestety, musiała się niecierpliwic bez tej przyprawy, bo w obcych domach gorzej to niż w domu wygląda. Jak na to, mąż, który znalazł pełne nauki i wiadomości towarzystwo, tak się zajął rozmową, że pomimo wyraźnego żądania pani Donaty, aby powrócił do domu, nie chciał tego uczynić i prosił o zwłokę. Po pewnej chwili przypomniano mu to powtórnie, a gdy jeszcze zwlekał, żona pozostawiła go w salonie i sama śpiesznie odjechała do domu.

Przyzwyczajony do jej gwałtowności matematyk, przybył pieszo do domu i unikając starć z błahych powodów, byłby nic już nie wspominał o tym przed-

miocie, gdyby wszedłszy do swego pokoju, ze zdumieniem nie ujrzał, że część jego rzeczy leżała zapakowaną na środku pokoju, część była już wyniesioną do sieni, a resztę zbierały do kupy dwie służące i lokaj ze stangretem. Było to nad ranem, na letniem mieszkaniu pod Warszawą.

— Cóż tu robicie z temi rzeczami? zapytał spokojnie mąż po ochłonięciu z pierwszego wrażenia.

— Pani kazała to zapakować i... nie śmieli dokończyć mężczyźni.

— I cóż? rzekł mocno pan domu.

— I wyrzucić do sieni, dokończyły pokojówki.

Pan domu zbladł trupio i stał przez chwilę drżący na jednym miejscu. Potem jakby ocknąwszy się, kazał skinieniem ręki wyjść służącym. Pozostawszy samym, otworzył biórko, wziął z tamtąd nieco pieniędzy papierowych, niektóre dowody i drobne pamiątki; schowawszy to przy sobie, ułożył następnie wszystkie potrzebniejsze papiery do teki i o wschodzie słońca wyruszył ku miastu.

Więcej już w domu się nie pokazał. Niewiadomo, czy żalowała pani Donata swego postępkę, bo gdy rzecz wyszła na jaw, pozostawiła ojcu kłopoty starania się o zgodę. Szanowny zwierzchnik tak był poruszony tym wypadkiem, że przez dwa dni wypalił tylko trzy cygara, gdy zwykle wypalał ich dziennie sztuk dziewięć. I to pierwszego dnia dwa wypalił, bo nazajutrz kiedy się dowiedział, że jego

zięć postanowił ostatecznie rozłączyć się z żoną, wypalił tylko jedno i dostał bólu w żołądku.

Że zaś, jak to już mieliśmy sposobność wspomnieć, był człowiekiem ambitnym i mściwym, dał więc poznać swemu nieuległemu zięciowi, że w takim stanie rzeczy, nie ma on co liczyć na dalsze w służbie widoki. Kandydat na głównego mechanika zdawał się na to nie uważać i pracował dalej, ale kiedy rozgniewany Dyrektor zaczął dokuczać i grozić dymisją, zdolny ten człowiek rachując na swoją głowę, że nie zginie o własnych siłach, sam podał prośbę o dymisję, którą też natychmiast otrzymał. Następnie wyjechał za granicę, nie wziąwszy ani jednego grosza z posagu żony. Ta przez pewien czas mieszkała przy ojcu, ale kiedy dygnitarz zakończył dni pełne trudów obiadowych, jako jedyna sukcesorka, sama objęła w zarząd znaczną bardzo schedę, następnie ją spieniężyła i znikła z horyzontu, wraz z dwuletnią córeczką.

Najwięcej cierpiał nasz matematyk z powodu tej córeczki, którą kochał z prawdziwem uczuciem. Ale nie było środka zostawić ją przy sobie. Porzucając matkę, musiał tym sposobem pozbawić się i córki. Duma jego i miłość własnej godności były równe uczuciom rodzicielskiego przywiązania. Nie mógł tej dumy poświęcić. Był jednak spokojnym o los dziecięcia, bo znaczny majątek matki i jej opieka zapewniały mu przyszłe szczęście. Gdyby

był wiedział, jakie inne jeszcze skutki przynieść miało to rozłączenie się z żoną, wolałby zapewne nietylko dumę swoją poświęcić, ale stać się choćby niewolnikiem. Ale on widział przed sobą tylko złą kobietę i niepodobieństwo pożycia. Rozłączeni małżonkowie nie mieli już żadnych z sobą stosunków.

Któż winien w tej sprawie? Sąd pozostawiamy czytelnikom; dla dopełnienia jednak obrazu, ku dokładności sądu, koniecznym tu jest przedstawienie choćby kilku rysów duchowej sytuacji matematyka. Ktoby zaś chciał sądzić już z góry, lub uważał, że ciąg powieści cierpi na badaniu gruntu ducha osoby, która odważyła się opuścić piękną żonę, przejść może, minąwszy kilka kartek, do następnego obrazu, bo jak to mówią, szybkość akcji — przedewszystkiem...

Małżonek, mający odwagę porzucić tyle wdzięków, musiał zaiste posiadać nieco siły postanowienia; sam on, nazywał to wpływem poczucia swojej męskości, — my zaś obawiamy się, że siła taka przypisaną zostanie rozwadze jego matematycznej. Jakkolwiekby, możemy zaręczyć, że umysł ten, przy wrodzonym już usposobieniu do badania i spostrzegania, mimo pewnej gorącości ducha, na dwa potężne natrafił przedmioty, po za którymi dopiero dostrzegał coś podobnego do ideału człowieka.

Dwoma temi olbrzymiami przedmiotami, które jak mniemał wstrząsają światem, jako dwie dźwi-

gnie bardzo wielu czynów, były dla niego — *charakter i blask*....

Uważał, że charakter i blask są dwoma krańcowymi biegunami.

Podług niego, charakter i blask, jako takie bieguny, kołyszają na sobie losy człowieka.

Mniemał, że o ile człowiek wydzwignąć się zdoła z pod jarzma blasku, o tyle przybywa mu charakteru ludzkiego, o tyle więcej staje się człowiekiem.

Spostrzegał, że człowiek w ten sposób oczyszczony, zdolnym jest myśleć rozciąglęj, im znowu rozciąglęj myśli, tém jest pobłażliwszym.

Widział dalej, w tej pobłażliwości, drogę do ukończenia ludzi.

Po za tą miłością przeglądała mu w nieobjętych zarysach — mądrość.

Taka mądrość, jako miłość, zbliżała go ku wielkości, która jest Bogiem.

Wiedział, jak złym może być człowiek, ale nie zapominał, jak może być dobrym. Kiedy w życie wstępował, miał duch gorący, który się zapalał ku wszystkiemu, co piękne i wielkie.

Utworzył tedy dla swoich pięknych myśli pewien system matematyczny.

— Patrzył w słoneczność piękna, a w niém nie mógł nie znaleźć — kobiety.

Postanowił więc poświęcić siły swego ducha dla ludzi i aby tego dopiąć, wziął się za bary z widmem blasku, chciał oczyścić swój charakter.

Myślał jednak i o nagrodzie, a zamierzył zdobyć ją sobie z owój słoneczności. Nagrodą miała mu być kobieta.

„Jeżeli dla ludzi poświęcę swoją działalność, jeżeli nawet poświęcę im wszystko, to kobieta powróci mi wszystko. Jeżeli blaskiem będzie dla mnie to, co innych porywa, to szczęściem prawdziwym zostanie — postać kobiety. Jeżeli ona będzie dla mnie najwyższą uciechą, to wszystko inne będzie mi łatwym do oddania dla ludzi. Jeżeli spokojny, uśmiechnięty spocznę na łonie kobiety, jako na szczycie gmachu życia z przekonaniem, że wszystkim wypełnił, co mi świat dozwolił, to uczuję że żyłem dobrze, a żyć dobrze jest moim celem.“

Tak dumiał matematyk - poeta, ścigając duchem świetlane kształty kobiety.

Tak myślał jeszcze, kiedy zatrzymał się pełen uniesienia przed postacią — panny Donaty!

Zdawało mu się wówczas, że już dostatecznie postąpił w dwóch walkach swego celu, to jest, że pomimo marzeń i polotów duszy, zaokrąglił niejako swój charakter, z którego mógł już sobie zdawać sprawę i, że widmo blasku padło przed nim na proch rozwiane: szedł tedy ku trzeciej wielkości — ku kobiecie...

Oto dla czego rozmawiając później z kobietą — nazwał się mężczyzną.

Ponieważ kobieta nie nosi jeszcze potężnych ciężarów życia mężczyzny, uważał ją przeto za postać dopełniającą, ale światłem i — dobrocią....

Kończył tedy walkę z blaskiem. Ale cóż właściwie blaskiem nazywał?

Będąc jeszcze kilkuletnim chłopczykiem, dostrzegł pewnego razu daleko na piasku gwiazdę, błyszczącą od promieni słonecznych; wydała mu się tyle świetną, że biegł, aby się przekonać co jest tém światłem. Przekonał się, że to kawałek szkła spłowiałego... Uśmiechnął się w roztargnieniu i odbiegł ze wstydem, który uczuł wewnątrz. Kiedy wstępował w życie, przypomniał sobie to zdarzenie i pomyślał, że to był blask dla oczu dziecięcych. Pracując samoistnie, dostrzegł znowu ślady tego błyszczącego widziadła; przekonał się, że po większej części, każdy pragnie, aby był w oczach innych tem, czem nie jest i aby inni uznawali w nim ten blask fałszywy. We wszystkich sprawach dostrzegł złudzenie, dostrzegł że sprawiają to albo usposobienia wrodzone, albo wpływy ludzi otaczających. Znalazł, że często człowiek jest rybką, którą łowić można na blichtr — odmianę rodzajową blasku. Od zapamiętałości w zbrodni do poczucia cnoty, do czynienia dobrze; od ładajakiiej przyjemności do najwyższych rozkoszy; od życia codziennego, do celów potracających o byt ludzkości — wszędzie i zawsze dostrzegał widmo blasku. Cześć nawet dla

Boga potrzebowała blasku. Widząc przytem na każdym kroku, że blask choć szychowy i drobny bierze górę nad prawdą rzeczywistą, przeraził się — zadrżał. W tej obawie, uśmiech nawet wydał mu się blaskiem. Olśnił się i przez długi czas dumał nad tém posepnem zjawiskiem.

Zdawało mu się, że traci ziemię pod nogami. Chciał koniecznie dążyć do czegoś, ale tak aby go to nasycalo. Przed nim przesuwaly się postacie jak w kalejdoskopie. Ujrzał jakiegoś świecącego człowieka i pytał, co to za jeden. Odpowiedziano mu, że to bogacz, który ma wiele kochanek i ogromne dobra. I więcej nic? nic — odpowiedziano. Już nigdy nie patrzył na bogaczy i nigdy o nich nie pytał. Ujrzał ponurą twarz jakiegoś dygnitarza, o którym mówiono, że nadzwyczaj świetną zrobił karierę swojemi zdolnościami; i do czegoż doszedł? pytał znowu nasz matematyk. Ma wielkie dochody prowadzi dom ogromny, wielkie robi interessa. Cóż więcej? — na cóż więcej, odpowiedziano. Pokazano mu osobę duchowną w karecie wspaniałej; najbogatsze ma owieczki i życie szczęśliwe, dodawano z westchnieniem. Cóż jeszcze? nic znowu. Spotkał pewnego rzemieślnika, którego brat cieśla zabił się, spadłszy z rusztowania przy nowobudującym się domu; objaśniano przy owym bracie, że zabitym był cieśla. „Kłamiesz, zawoła, — on był więcej jak cieśla, był prawie budowniczym!“ O mało nie przy-

szło do bójki. Pytano pewnego młodzieńca, co on za jeden, czy pochodzi od starosty, czy od kasztelana? „Herb mój jedyny w kraju najlepiej to wam objaśni,“ odrzekł młodzik z blaskiem w oczach i pojechał na piknik, gdzie przegrał resztę majątku. Widziano pewną panienkę, która od niejakiego czasu chodzić zaczęła z miną napuszoną i gardziła rówiennicami. Czemu tak chodzi? pytał nasz badacz. „Bo na weselu jój siostry było sto kurcząt pieczonych, gdy na weselu jój koleżanki nic nie było,“ odpowiedziano.

Mniejsze i większe dzieła sztuki lub nauki, podobny wyradzały blask w sercach swoich uprawiaczy.

A cóż dla nasycenia ducha i sumienia! pytał już siebie nasz matematyk.

Nie znajdował na to kategorycznej odpowiedzi; ale człowieczeńskie jego sumienie uniosło go z tego poziomu na pole nędzy społecznej i cierpień, wołających na każdym kroku wielkim głosem. Zapra gnął żyć niedaremnie i zostawić ludziom pamiątkę po sobie.

Zwycięzył. Nie dał się olśnić — dzieło olbrzymie.

Za tém bezpośrednio zwycięstwem przyszło poczucie swego charakteru. Obowiązki jego dziwnie jasno mu się określiły. Mknął przez fale życia jak podróżnik drogi świadomy na dobrym okręcie. Nic go z toru zbić nie mogło, bo widmo blasku znikło już z przed niego.

Nędze ludzkie które rozumiał, pobłażliwość przemieniona w miłość dla ludzi, wszystkie te uczucia, które pośród życia dały mu długi szereg zwycięstwa nad blaskiem — były to wskazówki jego postępowania; charakterem więc jego, w całości wziętym, była człowieczeńska miłość, w karby rozsądku i silnej woli ujęta. Charakter ten był pełen treści i mocy.

Być upartym, nie znaczy mieć charakter, jak zachwalstwo nie dowodzi męztwa, zarozumiałość istotnej wartości. Bywa bowiem dużo siły w postanowieniach, zmieniającej się w charakter; ale często postanowienia te mogłyby być nazwane uporczywym błędzeniem.

Nie należał do żadnej koterji, do żadnej szkoły moralistów, nie miał uporu. Ale był niewzruszonym w usuwaniu przeszkód tam, gdzie nie mógł być sobą. A najwybitniejszą cechą jego charakteru była niezależność, oparta na uczciwości i sumieniu. Cofnął się niejako po za kraniec powszednich celów i to uchroniło od starć różnych; czuł jednak siłę w sobie, że gdyby potrzeba powiodła go w starcie, nie zmieniłby swoich przekonań. Jednym jeszcze rysem jego charakteru było to, że przewidując wiele, rzadko mógł się znaleźć między Scyllą i Charybdą. Nie było w nim walki obowiązków, bo był niezależnym.

Jest mnóstwo ludzi, których charaktery wyradzają się nie z planu życia jasno określonego, lecz z okoliczności lub położenia, w jakie popadli. Większość ludzi bierze to, co znajduje, lub to co jój dało. Poduszki dobrobytu przenikają często swą miękkością i do serca. Dźwigać na sobie gmach charakteru, którego podstawy są potężnem myśleniem — trudno.

Gdybyśmy głębiej przypatrzyli się charakterom, wiele z nich okazałoby się zaledwie przyzwyczajeniem lub upodobaniem.

Najsilniejszymi są charaktery twórcze, obmyślające własny kierunek, a taki właśnie przyznać musimy naszemu matematykowi.

Miał on w sobie nieskończoną moc charakterów, ujętych w formę rozumu i serca, które łączyły się harmonijnie. Tam gdzie inni potrzebują okoliczności, wychowania, aby coś z charakterem dokonać, on dokonywał to z obowiązku, jaki plan całego życia mu wskazywał.

Mówiono o pewnym zamożnym obywatelu, że ma wytrawny i stały charakter. Dwaj synowie jedyném jego byli potomstwem. Jeden z synów, starszy, był żywym i swawolnym, młodszy potulnym i skrytym. Na starszego gniewał się ciągle i mówił, że go wydziedziczy, młodszego pieścił i obiecywał zapisać mu cały majątek. „Ty mnie znasz — mówił pierwszemu — co raz serjo postanowię, to nigdy zmie-

nionem nie będzie.“ Chłopcy rośli, a chociaż ów starszy ustatkował się później, nie dotyla jednak, aby mu się nie zdarzyło pohulać w towarzystwie płci pięknej. Zszedł go raz ojciec na takiej zabawie i przysiągł, że go wydziedziczy. Zrobił dla niego tyle tylko, że dopomógł mu przenieść się do pewnego miasta i wstąpić tam do biura. Powierzył młodszemu zarząd majątku i wpajał pogardę ku bratu, która, niestety! łakomstwem wrodzonym podsykana zmieniła się w obawę o to, aby brat starszy nie zgłosił się kiedyś o udział w ojcowiznie. Tak to stałość charakteru ojca była powodem, że i ten którego ukochał i ten, którego odepchnął, już żyli i działali, jakby w obec jego śmierci, nienawidzili się już dla spuścizny. Tymczasem ów starszy niejednokrotnie chciał przebłagać ojca, przyjeżdżając po to do niego. Starszemu, swawolnemu przedtem i rzutnemu, pozostała energia i silniejsze uczucia. Doznawszy kiedyś w mieście niedostatku, przyjechał wreszcie do brata (ojciec widywać się z nim nie chciał) i prosił o jaką taką zapomogę, o czem ten ani słyszeć nie chciał. Nastąpiła kłótnia, wreszcie bitwa, gdyż młodszy chciał starszego wyrzucić za drzwi. Po bitwie młodszy poskarżył się ojcu; ten wpadł w nocy do pokoju oskarżonego, z ludźmi i kazał go obić najniegodziwiej! W godzinę po tém, w tym samym pokoju rozległ się wystrzał. Przybiegł ojciec i zastał syna trupem. W przystępie rozpaczony syn się zastrzelił.

Tak to niekiedy energję ludzi bez serca nazywają charakterem.

Nasz matematyk nie mógł mieć takiej energji zaślepienia, bo silna jego wola stała się silną, uszanowawszy poprzednio człowieka.

Nareszcie, trzymając dzielną ręką wodze swojego życia, pełen chęci przysłużenia się ludziom, stłumiwszy podniosłym charakterem potwory blasku, stanął ten matematyk-poeta, pełen zadumy i uroczystych nadziei, w obec ostatniej wielkości ludzkiego bytu — w obec kobiety.

Widział przed sobą piękno, patrzył na nie z pewnego oddalenia, jak się patrzy na rzeczy święte, a oczekiwania jego budowały promienny gmach szczęścia!

Widział przed sobą kobietę i nie badał jęj, bo uważałby to za świętokradztwo.

Szedł ku jasnemu obliczu anioła ziemi i wykończył w sobie jego postać — własną twórczością.... nadziei!

I przepłynąwszy cały ocean blasku, gdy sprowadził ideę szczęścia do tój jedynęj postaci....

Ha — tu wypada zakończyć zboczenie od akcji powieściowęj: niech osądzą czytelnicy, czy się nie omylił w rachubie — serca.... czy nie wpadł w ostanie ale najstraszniejsze sidła.... blasku!...

Widzieliśmy, że los dawał mu przestroge; postać ukochana odsłoniła na sobie pewne plamy, pewne

chmury na czole... chwiał się, cierpiał, walczył z sobą, myślał o śmierci, ale — uległ potędze piękna i nadziei, wyciągnął znowu ręce jakby ku słonecznym przestrzeniom, które... były tylko — blaskiem!

Charakter energiczny, wołający go dalej i wyżej, zmusił zakrwawione jego oczy do odwrócenia się od kobiety....

Podążyli w życie sam jeden.

Ale nie zginał, bo osamotniony — kochał ludzi.

Została mu jedna jeszcze wielkość — charakter...

Oto dla czego na początku tego obrazu powieści potrzebnem się okazało spojrzeć po za dwudziestoletnią odległość czasu. Takim był ten człowiek przed laty dwudziestu.

Myśląc, że już skończył ze światem kobiecym, w którym tak strasznie rozdarła się przed nim zasłona prawdy, rzucił się w wir pracy. Szczęście i zdolności jego znakomite, posłużyły mu w tym nowym życia perjodzie. Żyjąc bardzo skromnie, wydając mało, zebrał w przeciągu lat kilku znaczną summę z zaoszczędzonych, a dosyć wysokich pensji i z wynagrodzeń za wykonane modele, za plany inżynierskie i wreszcie za kierownictwo powierzanych mu na wielką skalę przedsięwzięć.

Lecz taką była jego miłość rodzinnego zakąta, że znowu powrócił do kraju. Otworzył zakład mechaniczny, i staranny czyniąc wybór, przyjmował

na naukę zdolnych a ubogich młodzieńców. Była to wówczas wielka nowość, bo podobnych specjalnych zakładów nie było u nas wcale. Czynił, co mógł, dla dobra ogółu. Więcej, choćby chciał, nie mógłby uczynić! Chciał koniecznie spełnić to, co był uważał za cel życia, chciał ludziom czynić przysługi wedle sił własnych. Miał talent i pieniądze — skierował oboje tak, aby i on i ludzie skorzystać mogli. Podniosłość serca sama przez się zrobiła zeń dobrego polityko-ekonomą. Będąc człowiekiem pełnym uczuć nie znalazł przeszkody, aby zostać wybornym i użytecznym ekonomistą. Ubogim dopomagał; po pewnym przeciągu czasu wykwalifikował i wyprawił w świat z sowitą zapomogą wielu zdolnych młodzieńców, którzy dzisiaj byt mu swój zawdzięczają. Człowiek ten, z ogromnemi zasobami ducha, potrafił zamknąć się w ciasną rutynę ograniczonego przedsięwzięcia, bo żadnym innym sposobem nie mógł przysłużyć się ludziom. A on pragnął, żeby po nim ślad pozostał...

Ani przewidywał, że czyniąc to dla ogółu, zbliżał się ku katastrofie, którą mu gotowały istoty bliższe niżeli ogół. Myślał, że osoba jego stała się własnością ogółu, a nie wiedział, że świat kobiecy, przed którym się niegdyś cofnął, lecz w którym już uczestniczył, był także *światem, wytwarzającym wielkie skutki i wielkie cierpienia.*

Był on jednak z téj strony spokojnym. Przeszło już lat kilka naście, a o żonie jego żadnych nie było wiadomości.

Po upływie tych lat kilkunastu, zdarzyło się, że ciężko zachorował na reumatyzm. Ciągłe ataki nie pozwalały mu przewodniczyć zakładowi, który potrzeba było zamknąć. Widział to z bólem serca. Jedyłą mu wtedy pociechą było to, że chciał usługiwać ogółowi i usłużył już wedle sił i możliwości.

Po zamknięciu zakładu fundusze jego tak się uszczupliły, że ten sumienny pracownik zdobył się zaledwie na kupno kolonijki w okolicy, gdzie powieść naszą rozpoczynamy, a której piękność pamiętał jeszcze od chwil, kiedy tu miał swoje majątki i czasem nawet przemieszkiwał, jego niegdyś zwierzchnik, a potem teść niefortunny. W tych to miejscach ujrzał on po raz pierwszy, wśród przepychu natury, idealnie i uroczyście pojętą przez niego kobietę. W obecnym czasie ciągnęło go do miejsc tych i to jeszcze, że mieszkał tam młody jego przyjaciel, którego bardzo kochał i który go wabił w swoje strony.

Pomimo ciosu, jaki w samo serce otrzymał, lubił te miejsca; chociaż więc po szczęśliwem wyzdrowieniu i odpoczynku, wydalął się znowu z kraju i przyjmował polecenia swojego zawodu, które mu nowe korzyści przyniosły — powracał znowu do swojej siedziby, i dziwna... teraz, w drugiej zimo-

wój życia połowie zaczął oddawać się marzeniom!

Uczuwał czczość pewną nie w duszy, lecz z braku serdeczniejszego otoczenia. Były chwile, kiedy samotny chciał wyciągać ręce, aby kogoś uścisnąć, aby się odżywić uśmiechami i głosami czyichś radości. Czuł że cisza, jaka go otacza, mogłaby być zapełnioną — czem?... Pożądania te były niewyraźnemi. Miały one bowiem ogólne tło wdzięku, który uprzyjemnia życie sercom ojcowskim... Porzucona córeczka stawała coraz częściej przed jego wyobraźnią.

Błyszczały niekiedy w około niego. jakieś oczy cudnej niewinności, słonecznego blasku, jakieś włoski jasnych główek, jakieś rączęta i płasające istoty... Były to lotne odbicia się roskoszy, których w życiu nie doświadczył.

Doszliśmy wreszcie do chwili w życiu matematyka, odpowiadającej wątkowi powieści.

Jaśniej nie wysłowionego uroku zorza poranna. Blaski ockniętego nieba rosną w olbrzymi rumieniec niepokalania nad ciemnym padołem. Uroczyście to dnia otwarcie zdaje się mówić, że świeżość poranka jest świeżością nieba, gdy blask południa jest oddechem człowieka.... Szczęśliwy, kto może patrzeć w tę jasność z niezakłóconą niczem radością! Nareszcie słońce wyziera nad widnokrąg; połowa jego tarczy ukryta jeszcze za ziemią, gdy dru-

ga wyrzuca już purpurowe strzały promieni ku miejscom, w których przed chwilą świeciły gwiazdy.

Wśród niewielkiego ogrodu, pełnego kwiatów i drzew cienistych, stoi ubogi lecz schludny domek.

Nieopodal od ogrodzenia ciągnie się droga od majątku, w którym mieszka młody przyjaciel samotnika, Stanisław S.*

Spostrzegamy wreszcie starca, siedzącego na ławeczce darniowej, tak — starca, bo czas wyrył ciśniecie piętno na twarzy naszego matematyka. Zmienił się do niepoznania i pochyło się trzymał.

Miał on książkę na kolanach. Są twarze, w których natura nic, zda się, nie opuściła, aby mogły wrazić się w pamięć. Twarze takie uderzać zwykły nie rażącą pięknnością, lecz wyrazem. Na tej twarzy znajdowałeś niejako dowód, że rysy są obrazem duszy. Tak, niepodobna aby człowiek zły zupełnie zholdował kogo swoją powierzchownością, jak niepodobna znowu, aby wspaniałość ducha nie przebijala się na zewnątrz. Umysły bystre rozumieją się często po jednym spojrzeniu stanowczem. Zamiana wrażeń wzajemnych rzadko bywa czczą zupełnie.

Człowiek o którym mówimy, miał właśnie taką twarz wyrazistą, uderzającą i to było jednym z powodów, dla których Micuś go nienawidził pokryjому. Zdawał się mieć około sześćdziesięciu lat wieku, które pokryły już siwizną włos rzadki, spadający z pięknie rozwiniętego czoła. Z pod surowo do-

syć zagiętych brwi patrzyły oczy błękitne, spokojne, wyrażające tę siłę woli, z jakiej go już poznaliśmy poprzednio. Nos prosty, nozdrza tylko miał nieco wydatne, co przypisują naturom namiętnym. Zarost zwykle golił, przez co głowa doskonale określić się dająca, wyglądała na posagową.

Całą postać cechowała powaga; nie ta powaga nabyta w skutek usiłowań, nawyknięcia do pozowania, odznaczająca się sztywnym karkiem, nie powaga pedantów, lub ludzi srogich i zuchwałych, lecz cicha powaga myślącego, wynikająca z istoty ducha i spokojnego krążenia pojęć. Taką powagą odznaczają się zwykle dumy żywe za młodu i przedsiębiorcze, które walczyły długo z własnymi namiętnościami, z własnym zapalem i które uspokoiły się wreszcie, pograżywszy się w wielkim obszarze świata promieniami żywotnej myśli. Zdawał się być wśród otaczającej zieloności posagiem, a żył każdym tętnem wrażliwego organizmu.

Myślał. Pieśń poranna wznosiła się ku niebu. Myślał o okropnym wypadku samobójstwa, którego się dopuściła wiejska dziewczyna, sierota, odznaczająca się pięknosciami. I nie cieszyła go pieśń poranna, bo miłość dla której natura stworzyła pieśni, zieloność i poranki, ukazywała się przed nim w tej chwili w postaci milczącego trupa dziewicy.

Stanął przed jego oczami świat cały. Przechodzi przed nim człowiek, jego historia, cele, walki

o szczęście i wolność; cierpienia, smutki, modlitwa i zbrodnia; piękność, młodość, miłość — miłość tylu wieszczami wzywająca głosami, tylu kształtami jaśniejąca! Przeciągają przed nim zastępy myślicieli; idą w białych szatach apostołowie, bohaterowie; w rozmaitych świątyniach dymią kadzidła ofiarne, płoną stosy, ciała ludzi, myrrha i kwiaty... otwierają się groby, z ciemnych czeluści wyzieraają zakrwawione czoła męczenników, za wiarę, prawdę, człowieczeństwo... I wszystko to dla tego tylko, aby w przyszłości działo się to samo, co ukazuje przeszłość! aby uczucia wielkie, aby miłość jasna i prawdziwa jak słońce, bezgraniczna, ginęła pod dłonią okropności!

Owasy po polach były już zebrane — smutna odpowiednia dla zajęcy, ochocza dla lekkonogich chartów. Starzec poglądał po łąkach, których plony zapełniły już gumna i brogi, gdy w oddaleniu wzniosła się chmurka pyłu; rosła co chwila i dozwalała dostrzedz w sobie pewne żywo poruszające się kształty, przybierające purpurowe barwy powstającego słońca. Nareszcie chmurka ta i nieokreślone kształty pędząc po drodze w kierunku domu samotnika, zmieniły się w potężną chmurę kurzawy i w grono wesołej młodzieży na dzielnych koniach, z dojeżdżaczami i z chartami, w liczbie kilkunastu ludzi. Pośród świeżości ranka pędzili jak hu-

ragan. Dorodni, rozgrzani pędem, unosili się niby sokoły na skrzydłach. Każdy z myśliwych zgięty nad szyją rumaka, chwytął chciwie ranne powiewy. Jak gdyby byli synami wichrów, lub rozkielznanymi w namiętności myśliwcami ballad, pędzili aby lecieć, aby się unosić. Gorejąc życiem purpura rumieńców dodawała uroku ich powierzchowności. Ziemia jęczała a łoskot i głuchy tętęt grzmiących kopyt i dzwoniącej podkowy, impet biegu, który patrzącego porywał, zmieniały ten obraz w jakiś poetyczny epizod życia.....

Myśliwi pędząc obok zagrody ujrzeni starca. Naraz wszystkie ich czapki i szerokoskrzydłe kapelusze podniosły się w górę, a okrzyk powitania zagrzemiał w kurzawie, jak piorun w chmurach. Z czapkami w rękach, z uśmiechem przyjaznym na ustach, przemkli jak duchy, wspaniali w szatach młodości. Piorun, wulkan i młode serca jedne sprawiają wrażenie. Przemknęli. Zdawało się jakby próżnia w powietrzu od ich pędu pochyliła ku sobie samotnika. Witał ich jakoś uroczyście;... coś podobnego do lzy zakreśliło mu się w oczach; zdawał się ich błogosławić..

Młodzież przebiegłszy z pół mili dla zażycia i wypróbowania koni, posuwała się zwolna po drodze i już miała się zwrócić ku miejscu, z którego należało wyjechać na pole, albo raczej na rżyska, gdy z jadącej naprzeciw nich bryki ładownej zeskoczył żyd furman z sąsiedniego miasteczka,

załatwiający różne drobne interesa dla wielu obywateli z okolicy. Przystąpiwszy do dowódcy kawalkady, podał mu list z poczty odebrany. Skłoniwszy się potem i siadłszy znowu na brykę, w swoją stronę odjechał. Jeździec pięknej powierzchowności, któremu pismo oddano, spojrział na nie i zawołał:

— A przecież — od Teodora!

Następnie zawrócił się do towarzystwa mówiąc:

— Panowie, jedźcie w umówione miejsce. Muszę ten list przeczytać przed polowaniem, choćbym przez całe życie nie miał widzieć w polu ani jednego zająca. Do widzenia.

Jeźdźcy spięli konie i pojechali dalej. Wtedy jeździec pozostały zsiadł z konia i oparłszy się o pień przydrożnego drzewa, zaczął czytać list otrzymany.

W liście tym donosił mu przyjaciel jego, Teodor, że stosownie do umowy, przyjedzie do niego na lato, co mu nawet bardzo jest upragnioném po długich i uciążliwych pracach, które niedawno ukończył a które zapewniły mu byt niezależny. Wyznaczał przytém ną pewno dzień, w którym się zobaczą.

— List zapóźno mi oddany — szepnął do siebie jeździec, siadając znowu na konia; jeżeli słowa dotrzymał, to już jest u nas, a mnie tymczasem trzeci dzień nie ma już w domu.

To rzekłszy nie podązał, jak miał zamiar, za towarzyszami, lecz ruszył z powrotem. Przejeżdżając

obok domu samotnika, zastał go jeszcze siedzącego na téj saméj ławce co i poprzednio.

— Nie wykręcisz się teraz odemnie, panie Stanisławie — rzekł do młodzieńca powstając i zdążając ku niemu. Nie miałem pretensji żeś mnie ominał dla towarzystwa młodych sokołów, ale teraz byłoby mi przykro, gdybyś, sam będąc, omijał Samotnika.

— Co panu po takich jak ja wietrznikach! odrzekł rzeźki myśliwiec. Samotność powie panu daleko więcej, niż dziesięciu Stanisławów. Bywają samotnicy, w około których mówi wszystko.

— Jest to coś w rodzaju pochwały. Tylko że nie mogę się na to zgodzić, bo jeżeli w około mnie mówi wszystko, to czyż mi nie najmiléj, gdy z pośród tego wszystkiego wystąpi pożądanym młody przyjaciel? Wy młodzi jesteście czasem dla tych, którzy przeszli już epokę dojrzałości, czemś podobnym do życiodawczych źródeł. Dzisiaj człowiek coraz bardziej się zamyśla.... a to niezawsze wesołe myśli sprowadza.

— Mógłbym to znowu wzięść za szyderstwo, bo pan znając moje fatalne usposobienie, wie dobrze jak często jestem zgryźliwym i niezadowolonym ze świata.

— Ale to niezadowolenie i zgryźliwość wynika z twojej młodości. Chcesz kochać, chcesz latać po

powietrzu, chcesz być huraganem, chcesz czuć całą potęgą serca....

— A jednak nie mogę się niczem nasycić..

— Co właśnie dowodzi żeś młody; chcesz tego, co trudno osiągnąć; gdy będziesz starszym, podążysz ku temu, co się da łatwiej pochwycić, tak jak ja oto starzejący się, pochwytyję młodość.... tylko nie swoją!

— Sens więc z tego — że młodzi chcą być skończonymi, gdy starzy pragnęliby zaczynać....

— Tak pragnęliby zaczynać to, co już utracili!..

— Dziś pan smutniejszym jest niż zwykle, — rzekł Stanisław, i przywiązawszy konia do ogrodzenia usiadł obok samotnika.

— Ha, bo wy młodzi kochać zapewne nie umiecie.

— Zkądże znowu ten zarzut; może on mieć bardzo rozległe znaczenie.

— Jeszcze nie wiem, czy mój ma podobne, ale to wiem, że z horyzontu słońca wpadł, w niezgłębiałą przepaść zagrobową, kwiat wspaniały....

— Cóż za kwiat panie? Znam wszystkie tutejsze wspaniałości i o ile mi wiadomo, kwitną one jeszcze na.... na pociechę ludzi...

— Ale mi wprzód powiedz panie Stanisławie, jak rozumiesz twoją wspaniałość.

— Ha, trudno to tak odrazu określić; mam na myśli śmietankę naszego towarzystwa, gwiazdy piękna na horyzoncie okolicy.

— Czy tylko w jedwabiu, koronkach i batystach, czy też.... i bosostope dziewice pól wioskowych?...

— Bosostope, bosonogie! nie, o tych jako o gwiazdach nie myślałem.... Ach! wesołość pańska powraca — bosonogie dziewice śmietanką płci pięknej. Ależ panie, to okropne!

— Idea wielkości nie chodzi w trzewikach....

— Ale czyż chodzić może boso! Zresztą, z kądem przyszliśmy do idei wielkości! Muszę zwracać do pana same wykrzykniki!

— Najlepiej więc będzie, gdy tę ideę pozbawimy wszelkich ubiorów lub pogardliwej nagości. Spójrzmy na nią, jaką się nam przedstawia, a przedstawia się wszędzie jednakowo, bo jeżeli serce kobiety zrobimy naczyniem wielkiej idei, to ta postać kobiety, mimo wszelkie pojęcia o powierzchowności, wyrośnie w posąg, sięgający głową niebios, tak samo jak sięgają inne wielkości ludzkiego bytu!...

— Jest to przygotowanie, jakby do czegoś fatalnego.

— Istotnie dla mnie samotnika, jest to okropnem. Zdaje mi się, że postać ta ciągle mi towarzyszy.

— Ale cóż za postać?

— Jeżeliś nie znał, to musiałeś pan widzieć zapewne dziewczę wiejskie, które tu nazywano — Innocentą.

— Innocenta... rzekł nagle poruszony i z pewnym odcieniem rumieńca na twarzy Stanisław. Innocentę widziałem bardzo wiele razy... znam ją nawet...

Powiedz pan ostatnie słowo także w czasie przeszłym, to jest że pan znalazł Innocentę.

— Dla czego?

— Bo dzisiaj znać jej nikt nie może. Ja to nazwałem owym kwiatem wspaniałym, który już zginął w przepaściach śmierci.

Innocenta umarła! zawołał Stanisław i jak pierwój się zarumienił, tak teraz zbladł nagle.

— Sama odjęła sobie życie.

— To być nie może!

— Dla miłości.

Stanisław powstał i patrzył na samotnika z dziwnym pomieszaniem.

— Spiesz się do domu, panie... w drodze list odebrałem i dla tego sam powracam.

— Panie Stanisławie, ta śmierć obchodzi cię mocno. Może co wiesz o fatalnym wypadku... Wiem, że ją kochał syn Małgorzaty, z tej samej wsi co i ona.

— Nic o tem nie wiem, ale zbadam to wracając do domu.

— To rzekłszy i starając się ukryć pomieszanie widoczne, Stanisław pożegnał samotnika, siadł na koń i puścił się galopem ku wsi swojej matki.

Po odjeździe Stanisława, gospodarz ustronnego domku, pod wpływem ostatniego wypadku, a może i téj rozmowy, uczuł mocniej swoje osamotnienie.

Były chwile, kiedy braku serca, do którego by się mógł przytulić, nic mu zastąpić nie mogło. Były chwile, kiedy skłonny był wołać wielkim głosem jasną postać, której wzrokiem życie swoje niegdyś ukoronował.

Jego księgi, spełnione obowiązki, część życia spędzona dla ludzi, jasność jego myśli, obfitość uczucia, za małym były dla jego ducha, pokarmem. Właśnie dla tego, że czuł mocno, że myślał wysoko, nadchodziły ku niemu godziny męki i chęci podziału swéj duszy.

Był to rodzaj cichéj rozpacz, której niczem nie mógł zwyciężyć. I nawet nie starał się zwyciężyć, bo za rozpaczą tą jaśniały niebieskie kształty życia. Przez chmury téj rozpacz wyciągała ku niemu rękę kobieta — blask wieczny, którego nic rozwiać i zastąpić nie mogło.

Lecz miał i na to niejaki sposób ukojenia. Już dawniej w przystępie takiego smutku postanowił sobie wynagrodzić przyjaźnią kobiety ten świat miłości, który go niegdyś kołysał. Szczęśliwym był przynajmniej o tyle, że w takich utrapieniach samotności, mógł spieszyć pod dach gościnny; gdzie go spotykały przyjaźń, radość, uśmiechy; gdzie

widział przytulone piersi do piersi, oko zatopione w oku, gdzie wdzięk przybierał jasność świętości, gdzie były dzieci, dziewice u ona macierzyńskiego kobiety.

Były chwile, kiedy braku serca, nie mógł przystąpić, nie ma zastąpić nie mogło. Były chwile, kiedy skłonny był wolać wielkim głosem jasną postać, której wzrokiem życie swoje nie gdyś akoronował.

Jego księżki, apelinione opowiadki, część życia apelinione dla ludzi, jasność jego myśli, oddłość uczucia, za miłym były dla jego ducha, porażeniem. Właśnie dla tego, że czuł mocno, że myślał wysoko, nachodziły ku niemu gorziny miłości i chęci podziwiał swojej duszy.

Był to rodzaj cichej rozpaczy, której niktem nie mógł zwyciężyć. I nawet nie starał się zwyciężyć, bo za rozpaczą tę jaśniały niebieskie kształty życia. Przez ciemny tej rozpaczy wybiegła ku niemu tękę kobieta — blask wieczny, którego nie rozwiad i zastąpić nie mogło.

Lech miał i na to niejaki sposób ukajania. Już dał w niej w przystępnie takiego amulku postanowił, nie wynagrodzić przyjaźnia kobiety ten świat miłości, który go niegdys kochał. Szczęśliwym był przynajmniej o tyle, że w takich utrapieniach samotności, mógł spieszyc pod hałas gościnny; gdzie go apolitykały przyjaźni, radość, uśmiechy; gdzie

który jasnije na owocach, nie splamionych jesz-
 cze tą kęszą człowieka.
 I w tym jej twarz i postać zdawały się posiadać
 wszystko, co stworzonym zostało na naszem świecie.
 Była piękna wśród zieloności i letniego słońca.
 Była letnim purpurowym kwiatem wśród ciem-
 nych i smutków.

II.

Są istoty, które żyją i znikają na obliczu ziemi
 prawie zawsze bez śladu, niby kwiaty polne mniej
 lub więcej wspaniałe, odradzające się w obszarach
 łez i smutków. Nie pominiemy, jeżeli podobna, losu
 jednej z takich istot.

W chacie wioski, leżącej w pobliżu domku samo-
 tnika, oddychał Bożem powietrzem twór piękny,
 kwiat natury niewinny, śpiewający. Było to młode
 dziewczę wiejskie.

Sierota, pochodzenia cokolwiek tajemniczego, wy-
 chowana przez wieśniaczkę, była tylko ubogą córą
 wioski, a zdawała się być jej królową, jeżeliby kto
 zdołał nie zwracać oczu na grube obsłony prostacze
 jej ubioru.

Z obsłon tych wyzierały ramiona i główka, które
 każdego mężczyznę mogłyby wprawić w zadumę,
 wykwitała piękność, pełna samorodnej krasy. Wia-
 ło od tej postaci pewnem niepokalaniem natury;
 zdawała się pokryta tym puszkciem srebrzystym,

który jaśnieje na owocach, nie splamionych jeszcze ręką człowieka.

I wyraz jój twarzy i postać zdawały się posiadać wszystko, co stworzoném zostało na uszczęśliwienie. Była piękną wśród zieleności i letniego słońca, była letnim purpurowym kwiatem wśród chmur i śniegów zimy.

Nie należała jednak do świata, w którymby ocenić zdołano tyle uroku.

Podług wspaniałości wdzięków należała do najwyższej sfery kobiecej, podług swego stanu do najniższej warstwy — sierocéj!

I piękna córka wioski, jakby odgadując niebezpieczeństwo takich ostateczności — czuła ich sąsiedztwo w swojej osobie.

Gdy się zdarzyło, że spojrzała na ciekawego, pozerającego jój wdziaki, niknęła mu nagle z oczu jak senne widziadło i kryła się albo w chacie, albo w gęstwinie zieleności.

Zdawała się rozumieć samo-zachowawczym instynktem, jak istoty pozostawione własnej obronie, że podawszy rękę temu, kto się do niój zbliżał, traciła swoją niezależność, nie dla tego aby ją połączyć na równi z drugą, ale dla tego aby upaść w sidła.

Nie знаła mężczyzn, ale ich przeczuwała. A może przykłady częste towarzyszek młodości, może

ich upadek natchnął ją dumą i przeświadczeniem o inném królewskiem znaczeniu kobiety.

Rzadko więc widział kto dwa razy jój spojrzenie, chyba by się na to uwziął i niespodzianie ją spotkał. Mimo to jednak, jój widok natchnął pewnego prowincjonalnego rymotwórcę do kilku strof poetycznych, które w wiernym mniéj więcéj przytoczeniu podać tu się godzi:

„Czyś ty szczęśliwe dziewczę jasnowłose,

Ześ takie lotne ochoczo?

Swawolny wietrzyk pieści twoją kosę,

Z oczu ci łezki wyskoczą!...

I śmiech twój srebrny, jako chcą poeci,

Wtóruje chórom słowików;

Na twarzy pożar purpurowy świeci;

Stóp śliczny kształt — bez trzewików.

Czyś ty szczęśliwe? Ha — pewno; na świecie,

Gdzie praca z śmiechem, swawola,

Gdzie jeszcze dusza z lilji wieniec plecie,

Tam mieszka szczęście, tam dola!

Chciałaby jednak podróznego ręka

Zbawić twe słabe ramiona

Od jarzma wiader, co zgrabny tors nęka —

Od znojnych kurzów blask łona.

Piękność jest wieszczym wszędy majestatem,

Winna nie giąć się, lecz władać;

Jój dzieło — zorze zapalać nad światem,

Nie w grube chusty zapadać.

A choć tyś w chatach, jak poranna gwiazda,

I świecisz strzechy prostacze,

Jednak mi smutno, gdy wiejskiego gniazda

Dziecię złamane zobaczą!

Może ty sama o lepszej wiesz doli,

Wiesz o kopciuszku z powieści:

Cóż, kiedy ciebie los daremnie smoli,

Kwitnącą gnębi, nie pieści.

Takąbyś cudną była w śnieżnej bieli,

Tak lekką w strojach wytwornych:

Szedłby twym śladem orszak wielbicieli

Usłużnych, drżących, pokornych...

Boginią ciebie nazwałby poeta,

Muzą natchnienia artysta,

Uczciłaby cię zazdrością kobieta,

Starzec by stracił robr wista.

Lecz może znajdziesz i ty dłoń kochanka,

Przestaniesz śnić królowica;

Ślubnego jednak nie plecie nikt wianka —

Gniesz się ku ziemi — dziewica!...

Ach! gdyby czary — wnet berłem bym błysnął:

Przeniósłbym taką dziewczę

W świat szczęścia pieśni... a w jej miejsce cisnął —

Piękną, bogatą — złošnicę!...

Nie miała więcj jak lat siedmnaście lub ośmnaście. Wzrost jej był średni a kibić wytworna, ruch elastyczny, wdzięczny, stopa mała. Ponieważ nie miała matki, podczas więc chrztu proboszcz nazwał ją Innocentą i nie mógł obrać piękniejszego imienia

dla téj istoty, rzuconéj na łaskę ludzi. To jedno imię było jéj tarczą.

Lubił ją bardzo syn wdowy Małgorzaty, hoży wiejski chłopiec, który ciągle chodził za nią. Ale ona uciekała od niego, tak jak i od innych.

Odznaczała się tem jeszcze, że pomimo jasnych jak len włosów, oczy miała czarne, z głębokim wieszczym wyrazem. Płonęły one z dziwną siłą wśród jasnéj twarzy pod jasną włosów koroną, płonęły jak dwie głębie tajemnicy szczęścia. Nie lubiły one wpatrywać się długo, ale gdy spojrzały, czuleś się jakby owioniętym czemś nad wyraz poważnem i głębokiem. Regularne rysy dziewczęcia czyniły jéj twarz cudnie łagodną, ale te oczy narzucały na nią pewien wieszczy, uroczystości pełen odcień. Odcień ten zdawał się wyrażać siłę woli i jakby krańcowość uczuć. Jéj spojrzenie miało moc wymownego słowa, dotykało, przykuwało do miejsca. Gdy jednak oczy te patrzyły gdzieindziej, znikala uroczystość i głębokość; widziałeś przed sobą piękne swobodne dziewczę.

Tak rosło ono pod tchnieniem Boga. Przybrana jéj matka kochała ją, ale też kazała ciężko pracować. Wszystko więc, przez co stała się lubą i piękną w oczach ludzi, otrzymała od Boga. Z koła równienniczek nie wyróżniała się niczem, chyba pięknością. Tak żyła spokojnie do pewnego czasu i jeżeli nie była szczęśliwą, to głębokie i pełne potę-

żnego uczucia jęj oczy nie ujrzały jeszcze mężczyzny, któryby je za sobą pociągnął.

Ale nareszcie zmienił się otaczający ją świat spokoju, w inny gwałtowniejszy, mówiący.

Przed kilku miesiącami wrócił do domu syn właścicielki poblizkiej majątności. Był to Stanisław, o którym już wspomnieliśmy, przyjaciel samotnika.

Po skończeniu nauk i podróży przybył do domu na odpoczynek. Przechodząc pewnego razu przez wieś z polowania, dostrzegł młode dziewczę około chaty, rozwieszające bieliznę. — Już jęj od tąd z oka nie spuścił, dokąd nie znalazł sposobności przemówienia do nięj słów kilku, ale kilku za ledwie, gdyż lekka i trwożna jak sarna uciekła od niego. Uciekając rzuciła jednak na niego swym posępno-wieszczym błyskawicznym wzrokiem, jak gdyby chciała przesyć go na wskrós. I nie dostrzegła w młodym myśliwcu nic, prócz uwielbienia dla nięj. Widziała, że gotów był upaść przed nią na kolana, że utonął w jęj wieszczem spojrzeniu, jak urzeczony, jak jasnowidzący. Dziewczęta wiejskie, dostrzegłszy zajęcie wzbudzone w mężczyźnie wyższego od nich stanu, tak są naiwnemi w ukrywaniu swojej w tym razie przychylności, że wyraz nieufności zdradza łatwo ich przychylność. Gniewają się niby, a uśmiech gra im na ustach. Tak samo było i z Innocentą.

Po rzuconem na Stanisława spojrzeniu, uczyła w duszy jakąś niemoc lubą, niepojętą; zaduma odbiła się w jęj cudownych rysach. Lecz to wszystko było rzeczą jednęj chwili — odwróciła się i zaczęła uciekać jak spłoszona. Stanisław nie ustawał w zabiegach i po niejakich przeszkodach doszedł do tego, że oswoiła się z jego widokiem. Nie wiedział, że w chwili kiedy po raz pierwszy odważyła się przemówić, już należała do niego całą duszą. Mówiły to wieszczce jęj oczy, które wtenczas, gdy Stanisław się odwrócił, lub odchodził, posyłały za nim niewysłowionego uroku promienie.

Tu odbiła się krańcowość jęj uczuć; pokochała Stanisława i miłość czyniła w nięj zadziwiająco szybkie postępy. Rzec można, przesłiczne dziewczę jakby spadło nagle i toczyło się z ogromnej wysokości. Doszło do tego, że nie odmówiło ukochanemu pocałunku.

Tym pocałunkiem zakończyło się podobno jęj szczęście, bo odtąd zesmutniała, unikała ludzi a nawet pięknego panicza. Tu wyszła na jaw potęga jęj duszy, o której zdawały się uprzedzać głębokie błyskawiczne czarne oczy. Wyszła na jaw samorodna moc ducha, uczucia wielkiego serca.

Dziewczę to miało swój świat, świat Boga, w którym ludzie zjawili się tylko zdaleka. Nie miała ona żadnego ukształcenia, ale taka bezkształtna jak jęj dusza, była materiałem majestatycznym. Podziwia-

my kopułę Ś-go Piotra, lecz pełni zdumienia i pokory, stajemy w obec gór niebotycznych, których nie trąciła ręka sztukmistrza. Himalaya widzi ze swych szczytów gwiazdy i w dzień i w nocy, gdy kościół Piotra lada obłok zakryje. Nieukształcone serca mogą posiadać wspaniałości, do jakich nigdy nie dosięga ogląda. Działają na ukształcenie serca przykłady, historia, ale pierwiastki Bożego świata, ale materiały są wieczne, niezmiennie. Otoczeni rutyną naszej zdrobniałej, choć często koniecznej moralności, nie wierzymy w ogrom naturalny po za jej krańcem. Niech się zjawi Kolumb drugi — odkryje nowe źródła życia.

Objaw więc w tym świecie Bożym, może być więcej grubym, dziecinnym powierzchownie, naiwnym, ale świętość wzruszenia i uczucia wszędzie dojść może do szczytu. Inne są tylko obrazy, inna forma przejawu.

Dziewczę dumало całą duszą w przestrzeniach tego Bożego świata. Nie umiało unosić się nad kwiatkiem polnym, ale gdyby nie było kwiatków na polu z promieniem wiosennego słońca, byłoby jej smutno.

Nie umiała rozważać nad barwą i kształtem liścia, ale ubierała w świeże bukiety krzyże przydrożne.

Nie podziwiała kwiatów, bo wiele miała wspólnego z nimi — bezwiedną piękność i skromność

Czuła się im równą, lecz Bóg niezależnie od niej uczynił ją królową kwiatów.

Pokochała młodzieńca i zarysował się na niebie jój duszy ognistym kształtem. Co było po za nim, już dla niej nie istniało. Poddawała się temu obrazowi z zachwytem niebianki.

Miłość zapaliła w jój sercu płomień swój nieśmiertelny.

Chodząc wśród zieloności, wyzierała z za drzew chcąc ujrzeć panicza a jednak, widząc go nie spieszyła już ku niemu, choć pragnęłaby, aby nie było oprócz niego innych ludzi na świecie....

Wyobraźnia jój rozstrzeliła się na tysiące obrazów, skupiających się w jeden przedmiot. Jego wytworna postać, urok jaki z każdego poruszenia przeglądał, nareszcie owe blahe dodatki, wąs pięknie zakrecony, ubiór ładnie dobrany, nawet chustka na szyi — wszystko to mieniło się w jój duszy, cisnęło się do jój myśli. Był to wspaniały kalejdoskop serca. Gorączkowa i rozplómienna jój myśl wiodła ją na jakieś bezdroża, jak w owych chwilach osłabienia po ciężkich chorobach, kiedy zgnębienie sił organizmu nie odpowiada żywości ducha. Jój duch i miłość uniosły ją daleko po za kres jój siły. W tém jedném sercu palił się wulkan. Wreszcie jakieś przystępy trwogi prowadziły ją nawet ku pewnym potwornościom. Schyliwszy głowę patrzyła w jedno miejsce długo, piersi wznosiły

się nad gwałtownie bijącym sercem... Wyobraźnia nie starczyła na odmalowanie kształtów, które ją obejmowały. Powoli — powoli, zaczęły się wynurzać z niedościgniętych okiem głębin, jakieś rumaki olbrzymiej wielkości, kwiaty z liśćmi i koronami jak lasy, jak wzgórza, chwiejące się na łąkach; zakrywały one niebo, zakrywały wszystko. Rumaki, krowy z ognistemi rogami tłumili się, mieszały się z sobą, drzewa tańczyły całemi zastępami. Pośród zaś tego tła fantastycznego, jaśniała jedna twarz wyraźna, twarz ukochanego, wzywająca ją ku sobie, szepcząca uludne słowa, na które ona mdlała ze szczęścia i trwogi....

Wtedy serce uderzało jeszcze gwałtowniej, myśl wrzała ogniściej, drzewa skakały groźniej, rumaki szarpały ziemię kopytami, kwiaty ścierały się, szalały....

Nareszcie z tego nawału różnobarwnego, z tego ruchu i gwaru, wysuwały się jakieś okropne nici bez miary i końca, oplątujące jej istotę. Szarpała się w tych sieciach, rozrywała je, zdawała się być wyswobodzoną, gdy jakaś ręka z niewidzialnego źródła, rozsuwała znowu fatalne pasma, jakieś pasy szare w zwojach dziwnych i pogrążała ją ni by w śmiertelne powijaki....

Dziewczę miało wyobraźnię potężną, która niosła ją ku szczytom cierpienia wtenczas, kiedy jeszcze one szczytu tego nie doszły.

Po godzinach takich marzeń budziła się od swiergotu ptaka lub głosu ludzkiego w oddali, ale budziła się po to, aby w nie znowu popadać, jeżeli późna godzina nie wzywała ję do domu.

Tym to sposobem odłączała najlepsze cząstki swojej jstoty i przez owe ogromy fantastyczne dążąc ku ukochanemu, pograżyła te cząstki w miłość.

Są czasem dusze, które przez spotęgowane uczucie stają się naczyniem wielkiej idei; takie właśnie dusze dochodzą do ostateczności, nie znając żadnej skali pośredniej, tylko że jedne chłodną po starciu się z rzeczywistością, gdy inne przekraczają granicę sił ludzkich i wyswobodzone z pęt rozumu, obawy, przezorności, stają w świecie Boga. w świecie gdzie niema granic, tylko wielkość...

Nie jedną chwilę samotną przebyło dziewczę na tém tylko, że wynajdowało rozmaite kształty, w jakich najlepiejby wyglądały dwie postacie kochanków, kiedy idą obok siebie, trzymając się za ręce. Pieściła myślą jego włosy, jego oczy, przytulała swoją skroń do jego skroni. Co się ocknie i spojrzy przed siebie — wnet wzrok czarownicy błyska przed ję oczami. Pędząc trzodę do domu, patrzyła na obszary pola w kłębach kurzawy i o dziwo! zjawia się tam nagle zgrabna postać kochanka i która ją wita. Ścigała go wzrokiem duszy i ani się spostrzegła, że znalazła się w samym środku stada pośród zeber i rogów, a kochanka nie było!

Tak z kolei cała postać, każdy przymiot młodości, każdy dźwięk głosu, każdy szczegół drogiej osoby przykuwał ją do siebie. A jednak nie zdawała sobie z tego sprawy, ani też nikt się tego nie domyślał. Co więcej, sama nie wiedziała, że tym sposobem posuwała się naprzód olbrzymimi krokami.

Miłość często jest płochą, naiwną, nie zna porządku w objawie; jest nieskończenie subtelną i grubą zarazem, majestatyczną i śmieszną, niemniej — świętą....

Doszła znowu wreszcie do tego, że przestała unikać Stanisława. Tak było jej błogo być niby mimo jej woli zatrzymaną! I znowu pozwoliła ujmować się za ramię, a po rozłączeniu, szeptała i nuciała w śnie i na jawie jego słowa powitania: „Dzień dobry Nociu, dzień dobry Nociu!“ Miało to być zdrobnienie imienia Innocenty. Rozbijała to powitanie na rozmaite sposoby i kształty, wymawiała je z rozmaitemi odcieniami uśmiechu, wplatała je w piosnki, które umiała na pamięć, naprzykład:

„Każemy sobie,
Złote litery, złote litery wyryć na grobie.“
i zamiast bis:

„Dzień dobry Nociu, dzień dobry Nociu.“

Tu zatrzymywała oddech, wpadała w zamyślenie i nuciała z początku.

Jakkolwiek rozmowy ich rzadko prowadzone były na serjo, gdyż ogromna przestrzeń intelektu-

alna dzieliła ich umysły, nie obeszło się jednak bez chwil, w których zastanowienie (w rzeczywiście bezsilne) skłaniało dziewczę do nagłych zapytań.

— Co będzie z nami paniczu? mówiła z pewną trwogą.

— Cóż ma być? to co i teraz. Czy ci tak źle ze mną? odpowiedział Stanisław.

— O... czy źle! rzekła głosem dziwnym dziewczyna i skierowała swoje wieszce oczy w twarz kochanka, który mógł czytać w tych głębokich spojrzeniach, co czuła, gdy się przy nim znajdowała.

— Nie mówmy o tém, lato jeszcze długie, a ja nie zmienię się nigdy.

— Nigdy... ale co będzie po tem nigdy?

— Takaś niecierpliwa Nociu, mam od ciebie dopiero jeden pocałunek... może ty mnie nie kochasz? Uciekałaś odemnie, i teraz, zaledwie chwilkę jesteś przy mnie, pytasz się co będzie potem — kiedyś!

— Bo panicz mnie nie zna.

— A czyżbym mógł cię polubić, gdybym cię nie znał?

— Można znać człeka i nie znać...

— Tyś taka prześliczna w twarzy, a więc musisz być jeszcze piękniejszą w duszy. Tylko nie bądź taką rozumną...

— Mnie czasem przychodzi na myśl, że zostanę sama, a kiedy o tem pomyślę, coś strasznego mi się pokazuje.

— A cóż takiego?

— Śmierć... rzekła Innocenta głosem, i cichym i znowu skierowała na Stanisława wzrok swój wieszczy, który niewysłowienie potężnym blaskiem zdawał się potwierdzać to fatalne słowo.

— Więc ty mnie tak kochasz?

— Ja nie wiem.... odrzekła i spuściła oczy.

Wtedy Stanisław ujął jęz kibić i wycisnął na jęz ustach drugi pocałunek...

— Paniczu... puść mniel wołała wyrrywając się. Stanisław nie chciał być posłusznym.

Nie nazywaj mnie paniczem! rzekł drżącym głosem cisnąc ją do piersi. Myśmy dzisiaj równi oboje! Nie myśl o czém innem, tylko o mnie, nazywaj mnie Stanisławem, Stasiem, jak ci się podoba. Tyś taka urocza, taka cudownie piękna, Nociu, tyś teraz moja pani!

Dziewczę słuchało omdlewając, ale się wydzierało.

— Paniczu i ja szczęśliwa! ale puść, puść mniel.

— Żebyś uciekła?

— Ty chcesz mnie zabić.

— Tyś najdroższa moja!

— Jam biedna chłopska sierota. Choćbyś się nie zmienił, to nigdy nie możemy być razem. Wypuść mnie, bo tu skonam! I teraz nie powinniśmy być razem!

— Tyś nieczuła, zimna jak kamień!

— Paniczu, to kłamstwo! zawołała i oczy jój zamgliły się łzami. Potem używszy całej siły, wyrwała się z objęć kochanka, niby lilja z płomieni pożaru. Oczy jój odzyskały znowu swój blask wieczny i głęboki. Objęła tym wzrokiem postać Stanisława, któremu wydała się tak wspaniałą i nakazującą, że nie śmiał biedz ku niej. Odzyskawszy swobodę odzyskała godność, jaką święta nadaje prostota. Postać jój zdawała się mówić temu, który chciał ją pochwyć: „Niepodobna abyś mnie zdeptał.“ Widoczném było, że w istotę jój zapadła myśl samopoznania, samopoczucia, idea jakiegoś obowiązku. Do bożego świata, któremu aż do téj chwili ulegała, w którym szła za niewysłowionym hasłem miłości, weszła inna potęga, bojująca, groźna, choć ludzka....

Stanisław, jakby litości błagający, patrzył na nią z ręką naprzód wyciągniętą. I ona spojrziała mu raz jeszcze, raz ostatni w same źrenice; usta przybrały jakiś wyraz tragiczny, zadrgały niby chcąc coś powiedzieć. Nie miała jednak na to siły czy odwagi, szybko się odwróciła i znikła jak senne widziadło.

Nadludzkiem prawie było jój wysilenie; wyrwała się z objęć lubego z palącym na ustach całusem. Miłość dosięgła zenitu. Dźwigając się dotąd i pochłaniając całą istotę téj kobiety, pochłonęła w sobie harmonję jój siły i myśli.

Póki uczucie, choćby najsilniejsze, rośnie, póty trwa uczuć harmonja. Taki wrost możnaby nazwać hymnem serca. Istota ludzka wysila się wtedy w wynajdywaniu najcudniejszych nadziei, posuwa się ku krańcowi, ku szczytom, ku uwieńczeniu tych nadziei tryumfem.

Pochód myśli miłosnych dałby się nazwać uczta duszy, gotującej się do spełnienia najradośniejszego w stworzonym świecie dzieła, jakim jest zlanie się dwóch istot. Tym więc krańcem jest spoczynek téj harmonii bojującej, wulkanicznej. Całus powtórny zbliżył ją ku temu krańcowi. Tu miłość dosięgła zenitu.

Ta miłość dalej dźwignąć się już nie mogła; musiała być nasyconą, lub zburzyć przybytek szlachetny, w którym się zapaliła, strzaskać ten rydwan wspaniały, unoszący ją w pochodzie tryumfalnym.

Całus wszędzie ścigał dziewicę. Jak wampir ukryty w skrzydła rozkoszy i barw niebieskich, jak zwiastun zatrąty, owinięty we wszelkie powaby życia i szczęścia, z upajającemi woniami kwiatu, z promiennym tęczowym uśmiechem lubego obrazu, wpił się ten całus w szlachetną istotność wielkiego serca. Tarła usta, zmywała go, chciała szarpać twarz i piersi — napróżno! Piekielny a boski całus palił ją ciągle.

W téj jednej piersi zawrzały naraz wszystkie żywioły zguby; powab i czystość z żądzą i namię-

tnością, uniesienie miłości ze wstydem, siła postanowienia z rajskimi obietnicami rozkoszy — zaczęły walczyć z sobą i burzyć serce téj kobiety.

Uczuła się jakby pod powiewem wichru, który ją targał unosząc ku obrazowi, wydającemu się jój teraz pięknym, lecz już i przerażającym. Obraz kochanka podobnym się jój wydawał do anioła straszliwego, rozkazującego iść za sobą. Wstyd przykuł ją do miejsca. Okazała się nieposłuszną widmu kochanka.

Tak, świat Boży stał się z światem ludzkim. Jeżeli drugi ulegnie pierwszemu, spokój powraca; lecz jeżeli świat ludzki walczy z bożym do ostateczności — walka ta jest śmiertelną. Wstyd przykuł ją do miejsca. Z jednej strony wołała ją miłość wszechwładna, nieograniczona, ślepa, gwałtowna jak wulkan, z drugiej wynurzyło się i upostaciowało w wolę bojującą, świeżo poruszone i dźwignięte godnością uczucie cnoty, tak zwanéj cnoty.

W sercu téj włóścianki wstyd równie był silnym jak miłość. Nie potrzebując dotąd walczyć, spał na dnie serca; rozkładał w głębi istoty dziewczęcia liłjowe kwiaty, aby stały się serca tego hartem. Spał niby perła pełna światła w mokréj muszli w oceanie.

Istota jój posiadała siły ducha w rozmiarach majestatycznych. Siła teraz wychodząca na jaw, okazała się uzbrojoną we wszystkie straszliwe porywy

męczeńskiej stałości, we wszystkie mistyczne uroki cierpienia; w męstwo bohaterskie.

Nie umiejąc zdać sobie sprawy z tych sił swoich, prowadziła walkę skromna córka pól wioskowych, jak bohaterka. Ani wiedziała, że od jej postanowienia zawisł tryumf dwóch dźwigni — jednej, wielkiej w świecie powszechnym, drugiej, wielkiej w świecie kobiety. Doszła do tego, że musiała zniszczyć jedną, chcąc drugiej zadosyć uczynić. Podając się tak wulkanicznej, bożej miłości, traciła wstyd — słuchając wstydu, zabijała, zdradzała, tłumiła miłość.

Dla jednego dziewczęcego serca, niebo zdawało się dzielić na dwie potęgi walczące, dla wykazania wielkości i siły darów duszy. Miłość dopominała się o swoje prawa, — wstyd o tryumf cnoty. Miłość, cnota najwyższa, ubrała się w występki, by walczyć z cnotą czystości; w oczach dziewicy poddanie się miłości było występkiem. Nie mogła myśleć o małżeństwie i dla tego też po tym drugim całusie, wołała do siebie: „on nie ożeni się zemną.“

Promieniejąca miłością, ze spalonymi usty, z obłąkanem okiem, ubierała się szybko, gorączkowo, myła się, czesała i wybiegała szalona, wspaniała, śladem ukochanego; jego widmo prowadziło ją, unosiło, pomagało. „Pójdę!“ — mówiła i szła znowu. Lecz wnet spadał jakby z obłoków stróż anioł w postaci wstydu. „Stój!“ — grzmiało w jej duszy jak

rozkaz niecofniony; stój! — rozlegało się przed nią na drodze, która wiodła w ukochane objęcia, i paraliżowało rozkazy miłości.

Tak wstyd niby pierwiastek, niby przodująca forma i zapowiedź innych przymiotów dziewicy, szedł na przebój z miłością, lecz nie mógł odnieść tryumfu. W sercu tyle wielkiemu miłość nie mogła być ani zdradzoną, ani zmniejszoną. Gdyby mogła była przeżyć to przesilenie fatalne! Ale gdy dwie siły, szarpiące się nawzajem, zbliżyły się już nadto, aby mogła lub umiała dłużej się namyślać, odniosła tryumf — śmierć....

Nadeszło wreszcie widmo téj pani wszelkich ludzkich przedsięwzięć. Widmo to ukazało się dziewczęciu w kształcie jakiejś trupiiej twarzy, wymawiającej straszny na nią wyrok. Odtąd wszystko na cokolwiek padło oko stroskanój, nosiło piętno téj groźby i ciemności. Spojrzała przypadkiem na słońce i, słońce wydało się jój blaskiem złowróżbnym, czemś niby szyderczem, przekornem, rozświecającem, jakby jój na złość, głębiny, które ją pożerały. Rzuciła słońce, cofała się w głąb' swój duszy po szczęblach resztek pociechy, ostatku nadziei, pozostałych ze świetlanego gmachu miłości; cofała się upornie, chwytając tętnami niespokojnej piersi każde dawniejsze radosne słowo, każdy dźwięk, przypominający okres dawniejszój harmonji i z przeżeniem ujrzała ten okres tak już dalekim, tak

dawno minionym, że owe ostatnie węzły, łączące ją ze światem, rwały się niby mchy i chwasty zielone, za które chwytały się spadając w przepaść. Otwierała się przed nią otchłań ponura, nieskończona, mająca jedyną tylko podstawę niby dno kruche, ruchome — ukazywała się w tej otchłani rozpacz....

Chwytała tedy obiema rękami za piersi, patrzyła w tę otchłań z dzikim upodobaniem już konwulsyjnym, w którym naprzemian szalały pędem huraganów, coraz dalsze odbicia przeszłego szczęścia. Jakiegoż szczęścia? Są chwile kiedy spodziewane tylko szczęście wydaje się nam tak rzeczywistym, że czujemy żal, jakobyśmy je utracili. Było to więc drugie niejako przedstawienie otaczającego ją świata, ale przedstawienie śmiertelne. Jeszcze ponad te ogromne widma wynurzała się kiedy niekiedy postać kochanka, ale i on stał się widmem, które nie miało w sobie nic pocieszającego, jako niedosięgnięte.... Znikał więc a natychmiast w toż miejsce tłoczyła się noc, noc nieprzejrzana, pokrywająca istotę ludzką całunem jeszcze za życia. Jakże noc ta musiała być okropną dla tyle wspaniałego serca! Serce to było już rozdartem.... tłoczyły się tam dreszcze śmierci i boleści konania...

Tym sposobem weszła dziewczica w dziedzinę, ponad którą nie świeci już gwiazda nadziei. Zbliżało się rozwiązanie. Siedząc pewnego razu samotna,

z założonemi na kolanach rękami i odwróciwszy się nagle od czegoś, co było tylko własną jej myślą, spojrzała na purpurową powierzchnię małej rzeczki, płynącej spokojnie wśród brzegów cieni-
stych. Rzeczka ta przedstawiła się jej po raz pierwszy w postaci grobu. Przy wzrastającym biciu serca, biegła jej myśl po tych nurtach łagodnych, odbijających niebiosa i purpurę zachodniego słońca. Grób ten wydał się jej ponętym, wspaniałym. Oko pograżyło się tam wewnątrz i przedstawiło jej obraz konania. Już widziała się wskakującą, żegnającą się z ukochanym wyciągniętymi z pod wody rękami. Takie pożegnanie wydało się jej niejaką zemstą nad Stanisławem. „Przyjdzie tu — myślała — pokażą mu miejsce, gdzie mnie znaleziono; powiedzą jak umarłam dla niego! Będzie mu ciężko, że mnie zabił! Chociaż on nie winien...”

I w takiej myśli, widziała się tarzającą po dnie mulistém swoją głową, widziała błoto tamujące jej oddech, wodę wydzierającą życie, widziała płazy wodne, ciągnące ku niej jak po swoją własność... Błysnęła w jej wyobraźni pierś własna, oddana czarnym kleszczom raka na pastwę.... Wzdrygnęła się, przeżyła cały cykl śmierci; myśl wirując na tém miejscu, zatrzymała się; wiodąc kochankę aż do tego ostatniego schronienia, urwała się, jakby zmęczona okropnościami tego Bożego świata....

„Po cóż, po cóż mi umierać? — pytała sama siebie. To okropnie; tam zguba, tam wieczna zatrała! A on... może nawet wiedzieć nie będzie, że mnie tam znajdują!“

Ta żalność zwróciła ją ku Wielkiej Istocie, od której zwykliśmy błagać pomocy nawet wtenczas, gdy łamiemy twórcze prawa bożego świata. Biedne dziecię ziemi chciało błagać pomocy Boga tam, gdzie on je przeznaczył na wielki świecznik miłości. Nie wiedziała, że Bóg przeczyć sobie nie może. Bóg zapalił w jej piersiach wulkan miłości ku zaszczytowi stworzenia, i miałże ten sam Bóg niszczyć swoje dzieło? Mógł je zniszczyć tylko człowiek i... zniszczył, postawiwszy na drodze miłości kolosalną piramidę wstydu, nazwanego cnotą dziewicy.

Dziewica jednak spozierała ku niebu, bo nie umiała badać zamiarów Boga. Chciała tylko pomocy!

I z purpurowego nieba zaczęła się jej ukazywać postać Boga. Z po za przejrzystych obłoków zachodniego słońca, zdało się jej ujrzeć jakieś oblicze ojcowskie, majestatyczne, patrzące na nią z wyrzutem łagodnym i jakoby wymawiające słowa:

— Córkó, zapomniałaś o mnie...

Upadła na kolana i gorąco modlić się zaczęła. Dusza jej rozplynęła się w objęciach Boga....

Ale miłość, jako boskie tchnienie, została w jej piersiach równie silną miłością...

Po tém więc chwilowem ukojeniu boleści, walka rozpoczęła się na nowo. Duch raz znalazłszy drogę ku śmierci, jako ucieczkę od boleści, cisnął się do tych wrót straszliwych całą swoją potęgą, ominął wolę i modlitwę nieszczęśliwój. Teraz już nie wybierała rodzaju śmierci, nie myślała nad nią, lecz śpieszyła, wydierała się ku niéj. Życie zdawało się jéj niepodobieństwem.

Nareszcie pewnego dnia, kiedy domownicy, z powodu grożącej burzy, zajęci byli śpiesznem sprzętaniem z pola a matka przybrana innych robót doglądała po za chatą, Innocencie, przyrządzającej wieczerzę, zrobiło się smutniéj na sercu, niż kiedykolwiek. Wpadła w pewien rodzaj obłąkania. Wybiegła przed chatę — wszędzie cicho i samotnie. Niebo chmurnie rumieniło się na zachodzie; spojrziała ale w tém niebie nie widziała już Boga.

Dowiedziała się ona niedawno przedtem, od kumoszek, o własnościach ziół pewnych i przypraw z ich korzonków lub liści. Miała już tedy przygotowaną broń samobójczą. Samotność dodała jéj odwagi. Znikąd nie świtała ani nadzieja, ani pociecha. Widziała, że jeśliby żyła, poddałaby się miłości, umierając — nie przestała kochać, lecz zbawiała wstyd kobiety.

Korzystając ze swego osamotnienia, przystawiła do ognia przygotowaną zaprawę zabójczą w garnuszku glinianym i podłożyła chrustu. Napój za-

czał się pienieć a wtedy miał być najdzielniejszym. Dziewica wzięła garnuszek do ręki i drżała; skronie były jak młoty, węże wijących się przed nią płomieni przerażały ją, mnożyły się w jęj oczach niby żywe i w miarę wybuchania lub przygasania, podnosiły gwałtownie piersi ofiary zbytku uczucia. Chciała już wypić, ale cofnęła twarz i wyciągnęła rękę sztywno, zdawała się oddalać napój fatalny; odwracała od niego oczy, ale z rąk go nie pozbyła, dygotała zgrozą i trwogą przed narzędziem śmierci, — dumiała posepnie. Ale to dumanie ukazało jęj życie jeszcze okropniejszém, niż śmierć nawet i ciągnęło jęj głowę na dół, a naczynie z trucizną ku ustom coraz bliżej. Poznawszy rozgrzaną glinę przy ustach, przechyliła garnuszek konwulsyjnie i wypila do dna wszystko, co tam było.

Spełniło się. Zamglone oczy zamknęła i upadła. Po niej jakim czasie ocknęły ją boleści. Zerwała się nagle, chwyciła skorupy garnuszka i rzuciła je w kałużę nigdy nie wysychającą, aby zatrzeć ślad czynu, poczem zdążyła znowu do domu. W przebiegu spojrziała na niebo i po raz pierwszy przestraszyła się nieba. Uciekała, zdawało się jęj zagniewaniem.

Trudno opowiadać dalej. Po powrocie opiekunki i domowników dano jęj ratunek, chociaż nieprzyniósł on skutku, bo niewiedziano, co za nagła przyczyna jęj choroby. Tak umarła nazajutrz w okropnych cierpieniach.

Tak zginęła lilja wioskowa w płomieniach miłości. Okropność do jakiej doszła, była naturalnem następstwem wielkości jęj duszy. Gdyby mniej czuła, mogłaby zbawić i życie i wstyd kobiecy.

Zdawało się, jakoby żyła tylko dla ukazania, jak wielkim jest świat Boży w obec świata ludzkiego. Miłość w nim jak wszystko, jest — bezgraniczną..

Stanisław jednak nie był zwyczajnym rozpustnikiem. Innocenta pozostawiła, jak to zobaczymy, ślad w jego sercu.

W dniu w którym się ten dramat odgrywał, pewien człowiek chodził po okolicy i przypatrywał się pięknym widokom. Był samotnym, i to właśnie zdawało się bardzo go nudzić. Wyglądał on na człowieka wiele pracującego umysłowo, który przybył na wieś dla rozrywki. Zmęczony wreszcie długą przechadzką, do której widocznie przyzwyczajonym nie był, usiadł w cieniu rozłożystego drzewa i zasnął. Tak zaskoczyły go pierwsze odgłosy burzy.

Zerwał się na nogi i ruszył w drogę. Było to w okolicy wsi Rozkoszy, stanowiącej własność matki poznanego przez nas Stanisława.

— Cóż to znaczy, że dzisiaj wszystko się trwoży i ucieka? rzekł do siebie zbliżywszy się ku wiejskiej ulicy i widząc wybiegające z jednej chaty dwie kobiety, jakby ścigane i bardzo przestraszone.

— Co to znaczy, co się stało? zawołał. Burza okropna; cóż z domu was wypędzą?

— Nie ma czasu na gadanie, — odpowiedziała starsza. Powiem to tylko, że w tej chacie są okropniejsze rzeczy niż burza.

— Ztamtąd uciekacie?

— A jużci.

To rzekłszy, kobieta i jej towarzyszka oddaliły się zdążając ku innym chatom.

Chociaż świat przy wyjącej burzy i piorunach, wyglądał przerażająco i majestatycznie, choć każdy zaskoczony taką burzą nie myślałby zapewne o niczem inném, jak tylko o uchronieniu się od szwan-ku, nieznamy jednak pomimo niejakiemu przerażenia, doznanego po odpowiedzi spotkanej kobiety, pośpieszył, jakby wyższą party potęgą, do tej właśnie chaty, z której uciekano.

Zbliżył się z pewnym dreszczem do drzwi niezamkniętych, pomiatanych wichrem i zapytał kilkakrotnie mocnym głosem wchodząc do sieni:

— Czy nie ma tu nikogo?

Nikt mu nieodpowiedział. Chciał się cofnąć, bo nie wiedział, gdzie stąpić w ciemności. Błyskawica drzwi mu wskazała. Wszedł do izby i znowu ciemność go objęła. Tylko na kominie żarzył się jeszcze knot lampki, niedawno widać zgaszonej. Znowu pytał i znowu odpowiedziało mu milczenie. Chciał i on uciekać, bo idąc omackiem otarł się o coś chłodnego i nieruchomego, coś mówiącego bez słów, coś takiego w czém przeczuwamy okro-

ność, ale go popychał naprzód upór męskiej odwagi. Nie mógł porzucić tego miejsca bez przekonania się, co się tam stało. I znowu usłużyła mu błyskawica. Ujrzał przed sobą na łożu, postać w całun owiniętą, której twarz była tak nieruchomą, jak i oświetlona sinawo białosc całunu. Czytelnik się domyśla, że leżał przed nim trup Innocenty.

Nieznajomy nie wiedział, co czynić, czuł tylko że włosy na jego głowie jakoby chciały powstać. Stał jeszcze nieruchomy przed łóżkiem i czekał znowu na światło piorunu. Nim jednak ono zabłysło, nieznajomy usłyszał po za sobą jakiś szelest i ujrzał nagle całą izbę, w której się znajdował, oświetloną czerwonym płomieniem łuczywa, które w ręku, zakrywając połą sukmany od wiatru, trzymał jakiś młody wieśniak o posępnym wyrazie twarzy, mogący mieć około 23-h lat życia. Wszedłszy zamknął najprzód drzwi, zatknął potem łuczywo w szparę komina i szybki jak pantera, jednym susem znalazł się przed nieznajomym i chwycił go za obie ręce.

— Precz szalony! bo i ja użyję siły — rzekł zwolna ale silnie, napadnięty, wyswobadzając rękę prawą. Powiedz mi lepij, co się tu stało?

Wieśniak nie odpowiadając, gwałtowniejszem, niż poprzednie poruszeniem szarpnął nieznajomego tak, aby poznać twarz, którą jakby pożerał wzrokiem.

— Ha, to nie on! ryknął nagle odtrącając od siebie napastowanego i odwracając się z zalem.

Powiedz mi co ten trup tu znaczy? pytał nieznamy.

— To trup.... to trup już tylko! O ja nieszczęśliwy! wołał ten, który przed chwilą był napastnikiem.

— Czy piorun ją zabił, czy ludzie, czy choroba?

— Ani jedno, ani drugie, ani trzecie....

— Więc cóż?

— Umarła sama....

— Dla kogo?

— Dla tego, którego chcę zabić i byłbym cię tu zamordował, gdybym nie zobaczył, żeś ty nie on...

— A któż jest tamten?

— Jeden z twoich. Uciekaj ztąd, bom szalony, bo mi się w głowie przewraca.

— Czyś ty brat, jój albo powinowaty?

— Ni to, ani owo.

— Ty ją kochałeś....

— Ha! idź, idź mi z przed oczu!... zawołał z wściekłością młodzieniec.

Nieznamy uszanował tę rozpacz. Oddalił się, ale przez okienko jeszcze spojrzawszy, widział jak młody wieśniak odkrył całun na twarzy i piersiach Innocenty, jak patrzył na jój twarz białą w okropnej zadumie i jak schwycił konwulsyjnie jój sztywne ręce wołając ze łzami:

— O biedna, o nieszczęśliwa! Na cóż ci przyszło! Taka wesoła, taka lekka i śliczna. O śliczności, śliczności moje, cóż ja teraz z sobą pocznę! Nie chciałaś patrzeć na mnie i szłaś oto na śmierć. Ach okropność, okropność!...

I rzucił się u łoża Innocenty i targał włosy.

Nieznajomy pelen zgrozy oddalił się z tego miejsca śmierci i rozpacz. Wstąpił tylko do sąsiedniej chaty i ztamtąd dowiedział się o rzeczywiście, którąśmy już czytelnikowi przedstawili. Przeczekal zarazem burzę, a potem najawszy wózek włościański, udał się do domu, to jest do wsi Roskoszy.

Nieznajomym tym nie był kto inny, jak tylko Teodor, którego list oddał Stanisławowi, jak to widzieliśmy, pachciarz na drodze. Gość ten przybywszy do Stanisława, według umowy, na lato, i nie zastawszy go w domu, bo zajęty był polowaniem, udał się, korzystając z pięknej pogody, na przechadzkę po okolicy, myśląc przytem, że może gdzie napotka polującego przyjaciela. — Byliśmy świadkiem zakończenia téj przechadzki.

Teodor, przyjaciela w domu jeszcze nie zastał i porozmawiawszy krótko z jego matką, zamknął się w swoim pokoju.

Stanisław któregośmy widzieli odjeżdżającego od samotnika galopem, zmierzał prosto do wioski, gdzie umarła Innocenta. Przed samą dopiero wioską wstrzymał konia, aby nie zwracać na siebie

zbytniej uwagi. Tam od znajomego sobie gospodarza dowiedział się o wszystkim, nawet i o tém, że podczas burzy wczorajszej, przybrana matka Innocenty, bojąc się aby piorun nie uderzył w samobójczynię, uciekła z domu ze swoją robotnicą.

Stanisław powrócił do domu bardzo poruszony. Widmo zmarłej kochanki towarzyszyło mu w tym powrocie. Pierwszy raz w życiu zaczął doświadczać potęgi cieniów, ludzi zeszyłych ze świata ale pozostałych w duszy innych.

— Zsiadł z konia i wszedł do domu ponury; zaledwie widok Teodora cokolwiek ożywić go zdołał Teodor po pierwszych przywitaniach, nie wiedząc że główną osobą w tym dramacie jest jego przyjaciel, opowiedział mu także to, czego wczoraj był świadkiem.

— Czemuś taki blady Stanisławie? pytał Teodor, kończąc opowiadanie.

— Bo dziewczyna, której trup widziałeś, umarła dla mnie; bo wieśniak grożący śmiercią jej ukochanemu, mnie miał na myśli.

Tu przerwali rozmowę i długo pozostali przy swoich dumaniach.

Teodor przedstawiał sobie dotąd wieś jakoś idyllicznie, w świetle spokojném w uśmiechu, jako miejsce, gdzie gasną burze życia, gdzie natura usypia człowieka, i na samym wstępie natrafił na taki kolos boży w sercu jednego dziewczęcia. Córa

wioski stanęła na wysokości jego najwygórowańszych myśli. Ujrzał przed sobą istotę, która dwoma uniesieniami wielkiej duszy, zamknęła w sobie zadatek wszystkiego, co w ludziach jest najszczytniejszego.

Stanisław znowu ze sfery lekkiej miłości uczuł się przeniesionym w sferę wielkich rezultatów. Poznał i on wielkość duszy kochanki, i trapiło go przedewszystkiém to, że on przeznaczonym został na sprawcę tej okropnej śmierci.

W tym samym dniu przyniesiono Stanisławowi wezwanie od miejscowego sądu okręgowego, aby nazajutrz przybył na miejsce dochodzenia przyczyny śmierci Innocenty.

O stosunkach młodej dziewczyny z paniczem, domyślano się we wsi. Nagła jej choroba i zgon jeszcze naglejszy, przekonywały, że umarła z samobójstwa. Podniosły się krzyki i szemrania, które doszły do tego stopnia, że aż dano znać o tém sądowi.

Na tapczanie z kilku desek leży trup białą chustą okryty. To trup nieszczęśliwej Innocenty. Przed chwilą wprowadzono ztąd matkę, która krótko mogła patrzeć na te zwłoki bez wielkiego krzyku i płaczu. Nawet ostatnie serce kochające oddalić się także musiało, bo młody wieśniak, któregośmy widzieli rozpaczającego, usunął się z tą kobietą dla czuwania nad nią. Ale natomiast zaczęło się zbierać kółko ciekawych. Nie ma nieszczęścia na ziemi, nie

ma choćby najohydniejszego widoku i czynności, któreby ciekawych świadków nie ściągały ku sobie. Szczególnie śmierć i wszystko, co się tyczy tego aktu tajemniczego, licznych ma widzów.

Trup leżał uroczysty i jeszcze biały. Plamy występujące zwykle po truciznie, czoła i liców nie dotknęły jeszcze. Jakaś wspaniałość niewidzialna zdawała się otaczać te zwłoki. I tuż obok gromada ciekawych kumoszek, nowiniarzy, młodzieży szukającej wrażeń, zebrała się dokoła, prowadząc rozmowy i czekając przybycia sądu. Sekcja panny—rzecz ciekawa. Im chodziło o to aby zobaczyć trup panny, nie wiedząc że będą patrzeć na trup wielkiej idei!

Każde tętno zamarłe tego trupa, każdy kształt, każdy rys był wspaniałym popiołem miłości; całun pokrywał to, co ludzkość miała najszlachetniejszego, bo pokrywał święte miłości królestwo, w którym początek wszystkiego, co ziemię pociesza i podnosi.

Szczałki teraz ciche i nieczułe, były kształtem zastygłym czystych a olbrzymią mających potęgę uczuć, które prowadziły walkę bohaterską w obec najpiękniejszego na ziemi aktu—miłości!

Tymczasem ciekawość szydercza, zjadliwa, rozpasana, oczekiwała od tego trupa wrażeń cielesnych, od trupa, który wyrażał szczytność ducha!

Zdarza się czasem takie grube, wandalskie połączenie dwóch ostateczności!

Dwie kumoszki na uboczu stojące, taką prowadziły rozmowę:

— Patrzenie-no Walentowa, kto by to pomyślał — głupie to było podobno jak ciałaczek, a już kochać umiało ze skutkiem.

— Czy napewno ze skutkiem? odparła pani Bartłomiejowa, zapytana.

— A pocóż by się zabijała, gdyby nie to? mówiła znów Bartłomiejowa.

— Ho ho, nie darmo się mówi, że jajko dzisiaj kurę uczy, zauważyła pani Walentowa, która podobnie jak i jej towarzyszka porzuciła swój stragan w miasteczku na opiekę dzieci, aby być świadkiem sekcyi samobójczyń. Ba, nie darmo, teraz się to dzieje na każdym kroku.

— Jak się to świat popsull! Za moich czasów nie było o tém słychu wcale.

— Poczciwie téż było na świecie, chwaliła się Walentowa. Ja sama, dwadzieścia jeden lat miałam, a nie wiedziałam, co to mężczyzna. Pamiętam, jakby dziś, jaka była sztuka na mojem weselu. Goście i kumy się bawią, na długo się to wszystko zanosi, pan młody się niecierpliwi, aż spojrzy — nie widać jakoś panny młodej. Więc hałas, rwetes, gdzie się podziała. Nareszcie znaleźli mnie gdzieś na strychu. Schowałam się, moja pani, tak się bałam!

— A ja, moja pani, a ja!

— E jużcić tam ludzie tego nie gadali!

— A cóż to gadali, co mogli gadać moja *imość*?

— Nie wywołuj wilka z lasu — szyderczo mówiła Walentowa. Co wam się tam równać ze mną.

— Równać się! Patrzcie ją! Ja z tobą się równać? Tyś sama nie warta...

Byłyby się ujadać zaczęły na dobre, gdyby nie przybycie dwóch nowych osób, na jedną z których ogólnie zwrócono uwagę. Byli to Teodor i Stanisław. Ten ostatni zwrócił na siebie uwagę wszystkich, jako osoba główna w obecnej sprawie. Dwóch paniczów z sąsiedztwa, nieznanych dwóm powyższym, śpieszących się najbardziej dla towarzyszenia czynności sądowo-lekarskiej, mówiło do siebie pocichu, poglądając na Stanisława:

— Patrz, oto ten szczęśliwy, — rzekł pierwszy.

— Prawdziwie, zdarzenie dosyć rzadkie, Korzeniowski napisałby dramat. Muszę mu to opisać w liście bezimiennym, — mówił drugi.

— Daj pokój; chociaż wierzę w postęp, trudno mi jednak wyobrazić sobie, jakby chłopka obracała się w dramacie, jakby mówiła.

— To mniejsza, w dramacie zwykle mówi się to, czego nigdy i nigdzie nie ma. Można więc pisać co się podoba. Sam ja miałem zamiar co napisać, tylko że nie mogłem nawyknąć do stylu książkowego. Ale patrz no, musiał ten chłopiec skrewić nie żartem, kiedy się aż na tamten świat wybrała

dziewczyna. Spogląda on trochę dumnie, z niechęcia. Stanie się sławnym niedługo u płci pięknej, trzeba się będzie z nim zapoznać, jeżeli ten sąd nie zrobi mu co złego. To dobry chłopiec przynajmniej z miny mu to patrzy.

Stanisław wyglądał bardzo smutnie, ale przeczuwając, że jest przedmiotem ogólnej rozmowy, nie patrzył na nikogo i czasem tylko szeptał przyjacielowi:

— Straszna chwila! nigdy nie zapomnę...

Z boku klaśnięto w ręce. Była to oznaka zadowolenia z przybycia członków sądu, którzy na kilku bryczkach ukazali się w oddaleniu.

Sąd rozpoczął czynności; kazał usunąć się dalej ciekawym; przesłuchiwał świadków, a potem przybraną matkę, którzy poprzednie swoje domysły stwierdzili. Słuchano i Stanisława, który zeznał, że prócz stosunków znajomości, żadnych innych z Innocentą nie miał.

Kiedy wreszcie z piersi dziewicy zdarto całun i obnażono te ostatnie pomniki pięknej istoty i kiedy nóż felczera wznosił się ponad łonem, gdzie było tyle wielkich uczuć niedawno, kiedy łono to anielskie, zamarłe w uniesieniu miłości i żalu, miało być rozciętem zimną ręką sądowego sługi, — Stanisław drgnął i zachwiał się tak mocno, jakby sam był przebitym. Odwrócił oczy od tego straszliwego widoku i opierając się na ramieniu przyjaciela, od-

szedł o kilkadziesiąt kroków dalej; tam usiadł z okiem wpartém w ziemię. — Za przykładem ich poszło wielu wieśniaków i kobiet, którzy odprowadzili dzieci. Reszta pozostała przy ciele i z ciekawością oczekiwała rezultatu. Wreszcie sąd, spełniwszy swe obowiązki, przywołał Stanisława i jeden z członków rzekł:

— Prawo nie ma przeciw panu żadnego dowodu, chociaż ze wszystkiego widać, że śmierć téj kobiety musiała nastąpić z miłości zawiedzionej; jesteś pan jednak wolnym od odpowiedzialności, tak na zasadzie sekcyi, jakotéż z powodu świadectw niestanowczych.

Stanisław zarumienił się. Powaga sądu i myśl, że kroku tylko brakowało, aby mógł pociągniętym do fatalnego rozbioru sprawy, tyle smutnej, obecność śmierci, zapach krwi, własne sumienie, widoczne samobójstwo Innocenty, obecność przyjaciela i gawiedzi ciekawej, — wszystko to postawiło go po raz pierwszy w obec rzeczywistej potęgi spraw ludzkich, w obec własnych wyrzutów i kary prawa. Ze zdumieniem i pewnym przerażeniem dostrzegał, jak uśmiechy wesołości, jak całusy dziewczęcia zmieniają się w katastrofy potężne. Wypadek ten zrzucił z oczu jego saskonę i z po za uroków lekko-myślnéj młodości, ukazały mu się rzeczywiste ogromy życia. Urodzenie, ukształcenie, duma rodowa i wszystko to, co świat nadaje człowiekowi,

aby go na klasy podzielić, ustąpiło w tej chwili, znikło zupełnie.

Przed nim stanął świat Boży z swoim wieczystym majestatem, z swoim aniołem, którego dosięgło ramię świata ludzkiego, który leżał w pobliżu po-
 ćwiertowany, po wygranej walce. Obok tej bożej wielkości wystąpiły przed niego dwa łańcuchy po-
 tężne, które łączą się z światem Bożym. Był to ro-
 zum ludzkości i sumienie. Przekonał się, że niebe-
 spiecznym jest igranie w rzeczach, gdzie ludzkość
 opiera się o świat Boży potrzebą i formą moralną;
 przekonał się, że występkiem jest wstępować w gra-
 nice Bożego świata z lekceważeniem, kiedy świat
 ludzki wytworzył cały łańcuch moralnych przegród.
 Uznawał się poniekąd niewinnym: nic Innocencie
 nie obiecywał, jeszcze jęj nie skrzywdził, czuł jednak,
 że na nim ta śmierć ciąży, że świat w obliczu roz-
 gniewanych świadków wyrzucał mu: „Przecież nikt,
 tylko ty zabiłeś dziewicę!“ Po raz pierwszy uląkł
 się tej kontroli świata i zmuszonym był przyznać
 we własnym sumieniu, że z kobietą innej sfery ina-
 czejby postępował, że był lekkomyślnym, że gdy
 w innej sferze myślałby o następstwach, — tu po-
 gardził przezornością i szedł na ślepo w świecie,
 gdzie wszystkie kobiety są równe, bo w świecie Bo-
 żym. Czuł więc że wszedł do tego świata jak na-
 pastnik, jako swawolnik na ślepo działający.
 I świat Boży wyjawiał mu swoje wielkie prawa,

świat Boży ukazał mu okropność w starciu wieczystych pociągów z nędzą ludzi. Przyznawał że powinien powiedzieć sobie: „Albo idź w granice Bożego świata, jako człowiek boży ku takimże ludziom, albo się cofnij, jeżeli mało na to masz siły, jeżeli nie zwyciężysz przesądu.“ Uznawał się niejako chłopcem swawolnym, bo pomimo że Innocenta ukazywała mu pytanie przyszłości, on na to nie zważał. Tém gorszym wydawał się samemu sobie, że wolnym był od zarzutu.

Wszystkie te myśli strwożyły go, oniemiały, pochylały mu głowę na piersi. Nie kochał zapewne Innocenty tak jak jego ona, ale miał sumienie. Ukłonił się członkom sądu i odszedł blady, z oczami gorejącymi, z piersią szarpaną mężkim bólem.

Teodor widział ten stan przyjaciela i ani słowa do niego nie mówił. Szanował wielką boleść i wielką pamięć, a za cześć najbardziej w tym razie odpowiednią, uważał milczenie.

Ciekawi zwolennicy spodziewanego widowiska odeszli niezadowoleni, zawiedzeni. Oczekiwali jakiegoś odkrycia, jakiegoś starcia; wszystko spełzło na niczém. Trup dziewicy odstraszał ich krwawym swym majestatem. Odchodząc powoli oglądali się ustawicznie i w niejakiém dopiero oddaleniu zebrawszy myśli, potworzywszy znowu gromadki, szepotali ruszając ramionami:

— Niewinna!

Urok tego słowa, pomimo że wyrzeczone było z lekceważeniem, wywarł jednak ten wpływ potęg niebieskich, który ujarzmił najdziksze umysły, schyla głowy najdumniejsze, każe szanować świętość najnędniejszym. — Niewinna! — przebrzmiało w powietrzu, które zdawało się nabierać pewnej woni idealnej. Obecność ofiary jakiejś wielkiej walki, wielkiej duszy, oładnęła wszystkie, umysły, choć większość nie pojmowała ani tej walki, ani ducha, który ją prowadził. Gawędy i szydercze uśmiechy powoli ucichły. Tłum odszedł ku domom uciszony, spokojny, niosący z sobą pewną uroczystość tej chwili.

Ale niezadługo ku takiej dziedzinie ofiary i niewinności podeszła dziedzina inna, zbliżyła się niezblagana, mściwa, groźna—sprawiedliwość ludzka, nie uznająca takich czynów i karząca za nie. Kto się targnie na swoje życie, utracą cześć kościelną po śmierci. Są jednak wypadki, w których uwzględnionym bywa stan moralny samobójcy, jak na przykład pewne rodzaje obłąkania. Lecz rozpaczyszliwego dopiero z lat dziecinnych dziewczęcia nie uznano za obłąkanie. Nie zwrócono uwagi na to, że dziewica walczyła o to właśnie, co ludzie uznali jako świętą konieczność dziewictwa—o wstyd, walczyła o utrzymanie za sobą nazwy czystości — działała więc gwoźli ludzkiego prawa, zakuwając się w jego pęta, uciekając w jego kryjówki przed Bożą

potęgą miłości. To wtrąciło ją w obłąkanie i ostateczność a później w śmierć straszną. W tej samej więc chwili, w której umarła za nietykalność *ludzkiego prawa*, ludzie odtrącili jej szczątki od miejsca spoczynku wiernych. Nie pozwolono pochować jej na cmentarzu, nie pozwolono towarzyszyć trumnie do grobu.

Stanisławowi nie wypadło być na pogrzebie, gdyż tym sposobem usprawiedliwiałby niejako podejrzenia. Zresztą, tak był zgryzionym całym tym zdarzeniem, że wspomnienie samo odstraszało go i niepokoiło.

Teodor sam jeden poszedł za wozem, na którym wieziono trumnę.

Tak więc świat odrzucił szczątki niepokalane. Opiekunki, która wykołysała dziewczę, nie puszczo no za trumną. Człowieka, dla którego umarła nie ma, bo go odpędza okropność tej śmierci i obawa następstw, w obec argusowego oka ludzkiego prawa. Przyjaciółki, rówiennice porzuciły zgasłą wspaniałą różę miłości. Ta róża splonęła tak wcześnie, aby być pożywieniem chwastom zacmentarnym. Czyż po to kochała tak nieograniczenie, aby zielsko zapomnienia i tchnienie zgrozy ukryły przed światem miejsce jej spoczynku? Jej oko, które nie umiało widzieć nic, prócz postaci ukochanego, zasypane ziemią pogardy, pogrzebać ma niemiłosierna ręka karzącego człowieka!

Wóz się zatrzymał.

— Tam, za cmentarz, tam dalej! zawołał grabarz do chłopka, który koniem kierował.

Wóz potoczył się znowu. Słychać tylko skrzyp kół po piasku. Cisza była rozzierająco poważną. Na dźwięk słowa „tam,“ wyrzeczonego przez grabarza, Teodor podniósł głowę.

— Tam— tak, tam... myślał w duszy.—Czyż nie ta sama ziemia wilgotna i niszcząca, czyż nie taki sam robak gotów tam na ucztę? Cóż ci szkodzi istot, coś tu pozostawiła szaty swęj duszy, szaty martwe, gdzie je złożą i zasypią? Gdziekolwiek spoczniesz, zawsześ będziesz, dla tego który cię pamięcią poszuka, jasnym punktem ziemi. Cóż ci szkodzi, że ktoś odgrodził miejsce twęj grobu? Nie będzie nad tobą posązków, krzyżyków, może nawet mogilnego nasypu, ale po nad twemi szczątki będzie stać wiecznie kolumna niebieska, sięgająca ku wysokościom bez granic, ku wielkościom bez miary, kolumna dźwigająca przybytki twęj Stwórcy. Po nad tą kolumną musi być ołtarz, w którym domyślamy się Stwórcy. Kochałaś i umarłaś dla miłości, która z tamtych wyżyn pochodzi, jesteś więc związana z temi wielkościami. Grób twęj promienieje, a szczątki twoje odepchnięte przez człowieka powrócą w ogrom Bożęj świata, zkad wyszły. Tyś żyła jak Boska lilja, którą zniszczył huragan żywiołów, także przez Boga stworzonych...

Wóz zatrzymał się po raz ostatni, bo przed dołem z żółtej gliny. Grabarz i chłopak podeszli do wozu, zsunęli zeń trumnę i spuścili do dołu.

Teodor podeszedł bliżej, patrzył jak znikająca trumna pod szybko narzucaną ziemią i dwie lzy wielkie stoczyły się po jego twarzy...

— Śpij... wyrzekł wreszcie do siebie, kiedy już dół zasypano. A jeśli cię nie pojał, zjaw mi się we śnie i powiedz. W rozmowie duszy ujrzę cię promienniejszą—śpij...

Tak pożegnał Teodor zgasłą dla miłości wieśniaczkę, a gdy z rozpowiadania grabarza i chłopaka, o tej ostatniej usłudze dowiedziano się w okolicy, mówiono:

— On chyba musi być poeta—szalencie! Zawsze szaleńcy ci poeci!...

III.

Teodor i Stanisław znali się oddawna, to jest przynajmniej od lat kilku. Spotkali się w Warszawie, gdzie Stanisław bawił dosyć jeszcze długo po ukończeniu gimnazjum, a przed wyjazdem za granicę.

Obaj młodzi, z wyobraźnią bujną, z umysłem rozległym, żyli dla przyszłości. Jeszcze nie doszli do tej smutnej chwili życia, kiedy wszystkie marzenia młodości padają rozbite u stóp naszych. Myślą ich i miarą, według których sądzą ludzie, były ich gorące serca.

Piękną jest zaiste ta chwila dusz młodych, kiedy wszystko wydaje nam się materialem dla naszej twórczości. Każdy młodzieniec jest poniekąd twórcą. Rosnąć fizycznie, wzbogacając się moralnie, ma chwile, w których sądzi, że świat przerobi, przekształci według własnego uczucia prawdy. Szuka, choćby na ślepo, jakiegoś talizmanu bytu, a owo życie unoszące go na swoich mętach, jest mu niby łodzią, na której radby wzburzonym panować

żywiolom. niesprawiedliwość, krzywda, boleść, ży-
wiej go dotykają; radby mścić się za jedno serce na
świecie całym. Ani chce widzieć niebezpieczeństw,
złej woli, przeciwności — postępuje krokiem unie-
sienia, ulata skrzydłem orła, póki nie przybędzie
nad brzeg téj przepaści, jaką spostrzegamy wszy-
scy, a którą nazywają — rozczarowaniem.

Przyznać trzeba wiele hartu Teodorowi, jeżeli się
dotąd nie rozczarował. Był on synem dosyć zamo-
żnego szlachcica, który z powodu pewnych niezna-
nych nikomu grzechów młodości, usunął się od
ludzi, przepędzając dnie całe na modlitwie, w ko-
ściele lub w domu. Żona mu dawno umarła, syn
więc był mu tylko przeszkodą. Oddał go przeto na
wychowanie do swoich krewnych, ludzi o tyle nie-
godziwych, o ile umiejących niegodziwość tę ukry-
wać. Tymczasem po oddaniu tam chłopca w domu
bigota rozgospodarowała się pewna jejmość, naj-
bliższa z krewnych. Skrzętność w gospodarstwie
posunęła ta pani do tego, że podczas niebezpiecznej
choroby swego pryncypała, która zgon jego poprze-
dziła, w szkatule dosyć starannie przechowywanéj,
a kryjącej znaczną summę w złocie i w papierach,
ku wielkiemu zdumieniu umierającego, nic się nie
znalazło. To go dobiło. Przeniósł się na tamten
świat, nie zdolawszy nawet sporządzić testamentu
i nie pożegnawszy się z synem. Kiedy wezwano re-
zydującą w domu zmarłego gospodynię do przy-

sięgi na pewno w tem, że nic nie ukryła z własności zmarłego, przysięgła śmiało i jeszcze śmielej pocałowała krucyfiks. Wszystko utonęło jak w wodzie. Na własność znajdującego się w obcym domu sieroty, pozostał tylko niewielki domek z kilką włókami gruntu. Ale i tu znaleźli się nowi grabieżnicy. Krewni, u których się chłopiec chował, wystąpili z procesem przeciwko massie spadkowej o należność, przypadającą im za jego wychowanie; dowodzili bowiem, że od zmarłego ojca, który zobowiązał się płacić im po dwa tysiące rocznie, nic a nic nie otrzymali. Przyznano im wynagrodzenie sześćdziesięcioletnie i dla zaspokojenia długu wystawiono na licytację mająteczek, pozostały po zmarłym. Po sprzedaży, która przyniosła bardzo lichą sumę, pozostało na własność sieroty kilkanaście tysięcy złotych. Mając już lat piętnaście, chłopiec porzucił swoich opiekunów i zamieszkał przy babce.

Na samym więc wstępie w życie, ludzie nie okazali się dla niego pociągającymi. Ojciec odsunął go od siebie, a krewni, których kochał (bo umieli wkraść się w łaski dziecka), obdarli go okrutnie. Każdy z życzliwych, litując się nad sierotą, piorunował, jak to zwykle bywa, na świat i ludzi; mimo to jednak Teodor nie utracił nic jeszcze z miłości, jaka się znatury w sercu jego rozwinęła. Już w szesnastym roku życia, bezwiednie prawie, dzielił świat na jakieś wielkie dziedziny. Świecił mu już jakby

w mgle różowej piękny uśmiech uczciwych, ku którym ciągle się garnał.

Chwile szkolne przebył u babki. Ukończywszy gimnazjum, pożegnał ją i rzucił się w wir pracy. Mały jego kapitalik był mu pomocą w pierwszych chwilach. Nauczył się własnym staraniem kilku obcych języków. Czytał bardzo wiele, prowadząc to czytanie systematycznym ciągiem, dopóki, według możliwości, pewnego przedmiotu nie wyczerpał; następnie przechodził do innych przedmiotów. Lecz były to wszystko materiały. Owoców żadnych nie widział z tego ani dla siebie, ani dla innych. Probował pisać, ale twórczość jego przez niedoświadczenie była tak słabą, że sam poznał konieczność zmęźnienia w myślach, w przekonaniach, w celach...

Czuł Teodor, że mógłby być pożytecznym na świecie, gdyby mógł wykształcić swoje dary. Ale zdrowy rozsądek, mężka rozwaga wcześniej do niego przemówiły. Musiał założyć koniecznie podwaliny bytu samoistnego. Zamknął więc na czas niejaki głęboko w sercu wołania ku światom ideałów i zaczął dawać lekcje, owe posępne, monotonne lekcje, przerywane tylko niechęcią ucznia lub niezadowolaniem rodziców. Ze zgrzytem prawie zębów rozpoczął Teodor to mozolne dzieło, ale cóż mu pozostało u nas, jeżeli nie miał specjalnego wykształcenia? Miał duszę wzniosłą i czułą, ale żadnego

kunsztu, żadnego sposobu produkcyjnego nie posiadał. Ostateczność pchnęła go na tę drogę, od której często zaczyna swoją karierę najświetniejsza młodzież nasza.

Jednakże nie upadał, czuł się młodym jeszcze i silnym; czuł, że choć brakło mu potęgi doświadczenia, pozostawało jeszcze życie.... Mimo to, ciasne ramy w jakie się zamknął, cisnęły go jak klatka. Nie mógł prawie myśleć nad przedmiotami społecznymi, które go najbardziej wabiły, bo myśl lubiąca przedewszystkiem swobodę i spokój, przerywała się na każdym kroku wymaganiami bytu powszedniego. Tym sposobem, starania o niezależność bytu pożerały niezależność myśli.

Radby był pogardzić względami świata, ubrać się w kubrak wytarty i zakopać się w samotnościach swych myśli, piętrzących się nakształt piramid w oddalonym życia społecznego obrazie. Ale książki i źródła, któremi powinien się był posilkować, leżały za oszkloną i świetną szafą księgarza lub nieużytego bibliomana. Prosił czasem o pomoc ludzi nauki, artystów, poetów, lecz ci każdy objaw samoistnej myśli brali za zarozumiałość i okazywali się niechętni. Towarzyszyły także czasem usiłowaniom jego zazdrość lub politowanie.

Oslabiony na ciele słabnął, chwilowo wprawdzie, ale słabnął i na duchu.

Taką jest często walka darów duszy z niecofniową koniecznością. Takim sposobem słabną często kroć ludzie, którzy, przy innych życia warunkach, staćby się mogli pochodnią wśród braci. Im więcej wśród danej społeczności przeszkód takich, im większym jest brak dróg rozwoju, tem większą ponosi szkodę ludzkość, bo krzywda to w najszlachetniejszych dążeniach.

Jak świat fizyczny posiada swoje atomy, siły molekularne, które w należytem krążeniu i funkcjonowaniu, należą do wielkiej całości; tak samo myśl posiada swoje atomy i prawa rozwoju, które wtedy tylko stają się płucami życiodawczemi wielkiej istoty społecznej, gdy im zapewniono swobodne krążenie. W przeciwnym razie, myśl opuszcza dziedzi-ny, których ominąć nie była powinna i traci żywotność, siłę, rozległość i prawdę...

Czuł Teodor dotykalnie ten przetwór, który się w duszy jego odbywał, ale nie mógł poradzić potężnemu prądowi. Musiał żyć, albo umierać.

Młodzież każdego pokolenia dzieli się zwykle na kilka obozów, jakby dla siebie nieprzyjaznych. Kształcąc się koniecznie na pewnych wzorach duchowych, wyznaje otwarcie lub skrycie pewnych mistrzów, których zrozumiała po swojemu, któremi się olśniła, lub których wreszcie uko-chała. Jeden jest pełnym nadziei i uniesienia, drugi rozgniewanym na człowieka, satyrycznym, nie-

cierpliwym, trzeci wielbicielem spokojnym natury. Inni znowu oddawszy się jakiemu cząstkowemu upodobaniu pewnych pisarzy lub kół myślących, są poddańczo-idealnymi, lub dumnie nieszczęśliwymi, świetnymi, a czasem i czczemi w błyskotkach, dzikimi, ascetami, poważnymi, komicznymi w głównym życia nastroju. Każdemu z nich, z początku świeci jakiś ideał, obraz ukochany, pewna zorza powabna, która go w tych zakresach budzić chce do czynu. Czyn jednak najdalszym jest zwykle skutkiem takiego wiary wyznania i ci, którzy roją światy serc swoich, toną powoli w olbrzymich falach życiowego morza. Przekonywają się po pewnych latach życia, że nic nowego nie stworzyli, nic nie wypowiedzieli. Mała jest liczba takich, którzy pomimo parcia świata, pozostali wiernymi swoim wyznaniom. Dojrzałość, konieczność, niedola, przeciwności wystudzają te święte iskry, które potem stają się żałośliwym wspomnieniem niby raj utraconego.

Kto jednak odrzuci tę zgodę, to poddanie się żywiołowi niszczącemu indywidualną siłę, kto pomimo burze i nieszczęścia, nie usłucha uludnego głosu spoczynku, ten zaiste trudny odniósł tryumf, chociaż trudniej jeszcze mu będzie znaleźć szczęście.

Otóż dla tego właśnie pozwoliliśmy powiedzieć sobie kilka słów o Teodorze. Teodor przyszedł do granic rozczarowania, ale dzięki własnej twórczo-

ści umysłu, nie rozczarował się. Nie rzucił się w jakieś wyłączości, w żale; cofnął się tylko jak mógł najdalej, od urojonych pretensji człowieka na rzeczy niepodobne. Widział okropne przepaści i bóle naokoło, widział rany i walki życia, widział pełne zgrozy upadki w błoto społeczne; ale tu właśnie, jak rozbitek dążący ku zbawieniu, chwycił za te deseczki, które mu choć cokolwiek uratować mogły. Nauka, poezja, jasny poranek, prawość, dzielność w pracy i przedsięwzięciach, stały się jego ideałami. Postanowił na utraconym pierwszym uroku młodości zbudować możliwy gmach szczęścia i chociaż nie zgodził się ze światem, nie miał ku niemu nienawiści. Był on typem tych ludzi dobrych wysoko, którzy poznawszy złe uwierzyli święcie w wielkość prawości, i którzy, sami nie chcąc zostać pomiotłem innych, chcieliby być szczęśliwymi z warunkiem, aby ci, którzy ich otaczają, byli także szczęśliwymi. Była to więc natura, która przeżyła burz i niepowodzeń wiele, ukrywszy swe siły w dobrym udzielającym się charakterze.

Najważniejszem usiłowaniem Teodora było uwolnienie się od owego ptasiego kwilenia, któremu zwykle oddają się rozbitki marzeń młodości. Podczas takiego właśnie przetworu swoich poglądów, Teodor czuł potrzebę rozrywki. Samotnemu groźnie wyglądała oddalona ludzkość; — gdy się pośród niej znajdował, było mu znośniej, miliej; myśli

przychodziły jaśniejsze, pełniejsze, świeższe, prawdziwsze.

Pewnego razu wracając z przechadzki za Pragę, tak gwałtownego doznał pragnienia, że spostrzegłszy w pobliżu mostu napisy, oznajmujące sprzedaż napojów w ogrodzie, wszedł tam natychmiast i unikając zaziębienia się zimną wodą, kazał sobie przynieść piwa. Wybrał miejsce cieniste, ustronne. W pobliżu znajdowało się kilka altan przezroczy-
stych, pokrytych do połowy tylko wysokości niedosyć rozroślem winem dzikiem. W jednej z nich zaraz odezwały się rozmaite głosy, wyraźnie spór wiodące. Po chwili ucichły, lecz Teodor baczniejszą teraz zwracając uwagę na to miejsce, odgadł z niektórych słów i miarowego uderzania po stole, że tam, korzystając z ustronności miejsca, grają w karty.

Rzeczywiście było to gronko wesolej młodzieży, która się tam bawiła i po dobrej hulance szukała rozrywki w kartach.

Nagle ruch miarowy uderzania ręką po stole ucichł, krzesła poruszyły się gwałtownie, poczem Teodor wyraźnie dosłyszał choralny okrzyk jakby zdziwienia:

— Przegrał!!

— Czy zapłaci? rzekł jakiś niemiły głos pojedynczy.

— To rzecz gruba odezwał się ktoś inny!

— Zapłacę panom co do grosza — dał się znowu słyszeć głos wzruszony widocznie, ale nie pozbawiony odcienia dumy, choć gorączkowej.

— To prosimy liczyć.

— Zapłacę panom później.

— Ho, ho! znamy się na tem, zawołano chórem.

— Wiecie, kto jestem.

— Tak, ale to dług karciany. W takich rzeczach zwłoki nie ma, odparł ktoś z grona.

— Cóż więc zrobić? Napiszę do domu — przyszła mi napewno, mówił ten co przegrał, i uczynił krok ku wyjściu.

Zatrzymano go we drzwiach. Ale Teodor dostrzegł już nieszczęśliwego gracza. I on znał go z widzenia, znał jego środki utrzymania; nie namyślając się więc ani chwili podszedł szybko ku altanie i kierując powitanie do tego, który przegrał, rzekł poważnie.

— Mam przyjemność znać pana z nazwiska i opinji. Pan Stanisław S.* jeśli się nie mylę. Proszę więc o chwilkę rozmowy ze mną.

Stanisław rzuciwszy na obecnych spojrzenie uspokajające, którem jakby chciał dać poznać, że uciekać nie myśli, wyszedł z altany i zatrzymał się o kilka kroków przy Teodorze.

— Znamy się z widzenia — rzekł Teodor.

— W istocie, ale do czegoż to prowadzi? odparł dosyć chłodno Stanisław.

— Chcę się z panem poznać bliżej.

— W takiej chwili, w tym kłopotcie?

— Tak właśnie niech kłopot nas poznamy. Pan nie masz pieniędzy dla tamtych ludzi — ja je posiadam; wiem, kto pan jesteś, ja za pana zapłacę, jeżeli mi pan zwrócisz.

— Czyż być może? Ale co za ofiara, z kąd taka łaska? poprawił się Stanisław podnosząc dumnie głowę.

— Żadna łaska. Prosta pożyczka bez procentu; dasz mi pan rewers.

— Oni mogą poczekać.

— Ja lepiej poczekam; pana zaś zaklinam, żebyś się odczepił od téj szarańczy. Jeden z nich straszny człowiek; słyszałem o nim wiele. Później to panu opowiem....

Stanisław opierał się jeszcze przez czas niejaki, ale nareszcie uległ wymownym naleganiom Teodora. Udano się wspólnie do jego mieszkania, gdzie wypłacił Stanisławowi dwa tysiące złotych, dla uspokojenia gracza.

Tym sposobem się zaprzyjaźnili, bo Stanisław od chwili w której zwrócił dług swemu wybawcy od skandalicznej, być może, sceny, wręcz mu powiedział, że musi być jego przyjacielem.

Teodor bardzo był rad zjednaniu sobie młodego towarzysza, pod tym jednak warunkiem, aby karty nazawsze porzucił.

— Krępujesz moją samodzielność, wtrącił Stanisław.

— I ty moją byś krępował, gdybyś został przy swoim, odpowiedział Teodor, — bo miałbym towarzysza, którego bym nie cenil.

— Chcesz więc mnie cenić?

— I kochać.

— Basta zatem — porzucam karty; Kochajmy się i ceńmy obadwa. Témbardziej, że łatwo mi przyjdzie je porzucić, bo grałem bynajmniej nie z zamiłowania.

Mieli wtedy po lat dwadzieścia cztery. Stanisław był młodzieńcem dobrym w gruncie serca, ale kapryśnym i niecierpliwym, wychowanym przez matkę, gdyż ojca wczesnie utracił.

Teodor był przewidującym i spokojnym — Stanisław spragnionym ideału, którego pochwycić nie umiał. Teodor patrzył na życie okiem już doświadczoném i nie straciwszy nadziei w twórczość własną, był przez to młodym, pełnym siły. — Stanisław spoglądał w przyszłość, zapewnioną fizycznie, gorączkowym okiem marzyciela, który chciałby zmusić świat, aby mu się uśmiechnął. Nie pomniał na to, że każdy może te same co i on, mieć przeszkody, te same utrapienia w stosunkach serca, uczucia, szczerości. Oburzał się często na świat, przeklinał go i po każdym ocknięciu się z idealnego letargu lub uniesienia, upadał na chwilę, aby później w in-

ne rzucić się uniesienia, gdy tymczasem owe pierwsze zawiedzione, czyniły go już wrogiem ludzi w pewnym zakresie. Tym sposobem, Stanisław nabrał pewnej zgryźliwości w postępowaniu, gdy kolega jego spokojnie, ale stanowczo omijał lub zwyciężał przeszkody.

Stanisław odebrawszy wychowanie domowe wykwiłtne, lecz nie męzkie, przepelniał się tysiącem wymagań i roszczeń do świata, posiłkując się Bajronem. Tym sposobem zszedł na drogę zemsty w pogardzie, która żadnych innych, prócz własnej boleści, owoców nie wydaje, témbardziej, że bajroniczne usposobienie było tylko częścią jego natury.

Tym więc sposobem, dwaj przyjaciele uosobiali niejako w swoich zjednoczonych przez przyjaźń stosunkach, ową całość postępowania, wyrodzoną dzisiejszem rozdwojeniem społeczeństwa. Teodor był obrazem niezachwianej wiary w potęgę piękna i cnoty — Stanisław zwierciadłem téj ruchliwości i badawczego, choć niezawsze konsekwentnego ducha, który rad walczyć z ludźmi i za ich niedoskonałość moralną i za ich zboczenia w życiu.

Z tém wszystkim, byli oni, jak już powiedzieliśmy, pełni życia i młodości, bo postępowali po drodze, która bądź co bądź na współczucie zasługuje. Życie ich było walką, tylko że Teodor, zwalczwszy wiele złudzeń, zatrzymał się na obranem stanowisku a Stanisław ciągle cierpiał, bo miał duszę niesły-

chanie wrażliwą, co nie jego było winą. Obaj oni nie omijali zjawisk, jakie im życie przedstawiło, ale je *odczuwali*. Były to dwie dusze zatrzymane w rozwoju swoich darów przez brak działania; a nie umiały zamknąć się w pewnej choćby bardzo ograniczonej sferze działalności, jak opisany powyżej Samotnik, bo nie umieli zwyciężyć *blasku*, jak on go zwyciężył. Z tém wszystkim trzeba im przyznać że posiadali w sobie *gotowość* do działania gdyby mogli, na polu społeczném. Są bowiem społeczeństwa, których całą możliwością czynu jest tylko gotowość, przez którą jedynie stają one na równi ze społeczeństwami, które działać mogą.

Po tém koniecznem dla poznania dwóch przyjaciół odstąpieniu od toku powieści, pójdźmy dalej. Poznamy jeszcze lepiej Teodora, a szczególnie dziwny charakter Stanisława, bo prawda i to, że działanie lepiej maluje ludzi, niż najdłuższe opisy.

W pierwszą niedzielę po przyjeździe Teodora na wieś, dwaj przyjaciele wybrali się konno do kościoła, dosyć blisko położonego od majątności matki Stanisława. Pora była prześliczna, konie parskały i trzęsły grzywami, lekko tupiąc po ziemi, wilgotnej od pary porannej, która znikiała stopniowo w przepysznych promieniach słońca. Było po siódmej z rana. Przyjaciele jechali w milczeniu, przerywanem jedynie tętetem kopyt i chrzęstem żelaznych mundsztuków, szarpanych zębem niecierpli-

wych rumaków. Czasem tylko ukazała się gromadka wieśniaków i niewiast w ubiorze świątecznym. Dziewczęta biegły naprzód i stroiły krzyże przydrożne w świeże kwiaty. Pogoda i cisza oddziaływały na umysły dwóch jeźdźców uspokajająco. Każdy z nich puścił się myślami w świat dla siebie najdroższy.

Teodor myślał o kobiecie, tak rzecz można, *w ogólności*. Gdy świeciło słońce i natura uśmiechała się, oddawał się marzeniom miłości. Po pogrzebie Innocenty, obraz kobiety nabrał dla niego uroczystości, czuł go bliżej, silniej, pragnął żywiej. W duszy jego, w tej chwili, wśród blasku słońca i purpury obłoków, wytwarzały się jakieś objęcia zachwycające, pełne idealnego powabu. Im więcej nędzy lub szkarady w świecie spotykał, tem promienniejszą zakreślała kształty swoje idea nieśmiertelna piękności. Radby był w tej chwili przyłączyć głos swój do jakiegoś chóru olbrzymiego, chóru z głosów najbardziej błogich na ziemi!

— O czém myślisz? zapytał nagle Stanisław.

— Trudno na to odpowiedzieć, rzekł Teodor. Dam ci jednak wyobrażenie o moich myślach, gdy powiem, że patrząc na ten przepych ranka, pragnąłbym towarzystwa.

— To nie uważasz mnie za towarzysza?

— Nie to, pragnąłbym towarzystwa nie męzkiego rodzaju.

— Bądź co bądź, chesz się zakochać. Strzeż się, masz przykład ze mnie. A jeżeli mnie nie wierzysz, to ci pokażę obraz, który cię powinien odstraszyć.

— Co za obraz? pytał Teodor.

— Obraz położenia, do jakiego doprowadzony m być może rodzaj mężki, kochający. Puśćmy się więc nieco prędzej, a zobaczymy może to, o czém mówię.

Po kwadransie szybszej jazdy, Stanisław szukając czegoś oczami w oddaleniu na lewo od drogi, zawołał:

— Siedzi... zobaczysz go.

— Kogo zobacze?

— Warjata...

— Po cóż się przypatrywać nieszczęśliwemu?

— Warjat to niezwykle, bo kończy swoją rozmowę wierszami.

— Czy to ten, co tam siedzi na pagórku pod krzakiem i patrzy na grono dziewcząt, chichoczących i przyśpieszających kroku?

— Ten sam.

— Któż to taki?

— Biedny obywatel miejscowy, wzięty teraz w kuratelę.

Nie miał czasu Teodor dalej się rozpytywać, bo Stanisław zboczywszy z drogi ku siedzącemu, przywitał go, jak mógł, najgrzeczniej i wstrzymał konia. Towarzysz jego uczynił to samo. Siedzący odpo-

wiedział im również przyzwoitym, choć nieco protekcyjnym ukłonem.

Powierzchnowość jego była spokojną i łagodną, ubranie bez żadnego dziwactwa, odznaczało się czystością. Twarz tylko miał uderzająco bladą, wychudłą i biegającą, gorączkowe oko. Uchyliwszy czapki, z pod której srebrzyły się gęste ale mocno posiwiałe włosy, pomimo lat może trzydziestu wieku, powitany mężczyzna rzekł jakimś dziwnym głosem: — Cóż to znaczy, że sąsiad mnie nie omija? Bo rzecz niepojęta, dawniej nie omijano mnie wcale, a dzisiaj, chociaż jestem tym samym co dawniej, każdy mnie unika.

— Bo teraz może pan nie chcesz mieć nic wspólnego z nami, może pan jesteś za dumnym? odrzekł Stanisław, aby coś powiedzieć.

— A prawda, prawda, rzekł z jakimś odcieniem zadowolenia na twarzy, nieznamy. Bo to właśnie z wami mężczyznami nie ma co się zadawać, jesteście albo nudni, albo pedanci. Gdyby to na świecie były same kobiety!

— To cóżbyś pan jeden robił ze wszystkimi!

— Ho ho! panie Stanisławie, co mnie do wszystkich? Ja wybrałbym sobie jedną, tylko jedną i z nią... uciekłbym, ale tam, gdzieby już nie było okrutnych rodziców, podłych doradców, gdzieby nie było pieniędzy. Uciekłbym z nią, padłbym jęj do nóg i zawołałbym: króluj. A gdyby królowała, ja

kochałbym ją tak, jak wy kochać nie umiecie, jak tylko ja kochać umiem. Bo czyż wy pojmujecie wielki hymn miłości, wy dzieci podlój ziemi i ziemskiej rachuby?

— Przyznajemy w pokorze ducha, żeśmy dzieci podlój ziemi, ale czyż wszyscy oddani podlój rachuby? rzekł Stanisław, chcąc zmusić nieznanego do mówienia.

— Co mi do was, co wasze zachody, co wasze błoto? Co mi do tego, że ktoś może być lepszym lub gorszym? Tu cisza jakaś złowróźbna panuje dokoła; niech sobie będą lepsi i gorsi, a ja nie chcę być waszym najlepszym; gdybym się nie spodziewał, że przed śmiercią zobaczę raz jeszcze taką kobietę, jaką już utracilem, uciekłbym gdzie między gwiazdy. Co mi po was—ja czekam na kobietę, a póki jej nie widzę, wszystko jest dla mnie posęp-ném, chmurném, bezkształtném, jest chaosem...

Tu nieznanomy, pomyślał chwilę, a później powstał szybko. Twarz jego ożywiła się, postać wyprostowana drgała pod wpływem jakby natchnienia. Przybliżył się do Stanisława i patrząc mu w oczy gorejącym wzrokiem, mówił szybko:

— Daj mi sposób, abym świat pokochał, abym nim nie gardził, przywiąż mnie czém do ziemi, przynęć, rozwesel mnie, panie Stanisławie. Ha, nie w twojej to mocy... ha, cóż więc znaczący mężczyźni, dobroczyńcy, myśliciele? Wskażcie mi jaki

obraz, za którym zdołałbym się udać i zapomnieć o moim jedynym obrazie! Ale co mi znaczą wasze księgi; to nowe dla mnie hieroglify. Już was rozumięć nie chcę i nie mogę. Czekam na coś innego, jak Żydzi na Messyasza. Bez tego nie mogę być człowiekiem, bez tego jestem tworem nieokreślonym, brudnym, nędznym, upadłym. Wszakże widzę jak upadłem, pomnę jak niegdyś stałem wysoko...

— Okropność, rachuba rodziców chciwych pieniędzy, wydarła mi w przeddzień ślubu kobietę, która mi się objawi znowu przed śmiercią, i dla tego żyję. Wiecie wy, młodzi ludzie, co to jest kobieta i czém jest utrata téj, z którą porozumiała się już dusza mężczyzny? Ale ona nie umarła jeszcze...

Po tych słowach, nieznamy patrząc w górę, jakby tam kształt jaki spotykał, mówił ze wzrastającym uniesieniem:

— Ha, kobieto, kobieto, wszystko ciąży ku tobie! Jesteś pokusą, o której myśleć musi każde choćby najnędzniejsze serce. Jesteś wszędzie, bez ciebie nie ma życia! Na odmalowanie twoich powabów brak języka i bogactw podniebnych. Piekło i niebiosy poruszają się dla ciebie. Nieraz, śpiąc w ciemnym ustroniu, ani przewidujesz, że wzrok miłości, ciągnie cię ku wysokościom, umieszcza twoją postać między gwiazdami. Słońce może zgasnąć dla kochanka, jeżeli ty spojrzęła przykro na nie-

go. Nawet Izzy twoje nie są zwyczajnemi łzami boleści, bo jeżeli płaczesz, to po licach twoich spadają perły lub djamenty! Skrzywisz usta goryczą— wnet serce mężczyzny wynajduje dla tej goryczy kryształowe blaski wdzięku. Otoczonaś kadzidłami i hołdem. Zawsześ w ramach tęczyowych; wydajesz się nadziemsko. Musisz nam jaśnić, boś stworzona dla nas w uśmiechu nieba! O i jam widział moją nieśmiertelną, boską, opromienioną! Umęczony pracami życia, szedłem ku tobie jak ku lilji ewangelicznej po ożywcze krople niebieskiej rosy. Chciałem zapomnieć o okropnościach świata w twoich objęciach promiennych! Jam już miał odpowiedź twojej duszy, jam czuł tętno miłości twojej w swoim ręku... I wydarło mi ciebie dla podłego grosza; kiedym się z tobą miał połączyć, ktoś ofiarował twym rodzicom więcej i — mnie odepchnięto! Słyszycie? odepchnięto mnie, kiedym jęj podawał mój radosny sonet miłości! Chcecie może przekonać się, czy nie śmiesznym był ów sonet mojego szczęścia? Myślcie, co chcecie, a ja powiadam że jest szczytnym, bom go napisał na szczycie ludzkiej radości... Oto go macie; oto sonet miłości:

Dźwignął się dzisiaj pragnień gmach mój cały!

W oczach twych, szczęścia nieśmiertelne zdroje:

Dziś spełniam wszystkie mądrości i szale,

Boś ty dziś moją, bo te oczy — moje!

Dniu światła pełny, chwytam cię na locie...

Pantuję tobie, ludzkie rzucam sprawy,

Precz z myśli życie w codziennym przewrocie!

Precz z myśli walka i rozbitków nawy!

Uciekam z pośród świata burz i jęku —

Luba, przy tobie wielkie bóle posną...

Eza, choćby spadła, szczęścia błysnie perłą...

Tu tylko tryumf, — tu na twojem ręku

Mogę już skonać, jakby westchnąć wiosną,

Z dumy okrzykiem: losy, przy mnie berło!...

Skończywszy deklamacją, chwilę drżał mocno,
a potem mówił dalej:

— Utraciłem ją, utraciłem taką dla mnie istotę!
Ale znowu zobaczę ją przy mnie. Miłość, którą
pałałem, jest twórczą. Taka miłość stworzy i przy-
prowadzi w moje objęcia drugą połowę méj duszy,
utraconą przy utracie mojej narzeczonej. Czekam
i ufam; muszę się doczekać. Świat śmieje się z te-
go, śmieje się ze mnie. Cóż robić — czekam i gar-
dzę światem. Co mi po nim, po pracach, po celach,
po codziennych zajęciach, kiedy jeszcze nie ma mo-
jój!... Siadam tu czasem i patrzę na przechodzą-
cych, bo chcę się przekonać, czy nie ma między
niemi mojej drogiéj; czy nie idzie już ku mnie...
Siadam tu czasem... tylko że trudno mi tu przycho-
dzić, bo to czekanie wyczerpuje mnie.. Jednakże
nie umrę, niepodobna, abym umarł wprzód, nim ją
zobaczę...

Tu nieznamy utraciwszy ogień, który go dotąd ożywia, zaczął znowu posępnieć i słabnąć; prawie bezwładny przysiadł na ziemi i głowę ukrył w dłoniach.

— Ciśnie mi coś wierzch głowy, ciśnie codzień mocniej,— wyszeptał i spojrzał na dwóch przyjaciół; ci zaś z pewną czcią patrzyli na to złamane męskie serce, które przy łonie kobiety biłoby może całą potęgą życia, nadziei, działalności.

Są dusze, dla których świat jest mdłą marą, chaosem, bez jasnego wzroku kobiety...

Chociaż więc nieznamy już nie patrzył na dwóch przyjaciół, zdjęli obaj czapki i odjechali od tego zwaliska miłości, jakby od podwoi świątyni.

— Okropnym smutkiem przejął mnie ten człowiek, rzekł Teodor.

— Ha, co robić, różnie bywa na świecie... Ale jeżeli się chcesz rozweselić,— mówił Stanisław oglądając się po za siebie—to cię zarekomenduję naszym miłym sąsiadom, państwu Ślepowrońskim, których spostrzegam za nami. Jadą także do kościoła. A może jest i córeczka? Ładna panna, uprzędzam.

Teodor obejrzał się także. W oddaleniu ukazała się odkryta nejtyczanka, parą koni zaprzęzona, które lekkim truchtem dobiegły wkrótce do dwóch przyjaciół. Ci usunęli się na bok.

W bryczce siedział nieznany nam, pan Franciszek Ślepowroński, jego żona, a na przedniem siedzeniu młoda osoba, panna lat siedmnastu.

Stanisław, gdy go mijał pan Franciszek, przywitał się z nim przyzwoicie, ale gdy jeźdźcy pozostali sami, nie mógł się wstrzymać od dziwnego wykrzywienia twarzy i machnięcia ręką.

Panna nie była ubraną z owym wykwintem i smakiem, tak właściwym i tyle powabnym w osobach jęj płci i wieku. Widocznemi były na jęj odzieży ślady starych szat matczynych. Siedzącą potulnie pod ponuremi spojrzeniami ojca, okrywał jakiś płaszczyk, podobniejszy jednak do owęj kapoty damskięj, jaką kobiety nosić zwykły w chłodnych mieszkaniach. Płaszczyk ten wązkim był i obcisłym dotyla, że dzięki temu rozróżnić było można wytworny kształt ramion panny, która go miała na sobie. Był to płaszczyk z materyi wełnianej, bez waty naturalnie, tabaczkowego koloru, z plastrami miejsc wypłowiałych. Ręce miała założone w rękawy, bo jadących świeżość ranka przejmowała chłodem. Z tęj tabaczkowęj dopiero obsłony, niby kwiat z grubęj doniczki, wznosiła twarz piękna i luba, na szyi alabastrowęj, ubrana w stary z wypłowiałemi kwiatami kapelusza. Kwiaty te, przy matowęj białości i bladeści twarzy, wyglądały jakoś szyderczo lub wandalsko. Ale od tego pokładu kwiatów martwych oddzielały owal twarzy a szcze-

gólniej piękne czoło, pyszne jasno-łowe włosy, pyszniejsze jeszcze pod rannym promieniem słońca. Walczyć się zdawały z owemi kwiatami, które wplatały się niemiłosiernie w każdy ich zwój nadobny. Oczy miała niebieskie. Mówią zwykle o potędze czarnych oczu. Być może jedne i drugie właściwe mają powaby, trzeba jednak przyznać, że oko czarne świeci raczej czémś niebezpiecznym, namiętnym, czémś nieskończone głębokim i żywym. Czujesz że pod tém światłem jest jakaś tajemnica, która porywając cię grozi, obiecując ostrzega i napelnia pewną obawą. Czujesz pod tym czarnym djamentem, jakby połyski gniewu, jakby ćmienie nocy, czujesz pewną władczynię, dostrzegasz szatanka; w tych ciemnych głębiach dostrzegasz pewną rywalizację z twemi przymiotami, dostrzegasz jakąś energją, moc meżką, której radbyś uniknął. Oko czarne jest okiem kobiety władczyni... Oko zaś niebieskie jest okiem pocieszycielek i aniołów. Oko niebieskie zdaleka już blaskiem tryska. Oddal się tak, abyś już źrenic nie dostrzegł, dostrzeżesz światło błękitne, rozstrzelające naokoło jakby eter łagodności i pogody. Oko czarne ciągnie ku sobie wewnątrz— oko niebieskie radeby na jaw rozskrzydlić władze duszy. Sam nie wiesz, dla czego ufasz bardziej niebieskiemu oku. Łagodność pewniej zawsze zniewala, bo ma więcej wymowy. Ono nie zwycięża, nie narzuca swojej potęgi, ono się uśmiecha, jakby

rzec pragnęło: „patrz na mnie; jeżeliś strapiony rozpromienie, gniew i ból ukoję, jeżeliś nieszczęśliwy, będę cierpieć wraz z tobą.“ Ale też takie oko niebieskie jest rzadszém od czarnego. Jest wiele oczu z pozoru niebieskich, lecz właściwie nie są one niebieskimi a raczej nikłemi. Oko prawdziwie błękitne nieskończenie wiele ma wyrazu...

Otóż w takie właśnie oczy jasne, czyste, błękitne, zapatrzył się Teodor, jadąc za bryczką, gdyż panna siedziała na przedniej ławce bryczki, więc teraz twarzą do niego. Zakłopotała się widocznie, z powodu tego wpatrywania się. Jój płaszczyk i kwiaty na kapeluszu przysły jój na pamięć. Spojrzała i ona na twarz Teodora, lecz poczuwszy straszliwe wejrzenie pana Franciszka, zapłonila się, z trwogi, spojrzała na oboje rodziców i opuściła oczy na dół.

Teodor był olśniony; już to co prawda, słabość miał do oczu niebieskich. Źrenice ich spotkały się na chwilę, dziwnie jakoś pytająco...

Tymczasem bryczka się oddalała, oddalały się i oczy, ale Teodor nie spuścił spojrzeń z niespodzianego tego obrazu nawet i wtedy, gdy twarz zacierać się zaczęła w przestrzeni. Wszystko w około zdawało się niebieskim dla niego płonąć blaskiem, bo jeden promień błękitny z oczu kobiety, wiódł go za sobą na najmocniejszej na ziemi uwięzi, na pociągu duszy...

Nareszcie zjawisko znikło w różowych światłościach poranka. Ale po niejakić chwili dopiero poznał Teodor potęgę oczu kobiety.

Doświadczyli zapewne czytelnicy niekiedy jednego niezwykłego zjawiska, kiedy naprzykład po długiej i przykrój zimie, zdarzyło im się wyjść po raz pierwszy na przechadzkę w pole. Niwy odzywają się życiem, uwija się wszędy drobny ptaszek, a przedewszystkiem skowronek. Jeden wzbija się ku niebu, drugi spada; jedne odpoczywają, inne krzątają się po obszarach, — ruch, gwar, dźwięk, słodycz... Płowe, nagie pola oddychają pod dźwiękiem zwiastuna wiosny czémś lubem i błogiem dla duszy. Dziwisz, że tu tyle wesela i że nie ma jeszcze zieleności przy takić pieśni żywiącój. Przejęty cały odgłosami niewinnych istot, wracasz wreszcie do domu. Tam pochwytuje cię w szruby codziennych zatrudnień gwar innego rodzaju. Ale dzień się kończy, kładziesz się do snu. Co za dziwo! Ledwieś głowę skłonił, słyszysz najdokładniej, na jawie, bo nie śpisz jeszcze, ten sam śpiew skowronków. Ich głos tłumi w tobie myśli i wszelkie inne wrażenia. Dziwisz się sobie, przecierasz czoło, powstajesz na pościeli... i zaledwieś się znowu położył, chór cudowny rozpoczyna muzykę i gra ci dotąd, póki nie zaśniesz w głębiach wiosennój harmonii.

Czasem znowu chodzisz po gajach i zbierasz poziomki. Nie możesz wstrzymać poczucia mimowol-

nego zadowolenia, gdy tu i owdzie, z pod zielonego liścia, ujrzysz patrzące na cię szkarłatne jagody. Tam i sam poskoczysz; tu szukasz, tu zrywasz, a tam—jeszcze piękniejsze, obfitsze. Zajęty niewinném bogactwem, cały oddajesz się téj rokoszy sielskiej. W domu, za nadejściem nocy lub samotności — w około siebie widzisz wszędzie same szkarłaty poziomek... śmieją się do ciebie, mającą; bo widzisz całe ich kępy, to pojedyncze rubiny; usypiają się wreszcie zapanowawszy nad tobą.

Tak samo było i z Teodorem. Na razie po zniknięciu bryczki i tych, którzy w niej byli, zbliżył cię tylko do Stanisława i zapytał:

— Cóż to za jedni?

Stanisław skrzywił się i odpowiedział:

— To skąpiec z sąsiedztwa. Nie znam go dobrze osobiście, bom niedawno w te strony powrócił. Ale jak słyszę, kutwa to, który nigdzie nie bywa i wędzi w domu dziewczynę, tyranizując żonę.

— Więc ta błękitna istota ma takiego ojca?

— Poczciwe to ma być stworzenie, tylko że biedna zahukana. Chowa on ją jak dziewczkę prostą, a mimo to kazał uczyć na fortepianie. Chwali się podobno, że chce ściśle wypełnić obowiązki ojca; grę więc na fortepianie uznał za najpierwszy obowiązek rodzicielski i za najważniejszy warunek wychowania. Zresztą, jak dla niéj, dobre choć i to jedno, bo inaczej zanudziłaby się, lub w suchoty wpadła bie-

daczka. Nie wiem dla czego przypomina się podanie o kopciuszku, kiedy o niej pomyślę. Brak tylko jakiego księcia i pantofelka, bo co do nóżki... pewny jestem, że zgrabną mieć musi.

— A jeśliby się zjawił istotnie jaki wielbiciel?... zapytał Teodor z pewnym znaczeniem.

— Musiałby mieć kieszeń dobrze nabitą, bo inaczej!...

Tu Stanisław potrząsł głową i machnął ręką znacząco.

Na tém urwała się rozmowa. Wkrótce przyjechali do kościoła, gdzie Teodor modlił się, ale jak bałwochwalca, bo do jednego i to ziemskiego przedmiotu—do tego samego niebieskiego blasku, który mu w drodze zaświecił. Modlitwą było ciągle wpatrywanie się w to zjawisko gwiazdiste. Był już niespokojnym i zajęтым. Ciągle w myślach jego tkwił kopciuszek, a w duszy jaśniały oczy błękitne.

Nie mógł już spokojnie patrzeć na ódjazd swego niebieskiego zjawiska. Gdyby go kto zapytał wtedy, dla czego to robi, odpowiedziałby: dla ciekawości, dla pięknych oczu nieznanomój. Nie zdawał sobie bowiem jeszcze sprawy z tego, że ta ciekawość była mu tak lubą i pożądaną, jak nigdy przedtém.

Widocznie Teodor uczynił krok pierwszy na drodze miłości.

Córka pana Franciszka miała wzrost średni. Chód jej był dotyla wytworny i lekki, chociaż niepewny, trochę i jakby trwożny, że zdawała się nie dotykać ziemi. Mając na myśli kopciuszka, żałował Teodor, że nie było jakiej smoły lub lepu, w którymby mógł uwięznąć pantofelek. Życzenia jego o tyle przynajmniej spełnione zostały, że z powodu przesyconej wilgocią ziemi przed kościołem, odciskały się na niej ślady stóp przechodzących. Teodor utkwiał wzrok w ślad stopy niebieskookiej piękności. Ale jakże się zdziwił, gdy na piasku, w tém właśnie miejscu, gdzie stąpiła dziewica, dostrzegł po prostu odbicia ogromnego zwyczajnego trzewika, o mało co nie podkutego gwoździami! Chodził dokoła mniemając, że się myli i tak się w tém zajęciu pograżył, że panna z rodzicami dawno już odjechała, gdy Stanisław zbliżywszy się i kładąc mu rękę na ramieniu, zawołał pocichu:

— Czy co zgubiłeś?

Teodor ocknął się, spojrział na pytającego i rzekł po chwili:

— Cały skarb... Czary tu się dzieją.

— Czyżby czary?

— Szukałem śladu kopciuszka, a znalazłem... i zamilkł wzruszywszy ramionami.

— Mówże, co znalazłeś?

— Patrz na ten ślad okropny! on ci najlepiej odpowie, — odparł Teodor i z udaném podziwieniem

pokazał stopę odcisniętą przez córkę pana Franciszka. Cała to pozostałość po zjawisku o pięknych oczach! O, ten piasek, jaki niedyskretny!

— Byłoby dobrze, aby ślad po niebieskookiej pozostał tylko na tym piasku, bo nuż ci w sercu co pozostanie,—mówił śmiejąc się Stanisław.

— Co za myśl dziwaczna...

— Przyznaj marzycielu, że przyzwoitsza nieco od twojej. Porzuć-że ten piasek.

Z temi słowy siedli na koń i pojechali do domu.

I oto było wszystko, co uderzyło w tym dniu Teodora ze strony pięknej kobiety. Ale gdy wieczorem, po rozstaniu się ze Stanisławem, znalazł się w swoim pokoju, wśród ciszy letniej, powtórzyło się z nim to, cośmy wspominali o śpiewie skowronków i szkarłatach poziomek.

W duszy Teodora zaczął się jakiś akt przeobrażenia duszy.

Jak na wieczorném niebie, nagle zwróciwszy nań oczy, dostrzegamy jedną gwiazdę, zatrzymujemy na niej chwilowe spojrzenie, potem drugą, dalej coraz więcej, coraz świetniejszych; pograżamy się w tę otchłań świetlaną—gwiazdy iskrzą się, uśmiechają, igrają, mówią, ochwytuje nas pewne drżenie i uczucie podziwu dla rzeczy nieśmiertelnych: tak przed oczami duszy Teodora, z nieprzebraną głębi żywiołów myśli i uczuć, ukazywać się zaczęły światła niebieskie, które... spostrzegł rano. Słabnąc,

to wzmagając się, niknąc w cieniach to wyblyskując nagle, to zdaleka to zbliżając, ukazywać się zaczęło dwoje oczu niebieskich i w różnokształtnych promieniach skupiać nad Teodorem.

Uspokojony, cichy, nieruchomy, z namaszczaniem witał tę grę kolorów mistycznych. Pół w zachwyce, pół w uśpieniu, witał te blaski jakby niepojęcie lubie błogosławieństwo opiekuńcze. Powoli oczy jego zatopily się w tój światłości, tak chciałby umrzeć. Nie badał, nie zdawał sobie sprawy ze zjawiska; powitał je jak krainę anielską — zdawało mu się widzieć jakoby dłoń, rozkazującą: „idź tam, idź tam!“ Dusza jego uniosła się w przestrzeń wzruszeń nieznanych. Całe niebo uczuć poruszyło się i uderzyło w akordy harmonii...

Po takiój to drodze zstępowała ku Teodorowi postać kobiety, która miała mu zostać drugiem na ziemi słońcem. Bo gdy blaski niebieskie i estetyczne odcienia błogości, urównały się w jedno tło gwiazdziste, zabłysła w całej potędze uroku postać kobiety.

I postać ta zatrzymała się przed nim, patrzyła ku niemu, czekała na odpowiedź. I duch jego odpowiedział.

Teodor podziwiał ten kształt nadobny. Jakaż wspaniałość, jaka rozmaitość, ile światła na jednej postaci! Jakież inne szczęśliwości i potęgi posiadają tyle wdzięku, prawdy, szczeroci?

I przypomniał mu się w ognistych wybuchach sonet miłości warjata... Nie dziwił mu się teraz, że wszystko utracił dla kobiety, wszystko, prócz pamięci szczęścia.

Tak, bo jakież powaby, jakie formy porównać się mogą z powabami królującej postaci wdzięku?

Miłość osnuła Teodora tęczowemi swemi barwami. Podczas tego wieszczego wieczora wszystko w porównaniu z świetlanym obrazem kobiety wydało mu się posępném i bladém.

Miłość przemówiła do niego tak porywającym głosem, jak żadna dotąd na świecie potęga. I w zdumieniu chwycił tchnienia, które mu etery przynosiły, namaszczał się.

Tak to cały widokrąg jego myśli zespolił się w jedno niebo, po którym, niby jutrzienka w światłościach ranka, płynęła jego dusza natchniona.

Płynęła ku słońcu. Bo jeśli mierzył potęgę rzeczy potęgą ich treści, to żadna rzecz na świecie nie przedstawiła mu bram tak tryumfalnych i rozkoszy tak pełnych.

Czuł, że wchodził w jakąś fazę życia, gdzie są wzruszenia i zachwyty, wyższe niż wszelkie, które dotąd przebył. Doszedł do punktu kulminacyjnego, na którym zatrzymał go przybytek słoneczny.

Wszystko w tym przybytku było jasném, czarującym, wszystko tam wznosiło się aż do mistycznych uniesień ludzkiej duszy.

Zasnął w takiej błogości. A jeśli duchy niebieskie opiekują się uczuciami ziemi, to wtenczas zapewne uspiły jego duszę...

Ale w chwili, gdy zasypiał w tém cudów pełném królestwie, inna miłość, z kąd się jój najmniej spodziwał, zapragnęła go usidlić.

Stanisław, nie wiedząc jeszcze o téj drugiej miłości, a dostrzegłszy pierwszą w duszy Teodora, nieco się ożywił. Cieszyło go pole nowój działalności, bo tym tylko sposobem, choć chwilowo, tłumić mógł zgryzoty, które go trapiły, gdy był samotnym.

...w takiej błogosci. A jeśli chodzi o miłość...
 jakie opiekują się uczuciami ziemni, to w ten sposób...
 pewne usiłują jego duszę...
 Ale w chwili, gdy zasypiał w tym endów...
 królestwie, inna miłość, która się jej najsmieliej spo-
 dobała, zaprzęgnięta go usiłowała...
 Stanisław, nie wiedząc o tej drugiej miło-

IV.

Są kobiety, którym się zdaje, że stworzono je do panowania. Nie zadawalniając się prawem nieśmiertelnem, wiodącym mężczyznę do stóp ich po miłość, dążą wyłącznie do narzucania mężczyznom swój woli, swych pętów, swojej pod pewnym względem tyranji. Świadome berła w nieskończenie subtelnych dziedzinach uczucia, pomiatają mężczyznami, nigdy nie nasycone. Taką kobietą była matka Stanisława.

W czterdziestym roku życia wdowa, przy dobrym bycie, jeszcze przyjemna, odznaczała się szczególnie temi zachceniemi najezdniczemi. Ale daleka od tego, aby w każdym mężczyźnie, na którego skierowała swoje widoki despotyczne, znalazła to, czego pragnęła, (a pragnęła sama nie wiedziała czego), przebierała niemi jak zabawkami, jak klejnocikami w pudełku swoich kosztowności.

Była dosyć ukształconą i liczyła w orszaku swoich wielbicieli nie jednego artystę, nie jednego tak zwanego poetę, którzy w widokach przyjemnego

pobytu u bogatej dziedziczki, zdawali się wynosić pod niebiosa protektorkę sztuki i literatury. Co więcej, ludziła ich, pewnemi nadziejami, których jednakże, nigdy nie spełniała, bo zaledwie wybrańcy znaleźli się na punkcie bardziej poufnym, zdmuchiwała nagle widoki, które im sama przed oczy stawiała. Nikt przeto nie mógł jęj zarzucić, aby nadużyła kiedy wolności wdowiego stanu, pomimo że baczna opinja usiłowała ją nieraz zaczepić jadowitym zębem.

Pomimo owęj średniówki wieku, tyle dla kobiet nienawistnej, była jeszcze pod pewnym względem powabną. Wzrost jęj niewielki, ale postawa giętka i śmiała, pulchna ręka, zgrabna stopa, włosy czarne lśniące, świetne aż do podziwu, cera blada z doskonale zachowaną delikatnością, oczy jaśniejące blaskiem pewnej wyższości i samozaufania, obok ruchów wytwornych i wrażliwych rozmów — wszystko to czyniło ją, co nieraz się zdarza, daleko młodszą na oko.

Czytała wiele i miała sąd trafny szczególnie tam, gdzie szło o rozstrzygnięcie subtelności towarzysko-miłosnych. Słowo jęj było urywane, przeskakujące, ale powabne owem doświadczeniem w przedmiotach miłości i wdzięku, który to przymiot ceni każdy, a szczególnie ludzie sztuki i dramaturgowie. Częstość dziewczę najnadobniejsze, ja-

śniejące jak jutrznia poranna, mało ma dla nich uroku, gdyż mówić nie umie.

Podczas przyjazdu Teodora do syna tej pani, bawił tam właśnie, dla odpoczynku na sielskiem powietrzu, jeden z tych uprawiaczy sztuki. Był to dziwnym trafem człowiek równie ruchliwy, jak przedmiot jego uwielbień i równie jak on zmienny. Porzucił właśnie jakąś panienkę, zasypawszy ją zastraszającą liczbą sonetów, porzucił aby korzystać z towarzystwa kobiety, umiejaczej pojąć wszystkie jego zwątpienia i sarkazmy. Ale niefortunny wielbiciel, wtedy właśnie gdy się spodziewał największych faworów, natrafił na przeciwnika, który mimo chęci, wszystkie jego plany zniweczył.

Pewnego dnia podczas pięknej pory wieczornej, siedziała zajmująca wdowa z pełnym nadziei poeta, w ganku obszernego swego dworu i prowadziła rozmowę, jak zwykle, lotną, urywaną, zaprawioną uśmiechem, który kołysząc się między zadowoleniem tryumfu, a ironją, miał dziwnie ostry wyraz.

— Czemu mam przypisać to zamyślenie, równie nagle jak znaczące, — pytał poeta.

— Panowie nie umiecie kochać, jesteście kłamcy, rzekła krótko.

— Zarzut o tyle daleki od prawdy, o ile jestem blisko pani... zarzut słuszny znowu o tyle, o ileby kto żądał rzeczy niepodobnych.

— O, śmiałabym powiedzieć, że i pan kłamiesz.

— Zapewne, ciągle jestem kłamcą, i tak: nazywam jutrzeńkę często gwiazdą nadziei, gdy nieraz rozpoczyna dzień cierpień i śmierci, porównywan piękne oczy ze słońcem, przepaściami, morzem; pierś kochającą nazywam niebem roskoszy; wszelka cnota, wszelka szczytność nie zadawalnia się ciasnymi ramami własnej postaci, targamy dla niej wszystkie wielkości i potęgi, które ukraść można z głębin twórczego świata. Zapewne, wszystko to jest kłamstwem. Mówię, że słońce ozłaca, a nie oświeca, krajobrazy, że miłość do gwiazd mię podnosi; poruszam obłoki, wzywam piekło, szydę czasem z nieba i, znowu wszystko to, w obliczu suchej prawdy jest kłamstwem. Odbierz nam pani prawo tego kłamstwa, zginiemy. Nazywam wreszcie kobietę aniołem, daję jej skrzydła, barw ziemi zamało dla odmalowania jej powabów: zapewne, wszystko jest kłamstwem.

— Zkąd ten zwrot niespodziany? Poruszaj pan wszelkie siły nieba i ziemi, śpiewaj pan, ile mu się podoba, nikt tego nie broni. Ale pieśń winna brzmieć tam, gdzie jej przedmiot, lub zwracać się ku niemu, gdy jest dalekim, gdy nawet jest niedościgniętym. Nie nazywam kłamstwem takiej pieśni.

— Wcale więc pani nie rozumiem.

— Otóż więc, postaram się, abyś pan zrozumiał, bo postanowiłam być otwartą. Słuchaj pan tylko. Jesteś przy mnie; wiosna moja już przeminęła, już

nie przyrównasz ani mojej piersi do nieba, ani oczu do gwiazd, bo wiesz, że to tylko pozostałość po tém, co było niegdyś. Już ja sama (widzisz pan, że jestem pod tym względem szczerzą niż inne kobiety), dostrzegłam w zwierciadle, dosyć dawno temu, pierwsze usuwające się cegły gmachu, który nazywają pięknoscia. Już od pewnego czasu, powoli, pogrążam się w otchłań, która się nazywa zwątpieniem o własnych powabach, później nazywać się będzie staroscia, a wreszcie — ciemnoscia, śmiercia. Pan się znajdujesz obok mnie tak podupadającą; obecność moja z pewnością, i panu myśli o tem nasuwa, a jednak jesteś pan słodkobrzmiającym, rzucaś mi słowa uludy, chociaż widzę, z trudnoscia one wybiegają z pod twego wysilonego uśmiechu. Przypomnij pan sobie, jeśliś kochał, ten uśmiech szczęścia, który wykwita sam, nieproszony, płonący jak jutrznia, o której wspomniałeś: jeśli byś pan wtedy zorze na scenę wyprowadził—nie kłamał byś jak kłamiesz w obec mnie teraz... To nazywam kłamstwem, tak wielu z was kłamie.

— Tak kłamie życie i natura... ale człowiek panuje czasem nad prawami natury. Berło tego prawa, rzadko bardzo to prawda, może jednak człowiek posiadać, a przedewszystkiem może ono służyć—kobiecie... na co pani zgodzić się musi, — mówił poeta, patrząc niby z uwielbieniem na towarzyszkę rozmowy.

— Nie przyjmuję tego komplementu.... Jeżelibyś pan marzył o wszystkich tych rzeczach, które wylczyłeś na początku naszej rozmowy i gdybym ja ci stanęła przed oczy... niepodobna, aby panu do głowy nie przyszła pewna myśl posępna, sucha jak westchnienie dewotki.... niepodobna, abyś pośród dźwięku i blasku swoich sonetów, nie wyczytał wtedy na mojej twarzy, pewnej figury hieroglificznej, złośliwej, jadownicie wpijającej się w zarysy dawnego powabu; niepodobna, mówię, abyś nie dojrzał tam zarysowującej się samowładnie figury matematycznej, wymyślonej przez handlarza Fenicjani-
na, godła wystudzającego wszelkie nadzieje dla kobiety co była piękną i... jeszcze raz, słuchaj pan, niepodobna, abyś nie dostrzegł na mojej twarzy — spokojnej cyfry — czterdziestki....

Tu spojrzała mu w oczy.

— Wstrzymaj się pani, zkąd te myśli,—zawołał poeta, ale spuścił oczy i okazał niejake pomieszanie.

— Ha, więc pan jeszcze kłamiesz?

— Jakżeż mam się tłumaczyć? Nie po to przyjechałem zdaleka, aby mi takie myśli do głowy przychodziły.

— O, teraz nienawidzę poezji! Pojmuję ją jak kobieta, nie jak znawca, rzemieślnik lub starzec. Nie rozumiem jej stanowiska i wartości w oderwanej formie, w wierszu, nie oddzielam jej od życia. Pan

ciągle śpiewasz i sypiesz sonetami, a życiem zaprzeczasz pieśni. Wymyślacie, wyrzekacie na świat i ludzi, a świat nazywany przez was tłumem, bynajmniej gorszym od was nie jest.... a może lepszym bywa poeta... Czy mam słuszość, nie do mnie sąd należy; ale gardzę pieśnią, która nie dała mi poznać w pieśniarzu mężczyzny, jak pan gardzisz moją czterdziestką!...

— Usta pani, zdolne szeptać czasem słowa pełne uroku, ranią niekiedy śmiertelnie. Zkąd wyszła na scenę ta czterdziestka? Czy mam ukłekać?

— Nie kończmy tego komedją. Zkąd się wzięła ta cyfra?... ha ha... Oto zachowaj pan raczej swoje kolana dla.... a możebyś powiedział jój: czy mam upaść plackiem?...

— Co to znaczy? zawołał drżący poeta. Przed kim?

— Przed tą szatynką z oczami koloru morza, którą pan porzuciłeś dla mnie, a z którą przez długi czas szydziłeś razem z ową poważną cyfrą... Ha ha, nie trwóż się pan.... Postanowiłam przekonać się, czy pan jesteś stałym w swoich zasadach poetycznych, przy łonie dziewicy z okiem koloru morza, i przekonałam się.... Ale skończmy już naszą rozmowę. Oto wieczór prześliczny, możebyś pan zechciał co zaśpiewać, no choćby o wzroku barwy morskiej... będę słuchać z namaszczeniem...

Zamyślony poeta milczał.

— Widzę, że pan masz zamiar być dziś nudnym.
Dobranoc.

Z temi słowy powstała szybko z ławki, rzuciła na poetę wzrokiem pogardliwym i odeszła....

My z czytelnikiem znając tę panią cokolwiek, domyślamy się, że tę dosyć gwałtowną rozmowę rozpoczęła matka Stanisława, z innego niż prosta zazdrość powodu. Bo do chwili, gdy syn jój przedstawił Teodora, biedny poeta wysoko stał w łaskach tej pani. Ujrzeniu więc chyba Teodora przypisać trzeba, że tyle, jakieśmy widzieli, okazała pogardy i widocznie pragnęła zerwania. Wierna swemu kapryśnemu usposobieniu do chęci panowania, postanowiła ujarzmić nowego przybysza, który ją żywo zajął, i może tem żywiej dla tego, że przy bardzo ujmującej powierzchowności, zdawał się jakimś dziwnie niezależnym i silnym w charakterze, że pomimo szacunku towarzyskiego, nie dostrzegła w nim wcale chęci przypodobania się.

Nazajutrz obejście się jój z poetą było jeszcze chłodniejsze i bardziej upokarzające. Nie ościagał się więc długo — może poczuł, co się święci — i pojechał.

Wypada teraz koniecznie powiedzieć słów kilka o jednym, znanym nam już nieco, z bardzo nielicznych przyjaciół pana Franciszka Ślepowrońskiego-

go. Był nim dawny nauczyciel szkółki w małym miasteczku. Znano go pod nazwą „Micusia“ (od zdrobnionego w ten sposób nazwiska). Kto go tak zaczął nazywać, niewiadomo. Są w toku spraw codziennych pewne wypadki, które stwarzają owe zdrobnienia, malujące czasem doskonale całą istotę człowieka. Kto spojrział na Micusia usłyszawszy tę jego nazwę, koniecznie musiał wyobrazić sobie coś środkującego między figlarnością kota i napastniczością wilka. Był bowiem nieokrzesanym, a mimo to podchwytlwym i chytrym. Za nazwę swoją nie gniewał się wcale. Ludzie czasem są dumnymi, z takiego sposobu ich mianowania. Owe nazwy *kulasów, drągalów, niedźwiedzi, kotków* i t. p. nabierają niekiedy znaczenia homerycznego. Zjawienie się człowieka z przewiskiem podobnym, w gronie mu sprzyjającym, wywołuje zwykle obustronny okrzyk zadowolenia. I nasz też Micuś dopatrywał w nadanem mu zdrobnieniu, pewną zręczność, wyższość filuterną.

Był to obecnie człowiek blisko pięćdziesięcioletni. Znaczną część tego perjodu życia strawił na tyranizowaniu dzieci, a resztę, jak kumoszka, na plotkach i poróżnieniach rodzin.

Podczas swego nauczycielstwa, odznaczał się nadzwyczajną śrogością. Wyraz „pal!“ był ulubionym jego wykrzyknikiem. Z dziećmi był nieubłagany i szydarczy. Lubił je także straszyć, i nie jednemu

słabemu dziecku zostawił pamiątkę ogłupienia na całe życie. Tyran i despota wśród maluczkich, pokorą, gdzie było potrzeba, względy u innych zyskiwał. Wtrącając się tu i owdzie, załatwiając interesa — swat, pocieszyciel, psi lekarz, kommisant, ciągle się narzucający, przebiegał od jednego progu do drugiego, zawsze zwinny i niezmordowany, częstokroć potrzebny — Micuś.

Z bytu nauczycielskiego pozostały mu pewne nawyknięcia. Lubił rozprawiać w obec przerażonych dzieci o „plastrze węgierskim“ (miało to oznaczać plagi) i o receptach (to samo). Nie przypuszczał żadnych innych środków skutecznych. Sprawiał też na dzieciach wrażenie ludożercy, nienawidziły go serdecznie. Lubił opowiadać o wszelkich karach, jakie w swój niegdyś szkole wymierzał osobiście. I teraz jeszcze ujrawszy rumianą twarzyczkę chłopca, którego ojciec do szkoły przeznaczał, mawiał:

— Jaka to szkoda, że się już nauką nie zajmuję; mości dobrodzieju, wycacałbym ci syna jak lalczkę..... no — a jeżeliby tam co brakowało, dopełniłby mój doskonały plaster węgierski.

Gdy po przyjeździe z zagranicy, zjawił się u matki Stanisław, przysła Micusowi do głowy myśl pewna. Młodzież przybywająca ze stolicy na prowincję, sprawia zawsze niejakie wrażenie. Stanisław, syn bogatej dziedziczki, wraz z jakimś młodym, mającym byt niezależny, wiele obiecującym

przyjacielem, stali się przedmiotem niejednej rozmowy i spostrzeżenia. Matki szczególnie, dbały o szczęście swych córek, myślały już o pewnych kombinacjach matrymonjalnych. Ale pomijając te kombinacje, jako jeszcze z dziedziny marzeń nie wyszły, zwróćmy się do owéj myśli Micusia, który uplanował sobie, że Stanisław mógłby zostać mężem Zofji, córki pana Franciszka. Do takiej kombinacji skłoniło go nic innego, jak tylko chęć zysku. Chociaż zyski te dla kogo innego mogłyby się wydać błachemi, dla Micusia były pożądane. Całe widoki ograniczały się na talerzu wieczornego jada, fasce masła, butelce piwa przy gawędzie, a w najlepszym razie, na kilku tłustych indykach. Człowiek ten, uwijając się całe prawie życie z kilkuramiennym batogiem, zwanym dyscypliną, przy działkach szkolnych, nie zaznawszy innych prócz płaskich zachodów, dziwnie też zdrobniał w swoich pożądaniach. Jak zuchwałym był w obec wszelkiej inteligencji, jak napuszał się z dumą niepohamowaną tam, gdzie szło o utrzymanie za sobą opinii „mądrym profesora,“ tak również mocno pragnął podarków, kubanów. Dobre mienie obywatela wiejskiego napawało go uwielbieniem i dla tego też, szczytem jego marzeń było zaskarwienie sobie łaski takich potentatów. Dumając z westchnieniem nad ubóstwem swoim w obec dostatku gospodarzy, obmyślał środki ku dopięciu tego celu. Żadne je-

dnak nadskakiwania, uniżoności, nastęrczania się z usługą w uczeniu dzieci etc., nie mogły mu zjednać przychylności upragnionych osób. Ze wszystkich jeden tylko pan Franciszek zdołał go ocenić i zapraszał do siebie. Przyznawał on wprawdzie w głębi ducha, że nie wiele od pana Franciszka spodziewać się można, z radością jednak bywał w jego domu, bo się spodziewał, że ztamtąd rozgałęzi może dalej swoje stosunki.

Otóż, kiedy Micusowi błysła myśl, że pan Stanisław mógłby ożenić się z córką Ślepowrońskiego, całe szeregi gęsi, kaczek, indyków, worki kaszy i faski masła przemknęły przed jego wyobraźnią. Właśnie gdy cały zajęty był tym przedmiotem i obmyślał, jakby go rozpocząć, pukając po nogach, stołach i krzesłach dyscypliną, z którą chodził po izbie wielkimi krokami, dostrzegł przez okno żyda pachciarza, tego samego, który oddał kiedyś w drodze list Teodora Stanisławowi, i na którego teraz właśnie oczekiwał. Wypchnął więc prawie drzwi ze swego mieszkania, zamknął je i wskoczył do bryczki. Po chwili już był w drodze do pana Franciszka.

Po przywitaniu się z panem Franciszkiem, Micuś ręce zatarł gwałtownie, jak to zwykli czynić ludzie prości a bywali, gdy są w kłopotcie, od czego zacząć pewne operacje. Gdy wreszcie zasiedli obok siebie, pan Franciszek mówił:

— A przecie że przypomniałeś sobie o mnie. Cemuś tak dawno nie zajrzał?

— Bardzo wiele miałem roboty, chociaż mało co wartój, ale mocno męczącej; na wołowej skórze by tego nie spisał: tam trzeba iść do proboszcza i gospodarstwo w każdym szczególe po raz tysięczny obejrzyć; to mu radzić, to barcie nowe stawiać, to kwiaty sprowadzać ze stolicy, to robić nalewki — a niech go już plaster węgierski! Ale dobry to człowiek — mam od niego obiecany cały garniec wiśniówki jak rubin. Pani Pulchnińska, wielka matadora naszego miasta, coraz więcej psów kupuje i po mnie codzień przysyła, żebym im zapisywał lekarstwa. No, u burmistrza znowu urodził się chłopiec — śliczny pędrak! Znana zaś panu pani Maciejowa pokłóciła się z panią Kalikstową o placki: ta mówi, że ona smaczniej piecze, a tamta znowu że ona — poróżniły się na dobre; wdać się w to musiałem....

— Szczęśliwyś, jakem pocziw, żyjesz sobie jak ptaszek.

— Gdzie tam — nudno mi! To sfera, panie, dla mnie za niska. Zresztą przez większą część życia przywykłem być nauczycielem; żebym miał z kilku pędraków do musztrowania, nicby mi nie brakło.

— To się żeń — będą.

— Co mi po tém! Zjadłem ja zęby na ocieraniu się między ludźmi, a przecie jeszcze zgodnego stadła

nie widziałem, wyjąwszy twego pożycia, panie Franciszku; ale bo też pan jesteś mistrz we wszystkim! Zresztą nie mam do tego cierpliwości; — wziąłbym, panie, może jakiego młodego djabła, coby mi psikusy wyrządzał — mógłbym się zapalić gniewem, a mój plaster węgierski...

— Wszak dobry u ciebie na wszystko.

— Ale nie w tym sensie, bo żona przez zemstę mogłaby się zwrócić ku takiemu, co nie posiada plastra węgierskiego....

Tu Micuś potrząsnąwszy głową mówił dalej:

— Co tam zresztą mówić mnie staremu o żeniacze. Co innego młodzi, niech się żenią jak najwięcej. Córka twoja panie Franciszku, na żonę choćby dla króla.

— No, dla króla, jak dla króla... zresztą no — ale młoda jeszcze.

— Na królowę może jeszcze za młoda, ale na gospodynię, na obywatelkę, żonę majątnego panicza, w samą porę. To kwiat, to śliczność — siedmnaście latek; chodzi tylko o dobrego męża. Moja matka nieboszczka miała mnie w roku piętnastym, a była piękna i zdrowa na podziw; żyła bardzo długo.

— No już to Micusiu, nie ma co tać, ty wiesz najlepiej, co się dzieje w okolicy. Czy nie mógłbyś mnie bliżej objaśnić o tych nowoprzybyłych do sąsiedztwa? Jeden, wiem, że jest synem pani S.*

ale i ten drugi, co do niego przyjechał, wcale nie źle z miny wygląda.

— Ha, tak to zawsze się dzieje, że każdy goliat (miało to oznaczać biednego) i półgłówek, prym w świecie trzymają, bo dmą w minę. Zresztą mówią, że pisuje książki, a któż to z téj młodej hałustry piszącej miał kiedy pieniądze? Żeby był drałgal został przynajmniej urzędnikiem — nie, jemu pisać trzeba koniecznie. Miał tam podobno, jakieś pieniądze po babce, która mu niedawno umarła, ale resztkami już goni, bo to dzisiejsza rozpusta!...

— Ale ten drugi, jakim pocziw, lepszy chyba?

— To będzie pan całą gębą! Matka odda mu niedługo w zarząd, a więc i na własność, panie, jako synowi, dwie wsie prześliczne — Roskosz i Leśnicę. A cacka te warte przynajmniej pół miljona! Coby to była za para z panną Zofją! Pan Stanisław, człowiek przystojny, w głowie ma nie źle, choć to tam, o ilem uważał, brak mu było widać w dzieciństwie węgierskiego plastra. Ale mimo to, może być mężem, jakiego znaleźć niełatwo. Musiał go Pan Bóg przynieść w wasze strony dla jakiejś dobrej sprawy. Wstydem byłoby dla nas, gdyby obca panna chwyciła go nam z przed nosa. Słysząc że pannę Zofję kocha już trochę.

— Wszystko to piękne, co mówisz mój drogi — zaczął pan Franciszek w dziwnie słodkiem usposobieniu, — ale to najważniejsze, że młodzież teraz

żenić się nie chce. Radziby złapać żonę i to koniecznie bogatą, kiedy im włosy siwieć zaczynają. Zresztą nie ma co mówić o tem; dzisiaj, dusza potulna, poczciwa, panienka skromna za nic się nie uważa. Nie naraż się nikomu, nie bądź zadłużony, dbaj o gospodarkę, książek nie czytaj (bo gdzież czas na to?), powiedzą żeś egoista, żeś gbur nieokrzesany, będą stronić. Od panienki, po domowemu choć przy fortepianie wychowanej, uciekają młodzi; mówią że nudna, że dzika! Jużcić chciałoby się i takiej nie jednemu, bo hołyszów niemało, ale wara tym gadom co stoją na straży przeciwko skojarzeniu się fortun równych ze sobą!

— Otóż dopiero! jest na co zważać? drwiąco wtrącił Micuś. Ale bądź co bądź, tutaj nikt pewno na zdradzie nie stanie. Tamten piszący by nie śmiał. Na pana zaś Stanisława ja miałbym jeden sposób, ale bardzo trudny!

— Co takiego? mów, mój kochany.

— Jeszczem nie obmyślił, ale mam pewny, pewniuteńki planik i widzę, jak na dłoni, że mi się uda.

— Powiedz-że mi, co myślisz?

— Wtem właśnie sztuka — obmyślam dopiero. I nie chciał powiedzieć Micuś swoich widoków, ale tak umiał otumanić, zachęcić i rozruszać pana Franciszka, że ten o niczem innem jak tylko o Rozkoszy i Leśnicy nie myślał. Następstwem tego by-

to lekkie przymówienie się Micusia o pewne zapasy, pod pozorem pożyczki i, pożyczka ta była tyle hojną, że Micuś mierząc tem chęci pana Franciszka, wyjechał od niego ożywiony nadzieją najpiękniejszych, choć drobnych i godnych jego samego zysków.

Pan Franciszek pożegnawszy miłego przybysza, pod wpływem uroku, jakim go ten oplątał, szybko przybiegł do pokoju, gdzie siedziała żona jego z Zofją i zawołał.

— Żono, chodź-no, żono.

Promienisty czepiec małżonki zwrócił się nagle w stronę, z kąd tak niezwykle zabrzmiało wezwanie, a pośród czepca i posępnej twarzy zabłysły trwogą, zdziwieniem i niedowierzaniem oczy matrony, nie mogącej przeniknąć, czy głos męża oznaczać ma burzę czy rzeczywistą łagodność, tak był niewłaściwy piersiom, które go wydały.

— Ale chodź-że — mąż powtórzył.

Przez ten czas, Zofja z równem podziwieniem wpatrywała się w ojca, który na nią spojrzeć nie raczył i odszedł z żoną do swego kantoru. Nic tam nie było prócz surowo zasłanego łóżka, strzelby nad niem, na rogach jelenich zawieszonój, stołu, dwóch krzeseł, kilku starych i jednego nowego kalendarza, jakichś grubych kijów ze znakami, czy karbami do notowania robocizny i ogromnego na tabaczkowój sukiennój serwecie, stół pokrywającój,

kałamarza, pośród którego jak maszt na okręcie, sterczało ogromne gęsie pióro.

Pan Franciszek, który się prawie z niczego znacznej dorobił fortuny, miał minę bardzo napuszoną, szczególnie w dniu dzisiejszym, co podwajało jeszcze w fizjonomji jego srogość rysów, które nie do rzeczy będzie przedstawić czytelnikom w kilku choć słowach. Twarz jego nie była ściśle ani okrągłą, ani podłużną. Była to kątowata, nieregularna masa kształtów nieokreślonych, zmieniających się co chwila pod wpływem wrażeń, jakie prznosił. Na oko można było odgadnąć, że to człowiek groźnej energii w rzeczach poziomych. Czoło zbrzdżone, wtedy tylko rysowało dokładnie swoje nierówności, gdy z boku padało na nie światło, jak to właśnie teraz ma miejsce przy świecy. Wszystko razem było w tej twarzy ciekawem, dla Lavatera *niczem*, pełnem tajemniczych wskazówek gniewu, nienaści i jakiejś ponurzej siły. Nos mały, otwarty nieco w środku zakłęśły, jakby wietrzący nozdrzami, poruszającemi się co chwila, nosił nad sobą brwi ciągle zmarszczone. Podczas wybuchu, co się często zdarzało, poruszał się ten nos konwulsyjnie i sapał, a naokoło ukazywały się fale i bruzdy, niby doły wiru na mętnej głębinie. Oczy miał barwy siniej, niby dwa krążki stalowe, bez wyrazu. Usta wjedzone, zakłęśłe, małe, nie znały prawie uśmiechu, prócz szyderczego skrzywienia; w ostatecznym tyl-

ko razie, gdy sprofanowany ten serca wysłaniec zmuszonym był ukazać się na twarzy pana Franciszka, zdawał się promykiem na śmieciach... Włosy miał trochę kędzierzawe, dosyć krótko strzyżone i spadające na zaklesłe czoło. Wzrostu był dobrego; silny w ramionach, chodził krokiem mocnym, choć elastycznym. Ubierał się zwykle, jak to i teraz wiadać, w kapotę szarą, zapiętą na guziki rogowe. Lubiał ręce nosić w kieszeniach.

Twarz żony, która przyszła za nim do jego pokoju, była pooraną, zawczesnemi zmarszczkami; okalał tę twarz czepiec duży z promienistym ogarniowaniem, którego białosc przykro odbijała od opalonej skóry policzków i czoła, pomarszczonego wyraźnie. Ubraną była w szlafroczek brunatnego koloru, z bawełnianej materji. Uśmiechała się jakby z przyzwyczajenia, jakby sama do siebie, z wyrazem pewnego idjotyzmu, któremu jednak towarzyszyła smętność, mówiąca, że wyraz ten jest pozor-nym. Ruchy jój były powolne i nieco bojaźliwe. Usta miała zwykle troszkę otwarte, co nadawało jój postać osoby, jakby przypominającej sobie, czy czego nie zgubiła lub nie zapomniała. Chcąc spojrzeć na pana Franciszka, schylała najprzód głowę a potem dopiero podnosiła oczy nieśmiało.

Pan Franciszek usiadłszy na krzeselku przy stole, wprost okna, wskazał drugie krzeselko przybyłej tuż za nim małżonce w promienistym czepcu

a gdy ta usiadła, i gdy on podparł się należycie, zebrawszy myśli, tak zaczął ową konferencję tajemniczą.

— Wy kobiety, lepiej się na tém rozumiecie od nas. Zdaje mi się, że Zocha (miało to znaczyć Zofja) może już iść za mąż, he?

— A jakże — odrzekła ośmielona tym poufnym początkiem — ba.... w tym samym wieku, co ona teraz, miałam iść za mąż, a chociaż nie poszłam wtedy, to jednak — iść już mogłam. Później, jak wiesz, kochanku, czekałam całe dziesięć lat na męża, to jest na ciebie. Tak, ale mogłam iść i wtedy a byłabym nawet po....

— Na co się zda takie długie gadanie, — przerwał pan Franciszek opryskliwie, gdy zahukana małżonka w tém błogiem była przekonaniu, że mąż jej zmiękczył się jakąś pomyślną okolicznością i zamyśla pogawędzić. Ujrzawszy, że się myli, zmiłkła jak kamień.

— Czas-by Zoche wydać za mąż, — przemówił znowu; pani Franciszkowa kiwnęła głową.

— Ona nie ma żadnego ułożenia do małżeństwa, trzeba coś zrobić!

Pani Franciszkowa kiwnęła głową.

— Ale ja mówię, że trzeba coś zrobić, to babskie rzeczy — no cóż?

— A przecież szyjemy po całych dniach; więc jeżeli chodzi o szycie — to się to robi.

— Mnie chodzi o co innego.

Pani Franciszkowa nie wiedziała, co odpowiedzieć.

— No, czy mnie nie rozumiesz? Zocha, dziewczyna, zdaje mi się, aż miło i na fortepianie gra, tak gra... ale rzecz w tem, że nigdy nie mówiła z kawalerem.

— Aha! Jak zacznie kawaler, to dalej samo pójdzie.

— A nuż mu odpowie głupstwo?

— Gdzie zaś! czyta, pisze i na fortepianie gra, za się rozlega.

— Nie wiem, ale mi się zdaje, że ona nie ma ubrania, któreby się mogło podobać młodym panom. Co za głupstwa na świecie! Żeby się panna podobała, trzeba ją ubierać jak srokę!

— Przecież Zosia ma suknię przerobioną z dawniej mojej — tę żółtą, ale prawdziwie jedwabną.

— Powiedz tam takiemu panu Stanisławowi o żółtej sukience. Trzeba ją ubrać, choćby i modnie, aby mu w oko wpadła.

— Więc pan Stanisław, taki bogacz i myśli... mówiła ze zdumieniem pani Franciszkowa.

— No, co tam, bogacz czy nie bogacz. Szlachcic jak ja, może sobie upodobać szlachciankę i z nią się ożenić.

— Tylko mi dziwno, że ostatnim właśnie razem wcale na Zofję nie patrzył, jakby o nią nie dbał.

Za to ten drugi, także wcale układny człowiek, patrzył w nią jak w tęczę.

— Niech idzie na kraniec świata — to hołysz!

— Hołysz! aniby pomyślała, taką ma pewną siebie minę!

— Nie wspominaj mi o nim, zresztą nie przerywaj mi; nie można się z tobą dogadać. Oto czego chciałem: trzeba Zochę jakoś wytresować, wymusztrować i lepiej ubrać i mniej robić kazać i mydło lepsze dać, niech pachnie; na jarmarku pojutrzejszym trzeba kupić i książek romansowych kilka, niech się ogładzi; nic jój tam z tego nie przybędzie, ale cóż robić, kiedy dziś cały świat czyta. Trzebaby ją, słuchajże, przygotować do tego, żeby bardzo oczów nie spuszczała, ani była dziką, dziwaczną a jak oni nazywają, naiwną. Trzebaby ją wreszcie — i to rzecz, uważaj, najważniejsza — zachęcić do tego, żeby bez jawnych umizgów, a przecież starała się podobać Stanisławowi. Z nim fortuna, z nim los! jakem pocziw!

— Żeby czasem to państwo nie przewróciło jój w głowie....

— Ha, widzę, że sam będę zmuszonym wdać się w te rzeczy; ty na tę stanowczą kwestję patrzysz jakoś tępo, nie jak matka.

— Ach mój drogi... od tyłu, tyłu lat nie mam już głosu, jako matka i jako żona.... Dobrze jeszcze,

żem mówić nie zapomniała! — rzekła pani Franciszkowa z miną posępną.

— Żebyś nawet mówić zapomniała, nicbyś na tem nie straciła — ja ci to mówię. Tak, ja mężczyzna muszę prowadzić babskie rzeczy.

Z temi słowy uderzył w stół dłonią prawą, gdy lewą przytknąwszy w kształcie tuby do ust, skierowanych ku drzwiom od dalszych pokojów, zawołał grzmiąco:

— Zosia! Zocha!

Ale dziewczę siedząc sobie przy robótce, nie słyszało tego donośnego wołania, gdyż i kołowrotki kobiet folwarcznych, przędących tam zwykle pod okiem pani Franciszkowej, tłumiły głos pana Franciszka.

Kołowrotki uciszcie się, nie warczcie tak hałaśliwie, prządki zmilknijcie — wasze rozmowy mają coś przykrego — przeszkadzacie — pośród was płonie zorza niebieska! Czyż nie przystoi być w obec zorzy pełnemi zadumy? Ha, wam idzie o wysnuć wątlęj nitki lnianej, my chcemy oglądać jutrznię, z której wysnuwa się wielki promień miłości!

Prządki uciszcie się, jesteście w świątyni... Ale prządki chichoczą i przędą, kołowrotki warczą, stary kot mruży w kącie, świeca niesforna za ledwie błyszcząc pryska i dymi; dwoje kurczą faworytów tuli się do siebie i kwili, synogarlica w klatce na oknie, woła: cu-u-cukru-u, a zegar, klekot drewnia-

ny, odmierza czas szybki, szyderczy; czas, burzyciel, chyli się ku późnemu wieczorowi. Czasie, stój lub omiń to kwiecie, któremu szesnaście twych wiosen składało się na rumienieć! Czasie, swym taktem drewnianym nie przypominaj nam lat naszych w obec potęg rozkwitających!

Ale czas bieży, zegar szasta mosiężnem, zaśnie-
działem wahadłem....

I tamże to, pośród tego powszedniego gwaru
wschodzi słońce mężczyzny?

Tam; tem słońcem jest dziewczeczka pracowita
i skromna. Tak, po nią to sięga mężczyzna w imie-
niu nieba. Tak, to na jój piersi, bijącej pod grubym
rąbkiem, stanąć ma mistyczny gmach szczęścia...

Tak, bo jest chwila w życiu młodych, kiedy męż-
czyzna w téj jednéj postaci zespala wszystkie po-
żądania!

O, tak... jój oko niebieskie rozciąga już władzę
bogini nad snem wielbiciela. Ona już nie jest samą
dla siebie, — jaśnieje już, otoczona promieniami
myśli mężczyzny. Patrzcie, jak on zdiera wśród
nocy, zasłony przeszkadzające mu ją zobaczyć. Ona
tu, pogrążona w pracy i pospolitości, a on już się
uśmiecha jój obrazem.... Miłość przygotowała już
dla niój hymn wspaniały. Ona tego nie wie, że
w około niój uniesienie i zachwyty pozapalały już
wielkie światłości ducha.... Nie wie, że etery w oko-
ło niój, pełne są już brzmień uroczystych. Nie wie,

że jest różą, dla której dusza mężczyzny stała się słowikiem miłości!...

Lecz cóż to za głos — głuchy, bo tubalny, ale donośny dobiega do jęj kącika? Co za głos? — trwo-ga ściska jęj lica — drży jak listek....

— Zosia! Zocha! zagrzmiało wołanie pana Franciszka i ścięło przestraczem serce Zofji. Skoczyła na miejscu z krzeselka, jak ptaszę przeszyte pociskiem; rumieniec buchnął szkarłatem i znów znika. Poprawiła chusteczkę na szyi i pobiegła. Ale w miarę zbliżania się do drzwi pokoju ojca, zwalniała bieglecki i nadobny, tak że u drzwi stanęła posepna i cicha jak widmo. Stanąwszy w progu, rzekła po-cichu:

— Jestem....

— Podejdz-no bliżęj, rzekł ojciec.

Zofja, posłuszna, posunęła się na środek pokoju a sądząc, że jakąś groźbę usłyszę, wodziła okiem niebieskiem po ziemi i wreszcie zatrzymała spoj-rzenie na spojrzeniu matki.

— Czemuś taka dzika, spłoszona, jakby cię kto z lasu wystraszył. Nie trzeba się trwożyć byle czego.

Dziewcę milczało; ojciec mówił dalęj:

— Słuchajze, co ci powiem. Chociaż wychowa-łem cię w bojaźni Bożęj i mojęj (prawda!) i chociaż jestem z ciebie kontent, jednak widzisz, i świat ma swoje wymagania. Chcę ci je pokazać. A uważaj żebyś ani jednego wyrazu nie uroniła, bo samo-

chcąc możesz ściągnąć na siebie gniew mój. Uwważaj-że, jesteś już panną i—

Tu zatrzymał się chwilę pan Franciszek a matka dokończyła:

— I możesz już iść za mąż.

Zofja naturalnie splonęła pąsem piwonii. Myśl ta wypowiedziana jasno, dobitnie, pod powagą rodzicielską, poruszyła Zofję dreszczem febrycznym, owym dreszczem, który nie jest jeszcze ani szczęściem, ani jasno określoną nadzieją, ale nie jest również przykrością, choć przejmuje do głębi serca. Na jej policzkach wśród szkarłatu ukazały się perłowe plamki tego dreszczu, z nich powstał puszek jak na brzoskwini. Na oczach ukazała się ta wilgoć wzruszenia, która jest dowodem, że na tło duszy wystąpiła jakaś postać, jakiś kształt luby, tak jak bywa pod wrażeniem muzyki, kiedy nagle harmonją pochwyceni, rzucamy w te głębie mistyczne swoje najsubtelniejsze pożądanja. Ojciec spostrzegłszy to wzruszenie i bynajmniej nie tak je sobie tłumacząc, a jedynie jako bojaźń i uszanowanie; dumny, że tak córkę wychował, mówił ożywiony tak gładko, iż matka i córka, nie będąc nigdy świadkami podobnego natchnienia, słuchały zdumione i nieme. Zapomniały one, że był kiedyś małym urzędniczkim sądowym. Pan Franciszek tak rzecz wyłożył:

— Głupie są te dziewczęta, które chcą wszystkiego, prócz rzeczy, obmyślanych ze strony rodziców.

Najczęściej, z tego wszystkiego nic się im nie dostaje, a tymczasem rzecz, obmyślana przez rodziców — ucieka. Panna osiada na koszu. Dla czego rodzice zabraniają dzieciom myśleć o takich rzeczach, jak mąż naprzykład? Dla tego, że nierozsądne dziecko mogłoby pójść nie po ich myśli i zakochać się w człowieku nieodpowiednim. Uczucie bywa ślepe, dziewczęta często niedoświadczone. Z czego powstają romanse i powieści? Powstają, jak się sama, Zofjo, przekonasz, właśnie z takich rzeczy. Nie dziś żyję na świecie i niemało podobnych zdarzeń widziałem. Z tego później fochy i szlochy w małżeństwie, nienawiść, narzekania na mezaljansę. Zdarza się tak nawet niekiedy, że panna i miljonowa, zadurza się w chłystku, który prócz ładnej gęby i jedyne go surduta, nic więcej nie ma; zdarza się nawet, że tacy łapacze panien robią fortunę, i to, co człowiekowi pocziwemu, niepokąznemu, krwawą pracą przez całe życie nie przyjdzie, takiemu palce spada jak z nieba. Ale najczęściej w takich razach rodzice się gniewają, wyklinają, a żadne dziecko, jak wiesz o tém, nie może być szczęśliwem bez błogosławieństwa rodziców. Słuchaj-że mnie więc, kochana Zosiu, słyszysz? mówię kochana Zosiu: jeżeliby kiedykolwiek wisus jaki zaczął ci okazywać względy — rozumiesz? nie? to, jeżeliby ci gadał jakie komplementa, niezwykle słowa, uśmiechał się do ciebie ni z tego ni z owego, albo ci na-

wet wprost mówił lub pisał (bo i to bywa,) że cię kocha,—ty uciekaj od tego wszystkiego, jak od zarazy. Takie lotry czyhają tylko na twój majątek, bo go sami nie mają, takie goliaty stworzone tylko na to, aby panny obalamucali. Wiem i ja i tu o jednym takim, świeżo przybyłym z Warszawy. Pamiętaj więc, jeżeliby cię jeden z takich, nagabwał rozmową, okaż się dumną, zbij go z toru odrazu, niech się niczego nie spodziewa, niech idzie na złamanie karku. Często nawet człowiek taki nie ma ani pochodzenia przyzwoitego, ani szlachectwa, a sądzi się równym każdemu. Teraz na nieszczęście z pozoru wszyscy równi,—ale jakaż ogromna różnica między dwoma równymi, z których jeden jest człowiekiem prawideł surowych, poczciwym, pracowitym i za to majątnym, a drugi chłystkiem, pełnym dzikich myśli! Pan Bóg dla tego daje ludziom poczciwym fortunę, aby je innym ludziom poczciwym przez małżeństwo przekazywali. Naprzykład, czy po to ja całe życie pracowałem, ażebym dawał za tobie posażek temu, który nic nie posiada? Pamiętaj więc moja droga, jesteś jeszcze głupią dziewczyną, unikaj też jak ognia takich ludzi. Pamiętaj na mój gniew ojcowski. Ale niech cię to znowu nie prowadzi do tego, abys nie miała sprzyjać ludziom, których ci wskażą rodzice. Może i ja ci wskażę już jednego. Tylko że jakoś nieśmiała i niezręczna jesteś. Kazałem cię grać uczyć, a taka jesteś boja-

źliwa, jakbyś nigdy świata nie widziała. Przecież bywasz co niedziela i święto w kościele, możesz się więc tam przypatrzeć, jaką prezencję mają damy.

Tak, tak, prezencja moja kochana, znaczy wszystko — przerwała matka. A wiesz ty, co to jest prezencja?

Zofja milczała; pani Franciszkowa mówiła dalej:

— Prezencja wtedy się nazywa prezencją, jeżeli korpulencja —

— Bój się Boga — zawołał pan Franciszek — zkaż ci ta łacina czy francuszczyzna!

— Ha, bo tak mój ojciec mawiał w mojej młodości.

— Ale dziś mówią inaczej.

— Co mnie do tego? ja wszak z nikim nie mówię, powinnam więc mówić do dziecka własnego, jak umiem.

— No, to już mów, tylko kończ, bo wiesz że jestem niecierpliwy...

— Kończę, kończę — słuchajże Zosiu: Korpulencja u ciebie powinna być tak mile ułożoną, żebyś się wszystkim podobała. Znałam jedną panienkę nawet biedną, która bardzo pomyślnie wyszła za mąż jedynie z powodu swojej korpulencji — tak, wszyscy mówili.

— Ale... ale ja nie wiem, mamo — szepnęła Zofja — co to znaczy ten wyraz.

— A dajcież pokój z tym przeklętym wyrazem! wykrzyknął pan Franciszek. Oto ja ci powiem—nie trzeba spuszczać oczu bez przyczyny i milczeć jak kamień, kiedy kto przyzwoity do ciebie zagada; trzeba być rozgarniętą, roztropną, przyjemną w słowie, łagodną w układzie—rozumną.

— Postaram się zrozumieć—odrzekła córka. Ale ja nigdzie prawie nie bywałam, kiedym podrosła—dodała drżąc.

— Wyszło ci to na lepsze, bo zaczniesz bywać teraz, i lepiej ci to zasmakuje.

Z temi słowy ojciec zaczął się przypatrywać postaci córki i, ze wzrastającym zadowoleniem, mówił do siebie półgłosem:

— Może miał Micuś dobry węch... Dziewczyna niczego i dotąd nie sprzeciwiała mi się nigdy, nawet myślą. Tu zadumał się chwilę pan Franciszek i powtórzył: „tak—nawet myślą...”

Jeśliby światłości, wśród których zaczynała się unosić dusza Zofji, miały mowę, przemówiłyby pewno przecząco na to urojenie.

Po chwili, pan Franciszek rzekł znowu:

— Odstąp-no trochę dalej, niech ci się przypatrzę, obracaj się, tylko powoli, zgrabnie.

Dziewczę obróciło się jak pod powiewem wietrzyku, a pyszne sploty, spadające na białą szyję, błysnęły tajemniczym bogactwem. Oko ojca z zadowoleniem spoczęło na jej ramionach, ujętych w stanik

obcisły; ale zadowolenie to było tak mało ojcowskiem, a tak wyraźnie pochodzącem z rachuby, wandalickim, posepném, że dziewczę to czując a nie rozumiejąc powodu takiej lustracyi, stało, ściskając się w siebie, jak na mękach. Pomimowoli na myśl jój przychodziło, że tak samo oglądają konie, gdy o zyskownej myślą sprzedaży.

— No, teraz możesz iść spać i pomyśleć nad tém, cośmy ci tu mówili. Pamiętaj, Zosiu, nie zrób wstydu rodzicom.

To rzekłszy pan Franciszek pożegnał ją skinieniem ręki.

Zofja wysunęła się z pokoju i nie pobiegła lecz pofrunęła raczej, gdyż było słyhać tylko szelest sukni, wprost do swego kącika; siadła tam z płonącemi policzkami, gorejącem okiem i mocno bijącym sercem, jakby ją od męki uwolniono.

Rodzice dalej prowadzili swoją gawędę i stanęli wreszcie na tém, żeby wszelkiemi możliwemi sposobami przyciągnąć Stanisława, w czém znakomicie dopomódz im miał Micus.

Dziwna duma zakolatała p. Franciszkowi do serca. Micus umiał zachęcić go, obiecując powodzenie. Pan Franciszek nic właściwie nie zyskiwał, wydając za mąż Zofję, témbardziej że okoliczność ta przedstawiała mu w perspektywie raczej wydatki posagowe, niż zyski. Z tém wszystkiém jednak, ze skwapliwością pochwycił plan, przez Micusia podany, bo

Stanisław zdał mu się tak pożądanym zięciem, że dla połączenia z nim córki, wydatki owe chętnieby poniósł; w każdym razie chętniej, niż dla innego „mariażu.“ Kiedy więc koniecznie wypadnie wydać Zofję za męża, — myślał pan Franciszek — to wydajmy ją najlepiej, o ile można.

Pan Franciszek radby był wlać dzisiaj w swoją córkę wszystkie dary i przymioty, ujarzmiające mężczyzn. Bardzo się tą myślą zapalił. Dziś dopiero żałował, że nie bywał z żoną i córką w kilku przynajmniej domach dla obznajmienia córki z prawidłami świata. Starał się więc wynagrodzić to teraz naukami, których w podobny, jak przed chwilą, sposób, na każdym kroku córce nie szczędzić postanowił. Chciał wpoić w nią odrazu myśl swoją, chciał wybudować w czulém jéj sercu drugiego siebie, chciał się wkraść w najsubtelniejsze tętna duszy, aby go zrozumiała, aby czuła podług jego myśli.

Myliłby się, ktoby mniemał, że Zofja była tak ostatecznie bojaźliwą, tak nieświadomą wszelkich towarzyskich stosunków i myśli, zbaczających z drogi pacierza, robótek, lub fortepianu, którym się pysznił tak bardzo jéj ojciec. Miłość, nie przemawiająca do jéj serca ze strony rodziców, znalazła sobie inne sposoby do zaszczepienia się w tém sercu. Wprawdzie pan Franciszek w chwilach, kiedy o córce myśleć mu przyszło, sądził że ją kocha i to bar-

dzo nawet, ale to własne jego przekonanie, bynajmniej go nie pobudziło do zaszczepienia w sercu dziecięcia pewnego związku, gorącego a swobodnego uczucia, tyle miłego w stosunkach dzieci i rodziców i wykwitającego częstokroć w czyny poświęcenia, lub w ową szczytną harmonję rodzinną, pomagającą do tradycyjnego przechowania cnót i przymiotów. Sądząc że kocha swoją córkę, pan Franciszek nie dawał jęj żadnego moralnego pokarmu, nie pielęgnował żadnego uczucia; był dla nięj zawsze jakby obcym. Zofja znała ojca swego tylko z jego gniewu, ze słów groźnych, któremi do nięj przemawiał. Straciła ona wiele, gdyż i matka, przygnębiona despotyzmem męża, nie śmiąc żadnych towarzyskich rad jęj udzielać, była także jakby obcą dla córki, pod względem moralnych wskazówek. Z tém wszystkiem, w pierś Zofji rzuciła natura przymioty, których żadne przygnębienia stłumić nie zdołały. Wielce już złego serca potrzeba, aby zupełnie i bezpowrotnie utraciło związek, łączący je ze społeczeństwem. Tym więc sposobem świat miłości rozkwitającęj dziewicy, pomimo uchylenia się rodziców od jego rozwijania, istniał w nięj silny, niezależny.

Przytém ostatniemi czasy, właśnie podczas rozkwitania Zofji, u państwa Franciszków była klucznica, która dziwnie pokochała młodą panienkę. Była to wdowa, mająca już lat trzydzieści kilka,

dosyć jeszcze przystojna, obyczajów surowych, choć nie owych klasztorno-świętoszkowych, wesoła, swobodna, czasem nawet trywjalna. Dowiedziawszy się o jój przymiotach pani Franciszkowa, po oddaleniu dawniej klucznicy, starała się wszelkimi sposobami, aby ją do siebie namówić, czego wreszcie dopięła. Chociaż bowiem oboje z mężem byli skąpi niemilosiernie, zawszeż jednak gospodarstwo było tak obszerném, że sama gospodyni nie mogła mu wystarczyć. Zresztą, pan Franciszek, nie był przeciwnym zapewnieniu dla swój małżonki, pomocy kobiety przystojnej, nie starój. Jeżeliby rzecz szła o parobka, potrzebaby było ostatecznej konieczności na przyzwolenie, lecz płeć nadobna czyniła i na jego sercu niepoślednie wrażenie. — Wszak miał się za człowieka poczciwego, a to nie przeszkadzało poczciwości i — kieszeni. Nie wiedział pan Franciszek, że zmarły mąż jój, dzielny stolarz, tak przez wdowę był żalowanym, że pozostała twardą kamiennie na wszelkie, choćby łaskawe, pańskie ponęty. To więcj jeszcze zachęcało pana Franciszka, który ciągle pieścił nadzieję zdobycia względów klucznicy. Wdowa nie zmieniała swój stałości i tak ciągnęło się życie z dnia na dzień.

Pani Janowa (tak zwano klucznicę), widząc, jak się obchodzą z jedyną córką państwo Franciszkowie, powzięła ku niej przychylność, która wkrótce zamieniła się w prawdziwe przywiązanie. Po nie-

jakim czasie Zofja nie miała żadnej myśli, z którąby się nie zwierzyła klucznicy. Wszak musiała do kogokolwiek przytulić serce! Po nastaniu klucznicy do rodziców (przed dwoma laty blisko), słysząc ota- czające siedzibę gwary światowego życia, a mając wtedy lat szesnaście, zachowawszy téż cokolwiek w pamięci pobyt u ciotki, u której nauczyła się grać na fortepianie, tysiące czyniła Zofja zapytań swojej nowej przyjaciółce. Ta, wierna swojej uczci- wości, objaśniała ją we wszystkim także uczciwie, ale naturalnie ze swego stanowiska. Tym sposobem wzmogła się i w niej, żywsza zwykle u kobiet, cieka- wość tego wszystkiego, co się odbywało po za ich domem i kościołem. Tym także sposobem, opisy roz- maitych zabaw, uroczystości, staranie się o rękę panien, opisy małżeństw i powabów życia sercowe- go, przybierały w młodej główce rozmiary olbrzy- mie, jasne bez najmniejszej chmurki, jakieś niedo- ścigłe, cudowne. To, stawiając ją w obec posepno- ści własnego życia, wyrodziło w niej pewien żal do rodziców, żal że pozbawioną została tego, z czego korzystają dzieci, lubione przez opiekunów; wyrodzi- ło w niej także pewną ukrytą moc postanowienia na przypadek, gdyby i ona wreszcie znalazła tego, coby ją pokochał. Nie oburzała klucznica córki przeciw rodzicom, jak to często bywa w takich ra- zach, nie uczyła jéj nienawiści, ale stanawszy po stronie ulubionej swojej panienki, wprowadziła ją

powoli w dziedzinę niejako odporną, której objawy były u Zofji tępem, jak nateraz, jeszcze narzędziem, ale zawsze narzędziem obrony. Prawda, że nie było tam chęci sprzeciwiania się, ale obawiać się należało, że ta chęć nie wyszła na jaw jedynie z powodu braku zewnętrznych, mogących ją pobudzić wypadków.

Dziwią się zapewne czytelnicy, czemu nic nie mówimy o matce, mówiąc o klucznicy i jej wpływie. Cóż, kiedy istotnie pani Franciszkowa mniej wywierała na swoją córkę wpływu, niż ruchliwa klucznica. Była to kobieta, o której trudno powiedzieć cośkolwiek. Nie miała żadnej górującej namiętności, nie miała żadnego znaczenia w obec męża, on bowiem jedynym był przewodnikiem, zarówno w sprawach męzkich, jak kobiecych. Nie miała żadnej cnoty wydatnej, któraby córkę pociągnąć mogła za sobą. Córka ją kochała, ale kochała dla tego tylko, że była córką i że matka jej zdawała się być nieszczęśliwą, jak ona. Serdecznego jednak porozumienia pomiędzy niemi być nie mogło, bo pani Franciszkowa, ani sama nie oburzała się przeciwko tyranii męża, ani pomyślała bronić córki. Owszem, przyjmowała wszystko, jak było, z pewnym tępem poddaniem się. Codzienne zajęcia gospodarskie, posty, modlitwy i wypełnianie rozkazów pana Franciszka na ślepo, zatarły jej indywidualność sercową. Zdawała się nie posiadać ani złych, ani dobrych przy-

miotów. Była to więc pod pewnym względem kobieta poczciwa, ale bezbarwna; nic na nią silnie podziałać nie mogło. Jedyném jój wspomnieniem był dawny wielbiciel, który na lat dziesięć jeszcze przed zamąż pójściem, chciał ją poślubić; rada myślała o tém i wspominała niekiedy, jak już mieliśmy sposobność słyszeć. Ubrana zawsze w przestroną, długą algierę brunatną, w trzewiki z grubemi podeszwami, treptała około gospodarki, w promienistym czepcu na głowie, sucha, zawiędła, zmarszczona. Podobną była raczej do sztucznie poruszanego posążku, tyle w niej było abnegacyi, nie godnej zaiste uwagi przez swoją nicość, ale zasługującej na nią przez swoją rzadkość. Zrobić dobrą pieczeń wołową na obiad panu Franciszkowi, usmarzyć powidła, zakonserwować marynaty, stanowiło jedyną jój umiejętność.

Pan Franciszek wszystko w niej przytępił, uczynił ją bojaźliwą, niezdecydowaną, machinalną. Dom jego był poziomem, w którym kobieta oddalona jest do rzędu służebnic i sprzętów. Podział życia tam nie istnieje; tam kobieta nie dopełnia mężczyzny. Istnieją tam funkcje i mechaniczne koło pracy.

W tym poziomie ścierają i depczą to, co w świecie innym chlubą jest i godłem kobiety—serce. Nie wymagają tam niczego więcej prócz—posłuszeństwa i—ciała.

Aureola czarowna, upiększająca życie, sprowadzająca anielskie godziny lubego porozumienia, nie jaśnieje tam wcale.

Tam nie ma wspomnień jasnych i nie ma jasnych nadziei!

Łatwo wystawią sobie czytelnicy, jakie myśli ovladnęły Zofję, po jęj sfrunięciu napowrót do swego kącika. Taka niezwykła troskliwość i łaskawość rodziców napełniły ją najsprzeczniejszemi uczuciami. Od najżywszjęj radości przechodziła w gorączkową zadumę. Takie przygotowanie jęj przez rodziców do *sprzyjania* kawalerowi, zapowiadało wielką zmianę w dotychczasowém jęj życiu. Niecierpliwa, płonąca, lekka, podbiegła do swojęj przyjaciółki, która spokojnie robiła pończochę,—dotknęła jęj ramienia i zawołała:

— Pani Janowa, ze mną coś chcą zrobić!

— Aby tylko co dobrego, to i owszem,—odrzekła klucznica podnosząc głowę.

— Alboż ja wiem, co się to stało? Ojciec był dzisiaj taki łaskaw! Musiałam się kręcić jakby na sprężynach; oglądali mnie naokoło.

— A o czém mówił ojciec, moje kochanie?

— O kawalerach—wyraźnie o kawalerach.

— Czyż to być mogło!

— Było z pewnością...

— Ha, zresztą taka rzecz nie mogła być źle słyszana. Panna Zofja pójdzie pewno zamaż.

— Czyż to być może! zawołała Zofja z nieudaną sensacją.

— O, to właśnie bardzo być może.

— A gdzież mężczyzna? Alboż ja kocham kogo?

— Za to może już ktoś kocha pannę Zofję.

Zofja się zamyśliła, a w zamyśleniu tém zdawała się przemieniać z białej lilji w przepyszną różę.

— Prędzej czy później, panno Zofjo, musi to nastąpić. Trzeba. Zresztą, może u męża będzie lepiej, niż tutaj. A tamten, co to tak patrzył przy kościele...

— Cicho, cicho Janowa... na serjo mówię, że nie chcę myśleć o tém.

— Z temi słowy usiadła obok przyjaciółki, przytuliła się do jej ramienia i jakby półśniąca, półzadumana, razem radośna i wątpiąca, przysunęła się powoli do jej ucha i rzekła tak cicho, że nikt, nawet najbliższa z przadek, pracujących w izbie, słyszeć jej nie mógł:

— Już jeżeliby chodziło o kochanie, to... kochałabym... jednego, ale tylko jednego.

— A możnaż kochać więcej jak jednego? podchwyciła ze złośliwym uśmiechem klucznica. A to pięknie! Chwalić się, że tylko jednego!

— Pani Janowa, źle tłumaczycie moje myśli.

— Alboż wiem, co panna Zofja myśli?

— Nie dokuczajcie, bo sobie pójdę, — rzekła wreszcie Zofja, cokolwiek zadąsana.

— Panno Zofjo! O, rozgniewał się już klejnocik! Ja tylko żartowałam. Czy mogę wiedzieć, kto był by tym jednym? Ten, co przy kościele...

— Bo... widzicie pani Janowa... ten sam, który był w tych okolicach już w przeszłym roku, ten sam, cośmy go widziały niedawno, gdy jechał z synem pani S* do kościoła, w przeszłą niedzielę i... no ten sam, co przy kościele...

— I cóż dalej? śmiało tylko, panno Zofjo.

— Ale nic dalej.... patrzył się na mnie bardzo...

— A panna Zofja?

— Nie patrzyłam ani trochę...

— No, to jeszcze pół biedy, kiedy się nie patrzy ani trochę a widzi—wszystko! Więc kochałybyśmy tylko tego jednego?...

— Żeby to o nim mówił ojciec... Wolałabym żeby o nim, niż o kim innym. Widzisz pani Janowa, jaka ja szczerą jestem...

— To też będą to umiała ocenić.

— Cóżby to było, gdyby to on był!

— I cóżby było? Uszyłybyśmy prześliczną suknię białą—na włosach znalazłby się wianek z welonem. I trzewiczki musiałyby być maleńkie, po raz pierwszy zrobione do nóżki. Wszystko więc byłoby prześlicznie, tylko... chodzi o narzeczonego—kto nim będzie?

— Tak, któż nim będzie!

— Zkąd się to państwu wzięło tak raptem?

Tak szeptały do siebie dwie przyjaciółki.

Zofja więc myślała już o Teodorze. Sympatja, powzięta ku niemu w przeszłym jeszcze roku, gdy przyjeżdżał do matki Stanisława, za interesami syna, odżyła teraz. Przeczula i ona, podczas spotkania na drodze do kościoła, że Teodor zachwyił się ję widokiem. To ją tak ucieszyło, że ciągle myślała o swoim tryumfie; a jeżeli myśl karmi się z radością tryumfem, odniesionym nad pożądanym sercu... to cóż z tę radości wynika, jeżeli nie—miłość?

Zaraz nazajutrz po tę wszystkim, cośmy w domu pana Franciszka widzieli, zaczęto się tam krzątać około powziętego celu. Na co pan Franciszek się wziął, to musiało być wykonanę, i takię po niekąd stałości swojej winien był majątek, do którego doszedł z niczego.

Około godziny dziesiątę z rana, na trzeci dzień po wizycie Micusia, zjawił się umyślnie przywołanyj żyd, krawiec z miasteczka; używano go powszechnie do robót damskich, z czego nawet nabył pewné sławy na okolicę. Nigdy nie ubliżył, robotą, postaci choćby najmniej wykwintnę z tych pań, dla których szyl ubranie. I wyżej jeszcze sięgał—zastępowal czasem naturę, jeśli ta okazała się macochą; doszedł do pewnego rodzaju mistrzostwa w wykładaniu wata i innemi materiałami miejsc ubioru, koniecznie tego wymagających, dla dopełnienia... nie-

dosyć dokładnych kształtów. Dawid nie ograniczał się pochlebstwem słowném, tak zwaném basowaniem, dość powszedniem u ludzi rzemiosła—Dawid umiał pochlebiać czynem, umiał zrobić ubranie tak, że niejeden tors wątpliwego powabu, pod wpływem przemysłu Dawida, przemieniał się w kształtną formę modelu. Robił arcydzieła z rzeczy niedokończonych przez naturę—rzecz zaiste niezwykła i odpowiednio téż ceniona w skromnej osobie prowincjonalnego krawca; témbardziej, że wszystkich tych środków używał niby niechęcący, niby przez niewiadomość, nie wspominając o nich ani słowa. Przytém Dawid tyle posiadał taktu, że znajomości swego fachu, w rzeczach gustu, nie posuwał do narzucania swoich wskazówek; stosował się on ściśle do najzuchwalszych życzeń pod względem cienkości kibici, obcisłości gorsu, wykroju u szyi, co szczególnie wielkie ma znaczenie u dam prowincjonalnych niższego rzędu.

Znalazłszy się w obec Zofji, patrzył na nią z wyrazem pewności i powagi bywalca, usprawiedliwionej przez tak znakomite usługi; potem przystąpił, gładząc brodę z zadowoleniem, do zdejmowania miary. I widoczném było, że im bardziej Dawid przypatrywał się postaci Zofji, tém się bardziej zdumiewał. Nakoniec, nie mógł się wstrzymać od dosyć szczerego wykrzyknika:

— Na sumienie, jak się pani pokaże na balu, to będzie tam... aj!

Zofja stojąc do niego bokiem, odwróciła cokolwiek głowę w stronę mówiącego, i chociaż jój spojrzenie w tój chwili, podobném było do błyskawicy zadowolenia, miało jednak wyraz taki, z jakim patrzyłaby bogini na hołd śmiertelnika, kochając Jowisza. O wielu rzeczach nie wiedziała, lecz trudno uwierzyć, aby nie wiedziała, że ma postać i kibić wytworną.

Szyja Dawid wziął miarę w milczeniu i, po raz pierwszy może, żadnych zaleceń, co do kroju, wyszukłości stanu i t. d. nie usłyszał. Kiwając głowę znacząco, obchodził ten posąg doskonały i przenosił na papier, liczby miarowej taśmy. Ukończywszy to wreszcie, nie mógł się wstrzymać, aby jeszcze nie dodać:

— Jeżeli pani pójdzie w swojej nowej sukni nie do dobrych przyjaciółek, to będzie bardzo wiele zażdrości. Ale co pani winna temu, że Pan Bóg tu dał, a tam nie dał?

Pan Franciszek, wynagradzając milczenie swój żony i słuchając przymówień krawca z zadowoleniem taktyka, wtrącał się ciągle do tój czynności i powtarzał:

— Tylko pamiętaj, Dawidzie, żeby mi to było dobrze zrobione i nie drogo. Powiem ci po przyjacielsku, że dwa te przymioty zapewnią ci powodzenie

w okolicy, bo ja cię wszędzie chwalić będę. A wiesz, że moja protekcja coś znaczy.

Dawid, który wcale o tém nie wiedział, nic na to nie odpowiadał i uśmiechał się z pewną raczej filuterją, niż nadzieją na wielki rezultat protekcji pana Franciszka.

Następnie ojciec ten, tak nagle troskliwy, pojechał na jarmark, o mil kilka, kupił tam zapowiedziane książki romansowe i mydła migdałowego, mrużąc do siebie, gdy wracał do domu:

— Niech pachnie...

Łączyła się [w tym człowieku, duma dorobkowicza z nieokrziesaniem, świadczącym o bardzo pochmurnej sferze początkowego wychowania. Pewne prostactwo i ostrość, wyjawiały się na każdym kroku.

Teraz więc los Zofji odrazu się polepszył. Miała więcej swobody, więcej ruchu, więcej przedmiotów do myślenia i marzeń. Jak ptaszę, wypuszczone z niewoli, biegała od fortepianu do nowouszytych strojów, do książek, wesoło z odbłyskiem nadziei na czole.

Pan Franciszek, ani się spodziewając, aby się już kimkolwiek z mężczyzn zajęła, przypisywał tę wesołość jedynie skutkom swego postępowania. Zofja zaś dzięki popędowi, jaki jęj dało to postępowanie, skierowała wszystkie swoje nadzieje ku postaci Teodora. Nie roztrząsała dziewica, o kim z ludzi my-

śléc powinna, bo serce pociągnęło ją ku osobie, która ją błogiém przejmowała już uczuciem.

Biorąc na siebie strój świeży, już dbała o to, czy by się to *jemu* podobało. Przymierzając nowy kapelusz z jarmarku, mówiła do siebie:

— Teraz już nie zobaczy tych szkaradnych kwiatów!

Tymczasem Micuś puścił daléj wodze swoim widokom. Był on podobnym do téj z najpospolitszych u nas ryb — miętusa, który w napelnieniu nowym błotnym przylewem osuszonej kałuży, nowe zyskuje życie. Postanowiwszy *ciągnąć*, o ile się da, z pana Franciszka, chciał koniecznie sprowadzić Stanisława do jego domu. Długo myślał nad sposobem, ale wreszcie przypomniał sobie, że Stanisław bardzo lubi konie, że nawet niedawno zapłacił trzy tysiące złotych za karego wierzchowca. Zadowolony z tego pomyslnego przypomnienia, Micuś klasnął wręce i krzyknął:

— Już go mam teraz!

Nie tracąc czasu wybrał się w drogę.

Przejdźmy do Stanisława. Powrócił niedawno z konnej przejażdżki i chodził szerokimi krokami po pokoju, nucąc jakąś piosnkę. Ale uderzony nagle jakby spotkaniem z kimś niewidzialnym, przestał śpiewać i ręką przeciągnął po czole. W pokoju roz-

legały się już tylko szybkie kroki jego męzkiego chodu.

W tém wszedł lokaj i zaanonsował:

— Pan Maciej Micki prosi o chwilę rozmowy.

— Micki? nie znam nikogo z tém nazwiskiem.

— To ten proszę pana, co go, nie wiem dla czego, państwo Micusiem nazywają.

— A, o tém coś słyszałem. Dobrze—niech wejdzie.

Niezadługo ukazało się we drzwiach potworne czoło Micusia.

Fizjonomja jego bowiem była wcale niezwykłą. Micuś miał czoło ogromne, mięsiste, wybiegające mu na oczy z pod gęstěj czupryny, jak hełm rycerski z pod pióropuszu; na pierwszy rzut oka zdawało się, że drągiem niepodobna nadwerezzyć tego czoła. Los, jakoby chciał poddać je takiěj próbie i sprawił, że w skutku jakiegoś uderzenia, o którym mówić Micuś nie lubił, w jednym boku tego czoła widać było znaczne wgłębienie, zabliznione, bez najmniejszego uszkodzenia kości. Niżej, od czoła, twarz zwęzłała się ku końcowi brody tak mocno, że wyglądała ostro i sucho, niby dziób sępa. Małe szare oczy błyszczały przebiegle. Długi surdut wisiał na jego niezgrabnej postaci, jak na manekinie.

— Proszę, proszę dalej, do pokoju—mówił Stanisław, przypatrując się z pewnym wyrazem obawy temu czołu barana i nosowi wilka.

— Może przeszkadzam? bardzo przepraszam; gość nie w porę, gorzej Tatar. Niech pan dobrodziej powie otwarcie—wyjdę.

— Ale po cóż pan masz wychodzić, kiedyś tu przybył. Proszę dalej.

Micus stanął na środku pokoju.

— Zapewne panu nie znany — mówił z błogim uśmiechem. Ale zna mnie tu cała okolica pod poczciwem mianem Micusia, które mi z życzliwości nadano. Tak, bo też ludziskom usługiwałem, ile mogłem, swoim nauczycielstwem. Matkę pańską dobrodzikę mam przyjemność znać od bardzo dawnego czasu, a i pana znam od dziecka, choć nie miałem szczęścia go uczyć.

— Szkoda, szkoda—rzekł Stanisław z uśmiechem.

— Ale dzięki Bogu, nic pan na tém nie stracił — mówił Micus z miną skromności i pokory, okraszony słodyczą—prawdę rzekłszy było się tu tylko baranów i nic więcej. Wychowanie, prawdziwie pańskiego, wychowanie delikatnego, jakos tu nie było. Szła wszakże przy pomocy węgierskiego plastra mojącego w oku...
... w oku...

— Przy pomocy plastra?

— Cha cha cha! to pan wyobudził się nie domyśla? To tak sobie, dla pociechy dzieciaków...

Stanisław nic na to nie odpowiedział; poszedł po cygara do stolika, stojącego w jednym z rogów pokoju mówiąc do siebie:

— A to ciekawe. Co za fatalność wytworzyła tego dziwoląga? Gada jak bakałarz, patrzy jak baran, a paszczą jak wilk porusza. Zobaczmy, co to takiego?

Z tem wrócił, podał Micusiowi cygaro i wskazał krzesło; sam zaś usiadł naprzeciw niego i przypatrywał mu się ciekawie.

Micus, rozpoczynając rozmowę o sąsiedztwie, o zabawach, zatracił coś z polityki, doszedł wreszcie do ulubionego, jak mniemał, przedmiotu Stanisława — do koni.

— Mówią, że wino i kobiety, to najulubieńsze potrawy dzisiejszej młodzieży, prawil Micus z tajemniczym uśmiechem. A jabym dodał do tego konie, i możebym je nawet na pierwszym miejscu postawił.

— Jak czyje gusta, — odrzekł Stanisław — pan musisz mieć piękne konie?

— Ja wcale koni, na nieszczęście, nie posiadam, ale pan musiał już widzieć konie naszego sąsiada?

— Którego sąsiada?

— Jakto, czy być może? Nie widział pan jeszcze koni Ślepowrońskiego?

— Ale słyzałem o nich — mówił Stanisław dosyć oziębłe.

— Ma je na zbyciu; uważałem więc za święty obowiązek uwiadomić o tém pana. Zresztą, to bar-

dzo miły człowiek, sąsiad Ślepowroński i nietylko piękne konie znaleźć u niego można.

Tu Micuś uśmiechnął się jak mógł najpiękniej.

— Jak to pan rozumiesz? zapytał Stanisław.

— Jest tam coś... rzekł Micuś i znowu się uśmiechał tajemniczo.

— Zechciejże pan powiedzieć mi wyraźnie.

— Śliczne stworzenie... szepnął Micuś nachylając się poufnie do ucha Stanisława. Czy być może, aby jój pan nie widział? Taka piękna panna!

— A, to o pannę rzecz idzie? Pannę Ślepowrońską widuję niekiedy. Ale do czego to prowadzi?

— Ha, to tak w rozmowie przyszło od koni, samo przez się. To pan dobrodziej mówi, że widuje czasem tę piękną pannę; ależ nigdy tam pana nie widziałem. Choć szkoda, że pan tam nie był ani razu. Dom to bardzo gościnny. Prawda, że mój przyjaciel przebiera w przyjaciółach i niebardzo się przez to komunikuje, ale za to, umie cenić ludzi i kogo pokocha, gotów mu wszystko oddać.

— To pan masz piękną perspektywę, rzekł Stanisław patrząc komicznie na twarz Micusia.

— Tak, hm, co do mnie, to rzecz inna... ale tak, zapewne; tylko że ja już jestem za stary, abym się czego spodziewał. Ale ten, ktoby się z jego córką ożenił — o!...

— To tak kocha bardzo córkę pan Ślepowroński?

— Ha, najlepiejby było, gdyby się pan sam

o tém przekonał. Nie chcę mówić o tém, bo mógłby mnie pan posądzić o jakie faktorstwo, a tymczasem konie tylko są przedmiotem dzisiejszych moich odwiedzin.

— Gotów jestem zobaczyć konie.

Micusz zajaśniał radością; w jego myśli zabłysły kury, indyki, całe faski masła, całe wozy kapusty i kartofli. Pogawędził jeszcze czas niejaki, wskazał Stanisławowi porę, w której najłatwiej pana Franciszka zastać można w domu i odjechał. Przybywszy do domu, chciałby na skrzydłach lecieć do pana Franciszka, żeby go przygotować do wizyty Stanisława. Ale od Micusia do pana Franciszka było dosyć daleko. To go wstrzymało, kłął ze złości, że nie blisko mieszka, że musi pieniądze na furmankę wydawać, ale interes zdawał mu się tak nagłym, że odwlekać nie chciał. Wpadł więc na myśl, aby doczekać ranka i oddać list do pana Franciszka pachciarzowi; który codziennie z mlekiem do miasteczka się udawał; mógł zatem, powracając, pismo doręczyć. Chwycił przeto za pióro i napisał list, który przytaczamy tu całkowicie, jak dla stylu, tak dla niespodziewanej roli, jaką odegrał chwilowo w biegu wypadków naszej powieści. Brzmiał on następująco:

„Szanowny Mości Dobrodzieju!

Niedarmo mówią ludzie: chłop strzela, Pan Bóg kule nosi, bo ja naprzykład chciałem być u pana

osobiście, a muszę poprzestać na liście (przypominają mi się młode lata — same słowa się rymują); oczywiście, domyślam się w tem jakiegoś czcigodnego przeznaczenia, które mnie prowadzi do tego, żeby Panu donosić, że plan się udaje, bo jeżelić Pan Dobrodziej tak sobie życzysz szczęścia tego, które ma stanowić prawdziwą radość matrymonjalną jego Jedynaczki, to pan Stanisław, jakoby skłoniony ręką Opatrzności ku temu, aby się przystojnie zakochać, obrączki ślubne na dłonie włożyć i nadziać na skroń tak pięknej dziewicy gałązki wieńca myrtowego; a potem, przed ołtarzem Najwyższego, serca na wieki połączyć — zamyśla kupić u pana konie. Wszystko to ja zrobiłem, z czego się cieszę niewymownie, chociaż jeżelibym miał wyznać prawdę, myślę, że dopiero finis coronat opus, i że jeszcze wiele wody upłynie, wprzód nim niestałość młodzieży się utemperuje, a pan Stanisław wejdzie na tory myśli tyle znakomitych, jakimi są: Bojaźń Boża, dobra żona i stałość w przedsięwzięciach. Czego sobie życząc, jak również i domowi Pańskiemu, mam honor przemyśliwać nad tem, jakim sposobem tego dopiąć, co przedstawia mi znowu dobrą nadzieję z powodu zawarcia już ścisłych z panem Stanisławem stosunków, co Szanowny pan Dobrodziej ocenić potrafiysz.....

Najniższy sługa.

NB. Maselko dziwnie mi smakowało.“

Lecz któż nie doznał kiedykolwiek zawodu w najserdeczniejszych zamiarach? Niepowodzenie, jakoby przypominając dramatyczną stronę życia, ciągle się nam narzuca przekornie. Gdzie jest szczęśliwy nawet kochanek, któryby od lubej żadnej nie doznał goryczy, gdzie marzyciel, któryby nie doznał chwil rozczarowania, gdzie ojciec, coby się o los dziecka nie troszczył? Czy znajdzie się zbrodniarz bez rozpacz i żalu, lichwiarz bez straty zysków, bankier bez grymasu fortuny? Dla czegożby więc Micuś miał być wyjętym z pod tego ogólnie ludzkiego prawa?

Po napisaniu listu, położył go na stole i zasnął smaczno, tak, że nazajutrz przebudził się około godziny ósmej z rana. Zaledwie zdołał się ubrać, a tu pachciarz zatrzymuje się przed domem. Znając częste stosunki Micusia z panem Franciszkiem, miał zwyczaj zatrzymywać się przed mieszkaniem pierwszego, gdy z targu do domu powracał. Ujrzał go Micuś i w okno zapukał; pachciarz przyszedł, a gdy list miał mu być oddanym, okazało się, że nie było czem zapieczętować. Micuś szukał laku daremnie i napróżno klął z hałasem; oddał list podlepony opłatkiem.

Żydek pojechał. W tym samym dniu, odebrał z poczty listy adresowane na imie pani S*, matki Stanisława i na imię Teodora. Do tych więc dwóch listów dołączył otrzymany od Micusia i zawinał je wszyst-

kie, jak to bywa niekiedy, do jakiejś brudnej chustki.

Na drodze o pół mili od dworu pana Franciszka, spotkał panią S*, jadącą do miasteczka za sprawunkami. Pachciarz się zatrzymał, dał znak jadącej, aby się zatrzymała także, wyciągnął chustkę z listami i odwinąwszy je, podał wszystkie, aby sobie listy właściwe wybrała adresantka.

Przy otrzymaniu listów, doznaje się pewnego gorączkowego wrażenia, usposabiającego do jak najprędszego zajrzenia wewnątrz, nie patrząc prawie na adres. W takim samym była usposobieniu pani S* i otworzyła list Micusia, tembardziej że pachciarz nie objaśnił jej, że tam są listy i do kogo innego. Choć spostrzegła się od razu niecierpliwa dama, co uczyniła, bynajmniej jednak cofać się nie myślała, zaciekawiło ją bowiem niemało pocieszne postscriptum o masełku. Bystro więc cały list przeczytała i potem dopiero, niby zdziwiona, zawołała:

— Cóż to znaczy? list nie do mnie!

— Ale tam musi być jeden i do wielmożnej pani, rzekł pachciarz.

— A prawda, prawda, — mówiła pani S* przepatrując dwa pozostałe listy. Jakażem nieostrożna!

— No, to list tego Mićka; przecie nie zapieczętowany.

Zadowolona z tego, że tak łagodnego ma kontrolera tajemnicy listowej, dama znowu włożyła

list do koperty i przykleiła opłatek, przyglądziwszy starannie rozdarty papier.

Zamiast więc zadowolenia jednej z listu tego osoby, dwie się znalazły zadowolonymi. Pani S* była zadowolona, że dowiedziała się o planach na jej syna; pan Franciszek zaś ucieszył się bardzo, że na córkę jej zwróci oczy bogaty młodzieniec, i mówił do siebie:

— Kiedykolwiek przecież trzeba się będzie pozbyć dziecka; lepiej więc, że odrazu zabierze ją dobrze opierzony ptaszek, z pięknej przytem rodziny, lepiej, że nie będzie długo czekać na męża, bo za byle kogo nie wydałbym jej nigdy.

Przejdźmy teraz na chwilę do matki Stanisława. Przypomnijmy sobie usposobienie tej kapryśnej damy. Lubiła panować, chciała koniecznie mieć na każde zawołanie, pod bokiem, takiego, któremuby powierzać mogła swoje wrażenia, gniewać się i cieszyć, zapuszczać się w te niewieścich mrzonek tajniki, które przez subtelność swoją, wymagają nagłych rzutów fantazji, błyskotliwych obrazów, słowem owego niczego, z którego tworzą się w urywanych rozmowach sceny jakieś obłoczne, lotne, dramatyczne, pobudzające do poufnej kłótni, albo nawet do błysków dowcipu.

Gardziła ona mężczyznami i kobietami, oddającymi się powszednim tylko sprawom życia; chciała, aby wszyscy czegoś pragnęli. Nienawidziła zarówno mężczyzn spokojnych, jak i młodzieńców niewinnych. Gniewała się wyraźnie, ujrawszy na licach mężczyzny rumieniec skromności. Niezadowolona ze świata, czysta, mimo swobody myślenia i postępowania, chciała przecież natrafić na człowieka, któryby ją rozumiał. Dotąd zawodziła się ciągle, odepchnąwszy już mnóstwo wielbicieli, którzy przez długi czas jej wdowieństwa, ciągle się zmieniali. Z przestraczem widziała zbliżające się lata późne. Kobieta ta chciała, aby znalazł się taki, co by ją kochał tak, jak to sobie sama wyobraziła, wypieściła w fantazji rozkołysanej. Wiele było wypadków, które zdawały się ją doprowadzać do szczytu marzeń. Zapoznana z nowym jakim mężczyzną, pociągnięta jego wymową lub rozumem, już miała mu się oddać z zapalem, już dążyła ugiąć dumną głowę pod jarzmo hymenu; myśli jej wiązały się w cudne, wielkie: „znalazłam!“ — gdy jedna okoliczność, jedno czasem drobne słowo, jedno spostrzeżenie burzyło wszystko. Badala zwykle mężczyznę tak długo, dopóki nie natrafiła na coś dla siebie nieprzyjemnego, odpychającego. Cały gmach wymarzony szczęścia burzyło odrazu rozczarowanie.

Tymczasem lata szły swoją koleją, a nasza pani zamiast się usatkwować, stawała się codzien drażliwszą. Czuła się osamotnioną wbrew myśli i nadziejom całego życia, i znowu, nie wierzyła, aby samotną nazawsze miała pozostać; nie mogła się pogodzić z groźbą lat, nie mogła przebaczyć losowi, że ją zwycięża, nie mogła przebaczyć mężczyznom, że jój *zrozumieć* nie zdołali. Czego od nich pragnęła, jakimi ich mieć żądała — czy to miały być tytany, czy nadobne sylfy, posągi cnoty, czyteż obłoczne widma, nie wiedziała sama, ale czuła, że jest w przestworzach, w głębi ludzkości postać, która by jój przypaść mogła do duszy. Marzycielka namiętna, nie chciała pogodzić się z tém, aby już nie miała znaleźć swego ideału.

Miewała chwile uniesień rokosznych, nawet szczytnych, ale zaraz potém zżymała się, że nie ma ich z kim podzielić. Kochała, jak się jój zdawało, po kolei, — artystów, szarlatanów, uczonych, tancerzy, olbrzymów i karłów, a z wszystkich wreszcie była niezadowoloną.

W takiój to wojnie z losem czy duszą własną, doszła do lat czterdziestu. Widnokrąg jój marzeń zdawał się być zaciśniętym w ramy jakiegoś chłodu, jakiejś nieubłaganej granicy. Z jój powabnej postaci poopadały już arcydzieła natury — świeżość i cera; gasły ostatnie kwiaty wdzięku; twarz jój nie nęciła już nikogo, prócz badacza lub chciwca,

Widziała się już zmuszoną każdą chwilę przestawania z takimi, którzy się jój podobali, opłacać staraniem, przechodzącym jój siły i ofiarę dumy kobiecój, zaprawionój na dawniejszych hołdach. Szarpała czasem w gniewie swoje koronki na piersiach i tupała drobną stopą po nieczulój posadzce.

Nadeszła dla niój pora, kiedy już nie do niój mężczyźni, lecz ona do nich przychodziła niejako z prośbą o chwilę porozumienia. Zaiste, była to prośba; bez słów, głucha, bez formy, ale równie dla niój upokarzająca.

Bywały chwile, w których zdawało się jój, że tonie w jakimś odmęcie zapomnienia, w których uczuwała się już zmęczoną wysileniem. Nadchodzące chmury późniejszego wieku były dla niój jakby różgą, którą zdawał się ją smagać świat uciekający. Była więc to gniewną, zuchwałą, to znowu potulną jak baranek. Zastęp wielbicieli rozproszył się dawno i już widywała koło siebie tych tylko, któremi gardziła. Czowała, że wartość jój osoby przechodzi niejako w wartość jój majątków...

W takiój to właśnie chwili przybył Teodor do jój domu. Doznała dziwnego uczucia po kilku rozmowach. Dziwiła się, że w roku zeszłym tak mało na niego zwracała uwagi. Żywa i skłonna do marzeń jak zwykle, wyobraziła sobie, że on to właśnie może ją wyratować z rozbijającej się łodzi jój życia, że on powinien ją ocenić. Przeszłego roku prawie

z nim nie rozmawiała; teraz drząc na dźwięk jego męskiego głosu, zaczęła poznawać jego wzniosły, choć spokojny, charakter. Widziała w nim teraz mężczyznę, pełnego samodzielności, gdy przedtem nie dostrzegała nic więcej, prócz skromnego młodzieńca. Zdawało się jęj, że znalazła serce, do którego dążyła przez całe życie. Czy to było nagłe złudzenie, czy też pochwycenie ostatniej deski zbawienia w toniach obojętności światowej, trudno określić. Najpewniej było jedno i drugie.

Ale zapomniała o jednej rzeczy. Teodor widział w niej już tylko ruinę, nie pozbawioną pewnego sympatycznego wyrazu cierpienia, ale nikłą, bladą w obec zorzy, w światłościach której się zatapiał, w obec Zofji.

Tym sposobem zawody, jakie ją spotykały przez całe życie, przysły i tu rozburzyć jęj nadzieje ostatecznie, stawiając obok rywalkę i jęj przymioty bezwzględnie potężne, bo rozkwitające, urocze. Uczuła się wewnątrznie pobitą, w obec poniewieranej przez nią potęgi porannej młodości. Kiedy bowiem zaczęła się zajmować szczerze Teodorem, dowiedziała się jednocześnie, że on się zajmuje Zofją. Słyszając od Stanisława o tęg rodzącej się miłości, sądziła się jednak władną dotyla, że potrafi zatrzeć w nim wpływy Zofji. Poczynająca się zazdrość zaślepiała ją, jak to zwykle bywa. Czowała jeszcze w sobie pewną potęgę i moc doświadczenia. W przystę-

pie gorącej chęci ujarznienia Teodora, tak dalece zaufała swoim subtelnościom, swoim pojęciom oderwanym, że ani myśląc złożyć broni, postanowiła działać na szkodę rywalki.

Nie pojmując nigdy czystego, otwartego, niedowcipkowanego szczęścia, wszystko skromne, pełne prostoty miała za nic. Tak zbyt ufną w swoje zasoby duchowe, która dotąd odosobniała ją i truła jej życie, dziś, przy ostatniem wyciągnięciu ręki po szczęście, poprowadziła ją do smutniejszego jeszcze rozwiązania. Przepędziła całe życie na pogardzie mężczyzn, a teraz kiedy zdawała się pragnąć swego porozumienia, nie należała już do tych kobiet, które wspaniałemi są dla nich światłościami. Nie chciała tego widzieć i rzuciła się naprzód z całym wysileniem, pomimo rywalki.

Dowiedziawszy się z przeczytanego listu Micusia o zamiarach pana Franciszka, postanowiła im sprzyjać, aby tym sposobem zagrozić Teodorowi drogę ku Zofji. Stanisław zdawał się mało zwracać uwagi i na zabiegi Micusia i na samą Zofję, bo jego Innocenta stała mu ciągle w pamięci; nie okazał więc nic takiego, coby zniechęcało matkę jego w działaniu przeciw przyjacielowi. Zdawał się być zimnym na wszystko, a ta właśnie jego obojętność dawała pani S* niejaką nadzieję, że popierając widoki pana Franciszka usposobi go tak, aby nie dawał dostępu do swojej Zofji Teodorowi, nawet w ten-

czas, gdyby Stanisław był przeciwnym połączeniu się z tą panną.

W innym razie nie zgodziłaby się ona tak łatwo na połączenie swego syna z córką pana Franciszka, bo sądziła, że syn jój daleko świetniejszą zrobić może karierę, ale dziś, widząc ją występującą jako rywalkę, uchwyciła się téj myśli i, jak to wspomnieliśmy, postanowiła z zapałem dopomagać zamiarom pana Franciszka.

W takim właśnie celu weszła teraz do syna, gdy się ten zabierał do wyjścia z Teodorem, na przechadzkę.

— Boli mnie głowa, przyszłam do ciebie rozerwać się trochę, ale ty Stasiu, nie dbasz o matkę — mówiła z lekkim wyrzutem, uderzając syna po ramieniu. Cóż się tam dzieje w polu?

— Sieją i orzą. Nudna to rzecz być hreczkosiejem!

— A ilużby nim być chciało, gdyby mogło!

— Ah, gdybym mógł nim nie być!

— Więc się nudzisz, swawolniku?

— Szalona monotonnaść!

— To siężeń. Tyle ci razy mówiłam. Czy nie upatrzyleś kogo?

— Kogóż tu można upatrzeć? Powiem matce, co dzisiaj widziałem. Najprzód weszło do mego pokoju nieproszone słońce i wlało mi w oczy, — trzeba sprawić grubsze franki czy rolety — później, wi-

działem wychodzące na paszę krówki, owieczki i koniki, na zieloność, jaśniejącą od promieni ranka, czysta sielanka; później siadłem na konia, choć mi się jechać nie chciało; później patrzyłem, jak orzą i sieją, choć na to patrzeć nie miałem ochoty. Rozmawiałem tylko z wronami i nauczyłem się od nich pewnej piosneczki, — jeżeli mama pozwoli, to ją zaśpiewam. Z rzeczy nadzwyczajnych dwa się zdarzyły wypadki: wrony wydziobały oczy zajęcowi i pług się złamał. Życie to pełne wrażeń...

— Sam temu winien jesteś.

— Jakto.

— A sąsiedzi?

Stanisław wzruszył ramionami.

— A sąsiadki?

Stanisław znowu ruch ten powtórzył i skacząc zlekka po pokoju, zaczął śpiewać żartobliwie:

„Śliczne sroczki i wronki,
Czarne macie oczęta,
Piórka jakby od święta,
Krucze główki, ogonki!

Pogadajcie co ze mną
Śliczne chłodu ptaszęta;
Czarne wasze oczęta,
Nie blyszczą się daremno!...

Ale któż was dobada —
Dola moja zawzięta!

Każda tuli oczęta,
A jak kracze — nielada!

Mnie żal ściska, gniew lechce,
Że ujęty w te pęta,
Wielbię tylko oczęta...
Żadna sroczka mnie nie chce!...

— Stanisławie, przebierasz za bardzo. Czy żadnej nie znalazłeś, godnej ciebie?

— Ale gdzież-tam; sam ja z góry uznałem się za niegodnego.

— A córkę pana Ślepowrońskiego widziałeś?

— Stanisław spojrział na matkę poważnie i rzekł głosem zniżonym:

— Te rzeczy powinny być traktowane jak.... jak świątynia....

— Cóż to znaczy.

— Bo przy Zofji Ślepowrońskiej budują gmach o jasnych szczytach....

— Ale wytłómacz się; rozmawiasz jak nie z matką.

— Matka się chciała rozerwać—zaśpiewałem piosenczkę. Zresztą mama lubi coś niezwykłego, uderzającego i oto, powiedziałem, na com się zdobył. A jeżeli o ten gmach idzie, to mogę dodać słów kilka. Są różni architekci na świecie. Jeden ma do rozrządzenia same marmury, złoto i wspaniałe rzeźby, ma w trzosie miliony, robotnika tysiące; mógłby wybudować coś w rodzaju kopuły Ś-go

Piotra w Rzymie, i cóż? Buduje coś w rodzaju olbrzymiej stodoły.... Inny ma tylko trochę cegły, trochę robotnika, trochę pieniędzy i, buduje arcydzieło, cudo! Mieszka jak w raju, jak stwórczytel swego szczęścia. Każdy szczegół ma wyraz, gust, znaczenie; z materiału, na który inni poglądają obojętnie, powstaje gmach tajemniczy, z wątlój gliny wydzwiga się majestat. Ja znam tego drugiego budowniczego. Zofja dla niego jest arcydzieła natchnieniem, jest wszystkim, gdy dla mnie ta sama kobieta jest piękną zapewne, bo trudno tego nie widzieć, ale.... obojętną. Są w życiu zdarzenia, które zamykają nam oczy na wszystko inne, gdy każą patrzeć na siebie....

— A, napomykasz o tym wypadku..... o Innocencie.....

Stanisław pochylił głowę.

— Czyż podobna abyś o niej myślał jeszcze? Czy nie możesz ty być owym twórczym budowniczym u sąsiada?

— Nie mogę.... a choćbym i mógł, boję się zepsuć powodzenie mojego przyjaciela, boję się być wandalą w obec rzeczy świętych.

— Nigdy odrazu nie powiedziałeś tyle urojeń.

— I tyle prawdy.

— Nigdy tam nie pojedziesz?

— I owszem, pojedę jutro.

— No, to może....

— Może kupię konie.

— Ale może zmienisz przekonanie.

Tu zamyślił się Stanisław na chwilę, błysnął wzrokiem, jakby ogniem wewnętrznym, zdawał się coś postanawiać i wyrzekł nagle serjo:

— A może...

Matka nie chcąc dalej rzeczy téj rozwijać i udać poniekąd, że jój nie wiele na niéj zależy, poprzestała z tajemną radością na tém ostatniem *może* i nie mówiła już o tem nic więcej. Myślała także, choć nie napewno, że zamyślenie chwilowe syna sprowadzi jaką chmurę na widnokrąg dwóch przyjaciół.

Korzystajmy dalej z prawa, jakie nam obraz ruchu poprzedniego nadać powinien, i wróćmy się do Teodora. Przeszło już dni kilka od owéj nocy, podczas której dusza jego wstępowała w nieznanne mu dotąd światy powabu, w światy, gdzie jedno słowo, jeden uśmiech, jeden kształt postaci ukochanej zapełnić mogą wszystko.

Był ranek. Teodorowi świeciły już dwa słońca— jedno, światłość natury, drugie, światłość jego ducha. Korzystając z pięknego poranka, usiadł pod gankiem przy domu. Fale jasności płynęły na lekkiej powłoce mgły przejrzystej, po łąkach i polach ku lasom, drzemiącym w błękitnej oponie. Ale, już ta piękność i świeżość nie wystarczała mu dzisiaj. Patrzył w drgające oddechem natury przestrzenie,

ale tam ukazywało mu się w ideale inne jeszcze życie. W słodkim drzeniu miłości, ciągniony, jakby dotknięty dłonią niewidzialną, wstał z ławki i poszedł w pole.

Szedł, a nad nim, jak gwiazda olśniewająca, unosiła się miłość, niby prorocstwo najwyższego szczęścia na ziemi. Szedł a wszystko obok niego zdawało się nucić hymn miłości, bo on go śpiewał duszą całą. Takim urokiem owiany, nie wiedział, czy się unosił na skrzydłach, czy chodził po ziemi.

Oto zbliża się sielanka. A sielanka dzisiaj coraz jest rzadszą..., wywoływać nawet zwykła uśmiech goryczy lub szyderstwa na usta tych, co poszli życiem mass, przez tłumne drogi, gwarném życiem miast, kolei żelaznych. Nie mniej jednak sielanka jeszcze istnieje. Że nie widzą jej, massy, wśród dymów i olbrzymiej ludności, nie znaczy to bynajmniej, aby znikła, lub utraciła swoją wielkość pogody czy prostoty. Sielanka najbliższą jest idealnego życia, do którego chciałaby dojść ludzkość. A zresztą może nie jeden z czytelników, którego praca, rodzina, ubóstwo, lub cele życia, trzymają w ciasnym obrębie żelaznego życia, spojrzy z przyjemnością na obraz, złożony ze słońca, natury i miłości.....

Kto szuka, ten znajdzie, mówi się na świecie. Czemużby Teodorowi, który tyle już razy wyszuki-

wał i czekał daremnie sposobności zobaczenia Zofji, raz chociaż udać się nie miało?

W pewnem oddaleniu, na miedzy, której pas szedł prostopadle ku drodze, ujrzał jakąś postać, ale nie mógł jęj rozpoznać jeszcze. Spojrzał naokoło i przekonał się, że się znajduje w granicach majątności pana Franciszka. Uderzyło mu serce. Poranne słońce padało na gromadę żeńców, pracujących wesoło, a postać, która zwróciła jego uwagę, stała sama jedna. Głowy owęj gromady odbijały czarno na tle złotawem dojrzałego zboża, a twarz owęj postaci świeciła się jak w aureoli, była jasną, zdawała się łączyć z promieniami, które ją otaczały.

Teodor podszedł bliżęj. Co za szczęście! To była Zofja, oparta na parasolce. Poznał ją; w jego oczach zdawała się spływać z wyżyn lazurowych. Wydała mu się tęskną i zamyśloną, jak anioł milczenia. Wszystka krew zbiegła mu do serca; zbladł — od szczęścia!

Widocznie Zofja szła miedzą, aby wyjść na drogę, wiodącą do domu. Spostrzegłszy jednak Teodora i poznawszy go, zatrzymała się także, nieco wzruszona i zdziwiona. Było to jakby zdziwienie zorzy, bo zdziwienie jaśniejące pięknej kobiety.

Przyszły jęj na myśl matrymonjalne zamiary ojca i z pewną radością pomyślała:

— Może to ten!...

Opamiętała się jednak i podniosłszy głowę, chciała przejść na drogę; ale na drodze czekał ją Teodor, jakby zagrządzając przejście. Spojrzała, chcąc wyrozumieć, co to ma znaczyć. Teodor pochwycił to spojrzenie całą duszą i uklonił się dziewczycy tak, jakby się kłaniał majestatowi.... Zofja odpowiedziała na ten ukłon lekkim skinieniem głowy, twarz jęj jednak zdawała się wyrażać coś w rodzaju zapytania.

Spostrzegł się Teodor i odezwał się nie spuszczać oka z jęj cudownie pięknej, zarumienionęj twarzy:

— Przepraszam za śmiałość; chciałem zapytać o drogę.

Jeżeli kłamał przed Zofją, to nie kłamał dla siebie, bo rzeczywiście chciał pytać ją o drogę, ale o drogę nieba — miłości....

— Każdy podróżny ma prawo tego wymagać, — rzekła Zofja i spuściła oczy, nie mogąc wytrzymać blasku gorejących źrenic pytającego.

— Nie pierwszy już raz widzę panią w tęg okolicy.....

— Tak, jestem tutejszą i znam okolice dokładnie.

— Miałem przyjemność widzieć panią, jadącą do kościoła i w kościele i... po wyjściu z kościoła....

— Zatem pan spieszy do kościoła? O ile sobie przypominam, widziałam i ja pana konno, na drodze i w kościele i po wyjściu z kościoła. Czy być może, aby pan nie znał tęg drogi?

— Więc i pani mnie widziała?

— To pana dziwi?

Z temi słowy Zofja spostrzegła, że zadługo zatrzymała się przy nieznanym, rzekła więc prędko:

— Przepraszam pana, iść już muszę....

I poszła po drodze, żegnając Teodora skinieniem głowy. Ale jój postać zdawała się dążyć naprzód niechętnie. Pewne myśli chaotyczne, pewna burza serca zwalniała jój kroki. Teodor to dostrzegł; śpiesząc więc za Zofją mówił głosem, w którym przebiła się coś więcej niż konwencjonalna prośba:

— A moje pytanie? Czy pani pozostawi je bez odpowiedzi?

— O cóż pan pytał właściwie? Pyta pan bardzo jakoś niezrozumiale, mówiła Zofja idąc ciągle i oglądając się nieco. Przyszła jój na myśl nauka jój własnego ojca, aby nie być trwożną w obec kawalerów.

— Może jestem zbyt natrętnym, jako nieznanomy!... mówił Teodor te proste słowa głosem błagalnym.

— Więc proszę mówić, o co idzie?

— Pani pyta, o co mi chodzi? Odpowiedziałbym: o wszystko!

— Nie rozumiem.

— Bom nieznanomy... lecz... mogę być znajomym.

— Mnie się zdaje, że choćby tak mówił i znajomy, tobym go nie zrozumiała. Zresztą pan dla

mnie nie jest zupełnie nieznanym. Widziałam pana w roku przeszłym z państwem S* a i w tym roku spostrzegłam pana nie tylko na drodze do kościoła.

— Więc pani mnie pamięta, więc nie jestem nieznanym?

— Nie mówię, że pana znała, mówię, że tylko widziałam..... I widziałam pana raz jeszcze, podczas burzy, przy naszym domu...

— W ten dzień okropny!

— Tak, kiedy błyskawice były latarniami... Ale przepraszam za jedno pytanie: czy pan zna mego ojca, że pan tak ze mną rozmawia?

Teodor nie wiedział, co odpowiedzieć. Naiwność Zofji zdawała mu się sprawiedliwym wyrzutem. Nie chcąc jednak opuścić jęj bez jakiegokolwiek nadziei, odpowiedział:

— Ojca pani jeszcze nie znam; ale gdybym mu się przedstawił, czy pani... czy pani przykrem by to nie było?

— Przykrem! a to dla czego?

— Niech więc nie będę już nieznanym, kiedy panią powtórnie zobaczę. Radbym, żeby dzisiejszy dzień był dobrą wróżbą.... radbym....

I zamilkł Teodor, patrząc w najwyższym wzruszeniu na dziewczę, która się zatrzymała na chwilę, ale milczała....

— O gdyby dzisiejszy dzień mógł być dla mnie pamiątką, gdybym mógł prosić o ten bławatek, który pani trzyma w ręku!...

Zofja milcząc spojrzała na Teodora z widocznem wzruszeniem; ale bławatek pozostawiła przy sobie, tak jednak, że zaledwie stąpiła kilka kroków naprzód, bławatek znalazł się na ziemi przed Teodorem. Pochwyił go w obie ręce jak relikwję. Zanim ochłonął z radości, Zofja już była daleko.

Trudno sądzić zapewne, co uczyniłaby w takim wypadku Zofja innym razem i czy odważyłaby się dosyć śmiało odpowiadać mężczyźnie, który pośród pola, po raz pierwszy do niej przemawiał w sposób dosyć niezwykły, jak na nieznanomego..... Rzecz niewątpliwa, że pan Franciszek, otworzywszy nawiśniętej panience tak nagle pole do marzeń i z takim zapalem przygotowując Zofję do przedstawienia jej mężczyznom, sam był niejako sprawcą tego wykroczenia towarzyskiego — rozmowy córki z kimś przechodzącym przez jego majątek.

Jakkolwiekby, Teodor błogosławił losy za traf tak szczęśliwy. Wracał ku domowi pełen chaotycznych nadziei.

Przyznawał w duszy, że nie powinien był zaczepiać w polu samotnie idącej panienci; czuł jednak, że nie skorzystać z tej jedynej może sposobności, było dla niego niepodobieństwem.

Zdawało mu się, że przybył do pewnej w życiu granicy, po za którą Zofja jaśniała mu urokiem, zaćmiewającym bezpowrotnie wszystkie sprawy jego przeszłe, wszystkie dni minione.

Owe dni minione przedstawiały mu się w kształcie zimnego, miarowego ruchu maszyny, a chociaż tą maszyną była praca szczerą nad swoją przyszłością, nad ukształceniem, zdziwił się teraz, jak wiele miał wytrwałości do trudów, których nie opromieniała luba postać kobiety.

Zdawało mu się niepodobieństwem pracować dalej w samotności. Energja jego i wola utraciły swoją dzielność. Obudziła się w duszy jego inna potęga, która zapragnęła odpowiedzi.

Gmach jego celów zaczął się paczyć, tracić spójność. Czuł w téj chwili, że tylko dłoń kobiety mogłaby na nowo wzmocnić budowę.

Przyszedł, jak mniemał, do ostateczności, w której naprzód już posuwać się nie mógł, dopóki nie nabierze nowój siły, ale już nie jako istota samotna, wystarczająca sobie, lecz jako mężczyzna odżywiony w niebieskich powabach kobiety.

Przybył do kresu, gdzie kończy się droga wypełnionych powinności i gdzie się zaczyna ocean, porywający ducha w błogość.

Nie mógł Teodor, nie umiał i nie chciałby opierać się błogościom, które rozsnuwała nad nim, ni by w berle tajemniczym zaklęte, kobieta kochająca.

Zbliżył się więc do tego obrazu z namaszczeniem wieszczą i ze czcią wschodniego pielgrzyma, który pada bezsilny przed świętym kamieniem Mekki.

Nie umiał już wyobrazić sobie przyszłego życia, bez połączenia swój duszy z duszą kobiety.

Zdawało mu się w tej chwili, że musi być odżywionym, albo zginąć. Dziwił się niejako, że dotąd żyć zdołał życiem usychającej rośliny, życiem bez wzniosłych uniesień, które daje miłość.

U tej granicy, u tego obrazu kobiety było światłości pełno; po za jej kształtem przeglądały jakieś czarne niebezpieczeństwa apatji, niemocy, zniechęcenia, zwątpień.

Otóż ta nagła, śmiała jego rozmowa była pierwszym krokiem obrony przeciwko upadkowi.

Teraz dopiero mogą sądzić czytelnicy, ile był szczęśliwym, że słowa Zofji były słowami życzliwości i zachęty.

Wracał więc Teodor obciążony takimi łupami przyjaznego poranka. Wypadło mu powracać przez ogród, który się rozciągał obok dworu pani S.* Ani się spodziewał, że będzie i tu miał spotkanie, które także trafem ślepym nie było.

Czekała tam na niego sama pani S.* Objaśniliśmy już wyżej, czem dla niej stał się Teodor. Postanowiła więc nie tracąc czasu, szturm do niego przypuścić. Przedewszystkiem była niecierpliwa; gniewało ją to, że Teodor mało na nią zwraca uwa-

gi, na nią, która panować przywykła. Wzgardziła ona wszelkimi sposobami, jakich używają zwykle osoby pragnące, aby je pokochano; tém więcęj, że nie była to miłość wschodząca jak niepokalane samorodne kwiecie: była to tragiczna struna, drgająca w duszy dobrze dojrzałej damy zatraconemi lub rozszastanemi skarbami. Postanowiła skromnego w swojej sytuacji Teodora zaćmić, czyli jak sama do siebie mówiła, „zafrapować.“

Zacęła ona już od dni kilku takie najścia sztuczne. Teodor domyślał się, co to znaczy, chociaż ani przewidywał, jak wielkie rzeczywiście zajął miejsce w duszy pani S.* Wykręcał się jak mógł, udawał że nie rozumie jej przymówek, nawet jej kalemburów; ale to nie miało żadnego na nią wpływu. Jak strategik wojenny, postanowiła brać pozycję po pozycji.

Przebolała i ona, jak to starała się okazać, śmierć Innocenty, udając jednak, że nie domyśla się nawet, jaki w tém mógł mieć udział Stanisław. Zakończyła ten przedmiot taką mniej więcęj rozmową:

— Proszę mi się przyznać panie Teodorze, po co pan chodziłeś na pogrzeb Innocenty?

— Nikogo nie spostrzegłem za trumną....

— Ależ pan się w niej nie kochałeś...

— Nie, wcale.

— Cóż więc tak pana ciągnęło?

— Dopiero co mówiłem....

— Och! zdaje mi się że nie to, mówiła dama z uśmiechem niby tajemniczym. No, przyznaj się pan szczerze: poszedłbyś pan za trumną kobiety, któraby zginęła tak samo, lecz któraby nie była tak ładną i tak młodą?

— Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie; zdaje mi się jednak, że jeżeliby przy tak niesprzyjających okolicznościach, o jakich pani wspomina, nastąpiła śmierć i samotność podobnie okropna — to poszedłbym....

— Tak, ale się to tylko panu zdaje.... O, panie Teodorze, dziwię się, że i pan wstępujesz na tę zwykłą drogę chwilowych uniesień. Mnie się bowiem nie zdaje, ale jestem pewną, że podobnie jak każdy młody, poszedł pan za ładną, choć już umarłą twarzyszką. Jeżeli więc obca, umarła pociąga was do siebie, cóż mówić o żywych? Tak, zbytnio patrzycie na powierzchowność; lada nóżka drobna więcej znaczy u was, niż świątynia uczuć prawdziwych. Lada szesnaście lub ośmnaście latek, już są dla was aureolą, którą otaczacie mniemane bóstwa. Później, urok ginie, przychodzą niesnaski, kłótnia, a osoba, pokochana dla powierzchowności i tyłu téj podobnych rzeczy, staje się wam nienawistną niekiedy. Czyż nie zdarza się, że porzucacie wasze dawniejsze ukochane? Otóż to, co znaczy nie umieć czynić wyboru.

Tu spojrzała mu w oczy niby z zaufaniem, które podobniejszem było do chęci przypodobania się i dodała:

— Czy podobna, abys i pan — myślący, poważny, ostrożny, do takiej młodzieży należał? Wierz mi pan, wybór rzecz najtrudniejsza.

Teodor sądził, że się uchyli od wszelkiej odpowiedzi, wyrzekłszy dosyć tragi-komicznie:

— Ten wybór nastęrczają losy....

Tym razem i pani S* ucięła rozmowę. Wznawiała podobne kwestje jeszcze razy kilka. Obojętność Teodora drażniła ją widocznie. Ale obraz jego Zofji świecił tak wspaniale, że puszczał mimo siebie te fajerwerki podżyłej damy. Podczas podobnych rozmów obraz ten przystępował mu do samych oczu jakby żywy, i gdy odzywał się do pani S* ustami, dusza jego inną prowadziła rozmowę.

W dniu widzenia się Teodora z Zofją, wiedząc że poszedł na przechadzkę, pani S* ubrała się pośpiesznie pomimo wczesnego poranka i wyszła do ogrodu, wiedząc że Teodor koniecznie tamtędy wracać będzie na wspólne śniadanie, które zastawianem bywało przy domu, od strony tegoż samego ogrodu, obok wodotrysku.

Chodząc dosyć długo, ujrzała go wreszcie wracającego, na końcu jednej alei, i podążyła ku niemu.

— Nie myśl pan, że tylko młodzież umie wstać rano.

— Nie wątpiłem, że chęć może wszystko...

— Gdyby tak było panie Teodorze... byłabym bardzo szczęśliwą! A jednak do mego szczęścia — daleko!...

Ujrzał się Teodor znowu w tym samym potrzasku, w którym się od pewnego czasu plątał ciągle. Nie wiedział, co odpowiedzieć i pod wpływem niedawnej swojej rozmowy, spojrzął w przestrzeń zadumany. Zdawało mu się, jakoby tam szepnął mu drogi jego obraz: „uciekaj!..“

— Nie może się pan zdobyć nawet na słowo? Widzę, że dziś i kwiatów swoich nie dostanę.

Dopominała się bowiem codziennie od Teodora o kwiaty; weszło już niejako w zwyczaj, że Teodor podawał jęj codziennie bukiet.

W chwili kiedy mówiła ostatnie słowa, uroczy w dali obraz zdawał się szeptać mu żywo: „nie zrywaj kwiatów dla nięj!“ Lecz Teodor okazał nieposłuszeństwo i zaczął zrywać kwiaty, starając się ukryć swą niechęć i mówiąc:

— A, zapomniałem. Zaraz będzie, za chwilę.

Lecz na nic innego zdobyć się nie mógł, pomimo pewnych obowiązków grzeczności względem pani domu. Nigdy nie jest trudniejszą rozmowa jak przy usilnej chęci jęj prowadzenia z jednej strony i takiejże chęci unikania z drugiej. Bąknąwszy, więc wymówkę, którąśmy już słyszeli, nie mógł

się wstrzymać od spojrzenia w przestrzeń i wyrzeczenia myśla: „przebacz mi, że cię okradam...“

— I podał bukiet świetny czekającej damie.

— Bardzo dziękuję. Ale może to panu również bardzo nieprzyjemnie, że się o kwiaty dopominam? Cóż robić; lubię kwiaty a nadewszystko lubię je przyjmować z ręki tych, którym dobrze życzę.

— Niech te kwiaty odpowiedzą za mnie, jeżeli by chodziło o wyjaśnienie, z jaką chęcią zrywam je dla pani...

Obraz uroczy zdawał się podstępować pod same oczy Teodora i patrzeć nań, jakby z zapytaniem, co oznaczają te słowa.

— A jednak... możeby te kwiaty kłamały, albo odkryły kłamstwo tym sposobem, — rzekła dama z uśmiechem. O czem pan tak myślisz?

Teodor uczuł rumieniec na swojej twarzy.

Obraz jego niebieski uśmiechnął się tryumfujący i zniknął...

— Czy daleko pan chodziłeś?

— Przechadzałem się po pięknych włościach pani..

— Czy tylko po moich?

— Zdaje mi się... ale bo nie wiem właściwie, gdzie ich granica.

— Więc nazywasz pan moje włości pięknymi?

— I piękne są i rokoszne.

— Nie wiele pan powiedziałeś od rzeczy, bo jedna z wsi tutejszych nazywa się „Rozkoszą.“

— Prawda. Mógłby tu być raj na ziemi, gdyby nie surowe nasze niebo.

— Dla kochanków dość lata i u nas. Mów pan tylko komu od Maja aż do Października: Kocham... wystarczy to do zupełnego znudzenia, gdyby nie nastąpiło porozumienie. Nieprawdaż?

— Nie sądzę...

— A jednak... gaśnie miłość po czasie, niestety!

— Na skrzydłach jaśniejących, po purpurowych obłokach uroku, spuścił się znowu obraz Teodora ku niemu i zdawało się, że się wtrąca do rozmowy, wołając:

— Fałsz, fałsz!

— Przyznasz pan to kiedyś.

— Czemuż budzi pani te myśli posępne wśród takich wdzięków i kwiatów?

— Cóż mi po tem. Kwiaty i wdzięki—nie moje..

Opiekuńczy obraz Teodora uśmiechnął się zdaleka i szepnął: „tak, tak.“

— Czemuż to spojrzenie wyrzutu ze strony pani? Czy zasłużyłem na niezadowolenie? mówił Teodor do damy.

— Tu długo krępująca się kobieta spojrzała Teodorowi prosto w oczy swojemi błyszczącemi i czarnemi źrenicami, uśmiechnęła się gorzko, ściągnęła usta nieco tragicznie i zaczęła:

— Więc i pan przyznajesz, że wszystko to piękne? Tak, sama to myślę i śmiało się do tego przyznaję. Ogród obsiany najpiękniejszymi kwiatami, które strefa nasza może wypieścić. Drzewa odwieczne, majestatyczne, dają cię przyjemny i wspaniały. Tam pod tą lipą można dumać jak Jan z Czarnolasu. Tam przy tych strumieniach można się zachwycić — niech będzie — jak Dante swoją Beatryx. Każda ścieżka własną moją niemal prowadzona ręką. Chaty wiejskie jasne i czyste; włościanie zamożni, schludni, pracowici i życzliwi — małe państewko szczęścia... Wszędzie, gdzie oko pada, uśmiecha się dostatek i harmonja... A jednak nie ma tu szczęścia, nie ma tu radości. Tu, wśród tych blasków natury może dla mnie panować chłód okropny.... wszystko to może być dla mnie puszcza, jeżeli....

— Więc czegoż tu brak jeszcze! zawołał Teodor z wyrazem twarzy jakby uroczystym.

— Pan jeszcze nie wiesz? Ach co za niedomyślność... Dom ten nie ma — pana....

Subtelność z jaką powiedziany był ten kalemur, znowu zmięszała Teodora. Słówko to rzuconem było tak zręcznie, dama wymawiając je była tak ożywioną i świetną, że każdy mniej dbający o skarby swój duszy, musiałby ugiąć się przed nią. W nacisku, który kładła na ten wyraz, mieściło się wszystko, co Teodor powinien był zrozumieć.

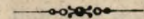
I zrozumiał, a jakkolwiek w obec swojego najdroższego obrazu nie zachwiał się ani na chwilę, zawszeż i on uczuł pewien żal dla téj kobiety. Ale nic prócz żalu. Zofja stała mu się już gwiazdą przewodnią. Niewidzialna — uczestniczyła w téj rozmowie. Jój kształt wszystko olśniewał i zagłuszał.

Dama z pewnem wysileniem czekała na odpowiedź, ale Teodor uważał tę chwilę za zbyt uroczystą, aby rzucać kłamliwe słowa. Milczał i głowę pochylił.

Wtenczas obrażona kobieta cisnęła na niego spojrzenie poruszonej dumy i już nie kryjąc się z tém, co miała na myśli, zawołała:

— I to jest pańska odpowiedź.... ach, jakimż jesteś wandallem!

• To rzekłszy odeszła szybko, aż kwiaty po obu stronach ścieżki rosnące, uginały się za powiewem jój sukni.



I rozmyślał, a jakkolwiek w obec swego naj-
 droższego obrazu nie zachował się ani na chwilkę, za-
 wazę i on tenże powiem ci dla tej kobiety. Ale nie
 przez żalu. Kobieta stała mu się już twierdzą, prze-
 wodnie niewdzięczna — niegodziwca w tej postać-
 wie. Jej kształt wszystko ósławiał i wspaniał.
 Panna z powiem wysłać, która czekała na odpo-
 wiedź, ale Teodor uważał to chwilkę za zbyt ma-
 ła.

V.

Po rozmowie, którąśmy poprzedzający obraz
 zamknęli, udała się pani S* do syna i wtenczas to
 zaczęła go tak usilnie namawiać i do małżeństwa
 i do odwiedzenia pana Franciszka. Widzieliśmy, co
 odpowiedział na to Stanisław.

Nazajutrz przypomniał on sobie o obietnicy, uczy-
 nionej matce i jakby ożywiony niezwykłym zamia-
 rem, wbiegł prawie do pokoju przyjaciela.

— Ubieraj się jaknajprędzej, zawołał.

— Czy nie widzisz, że jestem ubrany?

— Nie takiego ubrania potrzeba. Ubierz się
 w najwykwintniejsze stroje, jakie możesz wy-
 marzyć.

— Wiesz, że to nigdy nie bywa przedmiotem
 moich marzeń.

— Zapewne, kiedy sprawy toczą się zwykłym
 biegiem.

— Czy może być kiedy bieg spraw świata tyle
 niezwykłym, aby krawat lub kamizelka ważyły na
 sobie powodzenie?

— Mówię ci że może. Bo jeżeli zacniemy od-
dawać wizyty w sąsiedztwie —

— Natenczas krawat —

— Bo jeżeli będziemy starać się tam o względy
piękności, jeżeli z powodu krawatu możesz przegrać
batalję...

— Masz więc jakie widoki?

— Mam, mam ja pewne zamiary. Może niezadłu-
go twój Stanisław będzie zonatym. Cobyś na to po-
wiedział?

— Cieszyłbym się.

— Ale jeżelibym ja ożenił się z tą sąsiadką, któ-
rą widziałeś, którą przyrównywałeś do kopciuszka,
której potężne o mało co nie podkute trzewiki tyle
ci sprawiły wstępu, coobyś na to powiedział? Wszy-
scy zgadzają się na to, że ta dziewczynka rozkwita-
jąca, ten fiolet wiosenny, kryjący swe stopki wol-
brzymich butach sprawionych przez ojca, że ta pe-
rełka, stworzona jest nie dla kogo innego, jak dla
twojego przyjaciela. Wartoby poprobować szczęścia...

Teodor pobladł mocno i milczał, usiłując stłumić
wzruszenie.

— Zdaje mi się, że cię coś przeraża... mówił Sta-
nisław z dziwnym półśmiechem. Może i ty masz
te same zamiary! Gotowiśmy się pokłócić.

— Stasiu, wszystko, ale nie szyderstwo...

— Obrażasz się? najniesłuszniej. Uważaj tylko,
a dobrze wyjdiesz na tém. Podam ci jeden por-

jekt. Będziemy się ubiegać o tę pannę. Jeżeli spostrzegę, że ta cudowna dziewczyna jest ci życzliwą wyraźnie, a może nawet wzajemną—czego nie przypuszczam—

— Czego nie przypuszcza!...

— Natenczas, widząc że moje hołdy daremne, ustąpię z placu. Ale jeżeli będzie przeciwnie... jeżeli jój oko błękitne zwróci się ku mnie chętniej niż do ciebie... natenczas...

— To być nie może.

— Ale co być nie może? Abym ja się z nią ożenił, jeżeli się we mnie zakocha?

— Ona się w tobie nie zakocha.

— Muszę się o tém przekonać.

— Słuchaj Stasiu, pomówmy o tém szczerze, obszernie.

— Nie ma już ani chwili czasu na obszerne a nawet krótkie rozprawy. Oto wybieraj się. Co ci szkodzi; zobaczysz pannę Zofję. Przedstawiam ci sposobność zawarcia znajomości z jój ojcem, z jój domem, z nią samą. Przez jeden dzień nic nie stracisz, a może zyskasz. Ale nie chcę opuścić pola bez walki.

— Ja muszę ci coś powiedzieć.

— Poświęcam na to cały dzień jutrzejszy lub wszystkie następne; dziś głuchy jestem. Jeżeli nie pojedziesz, sam pojedę.—

Teodor widział, że niepodobna poskromić rozochoconego Stanisława. Ubrał się przeto jak mógł najlepiej. Był jak na konkurenta wcale przyjemnym i zajmującym. Nie miał on postawy silnej i dzielnej, ale z jego twarzy wyblyskała myśl jasną grą wyrazu. Nic tak nie przyciąga jak twarz łagodna, z której jednak, niby strażę ukrytych potęg, wyglądają pewne zarysy siły ducha. Teodor odznaczał się wyrazem łagodnym, gdy zwyczajnych życia stosunków dotykał. Kobiety, które się nim zajmowały, lubiły w nim chwalić surowość męża i powab młodzieńca, Rysy miał regularne, nos prosty, oczy ciemne, włos prawie czarny. Zawsze był przytomnym, rzadko roztargnionym w rozmowie; czasem tylko, kiedy się od rozmowy usuwał, wyraz twarzy jego stawał się niezwykle wyrazistym i dramatycznym. Znać, że łagodna powłoka kryła stanowczość i ciągłą pracę sił duchowych.

Stanisław widząc go już przygotowanym do wyjazdu, z niezwykle uśmiechem spojrział ukradkowo na jego zakłopotanie i rzekł:

— No, gotów jestem się założyć, że pójdzie dobrze.

Teodor nic nie odpowiedział na ten dwuznacznik. Wsiadli potem do pięknego lekkiego powoziku, zaprzęzonego parą koni i ruszyli w drogę.

Konie pędziły szybko i młodzi przyjaciele stanęli niezadługo przed dworem pana Franciszka, który

wybiegł na ich spotkanie z nietajoną radością. Codzień, według zapewnienia Micusia, spodziewał się wizyty Stanisława, był więc ubrany jakby od święta. I żona jego włożyła na swoje posępne czoło świeżo wyprany czepiec promienisty, który z powodu swego nastrzępienia podnosił rozmiary głowy téj matrony do wielkości niezwykłej. Chciała się uśmiechnąć, ale tak od tego była odzwyczajoną, że uśmiech stał się podobnym do wykrzywienia. Spotkanie odbyło się w ganku i przedpokoju; Zofja pozostała w tak zwanéj „sali.“

Jedno tylko zdawało się gniewać pana Franciszka, i pod wpływem tego gniewu szeptał do siebie:

— A po cóż ten przyjechał!

Odnosiło się to do Teodora. Ale trzeba było uśmiechać się dalej, bo Stanisław przedstawiając przyjaciela, uczynił to w wyrazach pełnych szlachetnej szczerości i zakończył:

— Przybyliśmy tu razem, bo jest moim gościem i tak pożądanym, że niepodobna mi się rozstać z nim ani na chwilę.

— Co panu jest miłym i dla mnie musi być przyjemnym. Niech się panowie rozgoszczą bez ceremonji.

Tu pan Franciszek zaczął się oglądać po pokoju, bo spostrzegł, że córki jego niema w „sali,“ gdzie jéj wyraźnie rozkazał oczekiwać. Porozmawiawszy więc czas niejaki, o rzeczach bieżących i gospodar-

stwie, poszedł później po córkę i przyprowadzając ją za rękę, rzekł gdy obaj goście powstali:

— Zosia zagra nam co pięknego. A, prawda, zawołał nagle zwracając się do Stanisława — pan nie ma przyjemności, to jest, Zosia moja nie ma przyjemności znać pana. To pan Stanisław S*, sąsiad, przyszły dziedzic Rozkoszy, Leśnicy i innych majątności, a to moja córka.

O Teodorze nie było mowy.

Zofja była bardzo wzruszoną; grała wcale nie biegle. Palce jej drobne biegały po klawiszach jak skostniałe. Nie potrzebujemy opisywać, z jakimi uczuciami patrzył na nią Teodor. Ale od czasu do czasu zwracał on baczną uwagę na Stanisława, który uwijał się przy fortepianie i nuty przewracał. Pan Franciszek zaś patrzył na to wszystko okiem badacza i ciesząc się, że tyle względów okazywał córce jego bogaty sąsiad, błogosławił w duchu Micusia. Chcąc mu dać jeszcze więcej swobody i zachęcić do poufniejszej rozmowy, uderzył się palcem w czoło, powstał i rzekł do siebie:

— Wiem, co zrobić.

Poszedł tedy do Teodora i rozpoczął z nim długą rozprawę o gospodarstwie, o okolicach, o stolicy, o dzisiejszej młodzieży. Teodor odpowiadał z wysileniem i siedział jak na torturach; ale musiał ściśle odpowiadać, aby sobie zaskarbić względy ojca Zofji. Dostrzegał jednak w postępowaniu pana

Franciszka wyraźną niechęć. „I być tak blisko, a nie móż ani słowa do niej przemówić!“ myślał Teodor w strapieniu. Tymczasem Stanisław, korzystając z pola, jakie mu pozostawiono, w ten mniej więcej sposób skarbił sobie łaski panny Zofji.

— Czy pani lubi muzykę? pytał.

— Myślę, że nie ma człowieka, któryby muzyki nie lubił. Żli chyba ludzie nie mogą znosić muzyki, bo nawet i zwierzęta okazują niekiedy, że harmonja ma wpływ nad niemi. Tak mówią przynajmniej.

I Zofja mówiąc to, doświadczała czegoś podobnego jak i Teodor. Rozmawiała z tym, któremu była nierada.

— Niechże więc pani osądzi — odpowiedział na słowa Zofji Stanisław — jakie mi się należy miejsce w rządzie stworzeń, gdy przyznam się otwarcie, że od dzieciństwa nienawidzę muzyki....

— To być nie może.

— Sama prawda, dodał z^uśmiechem trochę rubasznym. Jestem nieprzyjacielem wszelkich podobnych zabawek. Zresztą, nietylko wszyscy którzy mnie znają, ale sam ja nawet spostrzegłem, że muzyka drażni mnie w sposób nader dziwny; obudza wrodzoną dzikość, którą wychowanie we mnie przytłumiło...

Zofja spojrzała na Stanisława wielkimi oczami, a ten tymczasem przybrał wyraz jakoby już rozdrażnionego i patrzył gniewnie.

— O, niech się pani nie obawia, potrzeba dopiero całej orkiestry, aby się dzikość moja obudziła. Jeden fortepianik nic mi nie poradzi.

I to mówiąc Stanisław, śmiał się dosyć głośno. Pan Franciszek ukradkowo spostrzegając, że rozmowa nie upada, że Stanisław śmieje się, jak mniemał, ochoczo, nie opuszczał Teodora i ciągle mu prawił swoje nauki dobrego gospodarstwa.

Stanisław mówił znowu do Zofji:

— Jakie się pani życie lepiej podoba: miejskie, czy wiejskie?

Aby zmusić Zofję do rozmowy, musiał tylko ciągle zapytywać się, gdyż inaczej milczałaby jak kamień.

— Lubię wiejskie, bom nie widziała jeszcze miejskiego. Nie mogę więc lubić tego, o czém nie wiem, czy jest lepszym czy gorszym.

— Co do mnie, nudzę się na wsi. Wszystko tu inne, niż w mieście. Nawet ludzi tutejszych nie lubię. Bo zresztą i na cóż tu patrzeć. Nic tu nie ma prócz płaskich krajobrazów, pól zasianych zbożem. Kiedy patrzę na pole okryte dojrzałym zbożem, przypominają mi się włosy blond... Ach! przepraszam panią po stokroć, nie spostrzegłem, że i pani nie ma ciemnych włosów.

Twarz Zofji okryła się rumieńcem oburzenia. Stanisław uśmiechał się coraz milej. Pan Franciszek rosił z radości, widząc że córka jego płoni się pod wpływem rozmowy ze Stanisławem.

Nareszcie ten ostatni powstał ze swego miejsca i szepnął do siebie:

— Teraz już dosyć...

To rzekłszy uklonił się Zofji przymilająco i zwrócił się do pana Franciszka, gdy za gospodynią służący wnosili śniadanie.

— Słyszałem, że pan posiada piękne konie. Czy nie możnaby ich zobaczyć?

— O, na to dosyć jeszcze czasu,— zawołał pan Franciszek zeskakując z miejsca.

— I tak możeśmy go panu za wiele zabrali, jako sławnemu gospodarzowi. Czas—złoto, a złoto dzisiaj...

— Wszystkiém jest, panie— człowiek poczciwy. Mogę zbierać złoto dla kogo... mówił pan Franciszek poglądając na córkę,—ale nie chcę być lichwiarzem czasu. Jeżeli pan jednak życzy sobie zaraz, to i owszem.

— Przyznam się panu, że jestem bardzo ciekawym widzieć pańskie klejnociki, przysze ozdoby sportu.

— Służę, służę— mówił gospodarz wyprowadzając gościa, ale jednocześnie był prawie w rozpacz, że gdy wyjdą, Teodor zbliży się do Zofji. Wrócił się więc i stając we drzwiach zapytał:

— A pan nie zechce obejrzyć koników?

— Rzecz dziwna — odpowiedział szybko Stanisław. To niezbadany człowiek, nienawidzi koni, choć gospodarny jest bardzo.

Teodor milczał, bo nie chciał opuszczać Zofji.

— Trudno mi temu uwierzyć,—mówił pan Franciszek.

— I ja się temu wydziwić nie mogę,—dodał sentencjonalnie Stanisław. Pójdźmy oto lepiej sami, co nam po takich, którzy przedmiotu ocenić nie umieją.

Pan Franciszek zgodził się na to, ale znalazł sposobność szepnąć do żony:

— Pamiętaj, uważaj!

Posłuszna małżonka wypełniła literalnie ten rozkaz. Siedziała nieruchoma i patrzyła pilnie na dwoje młodych. Siedzieli oni, milcząc pod jój wzrokiem jak pod jarzmem. Teodor schylił głowę ku ziemi; panna z dziesięć razy zwinęła i rozwinęła nuty. Nie być w stanie nic powiedzieć, kiedy tyle jest do powiedzenia! Nie wiedział co czynić; zaczął rozmawiać o obojętnych rzeczach, ale Zofja zaledwie mu odpowiadała. Radby był, ażeby raczej piorun przy nim uderzył i dozwolił mu przerwać to fatalne pilnowanie.

Kiedy tak trzy te osoby siedziały milcząco, w drugim pokoju ukazała się jakaś kobieta idąca na palcach przy ścianie, tak że nie sprawiała najmniejszego szelestu. Poznajemy w niej klucznicę, panię Janową. Zatrzymawszy się przed drzwiami, utopiła

wzrok ciekawy w głąb' pokoju, w którym siedziała Zofja i z miną trochę komiczną okazała oburzenie, że nic nikt nie mówi.

Stała tak długo, aż Zofja ją spostrzegła; gdy się na nią spojrzała, pani Janowa uczyniła ustami i rękami ruch wymowny, jakby chciała powiedzieć:

— Czemuż nic nie mówicie!

Zofja pochyliła głowę posępnie. Zrozumiała tę odpowiedź przychylna i domyślna klucznica. Cofnęła się więc o kilka kroków i ruszywszy ztamtąd naprzód, ale już tak, że można ją było słyszeć nadchodzącą jakoby z dalszych pokojów, zbliżyła się do matki Zofji i tajemniczo szepnęła jej do ucha:

— Proszę pani, przypali się!!

— Jezus Marja! zawołała matrona i zapomniawszy o obowiązkach czuwania, pośpieszyła do kuchni, a za nią klucznica.

Teodor szybko powstał z krzesła i postąpił ku przedmiotowi swego uwielbienia. Ale zaledwie to uczynił, znalazł się w położeniu, w jakimby się znalazł człowiek, któremu by powiedziano nagle, „korzystaj, całe niebo może być twojém.“

Tyle myśli, tyle ducha, tyle nadziei zamknął w obraz Zofji, że spostrzegłszy się samym w obec niego, stracił wątek słowa. Przystąpiwszy więc ku Zofji, patrzył na nią w zachwycie, a oczy jego zdawały się wyrażać tę idealną mowę:

— Tyś radość moja! Olśniewasz mnie; czynisz nieśmiałym. Godnaś hymnów, a ja mogę tylko słów kilka powiedzieć!

Wreszcie Teodor jakby ockniony, rzekł do Zofji po cichu:

— Czy moje przybycie smuci tak panią?

— Zarzut niezasłużony,—rzekła Zofja głosem cichym jak powiew.

— Jesteśmy teraz poznamy! Czy mogę prosić o otwartość?

— Otwartość moja nic panu nie powie.

— Jeżelibym o nic nie pytał.

— A po cóż pytać... szeptała Zofja.

— Zapytam najprzód... albo nie — powiem najprzód, że pani... Ha, lepiej się zapytam; czy pani domyśliła się, dla czego spotkał panią wówczas i dla czego tu dzisiaj przybyłem?

— Jak można tak pytać!

— To muszę sam na to odpowiedzieć. Dla tego mnie tu pani widzi przed sobą, że niepodobna mi żyć bez pani. Powiadam to otwarcie. Chcę usłyszeć wyrok. Pytając z taką śmiałością Teodor drżał cały.

— Proszę nie mówić w ten sposób, bo ile się domyślam teraz, ojciec nie panu jest przychylnym.

— Sam to widzę; a pani przychylność za kim?

— Niech pan usiądzie, ktoś nadchodzi.

— Panno Zofjo! za kim? jedno słowo...

— Pan tak napada... szeptała Zofja głosem pełnym słodyczy.

— Jedno słowo! abym wiedział, czy mogę mieć nadzieję!

— Ha... nie jestem przeciwko panu...

W téj chwili weszła klucznica i zaczęła poprawiać franki w saloniku. Uprzedziła ona umyślnie przybycie pana Franciszka i Stanisława. Młodzi usiedli na swoich miejscach. Pan Franciszek prosząc gości do zakąski, prowadził dalej ze Stanisławem rozmowę o koniach. Nareszcie i ten przedmiot się wyczerpał. Dwaj przyjaciele pożegnali dom państwa Ślepowrońskich, od których Stanisław odebrał najuroczystsze zaproszenie nawiedzania ich czasem. Teodorowi ani myślał okazywać pan Franciszek jakichkolwiek względów.

Zaledwie goście wyszli, rozochocony gospodarz pamiętając o żywej rozmowie, jaką prowadził z Zofją Stanisław, spojrzął na nią łaskawie i powiedział:

— No, dobrześ się sprawiła, a pamiętaj, bądź posłuszną.

Następnie chcąc wynagrodzić czas, na przyjęcie gości stracony, siadł na szłapaka i udał się w pole doglądać robót.

Zofja ukryła się nawet przed klucznicą w najustronniejszej części ogrodu i myślała tam o Teodorze. Pokochała go i ona. Pieszcząc w duszy jego obraz ze drzeniem spoglądała w przyszłość, bo coś

jój mówiło, że straszny gniew pana Franciszka zaciąży nad tém uczuciem.

Kiedy wracali do domu, pogoda była pełna świeżości i blasku. Teodor był milczącym, Stanisław gadatliwym. Było mu bardzo przyjemnie, że zdołał usłużyć przyjacielowi. Lecz gdy się zbliżali ku domowi, gdy Stanisław zobaczył piękne pola, po których tak niedawno jeszcze przechadzał się z Innocentą, posmutniał nagle, tak, że teraz Teodor przy nim wydawał się wesołym. Jakby ciężar niewidzialny go przytłoczył, pochylił głowę posepnie, z udręczeniem. Czuł się jakby godnym pogardy, czuł się czémś w rodzaju pasożytu, który dla rozrywki oderwał z pnia ludzkości jedną z najpiękniejszych gałązek, przez śmierć dziewicy. Opanowała go jakaś niepowściągniona chęć odwiedzenia samotnika. Pragnął widzieć niejako zbliżone dwie ostateczności; chciał obok wzoru obywatelskiej zasługi postawić siebie, aby się przekonać o ile tamta kolumna przechodzi go wzrostem. Lepsza strona organizacji jego duchowej rwała się ku treści szlachetnej i pełnej czynu, a w kimż więcej treści życia i czynu mógł się dopatrzeć, jak nie w jego przyjacielu—samotniku?

— Czemuś tak smutny Stanisławie? pytał Teodor.

— I ty, w takiej chwili, możesz myśleć o mnie! odpowiedział przyjaciel.

— Zapominasz, że gdyby nie ty, nie miałbym dziś *takięj chwili*; gdyby nie ty, możebym gdzie czekał samotny... Dziękuję za usługę.

— Hm... jaki domyślny.

— Zapominasz Stanisławie, że są chwile w życiu, kiedy człowiek może stać się nawet wieszczem. O domyślność nie trudno. Powiedz mi więc, dla czego ty jesteś smutnym po spełnieniu dobrego uczynku?

— Dobrego uczynku! człowieku... a czyż ten uczynek może zrzucić ze mnie brzemię, które uczulem na swoich barkach?

— Brzemię!

— Brzemię niewinnej śmierci!...

— Po co mówić o tém...

— Dla tego się o tém mówi, że się o tém myśli, a myśl jest wskrzesicielką!

— Przed tobą rozległe pole całego życia.

— Po za mną grób wązki anielskiej istoty!

— Miałżebyś rozpaczać?

— Ha, gdybym umiał... gdybym czuł jak ów obłąkany, któregośmy niedawno spotkali na drodze, gdybym się mógł odważyć na krok jaki stanowczy! Ale ja nie umiem rozpaczać, a czuć umiem na tyle tylko, ile potrzeba do poznania własnej nicości.

— Cóż czynić. Nie poznałeś duszy Innocenty.

— A ten kto takiej duszy nie mógł poznać—jest...

— Co najwięcej, nieszczęśliwym...

— Co najmniej—niższym od niej...

Kiedy ostatnie domawiał słowa Stanisław, powozik w którym jechali, przesuwał się obok przydrożnego domku, gdzie z po za zielonych krzewów ogrodu, ukazała się spokojna twarz Samotnika. Siedział jak zwykle na ławce darniowej. Na kolanach leżała otwarta księga. Jakkolwiek dzień znojnym nie był, Teodor z podziwieniem spostrzegł, że na jego czoło wysokie z rzadkiem spadającym włosem, swobodnie padało słońce, niby na nieczuły głaz posągu. Nie bał się słońca samotnik, bo całe dnie z niem tylko przepędzał, dopóki nie następowała chwila, w której i słońca było mu za mało, w której szedł odżywić się w sąsiedztwie, promieniejącym widokiem kobiety. Czytywał często księgę na słońcu, jeżeli mu nie bardzo dopiekało, tylko że przy czytaniu umieszczał ją tak, aby litery sobą zasłaniał.

Ujrawszy gości, uśmiechnął się życzliwie, położył książkę na darni, klasnął w dłonie i podszedł ku dwóm towarzyszom, którzy wysiadłszy z powozu śpieszyli naprzeciw niego:

— Wejdźcież panowie pod dach; — mówił samotnik — bo chociaż kochać musicie słońce, wątpię abyście się tak jak ja, zgodzić umieli z jego żarem.

Przyjaciele weszli. Wszystko tam było skromne, oprócz kilku wydatniejszych sprzętów. W pokoju

gościnnym, jedną ścianę naprzeciw drzwi, zajmowała wielka sofa, pokryta kobiercem, co nadawało temu siedzeniu pozór wschodni. Na wielkim stole, stojącym przy drugiej ścianie przed zwykłą kanapą, błyszczały dwa kunsztownej roboty świeczniki brązowe z sześcioma świecami w każdym. Serweta była sukienną ciemno-brunatnego koloru. Kilka krzeseł wyściełanych, krytych podobnie jak kanapa adamaszkiem wełnianym, zamykało umeblowanie. Na ścianie, nad sofą, wisiał wielki obraz Kościuszki, w całej prawie naturalnej wielkości. Nad kanapą zaś wisiały rysunki pamiątkowe, oprawne w ramy rozmaitych kształtów. Najwięcej znajdowało się tam portretów przyjaciół, a na wielu z nich były z drugiej strony własnoręczne napisy samotnika w taki mniej więcej sposób: „Żył, aby dowiódł, ile człowiek może przecierpieć;“ albo „kiedy mnie już nie będzie, niech obca ręka nie poniewiera tej pamiątki.“

W drugim pokoju obocznym stały szafy z książkami i posągami kilku znakomitych myślicieli i wodzów. Nad ciężkim łóżkiem dębowym, na wielkim kobiercu wisiała dubeltówka. Na stoliku obok łóżka błyszczało kilka naczyń szklanych pamiątkowych i pamiątkowy srebrny puhar. Oto całe bogactwo samotnika.

Sam on, pełen swobody i uprzejmości, wydał się Teodorowi całkiem różnym od obrazu, w jakim go

przedstawił przyjacielowi Stanisław, opisując go jako istotę potężną, niezwykłą. Teodor spodziewał się znaleźć jakąś postać surową, poważną, przedstawiał sobie coś żelaznego, granitowego; zdziwił się więc niemało, ujrawszy w téj kolumnie Stanisława, (bo tak go najczęściej nazywał Stanisław) swobodę, uśmiech, łagodność. Starzec zaczął żartować z dwoma przyjaciółmi, jakby był ich szkolnym kolegą. Teodor przypatrywał się ciekawie jego trochę niedbałemu ubiorowi, który jednakże świetną odznaczał się czystością. Ubiór ten stanowiła prostego kroju szata letnia, której nie można było nazwać szlafrokiem, gdyż podobną była raczej do ogromnej kapoty z guzikami rogowemi. Strój ten zrobiony był z dosyć ciężkiego kortu granatowego. Pięknie zarysowane czoło starca, bystre choć pogodne jego oko, nos regularny i wyraziste choć wąskie i prawie zawsze zaciśnięte usta; wyraz potężnej inteligencji, bijący w oczy nawet tych, którzy takich rzeczy oceniać nie umieli; pewien niewysłowiony spokój i powaga, oraz pewność siebie, osiągnięte po zwyczajku, bo według myśli własnej, przepędzoném życiu: wszystko to przejmowało dwóch młodych gości szacunkiem szczerym, graniczącym z pewnego rodzaju hołdem...

Pomimowoli, gdy patrzył na samotnika, przyszły Teodorowi na myśl spory, prowadzone między idealistami i pozytywistami. Ciekawym był bardzo, do

jakiego obozu należał człowiek, który nakreślił sobie tak matematycznie jasny plan życia i który tę matematyczność z takim sercem przeprowadzał. Kiedy myślał o nim, upatrywał wyraźną różnicę pomiędzy własnem pojęciem o kobiecie, a pojęciem, którego w tym człowieku się domyślał. Objasniony w rozmowach, przez matkę Stanisława, o poprzedniem życiu starca, dziwił się, jak człowiek ten, otrzymawszy cios w samo serce od własnej żony, mógł nadal być spokojnym, czynnym i po ciężkiej katastrofie, prowadzić życie pełne ruchu, wzniosłości i miłości dla ludzi. Teodor, kochając teraz Zofję i czując, że, jeżeliby ją utracił, nie mógłby się podźwignąć po tym ciosie, że jęj utrata byłaby dla niego utratą energii, uroku życia i jakiegokolwiek innej miłości, Teodor jednem słowem, będąc młodym i biorąc swój stan obecny za obraz całego życia, mniemał, że pomimo wszelkich pochwał, samotnik mało musi posiadać serca, a kochając niby ludzi, najwięcej kocha siebie. Korzystając więc z chwili, kiedy po rozmowie jego ze Stanisławem o śmierci Innocenty, rzecz wyszła na tor ogólnych spostrzeżeń, odezwał się:

— Stanisławie, dosyć już tego; nie trap się ciągle, powinieneś wszelkiemi sposobami unikać rozmowy o tym przedmiocie, bo cię to jątrzy i truje, cóż robić, choćbyś chciał, nie możesz być pozytywną...

— Więc pozytywista, według pana, miły mój gościu, rzekł starzec, ma być istotą z uczuć obraną?

— Ha, jeżeli massa, nazywająca się pozytywistami, depcze to, co wypiastowały wieki, jeżeli dla nich nie istnieje ani sztuka, ani piękno, moralna indywidualność, ani wola jednostki, ani cel samostny, ani czyny natchnienia; jeżeli wszystko jest ślepo rzuconém ziarnem materyi, jeżeli w rozbiorze téj materyi, w kierownictwie światem, odrzuca się ręka Boga...

— Zatrzymaj się młody panie. Co mówisz? ani sztuka, ani piękno, ani Bóg!...

— Nie rozumieją twarzy madonny Rafaela!

— Cóż to znaczy?

— Wygłaszają, że świat idzie dalej sam, o własnych siłach.

— I tu, mają rację...

— Więc pańskie zdanie za pozytywistami! zawołał głośno Teodor i szepnął do siebie pocichu:

— Przeczuwałem...

— Zaraz, bez uniesień młody gościu. Trzeba się porozumieć. Ty bierzesz istoty ślepe, albo z krótkim wzrokiem i nazywasz je pozytywistami. Miałbyś rację napadać na takich ludzi; ale to właśnie byłoby niesprawiedliwością, gdyby ich miano za właściwych pozytywistów... Gdyż... nie wiem, czy się pan zgodzisz na to, pozytywista może być wiel-

kim pozytywistą i może być prochem, wzmianki niegodnym.

— Nie czynię w ten sposób rozdziału. W samym wyrazie mieści się ciężkie oskarżenie; sam ten tytuł jest czémś w rodzaju szat ołowianych, w których jęczą dusze Dantejskiego piekła.

— To właśnie wydawałoby mi się mniej właściwém, że pan nie znajdujesz różnicy. Bo jeżeli byś pan wziął osobistość, która bez etycznego przygotowania, która bez zgłębienia pozytywnie, szczegółowo natury człowieka, jego usposobienia, cierpień i trudności życia wobec nieszczęść, dławiących czasem całe społeczeństwa, bez poznania potrzeby wzajemnego wspierania się, unika względności we wspólnych wadach i przymiotach, nakoniec— osobistość, która nie oddychając życiem całej ludzkości, niby gad w norze, karmi się książkami, jakiej jój w rękę wpadną a korzystając z własnej jałowości serca, podnosi jadowite żądło na ludzi dla tego tylko, aby ich kąsać: i jeżelibyś pan takiej osobistości nadał miano pozytywisty... natenczas, miałbyś pan słuszność, gardzić pozytywistami, ale....

— Przepraszam że przerwę: mogąć mieć współczucie dla tych, którzy odrzucają wszelkie niepojęte dla nich pierwiastki i żywiły wszechbytu? Czyż pomimo że parszają śmiechem na podnoszenie rąk ludzkich ku niebu i na wzywianie daremne ratunku

z wysoka, nie otacza naszej drobnej kulki nieskończenie wielki materiał dla myśli, dla ducha? Czy panowie ci nie są podobni do nomad i infuzorji, które znalazłszy się na dłoni śpiącego człowieka, budują tam swoje siedliska, rozpoczynają swoją kulturę, nie wiedząc, że jedno poruszenie, że jeden ruch piersi wyższej istoty może je zdmuchnąć w przepaść?

— Najniesłuszniejsze pojęcie pozytywizmu... Zaiste i pozytywista może być ślepym, poziomym, ale to nie stanowi, aby pozytywista nie miał mieć wielkiej duszy. Pozytywizm nie jest nihilizmem. Nihilizm jest jadem raka — pozytywizm jest podźwignięciem na właściwe miejsca, na właściwe piedestale tych *potęg, prawd, tego rozumu*, który przez ciemnotę, zabobon lub całe wieki ogłupiającego wychowania, brak odkryć, badań i nauki, został zastąpionym w pewnych razach, w pewnych fazach życia, przez wymęczone w ciasnej wyobraźni przepisy, formuły, głupstwa... przypisywane czasem... i komuż? Bóstwu! Pozytywizmu zadaniem nie jest negacja potęg najwyższych, bo to nihilizmu jest zaślepieniem; pozytywizm dąży do rozszerzenia poglądów, do wyrobienia samoistności, samopocy i do poznania: gdzie jest pole ludzkiego działania, aby przez pozostawienie go odłogiem, w imieniu *boskich* niby *rozkazów*, nie zarosło chwastem i ciemnotą. Pozytywizm jest niczem więcej jak wynikiem rozszerzonego poznania. Oczyszcza on drogi i prawie zawsze wywyższa

Bóstwo, bo bierze tylko konieczne, loiczne prawa tam, gdzie ciemni widzą udział Boga, przypisując mu przez to posiadanie *ludzkich* namiętności. I tu więc, jak w każdym najwyższym pojęciu, następuje pokrewieństwo ducha, jego jedność, rozdzielona tylko formą, i tu więc pozytywiści stają obok, blisko idealistów. Oświecony idealista musi wiedzieć to, co wie pozytywista i odwrotnie. Tu bardziej, niż gdziekolwiek łączą się ostateczności. Dalekiemi tylko od siebie będą ciemne lub mierne umysły, jak jednych tak drugich. Jeżeli kto umie wiele, zna ludzi i naturę, a jednak tyle ma lotności, że wciąż się zwraca ku niebu, natenczas nazwą go idealistą, ale jeżeli ten sam człowiek, przestał zaciekać się w domniemania o bycie i początku Boskim, o świecie pozagrobowym, lecz ograniczył się *stosowaniem* swojej rozumnej wiedzy na świecie, dla uszczęśliwienia ludzi, natenczas możnaby go było nazwać pozytywistą. Mnie by się więc zdawało, że nie ma tu się o co kłócić. Bo jeżeli np. pozytywista powie, że uczucia mogą być wpływem organicznego nastroju człowieka, to rozumny idealista nie weźmie mu tego za złe, bo nie jest tyle ciemnym, aby mniemał, że uczucie jest czémś bezpośredniem, od organizmu niezależnem, bo widzi, że pozytywista nie poniża przez to twierdzenie, wielkiego Bóstwa i że *Bóg nie mniej będzie wielki* w naszych oczach, gdy poznamy, że organizm ludz-

ki jest narzędziem do poznania nieskończoności Boskiej.

— Więc pan łączy, albo raczej znosi nazwę pozytywistów? zawołał ze zdumieniem Teodor.

— Łączę albo znoszę ją o tyle, o ile mi się być wydaje pustym dźwiękiem. Wyraz ten, ma znaczenie pełne treści wtedy tylko, jeżeli wyraża naturalną progressję ducha ludzkiego. Wytłómaczonym już został wyraz „sceptycyzm;“ tak samo nie jest strasznym tytuł pozytywizmu. Później może wynajdą nowy wyraz, aby odróżnić nie dość postępowych pozytywistów od mass ludzi, którzy odkrywać zaczęą i rozpowszechniać nowe bytu tajniki...

Dwaj przyjaciele nie mogli nic przeciwko temu powiedzieć. Postać samotnika, jego życie całe przedstawiały im rzeczywiście tę kolumnę, jaką zwykle nazywał go Stanisław. Nie usiłowali już wynajdywać dla niego nazwy sztandaru, pod który się zapisał. Był czémś więcej, niż pozytywistą, i idealistą, bo był istotą pełną czynu i myśli, istotą, która niby bożek spokoju odpoczywała na zwalonym kolossie blasku! Był człowiekiem, który nie ceni człowieka z punktu idealnego lub pozytywnego. Był tym, co kochał człowieka, bo sam przez ogromną wiedzę i myślenie poznał istotę ludzką... Pozytywizm nadał mu jedno tylko piętno wybitniejsze, to jest spokój i moc znoszenia ciosów życia bez złorzeczeń. Wiedza i matematyka czyniły go pozy-

tywnym; pogarda blasku uczyniła go wielkim w ubóstwie ducha, a jedno i drugie—czyniło go idealistą, kiedy na ruinach ludzkiego bytu, na wyżynach ubiegłego czasu i przechodniości życia, w obec nieskończoności wszechświata, podnosił się myślą ku Bogu...

Dwaj przyjaciele tak się zachęcili rozmową starca, że pomimo obiadowej pory ani myśleli go opuszczać. Zostali na obiedzie, który się składał z potraw niebardzo wykwintnych, lecz doskonale przyrządzonych. Gospodarz nie nadskakiwał, ani bardzo zapraszał, ale dania te były tego rodzaju, że zapraszały się same. Dla tych trzech osób podano jadła tyle, że zdawało się niepodobieństwem, aby się gość krępował nieśmiałością, gdyby mu się jeść chciało; z wielkiej wazy czerpać było można niby z jeziora. Gdy podano pieczyście, gospodarz niekiedy tylko rzucił okiem na gości, aby zobaczyć, komu przysunąć i, gdy posuwał, który półmisek, stół choć wielki, wydawał dźwięk podobny do grzmotu. Kiedy miał u siebie gości, lubił obfitość. Zdarzyło mu się przed wielu laty, że będąc na proszonym obiedzie, wziął przez nieuwagę większy kawałek jadła i przez to pozbawił kogoś na szarym końcu stołu, jego porcyi. Od tego czasu stół jego dla gości był potężnie zaopatrzonym... Gdy był sam, ograniczał się skromną ilością. Do obiadu podano wino francuzkie dosyć dobrego gatunku. I wina

zwykle starzec nie pijał, ale dla gości miał zawsze w piwnicy kilka butelek. Nalewał wino sam do szklanek z pewną przyjemnością i rozstawiał je biesiadnikom z twarzą ujmującą. Potem podniósł swoją szklankę, uderzył nią zlekka o dwie pozostałe i rzekł z nienaśladowaną szczerością: „kochajmy się.“ Młodzież chętnie biesiadowała, chętnie wypróżniała szklanki u takiego gospodarza.

Starzec wysiłał się na grzeczność i uprzejmość, pił nawet wino, ale serce mu pękało, ile razy spojrział na Stanisława. Tak obaj ci ludzie ukrywali wielkie boleści, bo zanadto były ciężkiemi, aby je wznawiać na każdym kroku...

Jeszcze siedzieli przy stole, gdy przed wrotami domu samotnika stanął konik pachciarza. Z koszykowej bryczki wyskoczył Micuś i raźnie, pomimo lat podeszłych, pomykał się ku drzwiom. Gościnnie starzec ujrzawszy go przez okno, powstał i spotykając go we drzwiach, przychylnie powitał, chociaż wiedział, jak nieżyczliwym mu jest Micuś.

— A, co za szczęśliwy trafi! Szanownego pana dobrodzieja tu zastaję, mówił ożywiony Micuś po pierwszych przywitaniach, do Stanisława, kiedy gospodarz wskazywał mu miejsce przy stole i podawał szklankę wina.

Stanisław odpowiedział kiwnięciem czoła. Obaj towarzysze podczas owéj rozmowy, podnieśli skale

myśli swoich do tyła, że Micuś wydał im się czémś nad wyraz godném politowania.

Micuś doskonale znał samotnika; wiedział, że posłuszny prawom gościnności, nie wypchnie go za drzwi i to było mu dostateczném. Nienawidząc go z całej duszy, zachodził tam, jakby na zwiady. Każde takie odwiedziny miały zwykle ten skutek, że Micuś, w odpowiedniém rozumie się towarzystwie, opowiadał z rozmaitemi docinkami i parodjami, *filozoficzne* głupstwa samotnika, jak je nazywał. Micuś od dawnych już lat nie mógł spokojnie przenosić jego powagi i zabijającej wyższości; ciągle jednak bywał u starca. Napomykano samotnikowi, że to podobno czyni w skutku zmowy z jego żoną, ale ta wzmianka właśnie była dostateczną, aby wcale się o tém nie dowiadywał. Zerwał z przeszłością bezpowrotnie; odchodził natychmiast, jeżeli się zdarzyło, że w jakim towarzystwie natracano mu o żonie. Micuś od pewnego czasu w chwili takich odwiedzin zdawał się badać wszystkie sprzęty po kolei; w jakim to jednak czynił zamiarze, samotnik domyśleć się nie mógł.—Takim więc sposobem nie przerwała się dotąd ta znajomość dziwaczna.

Micuś przy Stanisławie w złotym był humorze, a że najszcześliwszym był wtenczas, gdy mógł opowiadać swoje wspomnienia szkolne, uraczył więc towarzystwo tyłu dykteryjkami, że aż wywołał

uśmiech nawet na usta Stanisława. Cóżby jednak powiedział szanowny Micuś, gdyby zmiarkował, że to z niego a nie z jego opowiadań, śmiał się przyjaciel Teodora.

Kiedy wreszcie biesiadujący znudzili się tém ciągłym natrząsaniem się z biedy albo naiwności dziecięcej, Stanisław zaczął coś mówić do samotnika, bynajmniej nie troszcząc się, co powie na to Micuś, który wiele liczył na efekt swojej wymowy. Pozostał tedy z otwartą gębą nad swoim talerzem, gdy spostrzegł, że wielkie fajerwerki jego bakałarskiego dowcipu, posłużyły tylko do tego, aby się od niego odwrócono.

Teodor odszedł ku oknu i oparłszy się o ramę, zatapiał się z pewnem namaszczeniem w majestacie zachodniego nieba, iskrzącego się od wieczornych promieni słońca.

Zatopiony w tym przepychu, zawołał pomimowoli:

— Co za wspaniałość?

— Pójdźmy popatrzeć na zachód słońca, zawołał żywo samotnik i ruszył ku gankowi domu, zapominając prawie o swoich gościach.

— I on, ten matematyk, ten pozytywista biegnie przyglądać się zachodzącemu słońcu! rzekł Teodor powstając z miejsca i idąc ze Stanisławem w ślady gospodarza.

— Bo choć pozytywista, domyśla się po za słowem kogoś, co stwarza pozytywistów i idealistów... odparł Stanisław.

Micusz także, choć niechętnie ruszył za niemi. Idąc z głową na dół, nagle przytknął palec do nosa i zdawał się coś kombinować. Stanęli na ganku rzędem we czterech. Niebo zdawało się pysznić swoim bogactwem. Fiolet, lazur, purpura, złote snopy promieni, olbrzymie skrzydła obłoków jaśniejących tęczo, wszystko to ciskało na twarze patrzących ognie jakby pochłaniające... I trzy z tych czterech twarzy wyrażały zachwyt czystych duchów, zamkniętych w posępną małość ludzkiej piersi. Czwarta tylko twarz, twarz Micusia wyrażała całkiem co innego; oczy iskrzyły mu się patrząc w ziemię. Nagle Micus, jakby pod wpływem szczęśliwej myśli, zawołał:

— A, zapomniałem chustki do nosa.

To rzekłszy, pędem strzały pobiegł napowrót do pokojów. Tam gdzie przed chwilą obiadowano, służąca starca, Jakubowa, zbierała naczynia ze stołu. To zdawało się gniewać Micusia.

— A niech cię piorun trzaśnie! zawołał do siebie po cichu i zaraz rzekł głośno jakby usprawiedliwiając swoje przybycie:

— Moja Jakubowa, przynieście mi szklaneczkę wody; źle mi bardzo po winie.

Stara kobieta spojrziała naokoło, spojrziała na Micusia, potrząsała głową, ale nic nie rzekła i wyszła. Zaledwie to uczyniła, Micuś jak tygrys poskoczył do sypialni starca, podniósł wieko niezamkniętej szkatułki i zaczął gwałtownie przerzucać znajdujące się tam listy. Zatrzymawszy oczy na jednym, na którym widać było stempel zagraniczny, porwał go i drżącą z radości ręką schował pod koszulą na piersiach. Potem odskoczył, wsunął się napowrót do pierwszego pokoju, ochłonął długim oddechem i patrząc w okno rzekł pocichu z miną szyderczą:

— Ha, przestaniesz teraz robaczku być niepokojącym dla biednej kobiety!

I zamilkł nie powiedziawszy nic więcej, z czegoby się można było domyśleć, co to za kobieta i co to za stosunek. Dodał tylko te słowa:

— Może on myśli, że jej już nie ma na świecie! O, żeby się też mogła rzeczywiście zemścić nad nim!...

Ale stojąc tak Micuś zaczął się dziwić, że Jakubowa wody mu nie przynosi. Czekał jednak; wreszcie drzwi skrzypnęły, gdy zamiast Jakubowej ukazała się we drzwiach surowa twarz gospodarza domu. Micuś trochę zadrzał, mimo to nie tracił odwagi. Starzec groźnie postąpił ku niemu, zdawał się że-
laznym; obudzona dawna jego energja nasepiła się nad Micusiem. Ale był to człowiek, który zawsze panował nad sobą, zapanował więc i teraz, zbliżył

się do Micusia i rzekł spokojnym, stanowczym głosem:

— Oddaj!

— U pana wino tyle mocne, że wyraźnie mi się w głowie zawróciło; może i panu to samo? rzekł Micuś bladym choć z uśmiechem, czyniąc krok ku drzwiom. Ale tam ujrzał twarze wchodzących dwóch przyjaciół.

— Oddaj list, który przed chwilą ukradłeś, bo choć nie jest ważnym jak mniemasz; niepodobna, abyś ztąd wyszedł niepowróciwszy przedmiotu kradzieży, — mówił samotnik tym samym co pierwój głosem.

— Cha, cha, to Jakubowa... jaka zdradna... miała mi przynieść wody. A ja tymczasem szukałem chustki...

— W moich listach, — rzekł samotnik i szybki jak błyskawica chwycił za trzy odrazu kołnierze Micusia pod jego szyją, to jest za kołnierz od koszuli, kamizelki i surduta, potem szarpnął potężnie ręką na dół i nie mogącym przyjść do siebie z podziwienia dwóm przyjaciołom przedstawił się odlatujący od obnażonej piersi Micusia list z zagranicznym stemplem. Następnie gospodarz odrzuciwszy zmieszanego złodzieja silnym pchnięciem o kilka kroków od siebie, podniósł pismo spokojnie!

Wszystko to stało się tak niespodzianie, samotnik okazał tyle siły i zimnej krwi, że Micuś w ten fa-

talny sposób zdemaskowany, nie śmiał stawić mu czoła, tylko wołał:

— Panowie, jeszcze raz powtarzam, — ten człowiek cierpieć musi obłąkanie! Jakże ztąd wyjdę? Tyle grubijaństwa!

— Więcej z twojej strony zuchwalstwa, rzekł samotnik, ciągle już pod wpływem uczucia pogardy tykając Micusiowi.

— Ależ istotnie musiałeś się pan wstrząsnąć dosyć mocno, zrobił uwagę Micusiowi Stanisław; wyleciałeś z pod rękawa gospodarza jak kamyk z procy... Istotnie... może to i za surowo ukarana ta ciekawość...

— Wolne żarty, wolne żarty panie dobrodzieju, mówił Micuś do Stanisława: Panu to wolno, bo pan nikogo nie ukrzywdził na świecie.

— Więc ten pan krzywdzi ludzi na świecie! Cha cha cha! śmiał się Stanisław wskazując na starca. A tak, tak, na przykład przed chwilą ukrzywdził pana...

— Był czas, kiedy ten pan ukrzywdził jeszcze kogoś. Ale myli się bardzo, jeżeli myśli, że rachunek skończony...

Potém nagle przystępując do starca, Micuś z wściekłą miną, zawołał:

— Mógłbym przemienić tę napaść w jęki rozpacz... ale odkładam to do innego czasu, bo teraz—

— Bo teraz nie udało ci się dopełnić kradzieży, odrzekł starzec nieco przyspieszonym głosem. Panowie, jak możemy rozmawiać z tym człowiekiem? Idź, nie ma tu już miejsca dla ciebie...

— Ha, pójdę, zawołał Micuś przytrzymując ręką oddartą klapę surduta. Pójdę, bo cóżbym robił dłużej tam, gdzie myślą, że niema kary na świecie!

Ostatnie słowa wymówił Micuś z przyciskiem i ciągle przytrzymując oddarte części ubrania, wybiegł przed ganek i natychmiast odjechał.

— Grozi czémś panu,—mówił Stanisław po jego wyjściu.

— Nic gorszego spotkać mnie nie może, jak to, co mnie już niegdyś spotkało, — odrzekł spokojnie starzec, ale brwi nasepił...

Przyjaciele pobawili jeszcze czas niejaki u starca i z pierwszą gwiazdą ruszyli ku domowi. Każdy z nich siedząc obok siebie, myślał o czém inném. Teodorowi tkwiła ciągle w myśli postać samotnika i wyrastała mu w istną kolumnę, jak go Stanisław nazywał. Widzieć przed sobą człowieka, który zrobił wszystko, co było w jego mocy i żył pośród ludzkiego gwaru milczeniem poznania, żył samostnie, wspaniale, niezachwianie... nie znaczyż to widzieć samotną, ale potężnymi dłońmi dźwigniętą kolumnę wśród ludzkich huraganów i błyskawic—blasku!... A jednak ta kolumna, była złamaną...

Wróciwszy do domu Teodor i Stanisław rozeszli się do swoich pokojów. Teodor zasunął firanki swoich okien i marzył wśród ciszy. Widząc przed sobą obraz drogiej kobiety, nie chciał już widzieć nawet gwiazd i nieba. Gwiazdy zdawały się oddalać jego myśl od ziemi, na której znajdowała się myśli tej królowa... Mniemał, że w tym jednym pokoju założył państwo swoich nadziei. Bał się, aby mu kto nie wydarł nawet tego, czego jeszcze nie posiadał, aby nie płoszył tych nadziei. I znowu znalazł się wśród czarów, jak podczas owej nocy...

Ale powoli nurtować w nim zaczęły wspomnienia dnia ubiegłego. Niepewność, przed którą drzwi zamknął i firanki zasunął, zdawała się przemawiać do niego z ust samej ukochanej, bo w chwili kiedy szepnęła mu, że nie jest przeciw niemu, powiedziała przytem, że jej ojciec nie jest za nim... Czy to nie groźba? myślał, i serce zamierało mu z obawy. Nie wiedział jeszcze, ile mu jest życzliwą Zofja. Trafiła go w nagłych przystępach myśl, że pójdzie ona może jak posłuszna córka za rozkazem ojca i pozostawi go na pastwę rozpacz. Przechodził z uniesienia w uniesienie; to zdawało mu się że Zofja już nie dla niego, to mniemał że ją odzyskuje i wyciągał ku niej ręce z niewysłowionym zachwytem; raz widział oczy jej błyszczące nadzieją, drugi raz oczy te kłoniły się smutnie ku ziemi.

O, gdyby wszystkie kobiety wiedziały, ile są drogiemi mężczyznom, ile jedno spojrzenie sprawia burz w sercach kochających! Teodor był widomą ofiarą potęgi uczuć. Miotaly nim one jak wichry liściem jesiennym, pogrążały niby w morze, z którego co chwila oczy na światło wynurzał i ku Zofji wyciągał ręce.

Dusza jego chciała śpiewać hymn, który przerywała co chwila posepna twarz pana Franciszka. W takim usposobieniu, już nad ranem, siadł przy stoliku i rzucił na papier kilka sonetów; z nich, dla zakończenia obrazu boskiego uczucia boską mową, nie zawadzi przytoczyć choć niektóre. Że zaś postawione są tu na ostatku i nie łączą się bezpośrednio z akcją powieści, czytelnik, któryby nie lubił sonetów miłości i przerwy akcji... może kartkę tylko przewrócić, co go naprowadzi na nowy obraz.

I.

Kobięto! dotknął mnie powiew twój szaty,

I muszę z tobą zostać mimo trwogi:

Czy mych zachwytów świat nie za ubogi

Na twoich czarów nieśmiertelne kwiaty!

Przeszłaś... i trwożnie postać twoją gonię,

Trwożnie, choć gromy nie chylą méj głowy;

I pytam siebie, czy świat dziś mi nowy,

Czyli śnię tylko w gwiazdzistój obsłonie...

O spojrzysz na mnie, ty królowo cicha,
Zanim z nadziei, hymn sere się ułoży
I w rzeczywistość zmieni marzeń blaski;

Pogardź rozkazem, jeśli mnie odpycha,
Pogardź jutrzeńko nowój mojej zorzy;
Pragnąłbym upaść i zawołać: łaski!

II.

Ty milczysz jeszcze... myślę, że się we mnie
Druzgocze serce, żem zbłąkany w ciemnie!
Spieszmy! ta chwila tryumfem jest człeka,
Spieszmy—okrótny, kto w miłości zwleka!

Twarz twoja, niby liljowa korona,
Chociaż nie mówi: nie—jednak schylona!
Spieszmyż, porzućmy ludzkiej nędzy progi,
Luba, bo cierpię jak cierpieli—bogi!

Cierpię i w więzy sam siebie podaję,
Czując jak bogi, dłoń jak człek wyciągam;
Znika śmiertelny tor życia daleki...

Dzisiaj natury krańców mi nie staje,
Dziś jój znikomój jak i my, urągam,
Bo czuję rozkosz za jój wszystkie wieki!...



VI.

Niedaleko od miejsc, w których byliśmy świadkiem rozpaczy biednej wiejskiej dziewczyny, stała w sąsiedztwie innych chatka włościańska. Wieczór się zbliżał. Ludzie z roboty powrócili do domu. Dokoła wsi słyhać było ryk przybywających po całodzienną paszy trzód zwierząt domowych. Od czasu do czasu ukazywała się przed chatą postać gospodyni w latach już podeszłych, na twarzy której odbijał się zdala kabalistyczny hieroglif troski. Twarz ta pooraną była tyłu zmarszczkami, że zdawało się, jakoby los nie chciał pozostawić bez śladu żadnego ze swoich uderzeń. Zmarszczki na czole i na policzkach ułożone były z jakąś nieubłaganą systematycznością mistrza. W około większych dołów i zakrzywień rozgałęziały się całe rzędy linijek, tak, że skóra mocno już opalona od słońca, podobnąby te kobietę czyniła do jakiejś tatuowanej wyspiarki z drugiego półsferza, gdyby nie poczciwe oczy, jakby ciągle szukające czegoś, jakby skarżą-

cesię i pragnące współczucia. W rzeczywistości nie była nawet bardzo starą.

Wydzieliwszy kilku parobkom, którzy się w tej chacie żywili, to jest po naszymu, stołowali się, strawę wieczorną i nasypawszy jadła dla ptastwa domowego, kobieta wyniosła i postawiła na przyzbie swoją też wieczerzę. Postawiła, ale nie jadła; z założonemi na piersiach rękami, w jednej z których sterczała drewniana łyżka, wdowa Małgorzata stała przez chwilę zamyślona tą bolesną zadumą, która wpierając oczy nasze w jakiś punkt przypadkiem natrafiony, zdaje się przykuwać je do niego, gdy tymczasem wzrok nie ma bynajmniej udziału w tem przykuciu źrenic do miejsca. Wtedy wzrok zwykły obumiera, a natomiast działa wzrok duszy.

Po chwili takiego niemego wpatrywania się, wzrok duszy ożywił twarz Małgorzaty. Wszystkie odrazu zmarszczki na jej twarzy poruszyły się, ręce opadły, oczy błysnęły zwykłym wyrazem troski, a ciało poszło za owym wzrokiem duszy. Małgorzata krokiem ciężkim minęła małe podwórko, ogrodzone płotem plecionym z olszyny i zbliżyła się z obawą do czegoś w rodzaju legowiska, znajdującego się w kącie, utworzonym przez zbieg dwóch ścian płotu, z obawą, jaką uczuwamy na widok kryjówki zwierza.

Na pierwszy rzut oka można je było wziąć za legowisko psa, po bliższem jednak przypatrzeniu

się, niektóre szczegóły kazały się domyślać, że w siedzibie téj przebywa człowiek. Zrobione ono było z desek, pniaków i suchych gałęzi, nagromadzonych jedne na drugie, co tworzyło zarazem dach i ściany. Zdaleka wyglądało to zwyczajnie, zbliżka, jakby wyszczerzało zęby. Owe pniaki, korzenie, deski i gałęzie nagromadzone były widocznie jakąś ręką niecierpliwą; wszystko to sterczało, wyzierało jakby chciało kłuć i odstraszać, srożyło się jak skóra napadniętego jeża.

Spojrzawszy na jamę, stanowiącą wejście, za wielkie dla psa, za małe dla człowieka, nic zrazu niepodobna było dostrzedz, prócz głębi jak zwykle czarnej, kto by jednak uważniej się wpatrywał, powoli z czarnego tego tła, wystąpiłyby ku jego źrenicom, nieruchome, posępne dwa światła, płonące niby dwie plamy fosforu podczas nocy na ścianie; po oswojeniu się z ciemnością tego wnętrza, można było dostrzedz róg czegoś w rodzaju łóżka czy tapczana, zbitego z desek; ten zaś, kto podszedłby jeszcze bliżej, przekonałby się, że owe dwa światła są oczami głowy i że głowa należy do człowieka, siedzącego na tapczanie.

Siedział ten człowiek tak, jak siadują ci, którzy mają rachunek ciężki nie załatwiony ze światem. W nieruchomości jego przebijała jakby rozpacz i boleść, ale z zaciśniętych ust, z rąk opartych zamkniętymi pięściami o kolana, patrzyła energja i wo-

la. Z powierzchowności był młodzieńcem, ale z wyrazu twarzy widmem. Zpod rękawa grubiej koszuli, wyglądała ręka potężna i muskulista, krwią nabiegła. Stopy bose wparte były w ziemię tak mocno, jak u tego, co za chwilę ma się przemienić w skaczącego tygrysa. Zwykła wiejska siermięga pokrywała jego barki tak samo niedbale, jak owe legowisko kryło siermięgę. Siedząc bokiem do wejścia z wyciągniętą naprzód szyją, człowiek ten głowę tylko zwracał niekiedy w miarę wrażeń bezwiednych, otrzymywanych z zewnątrz swój jamy.

I teraz właśnie uczynił to samo, na szelest kroków zbliżającej się Małgorzaty.

Przyszła, zatrzymała się i dwojgiem swoich poczciwych oczu szukała owych dwóch posepnych świateł. Dwa spojrzenia dwóch dusz spotkały się. Lecz co za krańce! Tu miłość — tam zgroza; tu jasność tam pożar; tu błaganie — tam nieczułość.

Było to matka i syn. Ale pomiędzy ich wzrokiem nie było już nici porozumienia. Widać matka, nawet ona, kochająca, nie była w stanie stłumić okropności, jaka patrzyła z postaci jej syna.

Takim to stał się ów młody parobczak, któregośmy widzieli podczas okropnych scen pośmiertnych z nieszczęśliwą dziewczyną. Z kochającego stał się dyszącym zgrozą, z młodego chłopca straszylem. Twarz dawniej uśmiechnięta i okrągła, dzisiaj pozwalała zbadać na sobie wszystkie kości.

Małgorzata patrzyła na niego ciągle tym samym wzrokiem błagalnym, lecz syn błysnąwszy oczami natychmiast je w dawne miejsce obrócił. Naten-
czas matka odezwała się głosem cichój prośby.

— Janku, Janku, czy mnie nie widzisz?

Syn milczał; matka rzekła znowu:

— Dziecko moje, jakże mi mówić do ciebie! Wyjdźże z tej jamy, siedzisz tam jak w trumnie.

— Jak w trumnie? rzekł nie zmieniając położenia i uśmiechnąwszy się błyskotliwie. W trumnie? źle widzicie, matko, ja żyję.

Z temi słowy spojrział na swoje ręce oparte o kolana.

— Pókiż się będziesz martwił, Janku? Tyś chłopiec młody, świata przed tobą jeszcze wiele zobaczysz, możesz być szczęśliwy i chwalić Pana Boga. Czemuż ty patrzysz w to tylko, czego już nie ma! To grzech nawet.

— Matko, *ona* zawsze jest przy mnie.... Odejdźcie matko.

— Odejdę, ale z tobą razem.

— Matko, cóż będę robił z wami? co mi po was, co wam po mnie!

— Tu się zameczysz. W tej pieczarze przyjdzie ci jeszcze na myśl co złego.

Syn uśmiechnął się, drgnął całym ciałem i rzekł.

— Co złego? Nie — przyszło mi pod serce coś dobrego, dobrego, matko.

— Tam, w tym grobie, bez Boga i bez pacierza nie do serca dobrego nie przyjdzie. Uciekaj ztamtąd. Czy cię zły duch opętał. Zkąd ci się zachciało wybudować sobie takie przytulisko. Czy to nie masz kąta w chacie, czy to nie masz matki?

— Matko, mnie źle z wami.

— Takiś to syn — moje dziecko ulubione?

— Mnie źle z wszystkimi.

— Niechby ze wszystkimi, ale czemu ze mną?

— Matko, boście mi dobrzy byli, matko, boście wy mnie kochali, a ja już teraz kochać nie umiem..

— Nawet matki!

Syn milczał.

— Nawet mnie, dziecko miłe?

— Nie krajcie mi serca, płakać ja już nie mogę!

— Czy mało mi i tak twego smutku! Nie chcę żebyś płakał; chcę tylko żebyś tu nie siedział. Ludzie krzywo już na to patrzą.

— Niech przyjdą tu do mnie....

— Janku, chodź na posilek. Strawa już może ostygła. Prześpij się choć jedną noc pod strzechą, w izbie, a zobaczysz, że ci znów ochota przyjdzie do roboty. Taki młody nie może próżnować. Dziecko, posłuchaj matki.

— Ho, matko, ja jeszcze nie mogę pracować.

— No to nie pracuj, tylko wyjdź ztąd posilić się trochę.

— Kiedy już nie możecie odstać odemnie, matko, toć wyjdę.

— Wyjdź, wyjdź dziecino!

Oto jak przepędzał czas nasz parobek. Codziennie powtarzała się z nim ta sama historia. Stronił od ludzi, nawet od matki. Ale to, co matka miała mu za złe, było właśnie darem naturalnym, jaki od niej samój otrzymał. Pocziwe jej serce, czułe na wszystkie troski, na wszelkie wrażenia, serce, które odbiło się na jej twarzy w tych niezliczonych zmarszczkach, przelało i w syna pewną głębokość uczuć pewną siłę, która go parła do wyczerpania wszystkiego, cokolwiek zapanowało w jego duszy. Pod swą prostaczą siermięgą był to mężczyzna, posiadający polot i zamach. Nie umiał on zapewne wyrazić tego, nie wiedział nawet o sile swoich uczuć. Gdy był szczęśliwym, tańczył jak inni, śpiewał i pracował jak oni. Ale gdy po śmierci tej, co mu była lubą wpadł w mrok rozpaczy, ta sama rozpacz podźwignęła jego uczucia. Jego żal był szczytnym choć pragnienia okropne, czarne, jego smutek pełen dumy, jego nienawiść dla ludzi głęboką. Był to rodzaj lwa pustyni, ranionego na swojej drodze. Uczuwszy się zranionym, młody syn wioski, uciekł od ludzi, wybudował sobie owo posępne schronienie, zakrył się i najeżył. Młody lew potrzęsnał grzywą, zżymał się, lecz tłumiał jeszcze ryk zemsty. Wszystko znikło z przed niego. Stał się siłą zro-

wrogą. Wszystkie zasoby jego duszy, które obracał przedtem na obcowanie ze światem, przeistoczyły się teraz w pragnienie zemsty. Był to materiał bez obrobienia, potęga która utraciła kierunek. Nie zdawał sobie sprawy z niczego, albo raczej wiedział o tem tylko, że cierpiał, że miał dawniej coś gwiazdzistego, ukochanego, co go napełniało szczęściem— i to cierpienie pchało go naprzód...

— Dobrze matko, pójdę z wami, kiedy wam tęskno, rzekł wreszcie do matki i z temi słowy opuścił swoje schronienie. Kiedy przechodził, kilku parobków, spożywających wieczerzę, poglądało na niego ze strachem. Ale ten sam, który się nie różnił od nich, ani swym stanem ani odzieniem, przeszedł koło nich jak olbrzym. Czuli w nim coś okropnego, już do nich nie należącego. Jeden z nich, choć Janek przechodził o kilka kroków dalej, usunął się mu z miejsca mimowiednie, jakby chcąc dać mu drogę.

Szedł z głową spuszczoną. Matka puściła go naprzód i pożerała wzrokiem macierzyńskiej miłości, jakby bojąc się go utracić, albo jakby chcąc przekonać się, czy syn jój strapiony nie upada jeszcze pod brzemieniem smutku.

Przybywszy do izby, ku wielkiej radości Małgorzaty, Janek zasiadł do stołu, wziął łyżkę do ręki i po niejakić chwili namysłu zabrał się do jedzenia.

Zdawało się jakoby rozważył, że mu to będzie bardzo potrzebnem.

— Posil się, posil robaku mój biedny, mówiła Małgorzata.

— Tak, matko zda mi się to na dzisiaj.

— Dla czegoż na dzisiaj, moje dziecko? Nawsze, kiedy Bóg dał.

— Matko, bo ja chcę urąbać wam drzewa. Wyście tacy dobrzy dla mnie, a ja zły syn dla was.

— Co tam bredzisz, byłeś dobrym i jesteś dobrym, tylko dziwnie posmutniałeś, nie tak jak inni ludzie.

Posiliwszy się i pogadawszy z matką w tym mniej więcej przedmiocie, co i przedtem, Janek nagle powstał i zaczął szukać czapki.

— Po co ci czapka, Janku? Po tylu dniach mizeroty lepiej ci będzie odpocząć teraz, nie zaś chodzić. Zostań lepiej. Twoje łóżko zawsze jest gotowe.

— Matko, nie tknę łóżka.

— A to czemu?

— Dopóki wam nie urąbię trochę drzewa.

— Urąbiesz jutro.

Po co odkładać, i tak już długo odkładałem. Dajcie czapkę matko.

Małgorzata nie śmiąc się opierać, dała czapkę synowi. Syn kręcił ją przez czas długi w rękach i schylił głowę, jakby chciał się żegnać z matką.

— Cóż ci jest znowu? rzekła Małgorzata.

— Nic, nic, matko.... odpowiedział, i z temi słowy zakręcił się szybko, poszedł w kąt izby, wziął siekiere, poczem śpiesznie zawrócił ku drzwiom z czapką w jednej i siekierą w drugiej ręce.

— Nie spojrzysz nawet na mnie! zawołała Małgorzata rozżalona, a jednak szczęśliwa, że syn jój jakoś do życia powrócił. Nie przyszła jój na myśl cała niezwyčajność pory, o której zabierał się do rąbania drzewa. Dla wzroku matki dosyć było widzieć syna ożywionym, może już uleczonym z tego wielkiego żalu, który go trapił aż dotąd. Nie zatrzymywała go więc, kiedy nic jój nie odpowiedział i ruszył w drogę.

— Po co on poszedł tak prędko? pytał jeden z parobków, wieczerzających na podwórzu.

— Kat go wie! odrzekł towarzysz. Czy widziałeś, jak on teraz głowę schyla, kiedy koło czleka przechodzi?

— Żle mu z oczu patrzy, — mówił trzeci.

— Ale mi się widzi, że on jeszcze gorzej skończy, odezwał się znowu pierwszy.

Nie myśląc zapewne bynajmniej o tem, co o nim mówią, zdążył Janek ścieżką ku lasowi, ku miejscu, gdzie pozwolonem było rąbanie drzewa. Małgorzata ścigała go wzrokiem aż do chwili, w której zniknął u skraju lasu między zaroślami.

Stanisław w tym samym dniu starał się nieco rozerwać. U jego przyjaciela, samotnika, było kilka osób z sąsiedztwa na zabawie. Ale rozrywka szła jakoś niesporo, tembardziej, że niektóre z osób obecnych a szczególnie kobiety, dosyć natrętnie wpatrywały się w młodego gościa. Nic przeto dziwnego, że Stanisław i tak już zgryziony, uczuł niesmak w tém towarzystwie. Upatrzywszy więc chwilę wysunął się niepostrzeżenie i pośpieszył do ogromnego, starożytnego parku, który dotykał domku samotnika.

Park ten obok skromnego drewnianego budynku był prawdziwą wspaniałością. Nasz matematyk dla tego może tak łatwo zdecydował się na zamieszkanie w tych miejscach. W tym bowiem czasie, gdy mu doniósł Stanisław o bardzo dogodnem kupnie kawałka ziemi, ogród ten, stanowiący pozostałość z dawniej siedziby magnackiej, zniszczonej niegdyś przez pożar, zdołał od chwili tego pożaru tylko domek oficjalisty, który się znajdował na przeciwnym jego końcu. Ten to właśnie domek wraz z starą zielonością nabył starzec i przepędzał w nim chwile samotności, rzadko przerywane gwarem gości.

Dzisiejszy właściciel przyprowadziwszy do porządku niektóre aleje i kląby bliższe domu, resztę pozostawił w poprzedniem opuszczeniu, tak że ogród

ten był w rzeczywistości małym lasem, pełnym gąszczów, wysokich traw i ziół, tembardziej, że wiele gatunków roślin, starannie dawniej pielęgnowanych zdziczało i potworzyło wybujałe kępy. W głównych tylko alejach, przy prawdziwie leśnej samotności, uderzał ślad ręki i myśli człowieka w linjach, pod którymi stały drzewa. Olbrzymie wiązy, gdzieniegdzie przez pioruny albo burze, lub wreszcie przez wiek z liściastej zasłony odarte, potężne rosochacze z konarami, sterczącymi jak bajeczne barki cyklopów, wynurzały się z ciemnych linji i występowały uroczyście przed oczy przychodnia.

Samotnik zresztą kochał rzeczy, o które lada kto się nie wycierał. Kiedy był smutnym, lubił się opierać o coś ogromnego. Bał się nadewszystko wtedy ciekawych oczu, które mierzyły bezgraniczność jego smutku, niby przekupnie towary lokciowe. Owe ulice ogrodowe, po których już się nie przechadzano, owa niebieskawo-tajemnicza głąb' cienia wieczornego, gdzie nie było nikogo, pociągały go. Tam jego dumania, przez ciekawych nie przerywane, miały otoczenie wspaniałe i ciche. Tam jedne tylko widział kształty — potężne ramiona i pnie drzew sędziwych, tam jedne tylko spotykał oczy, w które patrzył zadumany — gwiazdy w przestrzeniach.

Stanisław otworzył furtkę, bialo - zielonawym mchem porosłą, poczem wszedł i zamknął ją za sobą. Znalazłszy się samotnym chwycił pełnemi pierściami powietrze.

Pod kilku lipami i wiązami stały nowe ławki, wyglądające jak nieproszone elegantki w obec ponurego majestatu tego ustronia.

Pod jedną tylko lipą w najcienistym zakątku, znajdowała się ławka, której ani czas, ani zaniebanie zniszczyć nie mogły i której nie potrzeba było zastępować nową. Stanowił ją bowiem wielki łom granitu, ociosany w kształt bryły prostokątnej. Dzisiaj zarosły był już w części mchem i zdawało się, jakoby powracał do pierwotnego nieokreślonego swojego kształtu. Narośle i pył ziemny kładły nań warstwę po warstwie i zaokrąglały powoli. Stanisław chwilę pobłądziwszy tu i owdzie, ucieszył się, że znalazł tak urocze miejsce spoczynku. Bo i smutek jego podniósł się do największego natężenia, a smutek to ma do siebie, że umie przygniać i obciążać, że umie ubezwładniać jak widmo, które nas we śnie w fatalne ujmie ramiona. Stanisławowi, siedzącemu na ławce, miejsce to takim zakolatało w duszę niepokojem i taką posępnością, że chociaż nie myślał jeszcze w tej chwili o grobie, powoli z czarnego cienia wieczoru, wynurzył się przed jego wyobraźnią grób, a nad grobem postać powiewna.... Zląkł się — zeszywniał, bo nad tym

grobem urojonym ujrzał postać nieszczęśliwej samobójczyni.

Jakby rozkaz przeznaczenia pchał go do tego miejsca, aby w otoczeniu majestatycznej ciszy i odosobnienia, aby w obliczu tych gwiazd, którym szedł się spowiadać Stanisław, wszystkie idealne pragnienia jego i kształty przeobraziły się w jeden kształt smutny i skromny barwą, z której wynikł, ale jasny i wspaniały potęgą, jaką zyskał w apoteozie śmierci. Wiejska dziewczyna przetrwona w anioła, anielską też ciążyła nad nim potęgą. Patrzył w nią, widział ją jak na jawie, spostrzegł jęj źrenice, patrzące w jego źrenice i zdrętwiał znowu.... Przyszedł do tego ustronia szukać ideału, albo raczej żalić się przed gwiazdami, że nie ma dlań towarzyski, a oto powiewna, urocza ale zarazem straszna, bo skarżąca i cicha, z bławatkiem w jasnych włosach, liljową na twarzy białością, z piersią, jaśniejącą jak kielich czystości, przybywała ku niemu jego niegdyś towarzyska, przybywała ta, co przyjąwszy do piersi białych jego słowa, jego obietnice, zanosła je z sobą do lepszych światów. Przybywała do niego jakby upominając się o swoje prawa, którychby nie śmiała wyjawic za życia. Dziś, z po za szranków śmierci, nie była już trwożną i drżącą; przybywała do niego jak potęga i zakryła mu sobą cały widnokrąg. Zdawała

się mówić: „o mnie tylko myślić musisz, jam twoja i ty moim jesteś na wieki!“

Jakkolwiek moralisci i ekonomiści dużoby znaleźli do zarzucenia Stanisławowi, był on przecież bardzo uczciwym w gruncie ducha. Prawda, że żył niejako przesytem i pogardą świata, że światem swym czynił gmachy marzeń, za niespełnienie się których uczuwał pewną ku ludziom nienawiść, ale tam gdzie szło o bezpośrednie postępowanie, a nie o myśli ogólne, Stanisław miał zasady nieposzlakowanej uczciwości.

Ten wieczór, to zjawisko, stały się dla niego pełnemi znaczenia. Objawiona mu w apoteozie cierpienia postać dziewicy, zapadła głęboko do jego duszy. Dziś lepiej ją widział, niż za życia, dziś dopiero w przetworzeniu obłocznem, każdy rys, za który dawniej ją lubił, stał się dla niego żywym, mówiącym wyrzutem. Dziewica ta przedstawiła mu się jako ofiara. Tak mu się przedstawiwszy, zaczęła o grunt jego duszy uczciwój i czulój. Uczuł w jednej chwili wielkość ofiary, jaką dla niego poniosła. Ujrzał się być dłużnym. A poczucie tego długu zwiało odrazu z przed jego oczu wszystkie inne kształty. Utracił w jednej chwili swobodę, bo znalazł się przygniecionym wielkością téj, którą bezwiednie zgubił. Znikła z przed niego świetlana droga innych marzeń. Został jeden tylko obraz.

Dusze ludzi lepszych mają tę własność, że uderzeni głęboko w strunę pojęć swoich o prawości, że otrzymawszy cios w serce tam, gdzie własne ich sumienie winę im wyrzuca, tracą dalszą drogę uroków, zatrzymują się zadumani, widzą jeden tylko przedmiot i dopóty znowu nie wejdą na tory myśli świetlanych, dopóki nie uczynią zadosyć głosowi powinności.

Ale jakież w tym razie zadosyć uczynienie? Ta, która zjawieniem się swoim czyniła mu wyrzut, już nie należała do ludzi. — Pomyślawszy o tém Stanisław uczuł pragnienie odwiedzenia jęj grobu i oparty o pień drzewa, siedzący na głazie; sam jak głaz wykuty w kształt człowieka, zatopił się całkiem w tę myśl, teraz jedyną.

Stanisław jednak nie był samym w ogrodzie. Przez napół przegniły parkan w najustronniejszym miejscu, wszedł tam jakiś człowiek, na którego nikt nie zwrócił uwagi, wszedł jak cień i zniknął w cieniach. Ale po chwili szum gałęzi, przez które się przedzierał i trzask suchych patyków pod nogami, mogły przekonać, że to był człowiek żyjący; Było to bardzo daleko od miejsca, w którem się znajdował Stanisław, szum ten przeto spłoszyć go nie mógł. Tymczasem człowiek który wszedł w zarośla, po chwili wyjrzał, wyszedł na płaszczyznę, stanowiącą dawniej ulicę ogrodową i ściskając pod ubraniem jakiś przedmiot, którego w ciemności

nie można było rozeznac, rzucił spojrzenia na wszystkie strony, jakby chciał się zorjentować. Świadomym był widać miejscowości, bo ruszywszy z miejsca, dążył prosto ku domkowi zręcznie wymijając rozmaite zakręty, a w miarę, jak się zbliżał ku zabudowaniom, szedł coraz lżej i ciszej; zdawało się, że każdy listek w ciemności rozróżniał, że każdą suchą gałąź na ziemi spostrzegał; szedł jak szum liści tajemniczy; z człowieka co wszedł w zarośla, stał się czemś elastycznym a śmiałym, ostróżnym a drapieżnym, groźnym a cichym..... Nareszcie doszedłszy do szeregu krzewów, które oddzielały dalsze części ogrodu od domku, znowu wyjrzał i badał, czy nie ma kogo w ogrodzie. Nic nie ujrzał i nie dosłyszał; to zdawało się go ośmielać, wyszedł i znalazł się obok ogrodzenia kwiatowego ustronia, przy samym bowiem domku znajdowały się starannie pielęgnowane kwiaty. Okna pokojów znalazł otwarte; to okna sypialni, w której nikogo nie było. Róże strzelały wonnościami ku pustkom, wyglądającym przez okna jak czarne tablice przyszłości. Człowiek zbliżył się szybko do ogrodzenia, schwycił jedną ręką wierzch poręczy i przesadził przez nią ze zwinnością zadziwiającą, następnie depcząc po kwiatkach, podszedł ku oknom, zajrzał w jedno, w drugie i znowu nic nie dostrzegłszy powrócił do zarośli, — wyraźnie kogoś szukał, albo chciał się zacząć w ciemnym pokoju. Ale mimo jego zwin-

ności i lekkości, dostrzedz można było w całym tym jego przebiegu i wybadywaniu pewną niekonsekwentność. Wpadł do ogrodu śmiało i prawie z hukiem a później, gdzie go właśnie nikt nie mógł dostrzedz, szedł ostrożnie i cicho, skradał się do pustych i ciemnych okien w chwili, gdy w niewielkiej odległości, to jest w dalszych pokojach widać było światło i słycać głosy liczego towarzystwa. Przy padłszy do ciemnych okien, dopiero jakby oprzytomniał, jakby zbierał myśli. Nie zdawał się być złodziejem, bo teraz właśnie miałby najlepszą porę do popełnienia kradzieży; nie zdawał się być trwożnym, bo nie drżał bynajmniej, kiedy stał i chodził przy oknach. Widocznie człowiek ten chciał czegoś od ludzi, szukał kogoś; zaglądał do pustek i ciemności jakby po to, aby mu się kto nie wymknął.

— Jam go widział przecież, jam go widział dobrze.... Jeszczem ja oczu nie stracił; jechał tu, do tego domu i tu przed tym domem konie stanęły, — szepnął wreszcie do siebie ten człowiek i szedł zaroślami dalej, dopóki się nie zrównał z oknami pracowni starca. Tu wzrok jego zatopił się z prawdziwą żądzą w tłumie osób, zebranych naokoło gwarzącego gospodarza, z wyciągniętą szyją wypatrywał kogoś i widać nie spostrzegł, bo jego głowa nie zmieniła swego położenia. Nareszcie przybysz zniechęcony próżnem wypatrywaniem, znowu rzekł do siebie:

— A przecież tutaj on być musi!

Po tych słowach, nie odwracając prawie spojrzeń od okien pracowni, człowiek ten usiadł, ale tak, że chociaż zasłonięty zaroślami, mógł widzieć wszystko. Siadając, zmuszony był przedmiot trzymany dotąd pod ubraniem, wyjąć i położyć obok siebie. Przedmiot ten na jednym końcu zdawał się być błyszczącym.

Ale posiedziawszy tak pewną chwilę i słuchając niepojętych dla niego gwarów, przybyły podskoczył na ziemi, jak zwierz ugodzony znieścacką kulą ukrytego strzelca. Natychmiast schwycił za ów przedmiot i odwróciwszy głowę, słuchał, w gotowości do zerwania się na nogi. Powodem tego nagłego spłoszenia był szelest, który dał mu się słyszeć w głębi ogrodu. Był to szelest idącej i dumającej osoby. Od czasu do czasu trzaskały suche gałęzie leżące na ziemi, albo trzęsły się poruszone konary zarośli. To słychać było kroki Stanisława, który powstawszy ze swego siedzenia, zaczął się znowu przechadzać, z duszą przepelnioną obrazem, którego objawienie widzieliśmy przed chwilą.

Nieznajomy ze zwinnością węża popelzł w stronę szelestu, tak aby najmniejszym odgłosem nie zdradzić swojej obecności, i po pewnym przeciągu czasu dokazał tyle, że znajdował się w zaroślach, około których błądził Stanisław.

Młodzieniec naturalnie ani się domyślał, że jest śledzonym. Idąc, zatrzymał się, aby mimowoli słuchać gwaru śmiechów, dolatującego z okien pracowni. To skłoniło go do postępowania w kierunku zabudowań, ku którym zbliżywszy się słuchał owych wesołych głosów, jak wygnaniec patrzący na radości w obczyźnie. Nieznajomy postępował jego śladem, a uchwyciwszy wreszcie chwilę, kiedy strumień mocnego światła pracowni, przedarłszy się przez lukę, oświecił twarz Stanisława, przypatrzył się jego rysom. To rozpatrywanie sprawiło inny zupełnie skutek niż dawniejsze. Widać, radość jakaś nadzwyczajna musiała go poruszyć, bo sam nie wiedział, co zrobić ze sobą: przerzucał z ręki do ręki przedmiot, który nosił ze sobą, kręcił się na miejscu jak na rozpalonem żelazie, lub wił się po zaroślach, zataczając naokoło Stanisława niewidzialne pierścienie. Zdawało się, że czekał tylko, aby Stanisław oddalił się od budynków. Jeżeli to było jego życzeniem, to wkrótce stało mu się zadosyć, bo Stanisław, skrzywiwszy usta uśmiechem pogardliwym, założył ręce nakrzyż i odszedł znowu w głąb ogrodu. W chwili kiedy Stanisław ruszył, nieznajomy znikł w ciemności, ale odtąd już nie mógł widać tak panować nad sobą jak przedtem, bo szelest gałęzi kilka razy zwrócił uwagę Stanisława. Ten jednak nie podejrzewał niczego, szedł dalej i potraçał nogą suche liście, pragnąc tak przeczekać jeszcze czas

jakiś. Powoli zbliżył się ku ławce kamiennéj, na której siedział przed chwilą. Spojrzał przed siebie i stanął zdziwiony. Z za pnia wiekowej lipy, wystąpiła ku niemu postać nieznanego. Wyszła ona z głębi cieniów, w których przedtem objawiła mu się jego ofiara. Czarne jakieś kształty zastąpiły miejsce świetlanego oblicza. Gruby zarys rozczochranéj głowy tem okropniéj odbijał, zastępując miejsce bławatka w jasnych splotach. Grubo zarysowane choć potężne ramię, potrząsało bronią, błyskając sinawym na końcu ognikiem. Stanisław nie był rubasznym ani łatwo się przestraszającym, ale przejęty poprzednimi myślami i znalazłszy się w obec tego nowego widma cofnął się, patrząc ze zgrozą.

— Stój! ryknął nieznanomy głosem okropnym.

— Kto jesteś? zawołał Stanisław.

— Co ci po tem — jestem ja!

— Czego chcesz tu odemnie?

— Ty jesteś zbójcą, więc cię zniszczę...

— Szalony, ty się mylisz! Precz!

— Ha, ha! zaśmiał się nieznanomy i podniósł siekiere. Ja muszę!... dodał głosem już naturalnym, w którym niepodobna było nie poznać syna Małgorzaty.

— Nikczemna gadzino! masz... zawołał Stanisław rzucając się z nienacka na napastnika i uderzył go pięścią w czoło tak silnie, że ten nie mógł już uderzyć

siekierą, która spadła i spadając zraniła lewą stronę twarzy napastowanego. Ogluszony tak odważnym ciosem i wysilony wzruszeniem syn Małgorzaty, upadł na wznak. Stanisław wydarł mu siekiere i krzyknął, kiedy się przeciwnik jego podnosił:

— Ani kroku, bo padniesz trupem!

— Ty zginiesz, ja cię zaduszę! Ha, on ma moją siekiere, dla czego ty masz moją siekiere? Wołał syn wdowy i szedł na oślep ku Stanisławowi, który mając już broń, a widząc bezbronnym napastnika, nie obawiał się o życie.

— Kto jesteś? powiedz, bo zginiesz...

— Zaraz, zaraz, niech cię w ręce dostanę, powtarzał syn wdowy i szedł ku cofającemu się Stanisławowi.

— Czy chciałeś pieniędzy?

— Co, czy ja zbój? ja chciałem twojej duszy!

— Czyś czart? Co za furjat przekłety!

— Jam człowiek, z któregoś zrobił czarta, boś mi zabił moją!

— Kogom zabił! to obłąkany!

— Zabiłeś kobietę! Tyś ją zabił? A ja cię dostać nie mogę!

— Stój! wołał Stanisław.

— Och dola moja, dola! Oj dana moja, dana!...

— Uciekaj! wołał struchlały pod wrażeniami bóleści, Stanisław.

— Co, a pocóżem tu przyszedł?

Stanisław w dziwnem był położeniu: zwycięzca — musiał się cofać, napastowany — nie mógł razić, bo przeciwnikiem jego było jeżeli nie pomieszenie zmysłów, to najwyższa rozpacz. Oceniał przytem powód tego postępku, widział się sprawcą niedoli człowieka, widział nie rozbójnika ale mściciela za wielkie bóle, jakie mu zadała śmierć dziewczyny. Ale musiał się bronić; ten człowiek zgniótlby go w objęciach nienawiści. Skorzystał więc z okoliczności: ulica, którą się cofał, zbliżyła ich ku budynkowi. Za pierwszym też okrzykiem Stanisława, już wielu ludzi było w ogrodzie, a po chwili i syn wdowy znalazł się w ich rękach. Chciano go bić i wiązać, lecz Stanisław nie dopuścił tego ku ogólnemu zdziwieniu; kazał go tylko dobrze zamknąć i pilnować mówiąc, że to nie zbrodniarz, tylko pijany. Siekiere rzucił w zarośla, i tym sposobem zatarł ślad czynu.

Biedny chłopiec z rozpaczony został zbrodniarzem.

Stanisław zaś tak był uderzony tym wypadkiem, że żałował prawie, czemu los nie dozwolił, aby siekiera wymierzona ku jego czaszce, wydarła mu życie. Spokojny więc okropnym spokojem żalu i podziwu, milczeniem odpowiadał na wszystkie pytania, któremi go zewsząd obrzucono.



VII.

Pani S* po powrocie swoim do domu, gdy gniewna porzuciła Teodora, w gorsze jeszcze wpadła rozjątrzenie. Usiadłszy w najciemniejszym kącie swego buduaru i zasunąwszy ręce w obfite zwoje włosów, myślała najprzód, o tém, jak się zemścić. Uczuła się poniżoną. Ona, przywykła dotąd gardzić wszystkimi, ujrzała się dzisiaj wzgardzoną. Postanowiła więc na razie zerwać z nieugiętym młodzieńcem. Ale jak wiele rzeczy na świecie, i to jój oburzenie minęło, zmieniwszy się w żalśliwe westchnienia. Spostrzegła, że nie zdoła porzucić go, że to nad jój siły; spostrzegła, że w nowe to uczucie zamknęła najlepszą część swój istoty — miłość, która ją mogła ożywiać po dosyć burzliwém dytychczasowém życiu. Zaczęła więc myśleć, jakby zaradzić grożącemu niepowodzeniu i obaléc współzawodnictwo Zofji, ale nie znajdowała na to skutecznego środka.

Po długich nareszcie kombinacjach wpadła na myśl urządzenia świetnego wieczoru, na którym

Teodor poznać miał wszystko, coby z nią mógł posiadać, poznać ją samą w właściwym blasku. Postanowiła rozwinąć nawet zbytek, byle tylko zaćmić to, co zkadinać wabić mogło Teodora. Powszechne to złudzenie dam, które przebyły już poranek życia, uniosło i naszą wdowę.

Ale nie to jedno tylko skłoniło ją do urządzenia zabawy. Chciała ona także posunąć naprzód widoki związku małżeńskiego między Stanisławem i Zofją, zaznajamiając się z jej rodzicami, którzy także mieli być zaproszeni.

Obmyślając sposób urządzenia zabawy i ustawiając pulchne paluszki śnieżnej swjej ręki na czole między brwiami, jak gdyby chciała dostać się nim do mózgu, szepnęła do siebie:

— Dziś musi chyba ukleknąć przedemną...

Jeżeli kobieta z gustem i głową poweźmie zamiar uczynić swój salon zabawy pociągającym, potrafi to uczynić z daleko większym wykwintem i wyrachowaniem, niż mężczyzna. Mężczyzna nie umie być do tyła drobnostkowym. Mężczyzna gościny obmyśla głównie efekt na masę, baczy na to, aby wszystkiego było obficie, albo nawet za wiele. Kobieta, zdolna jest uczynić z tego nagromadzenia materiałów gmaszek, nastrzępiony mnogiemi powaby, z których wygląda delikatna ręka bogini wdzięku. Mężczyzna lubi marmury, kolumny, puhary, grom zabawy i muzyki, gwar otwarty, chó-

ralny, rozległy, zarysy bardziej gigantyczne. Kobięta, z kolumn tych i stosów obfitości, urabia tysiące sidełek, zdobi je zdradliwymi amorkami i tajemnymi ozdobami, — wabnym kolorem, wyszukany kwiatem, emblematycznym zastósowaniem szczegółów umie roztoczyć, rozsiać woń wdzięku i miękkosci. Pieszczota wygląda z ustawienia mebli i porzucenia poduszek. Męczyzna gromadzi w ogół — kobięta stroi szczegóły.

Pyszenie ustroiła pani S* swój salon. Rano w dzień zabawy, zatrzymała się najprzód przed trzema oknami obszernej sali i zaczęła się przypatrywać co tam brakuje. Długie jasno-błękitne firanki na białym atłasie, opuszczały się w skromnych ale obfitych festonach do ziemi i kładły się na posadzkę, orzechowego koloru, błyszczącą jak zwierciadło. Przed oknami stały trzy wazonu marmurowe, z których rozpościerały wahlarzowato swe liście rośliny cieplarniane. Obicie ścian miało barwę perłową z bladym, zaledwie rozpoznać się dającym deseniem. Zdobila je złocona listwa u sufitu, ze środka którego zwieszał się wieloramienny żyrandol brązowy. Meble były białe ponsowym kryte aksamitem. Fortepian mahoniowy z takąż szafką do nut, stał w rogu pokoju. Na stołach przed kanapami leżały pisma krajowe i zagraniczne, świeże książki i albumy rozmaite. W dwóch rogach, na prost drzwi wchodowych, na dwóch niewielkich praw-

dziwych marmurowych kolumnach, odgrywali niemą rolę zachwyty Amor i Psyche. Ta zasluchiwała się w jego mowę, ten na pół wzniesiony, jakby w polocie, zdaje się dążyć ku niej z wyciągniętymi rękami, promieniejący, upojony czarem. Przy kwiatach i żyjących osobach, posągi te zdawały się oddychać, żyć białem życiem ideału, sfer świetlnych. Pani S* lubiła się przypatrywać tym posągom długo. W salonie więc tym była i tak wytworność i wykwinty kobięce, ale pani S*, pomna na cel wieczoru, znalazła tam za mało jeszcze uroku. Miała w swym ogrodzie najrzadsze kwiaty i zawołała: „kwiatów! kwiatów!“ I zaraz nastąpiły rozkazy, po których zjawiły się na stołach porcelanowe wazony z olbrzymieni bukietami; na oknach po za roślinami stref gorących, poustawiać także kazała świeże kwiaty. Z górnych ram okiennych spuszczały się z ręcznie poprowadzone bluszcze. Przez otwarte okna widzieć było można piękny wodotrysk, oczekujący tylko skinienia na uderzenie słupem kroplistym w powietrze, przepełnione woniami pysznego kwiatowego ogrodu. Słowem wszędzie marmury, kwiaty i zieloność, połączona z wytwornością; dostatek ułożony w formy powabu.

Daléj, sama pani S* wydobyła z długiego zamknięcia tace srebrne, serwisy z drogiéj porcelany i kosztowne sztuce, oraz inne przedmioty, w li-

czbie których odznaczały się przepychem i gustem, duże kryształowe wielkie czasze do owoców. — Zanim wszystko wydaném zostało służbie, kazała to gospodyni zostawić w salonie i pozostała samą. Utworzyły się z tych poustawianych bez porządku przedmiotów prawdziwe wzgórza srebra, szkła drogiego i porcelany. Właścicielka patrzyła na te rzeczy z pewną uroczystością, niby wódz mający ustawić żołnierzy do walki. Potém usiadła na ziemi; brała do ręki znaczniejsze przedmioty i zamyślając się ścisłała je w dłoniach nieco gniewnie, jakby pragnęła napić je pewną tajemniczą władzą przyciągania. Mieszała umyślnie i rozrzucała na około siebie ten zbytek nadobny, kąpała się, tak rzec można, w przepychu i kryształach, niby miłosna nimfa w falach tęczowych. Nad temi stosami kosztowności unosiła się jój wyobraźnia, pragnąca być twórczą, bojącą i młodą.

Tak przerzucając i obmyślając, zwróciła jakby mimowiednie oczy na dwa posągi, stojące po rogach sali, naprzeciw siebie. Spokój tego miejsca i myśl, jaką wyrażały, myśl jój ulubioną a spotęgowaną powziętymi teraz plany i obudzoném silnie uczuciem, sprawiły na niej owo podniosłe wrażenie, w którym pochwytyjemy przedmioty ducha jakby na jawie, jakby rzeczywiste. Niewypowiedzianie piękny rzut Amora ku skromnej ale zapatrzonj na niego Psyche, zdawał się porywać marzącą ko-

biętę i unosić ją białym swym ruchem ku sferom szczęścia; na miejscu Psyche postawiła się sama; mniemała, że teraz, czując tak mocno miłość, ma prawo to uczynić. Był to myśliciel namiętny rodzaju żeńskiego. Biały Amor unosił się, ona mniemała, że może odpowiedzieć uniesieniu miłości; Amor był potęgą piękna, — ona pojmuje, a nawet czuje tę potęgę; Amor promieniejący w błogości bogów, wspiera się na obłoku — ona w swych myślach, subtelniejsza jak obłok, bo ona — mistrzyni urojeń! Amor wzywa — ona mu odpowiada jak Psyche... Ale Amor wzywa białej Psyche, której szata jest młodością, oko nadzieją, a kształt zaszczytem kształtów, czoło jasnością poranka, usta zorzą pocałunku, kibić rozkoszą niepokalanego jeszcze objęcia...

Sycząca żmija gniewu wykrzywiła usta marząc. Nagle zerwała się po ostatnich myślach, pobiegła do zwierciadła i w kształtach swoich ujrzała — pierwsze rysy zimy, w twarzy boleść niewiasty...

Amor nie patrzył na taką, ona nie była ową białą! „Ale jest nią, jest taką moja dusza“ — myślała kobiéta.

I duszą czującą swe prawa, niezależną, jasną, gorejącą jak kadzidło przed ołtarzem piękna, myślą druzgoczącą czas i wieczność, oplotła się ta kobiéta naokoło posągu białego Amora. Była to

jakaś szczytna anomalja piękna. Kształt kobiety rozkwitającój dawno już dawno wygasł w tój postaci, ale dusza jój żyła i zaślubiła Amora w obliczu swych uczuć...

I marząca dama nie wiedziała, jak przyszła do tego, że Amora uczyniła podobizną Teodora, a białą Psyche swoją rywalką. Zdawało się, że chce ją na proch zdruzgotać. Wybiegła z salonu.

Wreszcie wieczór nadszedł, zaczęli przybywać goście, salon napełnił się gwarem i różnaitością. Nad barwném gronem kobiet i tłumem mężczyzn, nad gorącą żółtą powłoką światel salonu, bielily się dwa, nadobne posągi. Wchodzącemu z drugiego pokoju, mogło się wydawać, że znalazł się w przybytku, gdzie stoi ołtarz piękna. Tyle kwiatów, barw i gwaru radości, tyle rozmaitych postaci i kształtów, tworzyło tę atmosferę odurzającą, która usposabia człowieka do życia bogów i istot szczęśliwszych. Dwa boskie posągi zdawały się uświęcać te ziemskie złudzenia.

Towarzystwo rozdzieliło się na grona. Uprzejma gospodyni o nikim i o niczém nie zapomniała. Damom roznoszono cukry, lody, konfitury, wino i ciasta. Mężczyźni mieli trunki i w dalszych pokojach cygara. W chwili jednak, kiedy wprowadzamy na zabawę czytelnika, towarzystwo jeszcze się nie rozpierzchnęło. Stanisław ciągle był przy Teodorze,

ożywiał go i bawił swoim zwyczajem urywkowo, sarkastycznie i obznajmiał z gośćmi.

— Patrz, mówił, jak niewinnie uśmiecha się jedna z tych trzech panienek przy matce; ubrana biało, brak jój tylko skrzydeł. Właśnie znalazł się niedawno wielbiciel z szczerym zamiarem poślubienia. Cóż, chcesz? panience zdawało się, że człowiek, który uwielbia i mówi: najdroższa, bóstwo moje i t. p., powinien być uleglejszym od wszelkiego na ziemi stworzenia. Pewnego razu nie pośpieszył zię z podaniem czegoś, gdy panna siadała na konia (bo lubi jeździć konno), otrzymał więc z lekkiej rączki kilka tak potężnych razów szpicrutą w plecy, ale ma się rozumieć, żartem, że czmychnął i więcej się już nie pokazał. Druga siostrzyczka, która jak widzisz, tak pięknie ma złożone rączki; lubi wynagradzać sobie ten spokój biciem dziewcząt usługujących, z których trzy w ciągu roku za to wydalono, albo raczej same uciekły. Trzecia, której oddech zdaje się być ciągłym wzdychaniem, lubi kląć czasem jak dragon. Wierz mi Teodorze, nie obmawiam bynajmniej tych dziewic, przedstawiam ci je jako osobliwość. Przecież tu nie wszystkie takie, godzi się więc znać te, które mogą być biczem mężczyzny. Mama tych panien myśląc naiwnie, że ludzie nic a nic nie wiedzą o ukrytych przymiotach jój córek, ma zwyczaj pytać się mężczyzn po towarzystwach: „I czemu to

się pan nie żeni, nie odszuka jakiej pocieszycielki w samotności, czemu pan chcesz zostać starym kawalerem?“ — Jak myślisz Teodorze? uderz no ty z hołdami do jednej z tych przyszłych pocieszycielek męskiego rodu.

— Kiedy tam się już zbliża jakiś konkurent, rze kł Teodor.

— A prawda, ten co to wyszedł z grona młodzieniaszków, śmiejących się serdecznie. Jest to protektor poezji, którą upatruje jedynie w niewydanych wierszach Węgierskiego i z chlubą wspomina, że całe życie zbierał te skarby. A żyje już dosyć długo bo lat siedmdziesiąt. Prawi on teraz komplementa paniąkom, ale zaręczam ci, że nawet on sam boi się szpicruty; zresztą wysłużył już kawalerską emeryturę.

— Czemu tak długo nie widać Ślepowrońskich? zapytał Teodor, zajęty bardziej nieobecniemi niż cbecnemi.

— Ja ci powiem dla czego, odrzekł Stanisław. Chce należeć do dobrego tonu. Słyszał zapewne kiedyś, że ludzie lepszego towarzystwa, zbierają się na zabawy o ile można najpóźniej. Postanowił więc ściśle nastroić się do tego wymagania. Ale spojrzij no tam w lewo, po za to grono kilku dobrych i przyjemnych a nawet ukształconych kobiet, rozmawiających tak żywo z trzema mężczyznami, o których ci nic złego powiedzieć nie mogę; jak

ci się podoba ten stojący za krzesłem jegomość, lat średnich, z twarzą trupa i uśmiechem węża? jest to Don-Juan prowincjonalny. W młodości, widział tę operę i za jedyny cel życia obrał sobie podbijanie wszelkich bez wyboru serc kobiecych. Rad nie zaprzecza pogłosce, którą sam rozpuścił, że do liczby *stu* ofiar miłosnych brakuje mu jednej. Ma on nadzieję znaleźć ją jeszcze. Ale ja myślę, że będzie nią... coś w rodzaju kucharki. Tymczasem zaś stara się o względy, patrz no, téj ślicznej panienci w sukni kawowego koloru, która z przerażeniem spogląda na jego trupie zabiegi. Wróciła niedawno z pensji, ze stolicy, gdzie wcale innego nabrała pojęcia o bohaterach miłości.

— Któż jest ta piękna i miła dama, która prowadzi za sobą śliczny wianeczek sześciorga dzieciak? Dziewczątka jak różyczki, chłopczyki jak perelki.

— Jest to cnotliwa kobiéta i dobra matka, kochająca dom, męża i dziatki, co właśnie jest powodem szyderstw wielu z pań sąsiedzkich; które powiadają że za dużo ma dzieci.

— Chowa je ślicznie, o ile się to da odgadnąć z powierzchowności; może zbyt szczupłe fundusze są powodem owych szyderczych uwag?

— Gdzie tam, fundusze ma znaczne; mąż jój dobry gospodarz i miłosierny człowiek, widzący

w przyszłości i ukształceniu dzieci całe swoje szczęście.

— Jakiż więc powód szyderstwa?

— Powód — żaden; źródłem złość i głupota...

— A któż to tamten mężczyzna jeszcze bardzo przystojny, który podaje kwiat jakiéjsz pani? Ogląda się przytém, jakby się czegoś obawiał...

— Tchorzy tak, widzisz, przed żoną, która się tam zagadała w drugim końcu pokoju ze swoją znajomą. Jegomość, o którego pytasz, ożenił się z kobietą, przy wielkich miłośnych owacjach. A oto dzisiaj, jak tylko wysunie się do Warszawy, klęka przed baletnicami, nazywając swoją żonę zbyt prozaiczną. Ma się bowiem za poetę, obdarzając odami wszystkich solenizantów sąsiedztwa. Z tego sądzi, że ma prawo na pewne odstępstwa od toru życia ludzi zwyczajnych...

— Ależ Stanisławie, czyż o nikim dobrze nie powiesz?

— Mówilem ci już, o dobrych; według mego zdania, zbytęcznym jest opowiadać o tém, co samo jaśnieje. Właściwiéj, z pod balowego światła wydostać i zdemaskować te postacie, które jadęm swoim zatruwają towarzystwo. Mamże ci przytaczać historję boleści albo wielkich ofiar. W wielkich boleściach wielkie są przepaści; mało na to czasu. Zresztą, tak się już jakoś składa, że na zabawach rzadko bywają cierpiący. A gdybym i tu

znalazł kilku, nie starczyłoby mi humoru na ich odmalowanie. Wylewając z radością jad na głowę gad ziny, nie śmiem dotykać brzemienia ludzi cnotliwych. Gadzinę trzeba deptać, cnotliwego uwielbiać. Dziś nie mam humoru do uwielbiania. Patrz, oto tam po za tym wazonem stoi ojciec, który rozdarował za życia fortunę dzieciom a sam teraz nie ma czasem obowią. Zapięty w wytartym surducie stoi u okna; nawet twarzy jego nie widać, bo ją zakrywają szerokie liście zamorskie. Tam dalej stoi nasz kapłan miejscowy. Będę ci w tym gwarze i wirze, opisywał cichą potęgę jego życia? Będę ci wysławiał zasługi dwóch, trzech jeszcze obecnych osób, dobrych ojców, wspaniałych synów kraju, dobroczynnych obywateli? Zapytaj mnie oto kiedyś indziej. Dziś chcę się bawić i tobie radzę to samo. A jeżeli ja... dodał bledniejąc — źle o kimkolwiek mówię, niech i o mnie mówią, co się podoba, tém bardziej że od śmierci pewnej istoty... Ha... jeśli słusznie, gotów jestem wystawić im piersi, niech gryzą...

— Radząc mi bawić się, sam dotykasz myśli smutnych... Oto powiedz kto jest ta poważna i łagodna dama z tak pięknym i żywym wyrazem twarzy, przy której siedzi kilka panienek, gustownie poubieranych?

— Ach Teodorze? zawołał Stanisław. To ty nie znasz jeszcze perły naszej okolicy. O niej powinien-

bym ci coś najprzód powiedzieć, a zwłaszcza o jój szanownym mężu, któremu się zdaje, że jest stworzonym na artystę. Jest to pani Drogińska, przyjaciółka mojej matki. Kocha ona ród ludzki z niewysłowienie podniosłym uczuciem. A dzieci, dzieci są dla niej rozkoszą nad rozkosze. Niestety, nie posiadając ich wcale, bierze do siebie na opiekę biedne dziewczęta i w świat je wprowadza. Dzięki jój stanowisku towarzyskiemu, nie jedna panienka wyszła przyzwocie za mąż.

— To są u nas takie kobiety, jak pani Drogińska!

— Wszystko jest u nas.

— A starzec ten z siwym jak srebro włosem! Nie wiem dla czego, ale siwizna czyni na mnie zawsze dosyć silne wrażenie.

— Nie wiem, czy siwizna tego ośmdziesięcioletniego człowieka wywrze na tobie wrażenie jak zwykle. Nie myśli on bowiem o swoich latach i ciągle obarcza podarunkami wszystkie młode włościańskie dziewczęta wsi swojej. Gra nawet w jakieś zakłady, w których chodzi o przedsięwzięcia miłosne. Całe życie podobno tak przeżył i niczem się więcej nie zajmował. Zdrowie mu służy. Na przyszły rok, dla ekscentryczności, wybiera się uczestniczyć w wyścigach konnych. Będzie żyć co najmniej sto lat, a jego siwa czupryna warta téj, jaką posiadał w kwiecie młodości.—Nie musi być

smacznym w rozmowie, bo patrz jak się przymusza nasz znajomy Samotnik, moja kolumna, do rozmowy, którą go trapi ten Siwowłosy...

— A prawda nie dopuszcza Samotnika do rozmowy z panią Drogińską, której ten zdaje się bardzo pragnąć, bo ciągle spoziera ku tamtej stronie. Ale powiedz mi jeszcze o tym jednym, Stanisławie. Kto jest tamten posępny młodzieniec, pełen jakby wiecznego zapału?

— Jest to student dwudziestoletni, który ni z tego ni z owego, zachorował na apostołstwo cnoty i pragnie umoralnienia kobiet. Ciągle tylko mówi o tém. Niesłychanie oburza się na każdego, kto śmiałym okiem pogląda na wdzięki niewieście. Doświadczenie jego w tak młodym wieku wzbudza podziw. Ale zdaje mi się, że on kierujesz na tego kaznodzieję, który wypowiadał piękne kazania po to tylko, aby sam łatwiej brnąć mógł w grzechy śmiertelne.

Teodor prawie nie słyszał słów swego przyjaciela. Cała ta zabawa wydawała mu się jakimś obrazem fantastycznym, w którym rozmaite zjawiska choć barwne i świetne, znikają bez śladu. Nie widział także ukradkowych ale badawczych spojrzeń, jakie rzucała na niego pani domu. Stanisław, widząc ten stan jego duszy, usunął się po cichu.

Są chwile w życiu, kiedy serce pragnie uderzeń tak uroczystych, wrażeń tak lubych, że wszystko

prócz upragnionego przedmiotu, znika z widnokregu.

Przysunął się Teodor do okna, aby łatwiej mógł widzieć przybywających. Zahuczał jakiś powóz po zwirowym dziedzińcu. Ale oczekiwanie jego zostało zawiedzioném, gdyż z powozu wyskoczył najprzód powiatowy uczonec, pan Myślęcki, który raźnie podał rękę obojętną dla Teodora istocie, bo swojej żonie. Znowu przeszło z pół godziny — nic nie słychać. Zdawało się Teodorowi, że go tłoczy jakaś ręka przekory, zabraniająca mu nawet widzieć ubóstwianą kobietę. Zdolnym był przenosić z wytrwałą ciepłością wszelkie niepowodzenia i ciosy, ale udręczeń miłości przenosić nie umiał. Był jednak przekonany, że przyjedzie, i kołysany tyśiącznymi wzruszeniami, zatapiał oczy w ciemny widnokrąg nocy, chcąc dojrzec tam swoją gwiazdę.

Zakończyły się nareszcie jego męki. Około dziesiątej zaturkotała na dziedzińcu bryczka Ślepowrońskich i gwiazda Teodora ukazała mu się w całym blasku. Suknia zrobiona przez Dawida z szarą wełnianą materji, nie skaziła ani jednego z kształtów wiotkiej postaci Zofji. Zapięta pod szyję, jak mundurka pensjonarki, kończyła się białym kołnierzykiem, z którego wykwiłała na liljowej szyi płowowłosa główka nieśmiałej panienki. Wprowadził ją Ślepowroński za rękę i przedstawivszy pani domu, puścił przed siebie. Za nim szła jego żona, ubra-

na bardzo dziwacznie. Przedawniona moda wraz z prowincjonalną pretensją, tworzyły z jój zielonój jedwabnej sukni i ubranego kwiecicie czepka, coś niby świeżo malowane kulisy, z po za których ukazują się grube i niezgrabne wiązania drewniane. Rysy jój mające wyraz bardzo przytępiony, wyrażały tylko starość i olśnienie.

Ślepowroński, puściwszy swoje kobiety, odszedł do mężczyzn. Tu nieszczęśliwa jego żona prawdziwym znalazła się kłopotcie. Przypominając dawne czasy, wiedziała że jako mężatka, *powinna* zająć miejsce na kanapie: wystawcież więc sobie czytelnicy jój pomieszczenie, gdy ujrzała obie kanapy a nawet i turecką sofę zajęte, poważnie siedzącymi paniami. Zdawało się jój niepodobieństwem usiąść gdzieindziej. Przez chwilę uważała się jakby za wykluczoną z tego towarzystwa, ale w ciągu tego czasu wcale jój na myśl nie przyszło, że kiedy miejsca nie ma na kanapie, usiąść wypada na krześle. Wahala się, czy pozostać, czy też udać się do sąsiedniego pokoju dla nabrania siły, a tu jak na złość, pani domu wyszła dla wydania jakiegoś rozkazu. Nakoniec pani Ślepowrońska upatrzyła krzeszko opuszczone przed chwilą przez Stanisława i przycupnęła tam mocno spocona. Kłopot matki naturalnie podzielać musiała i Zofja, która znalazłszy się po raz pierwszy w salonie jako dorosła pan-
na, wyraźnie doświadczała dreszczu i mocnego nie-

pokoju. Kręciła się przez chwilę na jedném miejscu; szmer, gwar, śmiechy męzkie i kobiece, światło, przepych sprzętów salonu, nigdy nie widziane kwiaty — wszystko to owionęło ją jakby czarem. Teodor skorzystał z tego a przysunąwszy się nieznacznie, przywitał Zofję jak mógł najgoręcej w obec salonu i przyniósł jéj krzesło, chociaż było to właściwie zbytym, bo niedaleko stały dwa niezajęte krzesła, które uprzejma pani domu wskazała tym damom, lecz których one przez swoje zakłopotanie wcale nie dostrzegły.

Niektórzy chcieli zacząć tańce; większość jednak oparła się temu z powodu wielkiego gorąca, bo przy znacznej liczbie gości panowała duszność, pomimo otworzonych okien.

Pani S* wcale tańca popierać nie myślała, owszem zdawała się dzielić przekonanie jego przeciwników; ale zaproponowała natomiast gry, co było przyjętém jednozgodnie.

Gry w braku tańca najbardziej są cenione. Zabawa tego rodzaju to mała rzeczpospolita, gdzie znikają nierówności wieku i stanowiska. Kto dumny i niedostępny, do koła zabawy nie należy; biorą w niém udział dusze najpogodniejsze; starsi pragną tam odmłodnić, młodsi bliższe zawrzeć stosunki. To, co kiedykolwiek byłoby niemożliwem, tam staje się urzeczywistnionem. Wyraz „ty,“ do takich gier wprowadzony, z upragnieniem i pe-

wnym tajemniczym przyciskiem, wymawia się tam przez tych, którzy w innym razie niemają do tego prawa. Etykieta znika pod gazową zasłoną zabawy. Z jakąż radością uderza się tam po rękę *kogoś* z tych, których pocałunek byłby tak pożądanym! Z jakimż wyrachowaniem obmyśla się w tych zabawach sąd nad sfantowanemi, ile czasem nieklamanej radości! Prąd zabawy uświęca i uszczytnia pospolite uśmiechy i dowcipy. Jest to koło zaczarowane; kto do niego należy, jest chwilę niezależnym, zapominającym, szczęśliwym. Srebrne wybuchy wesołości panien ulatują ponad rozochoceniem kołem jak idealne kaskady; młodość wre, życie kipi; zdaje się ludziom, że powinni być takimi, jakimi są w tej chwili.

Po „sąsiedzie“ i po „pierścionku,“ pani domu zaproponowała dla odpoczynku, „cenzurowanego;“ z czego mocno niezadowolonym był Teodor, gdyż dzięki złotym prawom poprzedniej zabawy, zdołał dwa razy powiedzieć Zofji „ty“ i trzy razy dotknąć jej ręki podczas gry w pierścionek.

Pani S*, która z niemą zazdrością widziała to szczęście Teodora przy Zofji, gniewała się na siebie że sama dała sposobność zbliżenia się tym dwojgu młodym. Z żalem spostrzegła, że pomimo okazywanych Teodorowi względów, tylko przy Zofji czuł się szczęśliwym. Kilka razy także przystępowała do Stanisława z wymówkami, że okazuje się

tak zimnym dla córki pana Ślepowrońskiego, lecz widząc że to nie skutkuje, jak wódz przegrywający bitwę, kiedy wszystkie już szanse powodzenia wyczerpie, rozżalona kobieta postanowiła oddalić Teodora od Zofji i dla tego to zaproponowała „cenzurowanego.“

Porozmaitych mniej lub więcej dowcipnych cenzurach, Teodor, ku wielkiemu swemu umartwieniu, musiał także usiąść na owo krzesło obmawianego. Podczas téj gry, nikt tyle co on nie nadawał fantów za swoje roztargnienie, a fanty te do prześlicznego worka włóczkowego kładła gospodyni balu z pewnym rodzajem radości. Teodor, zmuszony powtarzać wszystkie cenzury a widząc przed sobą jedną tylko Zofję, co chwila się mięszał i jękał, tak że jedna z dam obecnych zaczęła wątpić o dobrém wychowaniu Warszawiaka.

Nareszcie gra została przerwana przybyciem ostatniego gościa — pewnego jegomości z dalszego sąsiedztwa, z żoną i małym synkiem. Przybyli tak późno dla tego, że pani przed samym wyjazdem pokłóciwszy się z mężem dostała spazmów, które trwały przeszło trzy godziny, ale bynajmniej nie zachwiały postanowienia gniównój połowicy, uczestniczenia koniecznie w balu.

Zaczęto wreszcie sądzić tak zwane fanty, nagromadzone z poprzedniej zabawy. Sędzią, za zgodą wszystkich obrano gospodynię. Pani S* pochwy-

ciła tę propozycję z pewną gorączkową niecierpliwością.

Zofja nie uczestniczyła w ostatniej zabawie, to jest w „cenzurowanym,“ była bowiem jeszcze zbyt nieśmiałą na czyn tak odważny. Ukradkowo tylko podnosiła oczy, żeby żałować Teodora, z roztrągnięcia którego całe grono śmiało się wesoło. Było jój żal, że ten kogo ona tak lubi, tak mu sprzyja, jest przedmiotem śmiechu. Miała do wszystkich urazę w głębi duszy. Była pewną że Teodor nie może zasługiwać na szyderstwo. Zabawę bowiem, przez niedoświadczenie, brała na serjo.

— Czemu to córka pani z innemi się nie bawi? mówiła jedna z matek siedzących blisko pani Ślepowrońskiej, która odpowiedziała na to pytanie tylko ramionami i takim potrząśnięciem głowy, że interlokutorka odrazu zmiarkowała tępość jój umysłu. Ale byłaby może co i odpowiedziała biedna pani Ślepowrońska, tylko że naprzeciwno stał pan Franciszek z oczami wlepionemi w Zofję i zdawał się badać, czy ukazanie jój światu przyniesie rezultat, jakiego oczekiwał i dla którego tu przybył.

— Ten Stanisław nie myśli o niej wcale—mruzczał do siebie pan Franciszek. Ani razu do niej nie zagadał. Za to ten przeklęty młokos, jego przyjaciel, przyczepia się do niej!..

Kiedy rzecz przyszła do sądzenia fantów i kiedy ozywiona gospodyni, niby nie wiedząc czy fant

należy do Teodora, zadawała takie różne pokuty, któreby jak najdłużej mogły go utrzymać przy niej, Zofja okazywała taką mimowolną niecierpliwość, tak bladła i rumieniła się naprzemiany, że aż milcząca jój matka szepnęła z przekąsem:

— A siedźże spokojnie.

W téj chwili pani S* wyjęła ze swego woreczka jeden fant jeszcze i patrząc na złoty guzik od mankieta, rzekła tonem zupełnej obojętności:

— Co mam zrobić z tym fantem? już ostatni. Gdybym przynajmniej wiedziała, do kogo należy, postarałabym się wyznaczyć odpowiednią pokutę. Jeżeli to jest fant damy, to poproszę o deklamowanie czego pięknego, jeżeli zaś należy do którego z panów to niech właściciel uklęknie przed kobietą, którą mu się obrać podoba... tak bowiem często — ciągnęła dalej z uśmiechem — lekceważą nas panowie, że niech raz choć uczują, jak to ciężko być upokorzonym.

— Fant jest moim, mówił do siebie Teodor. Co ta kobiéta mówi? Takiego upokorzenia dzisiaj pragnę z duszy! Co za sposobność! Upaść przed Zofją na kolana tu, w obec wszystkich — co za lube poniżenie!

— Ten fant do mnie należy, rzekł podchodząc do pani S.*

— Czy być może? — odparła niby zdziwiona.

— Na szczęście — do mnie.

— Więc ta pokuta jest szczęściem dla pana?

— Najniespodziwianśm...

Pani S* nie mogła się powstrzymać od rzucenia wzroku na Zofję; zbladła przytem nieco, bo w téjże chwili zmiarkowała niebezpieczeństwo, przygotowane własną jój niefortunną propozycją.

— Gdy upadnie przed nią na kolana! pomyślała i zadrżała w duszy. Przezwyciężyła się jednak i spokojnie na pozór rzekła:

— Gdybym wiedziała o takiej gotowości pana do pokuty podobnego rodzaju, nie śmiałabym ukarać niewinnego za winę mężczyzn w ogóle. Może zmienić wyrok?

— Proszę bardzo, niech pozostanie w swój mocy.

— Nastajesz pan na to? mówiła pani S* głosem dziwnie brzmiącym; bo gdy to mówiła, radaby piorunem zniszczyć Zofję, która uroczyście słuchała téj rozmowy.

— Proszę, jeszcze raz powtarzam, o utrzymanie wyroku, — odpowiedział Teodor.

— Dobrze więc, ale któraż z nas otrzyma ten hołd w imieniu wszystkich?

— W imieniu wszystkich?

— Czyżbyś pan uważał to za hołd jednej osoby dla drugiej?

Przy tych słowach głos pani S* stał się tak dziwnie śpiewnym i przenikliwym, a twarz nabrała wyrazu tak tragicznego, że Teodor pomimo woli

patrzył na nią z obawą. Zdawało mu się, że pani S* pragnie go przykuć do miejsca...

— Uważam to za cześć — odrzekł Teodor — którą chciałbym oddać jak najprędzej w imieniu swoim i wszystkich...

— Zechciej więc pan wykonać wyrok rzekła pani S* i z temi słowy, tak lekko, że zdawało się, raczej siłą woli, niż stopą, podstąpiła ku Teodorowi i zupełnie zasłoniła mu Zofję.

— Teodor spojrział znowu badawczo na gospodynię domu, ale nietylko jego oczy, bo i wzrok niektórych obecnych osób, zdołały dostrzedz w tém podstąpieniu i w wyrazie jęj twarzy, pewien zakaz i jakby chęć rzucenia się na kogo... Cóż czynić? myślał z piorunową szybkością Teodor. Ażeby dostać się do Zofji, potrzebaby usunąć z miejsca wyrokodawczynię, która gotowa bronić swego stanowiska. Błysnęła mu w pamięci rozmowa z nią w ogrodzie; spojrział znowu na nią i nareszcie zaczął się dorozumiewać, że ona chce hołdu dla siebie i że zasłania przed nim Zofję. Pomyślał dalej, że będąc gospodynią balu, ma prawo w obec grzeczności, aby jęj oddano pierwszeństwo.. „Ha, co robić“ — mówił sobie, — na ten raz jestem schwytyany. Niepodobna inaczej — niepodobna zbliżyć się do Zofji...

Podniosłszy więc głowę po tym chwilowym namyśle, ugiął kolana przed gospodynią i rzekł:

— Hołd w dniu dzisiejszym tylko pani się należy.

Ach! nigdy nie myślałam, abys pan ze mnie w ten sposób żartował. Co za wybór niestosowny.. Mówiła te słowa pani S* wyrazem, który widocznie przeczył wielkiemu zadowoleniu, igrającemu na jój twarzy.

— Ale wybór ten jedyny... rzekł na to Teodor głosem nieokreślonym i zaczął się podnosić z ziemi.

— Flakonik z kolońską wodą! gdzie flakonik? zawołał nagle zmienionym głosem Stanisław, przystępując do matki.

— Co to znaczy? Stasiu, mówiła pani S* do syna, podając mu kryształowy flakonik, który zawsze nosiła przy sobie.

Syn odbiegł i nie odpowiedział; zresztą rzecz sama się wyjaśniła, bo nagle zewsząd krzyknięto. Wszyscy z miejsc się zerwali. Ujrzano widowisko niespodziewane. Z twarzą białą jak papier, zsunięta z krzesła, pół klęczała, pół leżała Zofja obok swój matki, która straciwszy przytomność wołała rozpaczliwie:

— Ratujcie! ona umarła—ona nie mdleje nigdy!

— Zemdląca zatem po raz pierwszy, mówił Stanisław, który doskonale wiedział przyczynę tego zemdlenia, obserwując badawczo scenę zachodzącą między temi trzema osobami. Woda kolońska podana przez niego, ożywiła dziewczęę cokolwiek.

Zamięszanie jednak stało się ogólném. Blizko sto

osób cisnęło się w to miejsce, chcąc się dowiedzieć, co zaszło. Zdołano wreszcie oddalić mężczyzn a gro-
no panien otoczywszy i pochwywszy Zofję na ręce niosło ją z salonu.

Teodor, blady, wzruszony, popychany, ślaniał się jak lodyga wichrem pomiatana. Przed jego oczami przesuwała się pełna tragicznego majestatu cierpienia, zwiśla na ramionach dziewic, boska twarz Zofji.

— Czy to przezemnie, czy to dla mnie? pytał się sam siebie i patrzył na jęj zamknięte znikające w oddaleniu oczy, jak na dwie uroczyste zasłony swojej przyszłości. Zofja przedstawiła mu się tak anielską i przy swojej piękności zdolną kochać tak gorąco, że przez chwilę wahał się, co uczynić: czy biedz za nią, czy ją ratować z innemi, czy w obec świata głośno wyjawic prawa do jęj serca? Kiedy takie myśli wstrząsały jego istotę, spostrzegł nagle przed sobą twarz, która sunąc się w kierunku tłumu kobiet, zdążających za Zofją, zatrzymała na nim oczy iskrzące. Były to oczy nieubłaganego gniewu i wściekłości, były to oczy jakby pragnące go pożreć lub zdruzgotać — były to oczy pana Franciszka...

Pan Franciszek odgadł powód zemdlenia jego córki i dla tego to spojrział na Teodora, nic mu jeszcze jednak nie mówiąc.

Tak się zakończył ten wieczór u wdowy, bo choć Zofja szybko przysła do siebie z krótkiego omdle-

nia, zaczęto się rozjeżdżać do domu, raz dla tego, że było już dosyć późno i dla tego żeby swobodnie rozmawiać w swych kółkach o zaszłym wypadku, w którym odgadywano ważniejsze niż za mocna sznurówka przyczyny.

VIII.

Chociaż lato było w całej pełni, choć pola ożywiły się, bo roje żniwiarzy, rozsypane pośród fal złotych, napełniały powietrze wdzięcznymi gwary, choć ranki były rumiane i pogodne a wieczory tajemnicze i spokojne, — napróżno jednak czekałby ten, ktoby chciał spotkać Zofję w tych miejscowościach jak dawniej. Biegająca przedtém pośród zieloności i światła, jak ptaszek uroczy, wionący w około magiczne zachwyty na serca i oczy patrzących, chyża, naiwna i szczerą, luba wszystkim domownikom, Zofja znikła nagle z sielskiego widnokąrgu. Uczuła to zaraz cała służba, pracująca w polu i powtarzała sobie z żalonym przyciskiem: „Nie ma naszej śliczności!“

Daremnie od czasu do czasu zjawiał się w pobliżu mieszkania, kryjącego Zofję, jakiś człowiek dumający i wzdychający w cieniach. Daremnie, jakby magnetyczną siłą ujęty, przepędzał niekiedy całe noce w tych miejscach. Tym człowiekiem, jak się

czytelnik łatwo domyśla, był nikt inny tylko Teodor. Daremnie więc Teodor codzień tracąc nadzieję, z nadejściem nowego świtu znowu ją odzyskiwał, spodziewając się zobaczyć swoją ukochaną. Znikła. Przeznaczona na to, aby była szczęściem ludzi, zagasła w zimnych owych ścianach.

Pan Franciszek powziąwszy plany co do Stanisława, plany popiérane widocznie przez matkę młodzieńca, baczniej zaczął wglądać w postępowanie swéj córki. Od jednego z wybranych swoich służących dowiedział się, że panna miała pewnego dnia spotkanie w polu z Teodorem. Pociągnęło to za sobą straszliwe wymówki i groźby, ale na tém się nie skończyło. Pan Franciszek zabronił Zofji oddalać się z domu pod najsurowszą karą. Oto co było powodem zniknięcia Zofji dla wszystkich i dla Teodora.

Teodor gościł w domu matki Stanisława, ale od czasu poznania Zofji, miejscowość w której ona mieszkała, stała się jego ulubioném mieszkaniem. Poruszało to panią S* do najwyższego stopnia. Nic-że więc już nie posiadam w swojej mocy takiego, coby go do mnie przywiązać mogło? pytała się saméj siebie pani S* i uczuwała boleść niewypowiedzianą. Dotąd miała jeszcze nadzieję, jeszcze się ludziła, ale po ostatnim gościnnym wieczorze, spostrzegła, że przegrywa, że wszelkie dostatki, że byt świetny, jaki mogła zapewnić Teodorowi, że

żadne widoki konwencjonalnego szczęścia, że żadna obfitość, nie są zdolne zwyciężyć uniesienia i zachwytu Teodora dla Zofji, zachwytu, który ona nazywała głupstwem. Nazywając to tak, zapominała widocznie o tém, co sama czyniła.

Ale nie było żadnej na to rady. Im była smutniejszą, tém bardziej małowównym był Teodor. Im więcej dawała mu poznać, ile go ceni, tém chętniej unikał jój i dążył—dokądże? do jój najnienawistniejszej rywalki. Z głębi wytwornego swego buduaru patrząc ukryta, widziała niejednokrotnie Teodora zdążającego zawsze w jedną stronę. Nie mogła temu przeszkodzić. Nie chciała, bo nie mogłaby, usunąć Teodora z swego domu, a to właśnie ułatwiałoby mu stosunki z przedmiotem jego miłości. Nie mogła usunąć, bo pragnęła oglądać go jak najczęściej, jak najdłużej. Z drugiej strony, nie mogła skłonić Stanisława do oświadczenia się o rękę rywalki, nie mogła zabronić téj nędznej, jak ją mieniła, parafjance, kochać Teodora, widywać go i przyciągać. Nie posiadała więc żadnej władzy wtedy właśnie, gdy raz w życiu pragnęłaby ją posiadać. Uczuła się bezsilną. Okoliczności gnębiące jój istotę, układały się same, wcale od niej niezależne. To było za wiele dla kobiety tak dumnej, ufniej dotąd w siebie, tak niepowściągnionej w zamysłach i tak kapryśnej, jak pani S*. Wzruszenie z zawodu, jakiego doznała podczas ostatniego przyjęcia gości, wzru-

szenie wybornie zrazu ukryte, uderzyło ją jednak do tyła, że smutek głęboki i prawdziwy, smutek, jakiego dotąd nigdy jeszcze nie doznawała, zaczął ją trapić i wyciskać na jej twarzy piętno zniszczenia. Stojąc przed zwierciadłem widziała ona z rozpaczą tych gońców ruiny na swojej twarzy. W obec więc i tego jeszcze utrapienia, utraciła hart i panowanie nad sobą, któremi się ciągle odznaczała. Uległa swoim popędom, które przez zawód zmieniły się w pasmo cierpienia i goryczy. Pożółkła, zapadła w gorączkę, w bezsilność—nikła; zrywała się z łóżka i biegła ku oknu, aby patrzeć na Teodora, kiedy ten miał przechodzić.

W tym samym czasie w domu pana Franciszka inne odbywały się sceny. Zofji niewolno było wychodzić, ale Zofja wiedziała, że jest kochaną; wiedziała, że za murami jej zamknięcia czuwa kochające oko Teodora; domyślała się, że nie mogąc sama patrzeć na niego, była mu światłem. Jakkolwiek dla tego wiejskiego dziecięcia ciężkimi były chwile samotności i oczekiwania, jakkolwiek i Zofja się trapiła, były to przecież cierpienia, które właśnie ożywiały jej nadzieję. Dodajmy, że kochała po raz pierwszy;—każdy więc przedmiot wiążący się z jej miłością, o jakim tylko pomyślała, wysnuwał z siebie nieskończoną brylantową nić marzeń, które w pewnych chwilach, u istot czystych i nieświadomych, istotnie niebieskiej nabierają potęgi.

Zofja marząca w swoim zamknięciu, podobną była do aniołów, których dusze żyją natchnieniem, których życie jest uniesieniem.

Nie mało przytém otuchy dodawała jęj znana nam wdowa, która udając zimną obojętność, nie obudziła żadnego podejrzenia w panu Franciszku. Pan Franciszek jęj opiece polecił Zofję i ani przypuszczał, aby wdowa miała jakie współczucie dla jego dziecka.

Tymczasem wzmogło się zaufanie wzajemne, którego już dawniej byliśmy świadkami. W miarę budzących się uczuć Zofji, rosła potrzeba zwierzenia się jedynęj towarzysze. Zofja z całą naiwnością niewinności i szczęścia malowała swoje wrażenia, obawy, nadzieje.

Surowość pana Franciszka, po ostatniem odkryciu na balu, wzmogła się także i, jeżeli się powiedziało wyżej o zamknięciu Zofji, wyrażenie to bynajmniej nie jest przesadzonem, chociaż nie była trzymaną pod kluczem.

Nazajutrz po balu taka mniej więcej odbyła się rozmowa ojca z córką:

— Czém ty jesteś? groźnym zapytał głosem ojciec wchodząc do izby, w której była Zofja — czém ty jesteś?

Milczenie było odpowiedzią drżącęj dziewicy.

— Czém ty jesteś? powtórzył gniewnie i zbliżył się do córki patrząc jęj w oczy.

— Mój Boże, nie wiem, co mam odpowiedzieć. I czemu ja jestem!

— Ja ci powiem, czém jesteś. Gadziną jesteś, zmija wyzywioną przy ojcowskiem ognisku. Po to więc wozilem cię wystruganą, wychuchaną do pani S*, ażebyś tam dopuściła się takiej okropności?

— Ojczy, ja tego nie chciałam..

— Chciałaś, boś to zrobiła. Ale trzymaj się teraz ostrożnie, bo sam ja odtąd będę mieć oko na ciebie. Zresztą, dziecko niesforne, co widzisz w tym chłystku, to chłystek!

— Ojczy, jam posłuszna, wypełniam wszystko co mi ojciec rozkazuje.

— Ale nie wypełniasz tego, czego ojciec twój pragnie.

— Czego ojciec pragnie — powtórzyła dziewczica machinalnie.

— Tak, ty wiesz dobrze, czego ja pragnę, i powiadam ci z góry, że jeżeli pan Stanisław, który okazał widoczną chęć ożenienia się z tobą, porzuci ten zamiar, ciebie będę uważał za przyczynę zerwania tak pięknej partyi, a wtedy!

Z temi słowy pan Franciszek zrobił gest tak groźny, że dziewczę znowu zadrżało. Nakoniec zawołał.

— Nie wolno ci od dnia dzisiejszego ani na krok jeden wysunąć się z domu, nie wolno ci nawet wyglądać oknem, dopóki nie zobaczę, że się poprawisz.

Pierwszy krok, jaki zrobiłaś na świecie, był krokiem nieposłuszeństwa, był dowodem, że żywisz jakieś przekorne uczucia. Ty wiesz, że nie znoszę wszelkiego nieposłuszeństwa, jakże więc mógłbym ci przebaczyć nieposłuszeństwo tak wielkiej wagi! Będziesz od dzisiaj odosobnioną jak zakonnica. A gdyby i to ci nie pomogło, to pomyślę o czém innym, ty znasz mnie!

— Więc nie będę mogła wychodzić z domu? zapytała Zofja na pół z płaczem.

— Tak, od tej chwili nie możesz wychodzić. Trzeba żebyś wiedziała, że pókiś na chlebie rodziców, póty—masz ojca.

— Ojczy drogi, za cóż ja mam być tak męczoną!

— Przekorna! kara nie jest męką, jest pokutą.

— Boga wzywam na świadka! że nigdy nie myślała działać na przekorę!

— Ja wiem o tém najlepiej i wiem o tém, czego żądam. Jeżeli nie powstrzymasz się w porę, to sama ty nędzna, głupia dziewczyna miałabyś prawo później czynić mi wyrzuty. A ja nie chcę zasłużyć na wyrzuty ani od ciebie, ani we własnym moim sumieniu.

Zofja ukryła twarz w obu rękach, przez palce których zaczęły się sączyć łzy obficie. Pan Franciszek dokonawszy takiego dzieła sprawiedliwości rodzicielskiej, oddalił się krokiem miarowym.

Od téj to chwili zaczęły się utrapienia Zofji. Wkrótce przekonała się, że rozkaz ojcowski nie był wcale pogroźką. Przeciwnie wykonywanym był z całą surowością. Zofji pozwalano na obiad tylko opuszczać swoją izdebkę; pod żadnym zaś innym pozorem nie mogła się z niej wydalić. Przynoszono jój wszystko, czego było potrzeba, przynoszono jój robotę, to jest bieliznę do szycia, albo kądziel; nie pozwalano z nikim rozmawiać, prócz wdowy klucznicy, która z zadziwiającą zręcznością umiała wpoić w pana Franciszka przekonanie, że ona najżywiej podziela jego oburzenie za nieposłuszeństwo panny.

Każdemu wiadomo, jaki to skutek sprawiają podobne zamknięcia i zakazy. Do niezliczonej liczby tego rodzaju wypadków przybyło i to, co się stało z Zofją. Postać Teodora z całą potęgą wystąpiła przed oczy dziewicy. Cierpiała, została ukaraną za to, że mu sprzyjała, w długich przeto godzinach samotności, nie była zdolną myśleć o niczém inném, jak tylko o tym, który był téj kary przyczyną. Uczucie, które dotąd rozlewało tylko lube światło, uczucie budzące się dopiero — teraz, w czterech ponurych ścianach zamknięcia zmieniać się zaczęło w potęgę. Zofja czuła już jakby pewne obowiązki dla wielkiego zjawiska jój duszy; niosła jakby pewien sztandar mistyczny, który ją uzbrajał stałością i energją. Porównawszy dwóch tych ludzi: Stanisława i Teodora, czuła, że temu drugiemu

oddała już w zakład coś więcej niż puste słowa. Przypomniała sobie, że Teodor jój szukał i że ona znajdowała go z ważniejszej niżli traf prosty przyczyny, gdy tymczasem ze Stanisławem nic ją nie wiązało. Lubo jój było cierpieć dla Teodora, choć była ciężko strapioną karą tak srogą. Słowem, pan Franciszek, zamknięciem tém dokończył to, co traf zaczął; przez tak srogie przygnębienie dał gwałtowniejszy rozwój wielkim uczuciom. Zapewnił tym sposobem ojciec surowy Teodorowi kochankę i w chwili, gdy przemyślał, jakby mu okazać swoją nienawiść i odstręczyć go od córki, ona wyciągała ku niemu ręce, jak ku jedynej nadziei, świecącej w cieniach rozpacz.

Kiedy zajęta tym przedmiotem siedziała Zofja w swoim więzieniu, przyszła do niej matka. Biedna ta kobieta bez woli, bez ukształcenia, zahukana i trwożna, pocichu namawiała dziewczę, ażeby przeprosiła ojca.

— Mamo, przy ostatniém widzeniu się z ojcem, przepraszałam i tłumaczyłam się jak mogłam.

— Tego mało dla ojca—ja znam go; jemu trzeba najzupełniejszej pokory; on widzi nietylko to, co się robi lub mówi — on również dobrze przenika zamiary i myśli. Ja nic nigdy nie mogłam ukryć przed nim, jakże chcesz ty dziecino wojnę z nim toczyć!

— Mamo droga, jam nigdy nie poważyla się myśleć o wojnie. Ale mamó, ja nie wiem, za co tu siedzę.

— Za to właśnie, co myślisz.

— Ale czyż ja mogę nie myśleć o tém, co mi na myśl przychodzi!

— Jeżeli będziesz myśleć o Teodorze, ojciec nigdy ci nie przebaczy.

— O Boże, czegom doczekała!

— Dziecko nieostrożne, czyżbyś go już kochało!

— Ale mamó, ja o tym właśnie wyrazie nie myślałam...

— A jednak—zemdlalaś wtedy!

— Czyż zemdleć znaczy kochać?

— Ja nie wiem co znaczy, ale wiem to, że już nie jesteś dzieckiem. Słuchajże, co ci szkodzi kochać Stanisława?

— Mamó, jestem jak na mękach. Wszyscy teraz mówią tak do mnie, jak nigdy nie mówili. Jestem jakby obkoczona przez straszydła w śnie przykrym... Mamó droga, w głowie mi się kręci; ja znowu upadnę.

— Daj pokój, dziewczyno, na nowo rozjątrzyłaś ojca.

— Cóż więc mam uczynić!

— Słuchać.

— Ja słucham, jestem posłuszną.

— Kłamiesz, kłamiesz flutko.

Nagle drzwi się otworzyły i ukazał się w nich pan Franciszek, który patrząc długo na przestraszoną córkę rzekł wyraziście.

— Czasem być nieposłuszną w *myśli* znaczy więcej, niż złamanie rozkazu w jakiej rzeczy.

Zofja spuściła głowę, matka zaczęła łamać palce, unikając wzroku męża, a pan Franciszek odchodząc, zakończył swoją sentencję temi słowy:

— Wiedz, czego się trzymać, bo ze mną nie ma żartów...

Matka wkrótce odeszła, a Zofja została samą nie wiedząc, co myśleć, co czynić, jak wytłumaczyć postępowanie z nią rodziców.

Była to godzina trzecia po południu. Pan Franciszek przespawszy się po obiedzie, poszedł w pole doglądać robót, a szanowna jego małżonka zajęła się przenoszeniem do spiżarni mąki, przywiezionej z młyna.

Drzwi izby, w której siedziała milcząca Zofja, znowu się otworzyły. Weszła wdowa-klucznica. Twarz jej wyrażała to podwójne uczucie, jakie niekiedy dostrzegamy w odwiedzających nas osobach życzliwych, w dniach smutku. Twarz jej naraz uśmiechała się i tchnęła żalem, jakby chciała dać poznać, że ma coś dobrego zwiastować i że położenie, w którym się dziewczę znajdowało, smutkiem ją napełnia. Zofja poskoczyła ku niej z ożywieniem.

— O moja droga, najdroższa pani Janowa! zawołała i rzuciła się jęj na szyję.

— Moja biedna panienska, troszkę zmizerniała! Panno Zofjo, tylko mi się nie martwić, bo jak zobaczę, że nie będzie rumieńca, to i ja nie przyjdę do panny.

— Pani to mówi żartem, a mnie to straszy na prawdę.

— Panna Zofja ślicznego ma konkurenta. Ten pan Teodor!

— Czemu pani o nim wspomina, jeszcze kto usłyszy.

— Może przyjdzie czas, że wszyscy tego słuchać będą z przyjemnością.

— Co mówicie, pani Janowa! zawołała Zofja z ponurem zdziwieniem.

— Przecież panienska zawsze w kozie nie będzie. Trzeba więcj nadziei.

— A jeżeli Teodor porzuci mnie i odjedzie, jeżeli go nigdy nie będę mogła zobaczyć!

— Cha, cha, to doskonale! pan Teodor porzuci, pan Teodor odjedzie. Czy wie panna, gdzie też mieszkuje pan Teodor?

— Niewątpliwie w domu matki swego przyjaciela, jeżeli jeszcze nie odjechał.

— Tak, możnaby powiedzieć że odjechał albo raczej że—odszedł, ale dokąd? pewno nie do Warszawy. Pan Teodor znalazł sobie przyjemiejsze mie-

szkanie i przyjemniejsze noclegi, niż w dusznych pokojach dworskich...

— Moja pani Janowa, cóż zrobił więc Teodor, gdzież zamieszkał?

— W pobliżu dworu matki pana Stanisława jest inny dwór, z ganeczkiem, z ławeczkami, z ogrodami i zaroślami a nawet z pięknym strumieniem. A w tym dworze siedzi, jak to mówią w bajkach, zakłęta królewna pod ogromną strażą...

— Pani Janowa!

— Cóż takiego? Otóż pan Teodor obrał sobie mieszkanie w bliskości tego innego dworu.

— W bliskości naszego dworu? zawołała Zofja z bijącym sercem.

— Jeszcze napewno nie wiem, ale jeżeli pannie Zofji mówi o tém przecucie, tom ja gotowa zgodzić się na to, témbardziej, że i około tego dworu widują nocami jakiegoś nieznanego człowieka, który spogląda na okna i wzdycha, albo raczej sama ja nawet widziałam.

— Miałby to być Teodor?

— A coby mi dała za to panna Zofja, jeżeliby to był pan Teodor?

Zofja rzuciła się na klucznicę jak na ofiarę i okryła ją gorącymi pocałunkami.

— Cóż się z nim stało? zawołała wreszcie.

— Mała odmiana: kocha więcj niż przedtem.

— Pani Janowa, bądźcie cicho!

- Panno Zofjo, on kocha śmiertelnie!
- Jakże on wygląda—czy wesoly?
- Smutny jak cmentarz.... ale—
- Ale?
- Piękny jak dzień.
- Cóż jednak z tego wszystkiego! wyrzekła Zofja z westchnieniem.
- Jaktol! cóż z tego że smutny i piękny?
- O, nie!
- Czy z tego, że ciągle wzdycha?
- Ze wszystkiego razem, pani Janowa. Spojrzyjcież, gdzież jestem, czy można mieć jaką nadzieję! I tu oczy Zofji napelniły się łzami.
- Panno Zofjo, proszę nie płakać. Właśnie że możemy mieć nadzieję.
- Zapominacie o mojem więzieniu!
- Ja miałabym zapomnieć, a pocóż tu przyszłam, jeżeli nie po to, aby pomówić z uwiezioną? Nie zawszeż będzie więzienie.
- Czy zapominacie, pani Janowa o gniewie ojca?
- Ojciec jest ojcem i zawsze gniewać się nie może.
- A jeżeli Teodor, zrażony tylu przeszkodami wyjedzie z tych okolic? Czy zechce powrócić kiedy tam, z kąd go odpychano?
- Przecież go panna Zofja nie odpycha.
- Ja, miałabym odpychać!

— Więc w tém właśnie nadzieja.

— Nic nie rozumiem.

— Panna Zofja jest bardzo młodziutką, a pan Teodor wcale jeszcze młody. Czekanie serc nie wyziębi, a co do reszty, ja pewna jestem, że w znacznym przeciągu czasu znajdzie się zawsze jaki wypadek, który zmieni postać rzeczy. Nie wiem ja wcale, ani nawet nie przewiduję, jaki to może być wypadek, ale wierzę w to niewzruszenie, że nic nie stoi na miejscu—wszystko się porusza—umiera lub rozkwita—buduje się lub wali.

— Ja oto cierpię już dwa tygodnie, a żadnej zmiany nie ma.

— Choć to dwa tygodnie nie tak jest wiele, ale zawsze i w tym przeciągu czasu mógł zajść jaki wypadek przyjazny.

— Chyba nie dla mnie.

— To może dla serca panny Zofji...

— Dla mojego serca? Czyż jabym o tém nie wiedziała?

— A czy panna Zofja czego nie przeczuwa?

— Alboż to koniecznie przeczuwać należy?

— Może i niekoniecznie, ale niektóre rzeczy należałoby przeczuwać. I to mówiąc klucznica wydobyla z zanadrza mały liścik zapieczętowany. Zofja zbladła, patrzyła na pieczętkę w najwyższem wzruszeniu. Jój oczy wyrażały tyle uczucia, że wydawały się jakby dwoma oknami przez które

wyglądają niezgłębione ogromy ludzkiej duszy kochającej. Klucznica patrzyła na nią z uśmiechem i nie chcąc dłużej męczyć Zofji, wyciągnęła ku niej rękę z listem.

— To list do mnie? zawołała Zofja z przestraszeniem.

— Nie wiem czy do panny, ale można go przeczytać.

Zofja otworzyła list drżącymi rękami i zaczęła czytać. Był on następującej treści:

„Oprócz kilku kwiatów, które z rąk Pani otrzymałem i oprócz słów kilku przy szczęśliwem dla mnie spotkaniu, nie posiadam nic innego, coby mi nadawało prawo pisania tego listu. Ale te kwiaty są dla mnie najwyższym na ziemi podarunkiem, te słowa—dźwiękiem droższym nad wszystko. To Pani wyjaśni, czém może być dla mnie osoba, od której te podarunki pochodzą! Pani, zjawieniem się swoim na mojej drodze pociągnęłaś mnie za sobą, lecz słowem i kwiatami przeznaczonymi dla mnie wyraźnie, związałaś los mój ze swoim. Pojmij więc, ile cierpieć muszę, nie mogąc widzieć téj, z obrazem której dzień żegnaj i witam zorze, bo ona dla mnie nad zorze radośniejsza! Tymczasem dowiaduję się, że ona cierpi także, — nie śmiem temu wierzyć—za przychylność ku mnie! Gdyby tak było, gdybyś Pani już pojęła, czém jesteś dla mnie i gdyby ta życzliwość była poda-

niem mi ręki, była nadzieją—chciój wierzyć, że nie omyliłaś się w wyborze, bo choćbym nie zdołał ocenić twoich przymiotów, to przysięgam, że wszystkie moje siły obrócę na to, aby być godnym tego wyboru. Szczęście, jakim mnie obdarzyłaś jest jedyném szczęściem, w które wierzę na świecie, cierpienie więc twoje jest najwyższém mojem cierpieniem. Nie wątpisz Pani, że starać się będę wszelkimi możliwemi środkami, ażeby rozdzielająca nas zaporą została usunięta. Piszę więc ten list dla tego, ażeby przypomnieć się i donieść o moich uczuciach, które ty Pani natchnęłaś. Nie zapominaj, że od téj chwili stałość jest mojem godłem. Czyż potrzebuję dodawać, ilebym był szczęśliwym, gdybym mógł otrzymać odpowiedź!

Teodor.“

W miarę jak Zofja posuwała się w czytaniu listu, klucznica poglądała na nią coraz tryumfalniej a w miarę coraz silniej grającego rumieńca na powabnych licach panienki, usłużna ta kobieta uśmiechała się żywiej i radośniej.

— Cóż więc panno Zofjo, do kogo ten liścik? Pan Teodor mówił, że ten list mógł być pisany do jednéj tylko osoby na ziemi.

Zofja nic nie odpowiadała. Zapomniała, gdzie się znajduje, zapomniała o swoim więzieniu. List ten otworzył i dla niej/jakieś widnokreśli światlane.

Jeszcze dobrze nie rozumiała tego, co czytała, bo nikt do niej w ten sposób nie pisał, ale domyślném sercem kobiety pojęła, że jest dla Teodora czémś istotnie wyższem i upragnioném, że jest zjawiskiem, na które on pogląda w zachwycie. Zapomniała więc o swoich utrapieniach i zapłonęła radością jak gwiazda zaranna. Znikły wszystkie obawy, krzywdy i zakazy— w oczach jój weszło słońce miłości, która wie, że świeci i że ożywia. Wzrok jój napełnił jakiś majestat wdzięku. Drżała i uśmiechała się jaśniejaco jak brylantowe rosy, przyzmujące kolory cudowne na wiotkiéj lodydze.

— Panno Zofjo, jeżeli będzie odpowiedź, to trzeba się śpieszyć, bo ojciec może powrócić z pola i wszystko na dziś będzie stracone.

— Odpowiedzieć i to jeszcze zaraz—a cóż ja odpowiem?

— Panno Zofjo, ja o tém wiedzieć nie mogę.

— Nic mu nie odpowiem, nigdy nie pisałam listu!

— Ale Teodor bardzo się zasmuci.

— Pani Janowa, mnie się zdaje, że można odpowiedzieć mu jednym wyrazem.

— Ale go trzeba napisać.

— Nie, można mu go powiedzieć.

— Któż to powie?

— Pani. Powiesz mu, że po przeczytaniu listu byłam szczęśliwa i...

— I cóż więcej?

— I więcej nic. Czyż tego nie dosyć? Jestem szczęśliwą w więzieniu. Znaczy to, że mam nadzieję. Pani Janowa, być szczęśliwą znaczy wszystko!

— Ha, jeżeli tak panna znajduje, to dobrze, powiem mu to.

Pomówiwszy jeszcze czas niejaki w ten sam mniej więcej sposób, rozstały się dwie przyjaciółki.

Takim to biegiem postępowały rzeczy niezależnie od rozkazów przez pana Franciszka wydanych i przedsięwziętych przez niego środków. Dwa serca, którym wzbroniono połączyć się, porozumieć otwarcie, które zepchnięto z jasnej drogi swobodnego rozwoju uczuć, znalazły ową inną, często niebezpieczniejszą dla rozkazodawców. Konferencje klucznicy z biedną uwięzioną powtarzały się codziennie, a o czemżeby na nich mówiono, jak nie o tém, co było powodem uwięzienia?

Ale pan Franciszek nie ograniczał się zamknięciem i odosobnieniem córki; przemyślał on codziennie nad tém, jaką dać odprawę Teodorowi i jak przynęcić Stanisława. O tym ostatnim ciągle myślał i miał nadzieję, bo wyraźnie ośmielała go w tém matka młodzieńca. Żaden dobry pomysł do głowy mu jeszcze nie przyszedł, czém trapił się mocno. Jeździł umyślnie kilka razy w takie miejsca, gdzie się spodziewał widzieć ze Stanisławem; przyjechał raz nawet sam do niego z propozycją za-

miany koni, które kupił niedawno. Wszystko to nic nie pomogło. Stanisław oprócz zwykłej zimnej grzeczności nic mu innego nie okazywał, o córkę wcale się nie pytał. Co do Teodora, to przychodziło mu nieraz na myśl obejść się z nim brutalnie zwłaszcza w chwilach, kiedy ten błądził samotny w okolicach jego mieszkania; ale od tego kroku desperackiego wstrzymywało go znów to, że Teodor był serdecznym przyjacielem Stanisława. Bił się po głowie pięścią ze złości pan Franciszek, że żadna szczęśliwa myśl do jego mózgowicy przypląć nie może. Ale czas płynął a rzeczy szły po dawnemu, jak się panu Franciszkowi zdawało, — zdawało, powtarzamy, gdyż przeciwnie stosunek jego córki z nienawistnym konkurentem, zaciskał się w coraz ściślejszy węzeł miłości.

W tym właśnie dniu, kiedy Teodor oddawszy list wyżej przytoczony swojej powiernicy, krążył w pewnym oddaleniu od domostw, po gaju leszczynowym, pan Franciszek po niespodzianém ukazaniu się córce i matce, podczas ich rozmowy, poszedł, jak to już było powiedzianém, doglądać robót w polu. Przechodząc, dostrzegł Teodora. Krew uderzyła mu do głowy; uczuł jakiś ogień duszący go w gardle. Zatrzymał się, długo tłumiona nienawiść poruszyła go tak silnie, że za ledwie zdołał trzymać się na nogach. Drżał od wściekłości i już zdawało się, że nie zdoła zapanować nad sobą, że skoczy su-

sem tygrysim... Ale pan Franciszek żył już dosyć długo, dosyć widział rzeczy; zmiarkował zaraz, że na nic by się to nie przydało; pierwszy napad gniewu albo raczej rozjątrzenia trwał krótko. Nie mógł jednakże przepuścić tym razem Teodora i postanowił się z nim rozprawić w sposób mniej gwałtowny, ale stanowczy. Uważając przez czas niejaki kierunek, w którym szedł zamyślony kochanek, pan Franciszek poprawiwszy wąsa i czapkę, postąpił na jego spotkanie.

Teodor przechadzał się między kępami leszczyny z tém zapomnieniem o wszystkiém, co go otaczało, w jakie popadają raz przynajmniej w życiu ludzie, oczekujący spełnienia jakiegoś wielkiego aktu ich życia. Teodor, jak widzieliśmy, pojmował miłość, jako najwyższą w bycie ludzkości potęgę. Dusza jego spragniona wzruszeń wielkich, zadań rozległych, dusza ta, potracająca się niejako o ogromy, jakie otwierają się wyobraźni ognistój, myśli potężnej, nie znajdowała dla siebie nic godniejszego, nad miłość, gdyż wszystko inne leżało przed nim zakryte. Żadna inna dziedzina nie mogła w nim znaleźć przedstawiciela. Wolno mu było tylko kochać bez granic. Więc kochał i zamknął w tym akcie uroczystym swęj duszy cały świat, jakim oddychał.

Dzień był prześliczny. Świergot ptaków, brzęk owadów, drżący lot barwnych motyli, szmer po-

wabny liści i traw, świeża choć upajająca woń łąk niedawno skoszonych,—wszystko pod gorącym promieniem słońca było prawdziwym hymnem. Światło, kadzidło natury z rozwiniętych kwiatów, kobierzec zielony, cieniste schronienie w zagłębieniach gaju, stanowiły mieszkanie dla szczęścia i miłości. Brakło tylko skrzydeł—aniołów. Ale Teodor myślał o swoim aniele, napełniał jego obecnością każdy kwiat, każdy jasny nieba obłoczek, każdą piosnkę przelatującego ptaszęcia. Cały list, który przed niedawnym czasem posłał swemu aniołowi, brzmiał w jego duszy; powtarzał go, oddychał nim, przyjmował każde jego słowo w tęcze nadziei. Była to chwila w jego życiu, kiedy wszystko, co najszlachetniejsze wysiliło się w jedno westchnienie miłości

Tak idąc przed siebie, idąc w zaczarowanym świecie uniesień, powtarzając po sto razy pieśń nadziei w takt hymnu uśmiechającej się natury, Teodor natrafił na jedno miejsce tak urocze, że nie mógł oprzeć się chęci spoczynienia. Kilka wielkich krzaków kaliny, zdobnej w jaśniejące szkarłatem korale, bogato w okół rozrzucone, stojąc niedaleko jeden od drugiego, stanowiły jakoby ścianę altany, ubraną w świeże bukiety. Ponad tém obfite krzaki leszczyzny sięgały wyżej szerokolistnymi koronami, łączyły się górą w sklepienie, które co chwila otwierało się pod powiewem łagodnego wiatru i tworzyły

niby ruchome okna, przez które zaglądał lazur nieba. Słońce, każdego ranka ożywiało roślinność tego ustronia, a w południe kiedy się podniosło na zenit i przez resztę dnia, zostawiało je w rokosznym cieniu. Był to jeden z owych lubych zakątków natury, gdzie człowiek wyglądający szczęścia przychodzi marzyć, a nieszczęśliwy—umierać...

Teodor marzył. Spostrzegłszy to ustronie i uderzony jego wdziękiem zatrzymał się, zatopił oczy w tój głębi świetlano-zielonój a zdejmując bezwiednie czapkę z głowy, chciał wstąpić do tego przybytku dumania... ale naraz, jakby ukąszony od żmii, cofnął się o kilka kroków. Liście kaliny, stanowiącej ścianę przeciwległą wejściu, rozsunęły się pocichu i obok koralowych jagód poetycznej rośliny, zabłysło dwoje szarych nieruchomych oczu. Były to jakby źrenice grzechotnika, wynurzające się nagle z rokosznego cienia. Za niemi ukazały się grube i niekształtne palce rąk ludzkich, rozsuwające gałązki zarośli, w luce których zarysowała się milcząca i czyhająca postać pana Franciszka. Jakkolwiek Teodor nie był królikiem w obec tego grzechotnika, cofnął się jednak, jak to czytelnicy widzieli, tyle gwałtowném było wzruszenie przenoszące go z idealnych światów nadziei przed nienawistne źrenice pana Franciszka. Ten widząc wzruszenie kochanka i jakby napawając się jego zakłopotaniem nie poruszał się z miejsca i rzekł tylko:

— Dzień dobry. Czy nie przeszkodziłem czasem?

— O... o!... zawołał nie mogący przyjść do siebie Teodor, któremu pan Franciszek, jako ojciec jego ideału, wydawał się czémś niesłychanie ważnym i wymagającym obchodzenia się jak z nabitą nieznaną konstrukcją bronią.

— Niech się pan nie miesza. Bardzo, bardzo proszę do tej altanki. Tam miłe dumanie. Jesteś pan u mnie gościem, niech się więc pan rozgości w tej altance naturalnej. Jeżeli pana przedtém nie zaprosiłem, to teraz się poprawiam i proszę nie robić sobie u mnie żadnej ceremonji.

— Dzień dobry panu, rzekł już chłodniej Teodor, w skutek szyderczego tonu, jaki pan Franciszek w tych wyrazach sobie nadawał. Dzień dobry, sądziłem, że nie będzie panu przykro, jeżeli skorzystam z cienia na jego gruncie. Czyż rzeczywiście gniewałbyś się pan za to?

— O, nigdy, nigdy! Jakżebym mógł się gniewać za tak naturalne wymagania każdego człowieka? Boć nie myślę—mówił pan Franciszek opuszczając swoje stanowisko i wychodząc przez altanę ku Teodorowi,—nie myślę, abys pan przechadzał się po moich polach i gajach w jakimkolwiek ważniejszym, w jakimkolwiek innym celu, któryby mi się nie podobał...

— Trudno na to odpowiedzieć, bo właściwie nie wiem, jaki cel z méj strony mógłby się panu nie podobać.

— Cha, cha! rozśmiał się pan Franciszek głosem potężnym,—jakimż pan jesteś niewinnym!

Teodor milczał, bo ciągle nie zapominał, że mówił z ojcem wszystkich swoich nadziei.

— Jakkolwiek mógłbym nie wiedzieć o pańskich celach, to jednak prawie pewny jestem, że pan nie przychodzisz tu ani polować, bo nawet strzelby nie masz z sobą, ani łowić ryby, bo nie widzę wędek lub sieci, ani téż, jak sądzę, jesteś botanikiem, bo zielnika lub puszki na owady nie spostrzegam. Nie przychodzisz pan także, ile mi się wydaje, w celach astronomicznych, bo wierz mi, że u mnie takie samo niebo, jak i gdziekolwiek dalej. Słowem, nie przybywasz pan tutaj w celach naukowych; nie słyshałem także, abys się pan oddawał gospodarstwu, gdyż przeciwnie wiadome mi są nieco nader szczupłe środki pańskiego istnienia..

Tak mówił pan Franciszek i spoglądał szyderczo na zdumionego Teodora. Widząc że ten milczy, ciągnął dalej:

— W jakimż więc przybywasz pan tutaj celu dla mnie nieznanym? Ktokolwiek ze złośliwych mógłby pana posądzić, że się kochasz. Takiój jednak rzeczy nie przypuszczam. Cóż pan powiesz na to?

Ja panu powiadam, że podobnej rzeczy nawet nie przypuszczam...

— Nie wiadome mi są wcale powody pańskiego przypuszczenia, przeto pozwoli mi pan—

— Ach, paniel! czyż mogę przypuszczać, że się kochasz, kiedy codziennie wszystek czas prawie przepędzasz w moim majątku? Gdybyś pan się kochał w jakiej kobiecie z okolicy, to niewątpliwie przepędzałbyś najwięcej czasu tam, gdzie przemieszkuje luba... nieprawdaż?

— Tak, panie.

— Tymczasem pan błędzisz po moich polach i po moich gajach, gdzie nic a nic nie powinno pana przyciągać i—zdaje mi się— ośmielać do strzeżenia mego domu...

Teodor zaczerwienił się usiłując stłumić dotkliwą przykrość, jaką mu te słowa sprawiły.

— W jakimkolwiek celu jestem, na polach pańskich, dostatecznie spodziewam się, jest pan przekonany, że nic niegodnego nie może mnie tu prowadzić.

— O czemś niegodnym, mój młody panie, wcale nie wspominałem; mówiłem tylko o niepotrzebnym wartowaniu przy moim domu, wartowaniu, którego przyczyn, choćbym się domyślał — wiedzieć nie chcę... Poprzestań więc pan na tém mojem zdziwieniu, że się po moim gruncie przechadzasz, i uwolnij mnie od napominania ci tego powtórnie.

A jeżeliby panu wyjawiał przyczynę przekładania pól pańskich nad inne... odezwał się z gorejącymi oczami Teodor.

— Czyżby zamiłowanie pól moich pochodziło z tego, że pan zawsze byłeś — *na bruku*? rzekł pan Franciszek z ukrytym pod uśmiech jadem.

— Panie, gdybyś był kim innym, powiedziałbym, że wolę być brukowcem wielkiego grodu, niż nieczułym kamieniem wśród kwitnącej natury, — rzekł wreszcie Teodor miarkując głos swój, ile zdołał.

— Miałżeby być kamieniem? Jeżeli jestem nim, panie, to chcę być najprzód dla ciebie.

To rozwiązało usta Teodorowi. Widział on, że wystąpienie pana Franciszka dążyło do pozbawienia go wszelkiej nadziei; widział, że człowiek ten go szukał, aby mu dać poznać. Uważał więc za stosowne skorzystać ze sposobności i powiedzieć panu Franciszkowi otwarcie o swoich uczuciach. Śmiało przeto, choć z pewnym jeszcze poważaniem spojrzawszy na swego nieprzyjaciela, mówił głosem dobitnym.

— Niepodobna nie odgadnąć, że wszystko to, co od pana usłyszałem, było skierowanem ku poniżeniu mnie i odjęciu wszelkiej nadziei w moich zamiarach, które, jak widzę, doskonale są panu wiadome. Tak panie, celem moich przechadzek jest dom

pański. Choć odzywa się pan z pogardą o mojem stanowisku, zawsze jednak jest ono przyzwoitem dotyla, aby mnie ośmieliło spojrzeć na anioła, który się pod twym dachem ukrywa. Córka pańska jest tym aniołem... Nie przerywaj pan! Córka pańska jest tym aniołem. Nie będę panu malował uczuć moich, powiem to tylko, że nic nie zdoła mnie odepchnąć od niej. Powiadam to o tyle śmiało, o ile świętém jest moje dla niej uczucie. Uderzasz pan na skromne moje stanowisko; to prawda—jest ono skromném, ale niezależném, jeżeli pozwoliło mi żywić nadzieję złączenia kiedyś swego losu z jej przeznaczeniem. Nie potrzebuję jałmużny, nie potrzebuję żadnego poparcia ani pomocy; wywalczyłem sobie byt, który pozwala na to, aby ta z którą razem pragnę pójsć w życie, uważała mnie za towarzysza godnego siebie. Nie mam ziemi, ale wszędzie gdzie stąpię jako człowiek, zdołam znaleźć miejsce otwarte, dla ubóstwianej przezemnie kobiety. Nie orzę ani sieję ziarném, bo posiewem moim są myśli i praca umysłowa; ale po ciężkich walkach przyszedłem do tego, że myśl moja utrzymuje mnie na powierzchni i nie pozwala zatonać. Panie, pomyśl dobrze, zanim mnie odtrącisz. Powiadam najprzód, że nic nie zdoła mnie odepchnąć od kobiety, którą ukochałem tu pośród tych pól, jak ukochałbym ją i na bruku miejskim, gdyby mi się tam objawiła. Wtedy chyba nie będę śmiał żywić

nadziei, jeżeli ta córka pańska sama odepchnie mnie od siebie!

— I po cóż pan mówisz to wszystko!

— Żeby pana wzruszyć.

— Nie zapominaj, że jestem kamieniem.

— Czyż nie ma nic, coby go zmiękczyć mogło?

— Jest rzecz jedna.

— Jaka?

— Rzeczą tą jest—usunięcie się pana zupełnie.

— Pan mówi to stanowczo?

— A w jakimż celu zacząłem tę rozmowę?

— Czyż córka pańska mnie odpycha!

— Ona pana odepchnie.

— Ona! nie zdoła...

— Że zdoła, mówię panu—ja... Zkąd zresztą, liczysz pan tak pewno na jój uczucia? Czyś miał już sposobność to ocenić?

Teodor zmiarkował, że niepotrzebnieby wciągał jakoby w rozmowę z nim tę, którą ukochał, a która miała tak surowego ojca, dokładnie opisanego mu przez wdowę-powierną. Na to więc podstępne zapytanie odpowiedział w ten sposób:

— Nie—nic mi nie powiedziała córka pańska takiego, coby mnie mogło utrzymywać w nadziei, że podziela moje uczucia, ale ja, ukochałem ją niezależnie od niój i dziś miłować ją muszę, co otwarcie panu powiadam.

— Otóż ja otwarcie panu oświadczam, że córka moja nigdy nie ziści nadziei pańskich.

— Pozwól mi pan przekonać się o tém samemu.

— Skończmy tę śmieszłą rozmowę. Cóż to, chcesz pan, abym sam otwierał drzwi romansom, którebym chciał podeptać!

— Panie, jesteś ojcem téj, którą ukochałem, nie zapominaj, co chcesz deptać! Jeżelibyś miał dosyć odwagi, abyś mógł następować nogą na dwa serca w najszczytniejszej chwili ich życia, to byłoby nie po ojcowsku.

— A więc do tego dochodził! I wacpan chcesz zyskać moją przychylność. Otóż dowiodę ci, że jestem jeszcze ojcem.

— O! i ja mówię to samo, nie miałbyś odwagi nim nie być.

— Ja o tém wiem najlepiej — a teraz, skończmy krótko.

— Panie, zaklinam cię — pomyśl.

— Więc kochasz ją wacpan bardzo?

Teodor załamał ręce i twarz odwrócił.

— Kochasz ją? To radzę ci, opuść te miejsca natychmiast, opuść ten dom nazawsze.

— Jakież stosunek tego żądania do mojej miłości?

— Stosunek prosty. Każda chwila twojego tutaj pobytu, będzie chwilą tortury dla twojej ukochanej. Twoja obecność przyniesie jej utrapienie. Zgryzotą dla niej będzie twoja miłość — nieszczę-

ściem i więzieniem twoja stałość. Zuchwały młodzieńcze, ona nie może pójść za tobą, jak mi Bóg miły na niebie! Nie zapominaj, że ona jest mojem dzieckiem, że spełniać musi rozkazy ojca, że nieposłuszeństwo wymaga kary, a w takich rzeczach kary srogiój, przykładnej. Pomnij, że dziecko to jest jeszcze w moich rękach, że nic nie może jój być przebaczoném, kiedy działa umyślnie przeciw woli ojca. Każda jój przychylność dla ciebie, będzie wywołaniem mojego gniewu. Samo spojrzenie, tobie życzliwe, sam rumieniec na wspomnienie o tobie, będzie krzyżującém świadectwem jój występku przeciwko rodzicielskiej woli. Zechcesz więc obecnością twoją utrudniać zniszczenie wszelkiego między wami porozumienia? Czy zechcesz własną niejako ręką męczyć tę, którą, jak mówisz, kochasz? Nie miłość twoja nie pomoże, jestem i będę nieubłagany. Nie odstąpię od niej dopóty, dopóki mi nie przysięgnie, że się ciebie wyrzeczy. Porzuć ją, nie zadawaj jój tortur przez wartowanie około mego domu.

Tak mówił z coraz większém ożywieniem pan Franciszek. Twarz jego przybrała wyraz złowrogiój szczeroci i mocnego postanowienia. Teodor patrzył na niego ze zdumieniem tonącego.

— Panie, raz pierwszy w życiu słyszę słowa podobne. Byłbyś w stanie spełnić twe groźby?

— Od wasana to najzupełniej zależy.

— I to jest ostatnie słowo?

— Ostatnie.

— Nieszczęśliwy! czy odzywałem się już do serca tego człowieka? szeptał do siebie Teodor.

— No, namyśl się tu wasan nad tém, co powiedziałem, bo ja zwlekać nie umiem, rzekł grubym głosem pan Franciszek i odszedł od zrospaczonego Teodora. Ten patrzył bezmyślnie na sunącą przez zarośla postać strasznego ojca, patrzył, jakby nie miał oczu, słuchał, jakby nie miał słuchu... Ostatnie słowa wtrąciły go w jakąś otchłań, z której nie widział żadnego wyjścia. Zaiste, położenie to było dla niego okropném. Kochać kobietę całą potęgą swój duszy i przez miłość taką być jój katem! Widzieć ją odpowiadającą téj miłości i drżać na myśl, że będzie za to trapioną w sposób tak niegodny! Widzieć na nici niebieskiej połączenia dwóch dusz potężną rękę poziomego człowieka, który jedném jój przyciśnięciem zdolnym jest zatrzymać wszystko co najmilsze, najszczytniejsze, najbardziej świetlane i upragnione: i nie mieć środka ku usunięciu téj ręki, nie mieć sposobu ani ujarzmienia jój, ani ułagodzenia! Wszystko to było nadto okropném, aby Teodor nie wpadł w osłupienie, w jakim go porzucił pan Franciszek.

IX.

Pelen tajemniczego znaczenia buduar kobiety, która niedawno jeszcze była bardzo piękną, buduar pani S* stał się dziś czemś w rodzaju dogasającej kolorowej lampy, której szkło przepuszcza słabe już tylko odblaski światła, co jaśniało dotąd mocnym płomieniem. A chociaż światło w chwili, w której tam wchodzimy, płonęło z zewnątrz, bo z okien wyglądających na ogród, nie mogło jednak ożywić buduaru, gdyż przeszkadzały mu w tém szczelnie zasunięte zielone jedwabne firanki. Utworzyło to ów półcień fantastyczny, który najczęściej bywa mieszkaniem dwóch ostateczności, bo albo ukrywa się w niem szczęście i nadzieja, albo ciężkie smutki. Takie ostateczności zdają się nie lubić zewnętrznego światła; dusza, bywa wtedy tak przepelnioną, że jeżeli jest szczęśliwą, wystarcza jój tęczo-wa droga świetlanych uczuć, a jeżeli rozpacz się do niej zbliża, to kryje się w najciższy zakątek, jakby chcąc zmylić drogę do siebie, jakby pragnąc dostęp utrudnić... Za otworzeniem drzwi do buduaru,

półcień ten zielony uderzając oczy przybywającego czynił na nim wrażenie pokrywy przy dogorywającej lampie. Znalazłszy się w téj barwie dziwnie smętnej i dziwnie usypiającej, oko nie mogło zrazu rozpoznawać przedmiotów, kierując się przedewszystkiem ku temu, co miało ten smętek ożywić, co miało mu powiedzieć, czego się można spodziewać od tego ustępu pełnego ciszy — szukając człowieka.... My szukamy kobiety, która się teraz ukryła.... aby marzyć.... czy boleć? Zobaczmy.

W jednym z rogów pokoju od ogólnie zielonego, a tam ciemniejszego jeszcze tła ścian, wyróżniało się coś białego. Była to bielizna pościeli, na której spoczywała twarz kobiety uśpionej, nie wiele różniąca się od przepysznej weby i koronek, któremi, bliżej się przypatrzywszy, zdobne były poduszki. U stóp łóżka w nogach chorój siedziała z głową na rękach opartych łokciami o kolana, jedna z tych postaci niestrudzonych, które doszedłszy do kresu lat późnych, odkrywają w sobie zadziwiająco obfite zapasy wytrzymałości, zdrowia, cierpliwości i poświęcają się pielęgnowaniu chorych, przepędzając przy nich całe czasem miesiące, prawie nie śpiąc i nie odrywając się od łóżka. Dzięki fantastycznemu światłu zielonych firanek, postać taka, siedząca w buduarze pani S* wydawała się poetyczną, pełną sympatji; owo ukrycie twarzy w dłoniach czyniło ją podobną do tych marmurowych posągów

placzących, jakie artyści umieszczają niekiedy na grobach....

Nim przerwiemy tę poetyczną posepność przybytku, w którym niedawno przy pełnym dnia świetle iskrzyły się pożądanja, nadzieje i poloty w krainę szczęścia, zanim się rozłączymy nazawsze z tym zakątkiem, w którym przeznaczonem było zgorzeć dziwnemu sercu kobiety, powinniśmy się bliżej obznajmić z przyczyną ostateczną, która zaprowadziła pełną jeszcze życia kobietę w zakątek poetycznego półcienia, a ztamtąd.... w krainę nieznanych wielkości przyszłego bytu.... Odejdźmy i nie zdradźmy drzwi skrzypnięciem uroczystej chwili złagodzenia bólu a może rospaczy.... Takie chwile dla chorych lepsze niż najlepsi lekarze. Kiedy serce zboleało od ciosów pęknać ma nareszcie, jakże lubym i kojącym rany jest sen, który rozpościera nad znużonem od nieszczęśliwych obrazów okiem niebieską powłokę spoczynku. Może w tym spoczynku, ostatnim zapłonawszy blaskiem, ukazują się wieszczym oczom duszy wszystkie te świetlane zjawiska, jakich przez całe życie szukała napróżno, lecz któremi dzisiaj uszczęśliwia się wstępując choć na krótko, z żelaznych rąk męki w obłoczną otchłań westchnienia....

Od czasu gdy Teodor zaczął pomimowoli nawet okazywać coraz więcej niechęci w obec ukrytych i otwartych zabiegów pani S*, dumna ta kobieta.

jak już o tem wyżej wspomnieliśmy, wpadła w stan rozdrażnienia, który widocznie coraz silniej podkopywał ję zdrowie. Niecierpliwa, z konwulsyjnym gniewem niemocy tupała małą nóżką po kwiecistym kobiercu swojego buduaru. Nie mogła oddychać w świecie nicości, w jaki spychała ją obojętność Teodora. Straciła już nawet panowanie nad sobą, bo do udziału w tęg swojej niecierpliwości przypuściła niejako służbę. Po całych dniach nie wychodziła z buduaru, ale za to wysyłała sługę za sługą podpatrywać uważać, co robi, gdzie poszedł Teodor. Czasem znów strojna, wyświeżona, ale blada, z zaciśniętymi usty, była całe dni na nogach, nie odchodziła prawie od Teodora, wynajdywała rozmaite gry, zabawy, czytanie nowych poezji, książek, gazet. Nie miała już siły taić się z tem, ile żywi uczuć dla Teodora. Niepodobna, aby Teodor tego wszystkiego nie widział, jak można było wnosić z jego obojętności. Ale czytelnik domyśla się, że pomimo iż Teodor wiedział o tem dobrze, udawał że nie wie, aby tym sposobem przedłużyć swój pobyt w pobliżu Zofji.

Na kilka dni przed dniem, w którym wchodzimy z czytelnikiem do buduaru, pani S* śledząc sama lub za pomocą służby najmniejszy krok Teodora dostrzegła wieczorem, jak wychodził z domu, pomimo że powietrze bardzo się ochłodziło a niebo było pochmurne.

— Dokąd on ciść może w tak przykrą porę? pomyślała kochająca kobieta i uczuła nieprzepartą chęć podpatrzenia niewdzięcznego.

— Zapewne idzie zobaczyć się z tą parafjanką. Ha muszę się o tem przekonać.

Tu zazdrość, najjadowitsza z żądź wszystkich, podszeptała znowu:

— Muszę się o tem przekonać. A jeżeli znajde ich razem gruchających o miłości, uwiadomię o tém ojca i naszę go jak jastrzębia. Wydrę téj lalce takim chociaź sposobem mojego dręczyciela... którego — kocham jednak! Naszę mu jastrzębia... On chyba rozszarpie tę mdłą gołąbkę. A Teodor nie dowie się i choć z nudów będzie musiał spojrzeć na mnie....

Myśli te jak błyskawice przebiegły po jój głowie; spojrziała na kierunek, w jakim udał się Teodor, powróciła do domu, narzuciła na siebie długą czarną chustkę i wybiegła znowu, postanowiwszy postępować za Teodorem.

Wiatr świszczał mocno, ciemno zupełnie było na dworze. Pani S* przyśpieszyła kroku szukając uważnie postaci, którą przed chwilą opuściła na téj drodze i dziwno jój było, że pomimo krótkości téj chwili, nie widziała już przed sobą nikogo. Zaczęła iść jeszcze prędzej. Nareszcie odetchnęła. W niejakićj przed nią odległości szedł człowiek, którego kroki powolne dawały się słyszeć od czasu do cza-

su, pomimo wiatru. Z początku uniesiona główną swoją myślą, nie zwróciła wcale uwagi na kierunek, w którym posuwała się podpatrywana postać; tak zajęta była swoim przedmiotem, iż nie wątpiła ujrzeć w krótkce jakie umówione drzewo, lub jaką samotnie w majątku pana Franciszka, w której ukaże się nienawistna jej kobieta. Nie patrzyła na okolice. Wrażenia i obawy tak żywo piętnowały się w jej umyśle, że nie pozostało w nim miejsca na zimną rozagę. Drżała, że odważyła się na tak niską dla siebie rolę; zazdrość poruszała ją do głębi duszy. Patrzyła tylko przed siebie i starała się nie stracić z oczu przedmiotu jej zabiegów. Chwilami, objęta ciemnością przebiegającej chmury, traciła go z oczu i wtedy zatrzymywała się, słuchała kroków ciągle posuwającego się mężczyzny. Czasem rzucała okiem ku niebu jakby z pewnym gniewem na chmury, że przeszkadzały jej wzrokowi. Ale olbrzymie czarne strzępy, jak nocne ptaki sunęły po nad jej głową i dmuchały chłodnym powiewem na rozpalone skronie kobiety. Niekiedy chciała wracać do domu, pierwsza ta w życiu jej niesłychana wycieczka, napawała ją także pewnem uczuciem wstydu; przychodziły jej na myśl plotki służących lub sąsiadów w przypadku, jeśliby ją kto zobaczył samą, o tej porze, w tym miejscu. To nareszcie przypomniało jej, aby zbadała dokąd dąży zaślepiona, w jakim się miejscu znajduje. Obejrza-

ła się dokoła i domyśliła się odrazu, że nie zbliża się bynajmniej do siedziby pana Franciszka, ani nawet do granic jego majątku. To ją zadziwiło i zachwiało. Ale kroki Teodora, ciągle i wyraźnie naprzód się posuwające, były dla niej bodźcem jątrzącym. Wszakże się nie myli, wszakże widziała go wychodzącego z domu na tę samą drogę, na której wówczas, jak i teraz nikogo innego nie było. Szła znowu, ale uczuwać zaczęła znużenie. Delikatne jęj stopy w prunelowym ściśnięte trzewiczku, nie odbywały nigdy tak dalekiej przechadzki po tyle nierównej drodze; zawodziły ją też chwilami i uginały się wpadając co kilka kroków w koleje, wyciśnięte kołami w twardej glinie. Szła jednak jeszcze, ale już coraz częściej zaczęła wybadywać miejscowość i dziwiła się, że nie może rozpoznać, gdzie się znajduje. Zatrzymała się. O kilka kroków przed nią w ciemności poruszało się coś białego, jakby suknia pod powiewem wiatru. Złodowaciała z trwogi; czekała szcękając zębami i zszedłszy na bok, aż się to białe ciche zjawisko przesunie, ale ku okropnemu jęj zdziwieniu, zjawisko nie posuwało się naprzód, poruszając tylko białą szatą i jakby wabiąc ją ku sobie. Pani S* nie była przesadną, ale była kobietą, bynajmniej do takich wycieczek nieprzyzwyczajoną. Kroki tymczasem, które ją prowadziły, rozlegały się już coraz ciszej, coraz bardziej się oddalały. Zdobyła się na bohaterskie wy-

silenie. Zaciskając konwulsyjnie usta, aby nie krzyknąć, podsunęła się ku białemu widmu, które w miarę zbliżania się, rosło w jakąś postać olbrzymią z kolosalnymi rozciągniętymi ramionami. Przeżenie jęj doszło do najwyższego stopnia — patrzyła okiem osłupiałem usiłując rozpoznać, co się przed nią znajduje. I czas był po temu, bo nadmiar wzruszenia wyczerpał już jęj siły. Postacią tą było nie co innego, jak krzyż przydrożny, który w niższej jego części, jak się to często po wsiach zdarza, ubranym był w haftowaną, zawieszoną rękami dziewcząt włościańskich tak zwaną koszulkę, która podnosiła się i opadała pod podmuchem wiatru. Odetchnęła i minęła szybko figurę Zbawiciela. Ale naraz przypomniała sobie, że ta figura stoi niedaleko cmentarza, i że droga, po której prowadzi ją postać Teodora, jest drogą do tego przybytku umarłych. Nowe wzruszenie, nowy podziw. Idzie więc ku cmentarzowi? Teodor więc prowadzi ją na cmentarz? Czyżby tam wyznaczali sobie schadzki kochankowie? Nie — to niepodobna, odpowiadała sobie prawie nieprzytomnie i przywołując na pamięć wszystkie swoje siły, aby nie upaść, przysiadła na ziemi. Teraz, pomimo całej niewłaściwości swojego postępku, chciałaby wołać na Teodora, drżała jak dziecko swawolne, które porzucając wstyd i obawę kary, przyzywa swego nauczyciela. Zaczęła słuchać znowu, kroki zupełnie ucichły; oprócz

chmur, wiatru i szelestu drzew poruszanych, nie mogła dosłyszeć. Zapomniała już o szalu, po który umyślnie wróciła przy wyjściu z domu za Teodorem. Szal ten upadł z jęj ramion i odsłonił gorejące tyłu wzruszeniami piersi. Nie zważała na to w swoim przerażeniu. Nareszcie chłód który coraz bardziej ją przjemował, pobudził ją do ucieczki. Powstała z trudnością, chwiejąca się bezsilna i posunęła się z powrotem ku domowi zataczając szerokie po drodze koła jak pijana. W tém bohater-skiem wysileniu nie przebyła jeszcze dwudziestu może kroków, gdy usłyszała za sobą chód pośpieszny od strony cmentarza. To było zawiele dla kobiety. Zdawało się jęj, że jest ściganą, granice które aż do tęg chwili broniły przystępu do jęj głowy obawom przesadnym, pękły pod nawalnym ciosem najwyższej trwogi. Myślała, że cały cmentarz goni za nią. Wszystkie powieści fantastyczne błysnęły w jęj wyobraźni swemi okropnemi barwami. Kroki po za nią zbliżały się coraz prędzej coraz zuchwałej, nacierająco. Podniosła ręce, wydała długi okrzyk rozpaczy i upadła twarzą na ziemię bez przytomności.

Co się stało! Co ten krzyk oznacza? Co za okropność? dał się słyszeć głos mężczyzny, głos wyrażający nie mniejsze przerażenie. Mężczyzna rzucił się ku miejscu, gdzie dosłyszany przez niego głos, zamarł.

— Kobieta! tu, o tój porze, przed cmentarzem, sama jedna! Ręka zimna jak lód, na Boga, co myśleć o tem?... Jak jój dopomódz, jak ją ocucić, jak otulić? Gdzie ci ludzie, gdzie ci, co tu przyjść mieli? Nie stawili się nędznicy. Héj! czy nie ma tu nikogo?

Milczenie odpowiedziało temu wezwaniu.

— Postaram się ją przynajmniej ocucić, zawołał przybyły głosem już bardziej naturalnym, w którym teraz łatwo można było poznać głos Stanisława. Nie domyślając się bynajmniej, aby to była jego matka, Stanisław obejrzał się naokoło jakby czegoś szukał. Nareszcie pobiegł kilkanaście kroków w głąb pola od drogi i powrócił niosąc wodę w obu dłoniach.

— Może ta kobieta umarła? myślał z pewnym rodzajem zaciekawionój obawy. Miałaby zmartwychwstać z tego cmentarza i czekać na kogo? O, jakaż szkoda, że nie mogę już uwierzyć w takie zmartwychwstania! Gdyby tak było, musiałyby mi się ukazać ta, którą zgubiłem. Żal mój musiałby już wyrwać ją z grobu, gdyby żal ludzki nie był oznaką ludzkiej bezsilności!

To mówiąc zbliżył się do leżącój kobiety i przysnął wodą na twarz i szyję. Po kilku chwilach pierśi poruszyły się i drzenie konwulsyjne przebiegło po ciele omdlałej.

— Więc żyje, zawołał do siebie Stanisław. Cóż to za zagadka? Z delikatności tój ręki, z materji

ubrania można wnosić, że to kobieta lepszego stanu. Co robi tutaj? Nie spodziewałem się, że przyjdzie mi cucić i ratować kobietę wtedy właśnie, kiedy nie posiadam żadnych ku temu środków ani wiadomości. Ale i tak dosyć, ona żyje. Należałoby przekonać się, czy ta kobieta nie jest ranioną, może to jaka zemsta lub samobójstwo? Zobaczmy przynajmniej czy krwi nie widać.

I z temi słowy, pomimo ciemności, Stanisław schylił się po nad samą twarz i piersi cierpiącej.

— Nie, bielizna tak jasna, że odrazu możnaby było dojrzyć plamy, które należą do najwyrazistszych. Twarz biała jak to płótno, nie przedstawia także żadnych śladów krwawych. Tém większa dla mnie zagadka. Ale co ja robię? Rozprawiam tylko. Nie — nie umiem ja ratować... No, nie pozwolę przynajmniej, ażeby ta, piękna może, twarz leżała dłużej na zimnej błotnistej ziemi...

Wszystko to przemknęło szybko w umyśle Stanisława; przysiadł około nieprzytomnej kobiety i słuchał czy nie traci oddechu.

Pani, mówił zakłopotany, jeżelibyś już mogła utrzymać się o własnych siłach, jeżelibyś mogła chociaż utrzymać się przy mojem ramieniu, to spróbuj powstać; ofiaruję chętnie to ramię, aż do miejsca, w którem zastąpi je inna opieka. Pani, czy pani słyszy?

Żadnej odpowiedzi. Stanisław patrząc ciągle na twarz kobiety, mówił coraz ciszej; nareszcie zamilkł przybliżywszy się prawie do samych jęj oczu. I on teraz drzeć zaczął, gdy nagle ręka jego chwyciła jakiś przedmiot błyszczący na szyi omdlałój. Był to krzyżyk brylantowy — krzyżyk dobrze mu znany...

— To matka! zawołał zlodowaciały od boleści. To matka!

Stanisław kochał bardzo matkę, kochał ją jak rozpieszczone dziecko jedyne, któremu nic nigdy odmówić nie mogła. Chociaż w biegu spraw powszednich miłość ta ukrywała się pod nawyknięciami kobiecego wychowania i znudzenia, co sprawiało, że Stanisław, na pozór, lekceważył matkę i mało się nią zajmował, — w ważniejszych jednak chwilach miłość ta występowała w całej sile. Tak było i teraz. Ujrawszy, że trzyma w rękach swoich tak długo nieprzytomną, zimną i sztywną, znaną wśród nocy, w bliskości cmentarza, matkę, własną swoją matkę, Stanisław przycisnął ją do siebie i ujął w objęcia rozpaczy....

— Matko! Czy żyjesz? to ja, syn, Stanisław — odezwij się, odpowiedz synowi, tylko synowi! Matko! jedno słowo! Milczy — ale oddycha!

I znowu schylił się i znowu ogrzewał piersi matki. Nareszcie rozpacz nim ośwładnęła. Chciał zmieścić ze swoim skarbem ku domowi, podniósł się

nawet i uszedł ze dwieście kroków, ale zmuszonym się ujrzał złożyć znowu smutną noszę.

Położenie jego było okropnem. Na jego rękach matka może konająca; wokół nikogo, prócz sąsiedztwa cmentarza, którego drzewa szumiały w oddaleniu. Czuł, że nie zdoła zanieść matki sam o własnych siłach do domu, a z drugiej strony nie miał serca opuścić ją ibiegnąć po pomoc. Kiedy się tak namyślał co uczynić i od chwili do chwili ścisnął rękę matki, której odrętwienie przeszło w rzuty spazmatyczne, w niejakiem oddaleniu dały się słyszeć jakby głosy kilku ludzi, w przerwach powiewów wiatru. Stanisławowi błysnęła gwiazdka nadziei.

— Kto idzie? mocnym zawołał głosem. Tym razem był szczęśliwszym. Kilku ludzi zbliżyło się pośpiesznie.

— To my — odpowiedzieli.

— Co za szczęście! zawołał Stanisław. Przyszłście nareszcie — ale czemu tak późno, oddawna już czekałem na was. Pomożecie mi tu; zbliżcie się. Dzisiaj już żadnej roboty nie będzie. Matka moja wyszła za mną i zasłabła. Dalej, nie ma czasu do stracenia — pomagajcie mi.

— Jak zaniemiemy proszę pana? zapytał jeden z przybyłych grubym głosem, którego ramiona rysowały się w ciemności, niby dwa pagórki.

— Czemu się o to pytasz Macieju?

— Boć, jak się widzi, nasze ręce za grube na te kosteczki, odparł Maciej tonem szczerzej skromności.

— Ech, to niezgraba, wielmożny dziedzicu; odparł towarzysz jego Walenty. Jabym myślał, żeby, podesłać jego sukmanę; sukmana z niego będzie jak ze dwie pościele dla wielmożnej pani.

— Co tam bredzisz, nie trza będzie, ani łap naszych, ani sukmany Macieja, wtrącił trzeci z przybyłych, Bartłomiej — znalazłem ja tu coś takiego po drodze, a może to i pani zgubiła.

— Pokaż, rzekł niecierpliwie Stanisław, śpieszmy się, a nie rozprawiajmy.

— A oto mam, wielmożny panie, coś czarnego jak do karawanu, i z temi słowy podał Bartłomiej dużą chustkę czarną, którą zgubiła w swoim przeżeniu matka Stanisława.

Teraz już nie stracono ani chwili. Stanisław przy pomocy ludzi umieścił matkę na rozpostartej własnej jej chustce, zdjął z siebie palto i okrywszy cierpiącą jak mógł najlepiej, wziął za jeden z rogów chustki, zaleciwszy to samo trzem przybyłym.

— Trzymajcież mocno i w drogę! zawołał Stanisław.

Podniesiono nareszcie zaimprovizowaną lektykę i ruszono ostrożnie, ale śpiesznie.

Życzy sobie niewątpliwie czytelnik być objaśnionym, co było powodem takiego *qui pro quo* i co w okolicy cmentarza porabiał Stanisław. Nic natu-

ralniejszego. Pani S* nie myliła się bynajmniej co do osoby Teodora w chwili, gdy go spostrzegła wychodzącego na drogę. Ale w tym samym czasie, kiedy pobiegła po chustkę, Teodor skrzył na lewo, to jest na pierwszą lepszą ścieżkę, którą spostrzegł, bo jakkolwiek był smutnym i zgnębionym, nie miał wcale zamiaru żalić się na cmentarzu przed umarłemi. Nie wiedząc znowu nic o obecności w tych miejscach Teodora, Stanisław, idąc dróżką, od wsi wiodącą, stanął na drodze cmentarnej wtenczas, kiedy Teodor z niej zeszedł. Ten ostatni słyszał nawet za sobą szmer jego kroków, ale nie mając zamiaru dowiedzenia się, kto mianowicie przechodził, ruszył dalej. Stanisław zaś wszedł na tę drogę umyślnie, i nie tracąc czasu, udał się w kierunku cmentarza. Tym sposobem, pani S* powróciwszy z domu już w chustce i odnalazszy niezadługo idącego przed nią człowieka, była przekonana, że jest nim nie kto inny jak Teodor, nie podejrzewając wcale, aby szła śladem swego syna.

Co zaś do wycieczki Stanisława ku cmentarzowi, rzecz tak się miała. Byliśmy już świadkami, jak gorąca miłość parobczaka ku wieśniaczce, która odebrała sobie życie, wzruszyła Stanisława, jak głębokie uczyniła na nim wrażenie ostatnia scena ze zrospaczonym. Wyobraźnia jego unosiła się ciągle ku miejscu, gdzie leżą zwłoki jego ofiary. Zaczął stawiać się niejako obok tego kochanka, co

także nie znał granic w miłości, i widział się być niższym od niego. Uderzała go ta potęga uczucia, której dotąd w sobie nigdy nie dostrzegał. Zliczywszy zapasy swoich wspomnień, widział że istota jego nie miała takich rzutów i zamachów, co żądnych zapor nie znają. A choć pocieszał siebie tem, że nikt go winić nie może za to, iż tak nie kochał wieśniaczki jak jego ona, bo to nie jest w ludzkiej mocy, zawsze jednak uczuwał jakby wątpliwość, gdy czynił sobie zapytanie: zdolnyż jestem kiedykolwiek w życiu kochać tak wielkiem sercem? To trzymało go ciągle w sferze, którą tworzyły wspomnienia nieszczęśliwej. Umysł jego jakby wziął na kiel i uparcie, niby rumak rozpędzony, powracał w ponure dziedziny cmentarne. Już byliśmy świadkami, jak żałował, że nie mógł wynagrodzić nieszczęśliwego udziału swego w śmierci dziewicy. Pewnego więc dnia, kiedy znowu myślał o tém, żal mu się zrobiło, że jój grób pozacmentarny stoi opuszczony, zarosły chwastem i że tam zamiast róż pamięci, rozwinał się do bajecznej wielkości szary oset ze swoim kołącym kwiatem. Ciężyło mu to na sumieniu, bo uważał, że w tym choć razie powinien pamiętać o téj, która dla niego o wszystkim zapomniała. Postanowił więc wyrównać, oczyścić z chwastu i obsadzić pięknymi krzewami mogiłę wzgardzoną. Lecz jak tego dokonać? Władza kościelna nie dopuściłaby jawnego

uczczenia pamięci téj, którą wykluczyła z rzędu dusz wiernych. Zaczął tedy szukać pomiędzy dworskimi swemi parobkami ludzi, którzyby to jego życzenie spełnili. Za dobre wynagrodzenie umówił się z trzema młodemi i śmiałemi chłopcami, że w oznaczonym dniu, kiedy się już zciemni należyście, spotka się z niemi na drodze przy cmentarzu, z kądem wspólnie udadzą się na oczyszczenie grobu. I oto stosownie do umowy, w chwili kiedy Teodor skręcił z drogi wiejskiej na lewo, zmierzając na przechadzkę, Stanisław wyruszył ku cmentarzowi w celu spotkania się z zamówionemi ludźmi. Ci zaś, jak to widzieliśmy, spóźnili się, w skutek czego zniecierpliwiony Stanisław, porzucił swoje stanowisko i szedł w kierunku wsi, wypatrując zamówionych, zamiast których znalazł — matkę.

Domyślili się już zapewne czytelnicy, że i choroba jakiej uległa pani S* była bezpośredniem następstwem jéj nierozsądnej wycieczki. W tak gwałtownych wzruszeniach, to spocona, to zlodowaciała, delikatna ta kobieta, straciwszy jeszcze chustkę, po którą się wróciła naumyślnie, wpadła w mocne zapalenie płuc i gorączkę tyfoidalną, to jest po kolei w obie te słabości, z których druga znalazłszy już organizm podkopany, zapanowała ostatecznie

i nie pozwalała mieć żadnej nadziei, czy pani S* opuści kiedy swoje zielone zacisze buduaru....

Stanisław, po ocuceniu matki w domu, gdy ją przyniesiono z pod cmentarza, nie pytał jej o przyczynę tak dziwaczego kroku, bo wiedział dobrze, dla czego się tam udała. Podobnie jak wszystkim nie było mu tajno, że matka jego zajęta jest Teodorem. Kiedy więc zapytał Teodora, czy wieczorem dnia owego nie wychodził i kiedy się dowiedział, że obaj znajdowali się na jednej drodze, nie miał już żadnej wątpliwości, że matka jego szukała Teodora. To go skłoniło do szczerego pomówienia z przyjacielem.

Tymczasem zielony półcień buduaru nie obiecywał żadnych barw jaśniejszych. Oto i w chwili porzucenia go przez nas, aby się dowiedzieć o przyczynach choroby, panowało w nim milczenie, narzucające na wszystko, co się tam znajdowało, jakieś piętno uroczystości. Zwierciadła, obrazy, kandelabry, posążki, świeczniki, złocone-gzemsy, wyglądały z ciemności ponuro, zdając się raczej przyborami pogrzebowymi, niż wytwornemi ozdobami damskiej siedziby. Powab i strojność tego zakątka przybrały na się pozór powagi i spokoju. Zdawało się, że pośród tego przepychu, jak w niszach katakumb, stały postacie surowe i zimne, wyobrażające nieublagane potęgi wieczności w obec żyjącego świata, i czekały na śpiącą kobietę, aby jej wy-

drzec, po obudzeniu, ostatnie złudzenia i poprowadzić w nieskończoność.....

Sen choréj był długim i mocnym, tak że strzegąca jéj kobieta oparłszy głowę o poręcz łóżka, zasnęła także. Stanisław, z prawdziwą miłością synowską, baczył na to, aby nic nie mogło niepokoić ciężkiej choroby najświętszej dla niego istoty; zewnątrz więc buduaru, było również cicho. W tem cisza ta przerwana została w sposób szczególny. Jakiś szmer, podobny do szumu liści lub mocnego deszczu, dawał się słyszeć pomimo zamkniętych okien, co uczyniono dla niewpuszczenia gorąca, jak to zwykle, słusznie czy nie słusznie, czynią po domach. Pośród tego szumu rozróżnić można było od czasu do czasu, pewien dźwięk jakby szklanny, srebrzysto-muzykalny, łagodny i miły, przypominający to raptowne akordy arfy, to mdlejące tony lutni. W buduarze cisza była tak uroczystą, że nieznaną ta muzyka, także cicha, to niepewna, konająca, to wzmagająca się znowu, mogła być wziętą za akompaniament do posępnych zjawisk, które zdawały się mieć swoje uosobienie w zagłębieniach wspaniałego buduaru. Ktoby to usłyszał przechodząc w inne światy, uważałby za pieśni istot naziemskich. Poduszki na łożu poruszyły się. Dźwięk ten doleciał do ucha choréj. Skierowała głowę w stronę okien. Słuchała z lubością a nawet z chciwością. Kiedy zapadła w chorobę, była przepelnio-

ną najżywszem uczuciem, bo uczuciem miłości zapóźnej; teraz więc gdy się obudziła, muzyka ta, w jej zgorączkowanej wyobraźni, otworzyła znowu przestrzenie, po których dusza bujała swobodnie, bo ciało przestawało brać udział w zapanowaniu nad chęciami. Za pierwszym więc akordem téj arcydziwnéj chociaż jakby naturalnéj i sympatycznéj muzyki, chora na skrzydłach złotéj fantazji uleciała pomiędzy te anioly i kształty szczęścia, których sama nastwarzała bez liku..., Kształty te były tak nieokreślone, postacie tak szybko się zmieniające, że nawet obraz ukochanego świetlanym tylko był zjawiskiem.

Ale prócz muzyki inny czar jeszcze dostał się do buduaru. Zdawało się że słońce na dworze żywszym zajaśniało blaskiem, bo i zielone franki nagle jaśniejszy kolor przybrały; do wnętrza także dziwne dostały się światła. Jakiś związek zachodził pomiędzy ich ukazaniem się i dźwiękami, dającymi się słyszeć na dworze. Zdawało się, że każde uderzenie w struny nieznanne sprowadza drgnienie światła w buduarze, który naraz przybrał postać prawdziwie tajemniczego przybytku. Światło to, nie wiedzieć jakim sposobem dochodzące, rozpryskiwało się, tak rzec, na mnóstwie innych światełek drgających i biegających; jaśniały te światełka wszystkimi barwami tęczy; to sypały się jak perły i tworzyły na przedmiotach i ścianach buduaru praw-

dziwie idealne kaskady tęczowe, to nagle przerwane, stłumione, zapalały się wyżej lub niżej, z jednéj lub drugieój strony, w kształcie gwiazd ogromnych brylantowych, mnożących jeszcze swoje promienie od kosztownych materji, złota i brązów, któremi zapełniony był buduar. Niekiedy, jakby za silniejszym szumem na dworze, wszystko to nikło i pograżało pokój w tem większą ciemność, przydając więcej czarodziejskości nowemu zjawisku. Zdawało się jakby dwie potęgi przyszły walczyć o zwycięstwo. Ciemność i światło uderzały na siebie — pierwsze niewzruszonością i cierpliwością swoją — drugie gwiazdzistemi wybuchami, nagłemi lecz.... gasnącemi. Zjawisko to mogło zadziwić każdego, a cóż dopiero mówić o choréj tak wrażliwéj kobiecie, jaką była pani tego buduaru.

Umierająca wpadła w prawdziwą ekstazę. Wszystko otaczające ją znikło z przed jéj oczu. Wyciągnęła ręce ku tym światłom, jak dziecię. Dusza jéj zdawała się tak już mało należeć do ciała, że uważała te światła, jako swoją własność. Chora leżała bez ruchu i oczy tylko biegały za tęczowemi posłańcami światła, które ukazywało ulatującej duszy majestat swój w obec cienia...

Jeden z promiennych bukietów zapalił się na wiszącym niedaleko od łóżka obrazie, który przedstawiał mężczyznę lat średnich, o łagodnych rysach twarzy. Twarz wystąpiła nagle z ciemności

i zdawała się mówiącą, jakby się poruszając pod drgającymi ogniami świetlanych dziwów. Chora patrzyła chwilę, a potem zaczęła mówić do siebie pocichu:

— Zkąd twarz tu zjawiała się przedemną? Całe lata jój nie widziałam. Po co się teraz przypomina? Co przeszło po świecie, zimne dla serca, nie może być sercu pamiątką! Pocóż więc przychodzi do mnie to, co już pograżyło się dla mnie w morze wieczności? Czyż dla tego wynurza się ta postać z wiecznego cienia, żeby się ze mnie naigrawać, ponieważ jój nie chcę? Cienie poczciwego człowieka, śpijcie, lub patrzcie na cały świat ogromny, ale nie patrzcie na mnie.... Jam nigdy nie mogła porozumieć się z temi oczami.... Tak, tyś był towarzyszem mojej młodości, byłeś mężem, ale nie byłeś ukochanym. Idź, dałam ci miejsce szanowne na ścianie mego buduaru, ale nie chciałam, abyś mi w oczy moje zaglądał tak żywo, tak natrętnie w takich światłach. Czy ja śpię, czy mi się śni, czy jestem na jawie?... Tu nie ma nikogo, a tymczasem jakieś tony urocze jakby chciały mnie bawić i pieścić. Zkąd tu tyle światła i tyle ciemności? Lubo mi jak nigdy! Zdaje mi się, że to dusza moja śpiewa hymn dla Teodora! Jam nie słaba — widzę i słyszę wszystko doskonale, mogę czuć radość i cieszyć się. Jam jeszcze pełna sił i zdrowia. O ileż tu pereł i brylantów, ile tu tęczy płąsa w takt lu-

bój muzyki! Co to za raj? Co to za anioły noszą mnie na rękach? Zkąd tyle życia naokoło mnie rozkwita? Wszystko tak jasne i wspaniałe jakby nie ludzkie!..

Nagle szum się wzmógł nieco i światła znikły.

— Co się stało? Kto mnie strąca w przepaści okropne? Jakto strasznie być samą w ciemności! O! czuję w sercu to, co czułam tam, kiedy padałam u cmentarza. Czy jestem na tym cmentarzu po raz drugi? Precz z cmentarzami, nie lubię grobów i trumien, nie lubię ciemności! Któżby mógł lubić czarne ciemne doły! Byłam chorą, alem wyzdrowiała. Gdzież muzyka i światła? A oto znowu jaśniej, znowu drga jakby skrzydełko aniołka niedaleko okna, promieni się tęczy, rośnie, mnoży się, rozpryska, sypie brylanty, kwiaty! Ile kolorów, ile życia! Ach! oddycham! Gdzież leci ten tęczy obłok światła? Ha, zatrzymał się, natrafił na przeszkodę, spotkał się z drugim portretem.

Istotnie, gra cudownego światła błysnąwszy znowu w pokoju oświeciła inną postać malowaną. Był to portret jój samój, który przed kilkunastu laty zrobiono. Chora, która pod wpływem magicznym nieznanego światła spotykała wszystko, co się z pod niego ukazywało, z żywym zajęciem, uśmiechnęła się do tego obrazu:

— A, to pamiątka po młodym artyście. Staral się w tym portrecie wysilić cały swój talent, aby

rysy moje zidealizować, aby przez to okazać, ile mu jestem drogą. Szaleńcy ci artyści! Byłam dumną i nie dbałam o artystę. Po cóż więc przypomnia mi się dzisiaj z tym portretem? Ach to niebiańskie światło wyjawia rzeczy, które minęły! Cemuż nie kochałam artysty, a Kocham dzisiaj Teodora? Czy winną byłam, że go kochać nie mogła? Tak, i miałaby ta twarz uśmiechnięta, pełna życia i dumy, którą artysta złagodził, miałaby ta twarz, kochać kogo wtedy, kiedy nie było jeszcze przed jej oczami Teodora!...

Chwilę zamyśliła się smutnie, a w przeciągu tego czasu barwne strzały światła przeniosły się w inne miejsce. W samym rogu pokoju, przy ścianie, przeciwległej łożu choréj, stał klęcznik a przed nim wznosił się rodzaj domowego ołtarzyka. Parę świętych obrazków wisiało na ścianie nad pulpitem, na którym leżały książki do nabożeństwa, niektóre święte pamiątki i medaliki. Po nad tém zaś wznosił się niewielki z kararyjskiego marmuru posąg Bogarodzicy, z gwiazdą nad czołem.

Przebiegając po różnych przedmiotach, czarowne światło oblało i ten posąg pełen świętego piękna. Gwiazda nad czołem Matki Dziewicy zdawała się płonąć prawdziwemi promieniami. Jaśniejący uroczystym powabem wyraz Boskiej Orędowniczki nabrał majestatu na tęczowem tle światłości. Chora

wpatrywała się w jój oblicze z zachwytem. Zaczęła znowu roić myśli.

— To ideał skromności, łagodności... Prawda, szczytnym jest ten ideał. I ja czczę ten ideał niepokalany. Stoi on zawsze nademną, aby wskazywał, ile być może lubą i wspaniałą kobieta. Ale sama, ale ja nie powinnam była otrzymać tego posągu, jako taką wskazówkę. Jam zawsze była dumną i gardzącą. To zdawało mi się tak lubém i tak potrzebnem do życia, że cudowny wdzięk tego posągu pozostał dla mnie tylko marmurem! Lecz cóż dał mi go poeta, który nie był Teodorem? Natura wlała we mnie pewną dumę i upragnienie wzruszeń wyższych; cóżem winna, żem w nikim, ani w tym biednym poecie nie znalazła władzy, któraby mogła mnie ujarzmić! Pogardziłam poetą, jak pogardzałam wszystkiemi, ale dla czego nie mogę pogardzić Teodorem? Bo dusza moja przeczuwała, że nadejdzie ten, dla którego stanę się uległą i pokorną. Tak, teraz dopiero widzę całą potęgę artyzmu w tym posągu. Teraz łagodność jego i słodycz mogą być pokrewnemi mojej duszy, bo znalazłam postać, dla której lubę mi te uczucia! Czemuż Teodor przyszedł tak późno!

Takie chora pani S* roiła myśli i marzenia. Naturalnie, czytelnik nie mniema, aby to wszystko cośmy z jój ust słyszeli, było przez nią mówionem, albo raczej wymówionem. Nie, były to jój myśli,

w których najczęściej usta żadnego nie miały udziału. Mówiła to głównie dusza sama, która poddając się wspomnieniom, pod cudownemi promieniami, przechodziła z jednych marzeń w drugie. Dopiero pod wpływem ostatniego westchnienia, żal jój uraził ją tak mocno, że dosyć głośno zawołała: „Czemuż Teodor przyszedł tak późno!“

Słowa te obudziły śpiącą w nogach łóżka wartownicę chorą. Kobieta ocknęła się i spostrzegłszy panię swoją mówiącą do kogoś, gdy prócz dwóch osób w pokoju nikogo nie było, oraz widząc ściany buduaru jakby poruszające się pod drganiami czarodziejskiego światła, z którego zdać sobie sprawy nie umiała, zerwała się przerażona w przekonaniu, że to coś *straszy*, że to jakieś duchy przed śmiercią pani. Oczy jój rozwarły, aż po krańce białek, zwracały się to na chora, to na przebiegające światła jakby chcąc się przekonać, czy nie ma jakiego porozumienia między tém zjawiskiem a jój panią. Przez chwilę nawet zdawało się jój, że pani już umarła i że rozmawia po śmierci. Chora znów po ujrzeniu swojej wartownicy, pomimo gorączki, wzmagającej się w miarę wzmagających się myśli i upadku sił, i po odwróceniu uwagi od światel tajemniczych, zbliżyła się ku rzeczywistości. A że rzeczywistość dla nię zamykała się w myślach o Teodorze, zaczęła przeto głośno już i wyraźnie bredzić o tym swoim ukochanym.

— Proszę pani, czy to pani mówiła teraz, czy kto inny? I nie czekając odpowiedzi na to pytanie, opiekunka chorój przeżegnała się patrząc z coraz większem zdumieniem na tęczowe kolory, rozjaśniające pokój.

— Boże mocny! szeptała do siebie, zawsze mi się zdarzy przy *śmierciach* coś cudownego. Muszę ja być grzeszna zanadto!

Chora zaś nie odpowiadając na jej pytanie, zaczęła znowu:

— Tyle razy już im mówiłam, żeby mi zawołali Teodora, i zawsze napróżno. Czyżby to on nie chciał przyjść do mnie? Ale powinien, bom ja jeszcze chora i nie mogę iść do niego. Rzecz więc najnaturalniejsza, a tymczasem jego nie ma? Może go tu nie puszczają? Nie — to być nie może, boć przecież ja tu jestem jeszcze panią domu, ktoby go więc ośmielił się nie puścić, jeżeliby się chciał zobaczyć z panią domu? Najgorsze to, że nie mogę powstać z łóżka; dziwna — jestem zdrową, czuję się zdrową a z łóżka powstać nie mogę! Ale może Teodor nie chce przyjść do mnie, może ucieka i teraz, jak zawsze mnie unikał? To byłoby okropnie z jego strony. Wszakże dla niego jestem łagodną i uległą. Co mu do lat moich — kocham go tak, jak tylko ukochać może kobieta. Dla czego mi tak często przychodzą na myśl moje lata? Czy to tak wiele ma mi szkodzić? Więc dla czegoż idą te lata, kie-

dy człowiek może pokochać? Lata nie powinny posuwać się u tych co kochają, bo kochać, to znaczy żyć wiecznością.... Och, przed chwilą było mi tak wesoło, a teraz tak smutno! Zawołajcie mi Teodora! ludzie nieczuli, pomóżcie mi wstać z łóżka. Dosińska, — mówiła chora patrząc na wartownicę — pomóżcie mi wstać, ubrać się, albo idźcie i poproście do mnie pana Teodora. Idźcie prędzej, bo mi słabo; po śnie było mi tak dobrze!

Dosińska ciągle jeszcze nie mogąca przyjść do siebie słuchała téj mowy jakby z oburzeniem. Trapiła ją ciągle myśl o tem, że chora nie zażądała księdza, że zatem umrzeć może bez spowiedzi, bo jak lekarze zapewnili, chwile jój życia są policzone. Domyślała się z doświadczenia, że to ożywienie chorój i polepszenie się jój zdrowia jest pozornem, jak często bywa u umierających. Kiedy więc chora dopominała się, aby zawołano Teodora, ona słuchając ale nie słysząc jój wyrzekania i marzeń, myślała o dostarczeniu jój duchownej posługi. Są ludzie, którzy strasznie troszczą się o nasze zbawienie. Ostatnie wyrażenie chorój: „Idźcie prędzej, bo mi słabo,“ obudziło szanowną Dosińską z takiego rozważania swoich powinności chrześcijańskich. Odpowiadając na żądanie swój pani, rzekła wychodząc:

— Idę już prosić pani i zaraz przyprowadzę....

Podczas gdy się to, cośmy przedstawili, odbywało w buduarze chorój, Stanisław prowadził z przyjacielem rozmowę stanowczą, do której jak już widział wyżej czytelnik, uważał za konieczne przystąpić. Myślał, że dużo będzie musiał wyrzucić argumentów, zanim skłoni Teodora do opuszczenia wsi jego matki, ani się spodziewał, że mu to pójdzie daleko łatwiej, bo nie wiedział jeszcze o rozmowie jego z panem Franciszkiem.

— Teodorze, mówił Stanisław, siadając naprzeciw niego, jesteś przekonany, że dla tegom cię namówił do odwiedzenia mnie, abys jako mój przyjaciel odetchnął swobodą wiejskiego życia.

— O tem nie wątpię.

— Że zatem jesteś lubym dla mnie gościem.

— Stanisławie, po co takie przedwstępy? Masz mi coś ważniejszego powiedzieć; dość spojrzeć na ciebie. Mów, cokolwiekbym miał usłyszeć, nie stracę wiary w życzliwość twoją dla mnie.

Przy tych słowach uścisnęły się ręce przyjaciół.

— Dobrze więc, mówił znowu Stanisław, nie będziesz mi miał za złe, kiedy ci powiem o pewnej konieczności....

Teodor schylił głowę, Stanisław ciągnął dalej:

— Przyjazd twój obfitym jest w skutki. Nie dość że sam znalazłeś przedmiot miłości, niedość że obustronna miłość ta zamieniła się, jak mi wiadomo, w uczucie nieprzezwyćzione; niezależnie od tego

zakwitła jeszcze z twojej przyczyny miłość u kogo innego, miłość gwałtowna i także nieprzezwykła..... Naturalnie że *przyczynę* rozumiem tu jedynie w przybyciu twojem do nas.

Po tych słowach Stanisław zamilkł, jakby mu trudno było rozmawiać o przedmiocie do którego się zbliżał. Pomógł mu Teodor.

— Wiem co masz na myśli, rzekł do Stanisława, i sam boleję nad tém...

— Tak, tyś zupełnie niewinny. Matka moja kocha cię nie mniej od Zofji, a choroba w którą popadła, z której teraz umiera, także z twego powodu.

— Stanisławie nie wiem, co chcesz powiedzieć!

— A jednak uwierzysz, gdy ci rzecz objaśnię. To rzekłszy Stanisław opowiedział przyjacielowi zdarzenie przy cmentarzu.

— Ha, coś fatalnego przywiązaniem jest do mnie. Nieszczęście prześladowe osoby, które mi są życzliwe. Ale nie wiedziałem, że do tego doszło.

— Powtarzam tyś temu nie winien.

— Jestem więc na twoje polecenia. Najpierwszem zapewne będzie to abym odjechał.

— To właśnie konieczność, o której ci wspominałem. Ale dla ciebie żądanie to może być nadto przykrem. Bo prócz tego, że słyszysz je od przyjaciela, wypadaloby ci opuścić miejsca, w których....

— W których nie powinienem dłużej zostawać, bo osoba kochana przezemnie, bardzo jest nieszczęśli-

wą, z powodu mojego pobytu w pobliżu jój mieszkania.

— Więc to prawda, co powiadają w sąsiedztwie o uwięzieniu Zofji?

— Prawda najwierniejsza.

— I dla tego sam powziąłeś zamiar uciekać, aby jój nie narażać?

— Nie, przyznam się, że sam z siebie nie zdobyłbym się na takie postanowienie.

— Więc ona...

— Wątpię, aby i Zofja o tem myślała... bardzo wątpię — ale...

— Chcesz coś ukrywać?

— Dziś rozmawiałem z jój ojcem...

— Czy tam byłeś umyślnie?

— Nie — spotkałem go w okolicach jego domu.

— Więc on cię zmusił do powzięcia tego postanowienia?

— On, albo raczej piekielny jego sposób, jaki wymyślił. Ale najlepiej będzie, gdy ci powtórzę tę rozmowę.

Stanisław bardzo był oburzonym po ukończeniu opowiadania, chociaż z drugiej strony lżej mu było na sercu, że nietylko z przyczyn w domu jego zachodzących, Teodor się oddali.

— Tak, rzekł w końcu Teodor — nieszczęście prowadzę za sobą. Chociaż nigdy nie zazdrościłem ludziom szczęśliwym, radbym jednak dzisiaj błagał

o pomyślność niebo, jeżeliby... Nieznany, spokojny, cichy, zjawiam się pod dach przyjaciela i staję się przyczyną wypadków, przybierających barwy krwawe. Zgryzota syna, cierpienie przyjaciela, niewytłomaczona potęga uczucia, którego dzielić nie mogę..... dalej znowu cierpienia dziewczycy, którą kocham, jadowita złość jej ojca, moja bezsilność — wszystko to przyciska mnie nadto okropnie! Tyle skrzyżowanych pocisków w około mnie jednego, oślepia, głuszy. Nie wiem co postanowić; oddalenie się ztąd jest nieuchronnem ze wszelkich względów. Jest to najgenjalniejszy pomysł, na jaki się zdobyć mogę. Czasem człowiek staje się tak małym i nikłym, jak proszek, którym wicher pomiata. Nie winny w celach, nikomu drogi nie zachodzący, widzący szczęście swoje w tém, co nikomu nie szkodzi — znajduje przeszkody nie do przebycia, przeszkody kolosalne; chciałby walczyć, ale i walczyć nie może. Moc wypadku, jakby naigrawa się z jego cierpienia. Moc ta, zębata, najeżona bronią swojej nieujętości, szydercza, jadowita, jest jak podmuch pustyni, jak huragan; nie pozwala rozejrzeć się, zbadać położenia, zakrywa widnokrąg, zasypuje oczy kurzem, niweczy uczucie siły, bo porywa, wiruje, przyciska.... człowiek czuje się niesionym bezwiednie, traci oddech, przytomność, chce się odwrócić, szamotać — daremnie! — złośliwy

kłęb piasku usuwa mu się z pod stóp... Człowiek pada twarzą i ginie...,

Widzisz więc z tego Stanisławie, że zostać tu nie mogę, czuję bezsilność moją. Położenie moje nie dopuszcza ani ofiary, ani poświęcenia. Uciekam jak ziarnko piasku, gnane fatalnym wichrem, wtenczas gdy dusza panuje ponad tem wszystkiem; bo kłęb trąby powietrznej przygwoździwszy istotę moją, do błota, nie zdoła jój ujarzmić. I te to właśnie krańce, ta światłość ducha w obec niemocy, stanowią najcięższą mękę stworzenia!

Teodorze, wszystko to, ja ci ręczę, tém żywiój da ci uczuć szczęście, gdy je osiągniesz.

— Ja nie wierzę przyszłości. Jam już rozczarowany co do świata. Co stracę dziś, tego nikt mi nie wynagrodzi. Ja nic od świata nie chciałem, ty wiesz to dobrze; pragnę tylko aby świat nie rabował mi mojego dobra, to jest nie boga ctwa, nie dostojenstw, nie sławy, lecz tego, w czem się zamknąłem, bez szkody dla ludzi!

— Ale ze szkodą dla rzędu stworzeń niższych od ludzi... zapominasz widzę, o takich stworzeniach... jak Ślepowroński.

Teodor spojrział na przyjaciela okiem sympatycznego podziwienia i rzekł powstając:

— Dobrze więc, poczekam, co los przyniesie. Dzisiaj, pożegnaj cię Stasiu. W utrapieniu mojem to mnie przynajmniej pociesza, żeś ty mnie

uznał za niewinnego względem twój matki. Powiedz mi, jak jój zdrowie? Musi się mieć już znacznie lepiej. Słyszałem że gorączka ustąpiła i że sen bardzo ją pokrzepił.

— Daj Boże, aby tak było, ale lekarze najwięcej obawiają się takiego snu, po którym...

— Nie kończ, nie kończ Stanisławie.

Na tém przerwała się ich rozmowa, gdyż usłyszeli jakiś gwar i pośpieszne zbliżające się ku nim kroki.

Ażeby nie pozostawiać czytelnika w niepewności co do powodu tego gwaru, musimy się wrócić do szanownej wartownicy chorych, pani Dosińskiej, którąśmy widzieli wychodzącą z buduaru.

Szanowna ta niewiasta, przejęta wielkością swego posłannictwa i swego stanowiska przy chorój pani domu, zadowolona z chwili, w której ujrzała się wolną od mnogich odwiedzających cierpiącą sąsiadów i znajomych, a zwłaszcza kobiet, które ośmieliły się kontrolować jój postępowanie i wglądać ciekawie, czy pani S* jest należycie obsłużona, szanowna ta niewiasta widząc, że chora zaczyna znowu majaczyć, a majaczenie to ostatnim być mogło paroksyzmem, postanowiła, dla uzupełnienia owego posłannictwa, przysłużyć się pani S* najserdeczniej, jak tylko mogła.

— Czegóż mogę jój życzyć teraz, prócz szczęśliwej śmierci? mówiła do siebie, wyszedłszy z budu-

aru. Już się jój niewiele należy, a ona tymczasem gada o takich rzeczach, że aż się ckliwo robi człekowi. Chce Teodora! grzesznica, myśli o kochanku umierając! Jak jój to może przyjść na myśl? Tylko, prawda, te panie śmierci nie lubią — o! państwo śmierci nie lubią... Życzyłam raz jednej jejmości szczęśliwej śmierci, a ona — ona mnie kazała wyrzucić za drzwi i wyzdrowiała! Ale ta już nie wyzdrowieje a gada — o młodych fanfaronach! Coby zresztą powiedział ojciec Hilary, gdybym go nie uwiadomiła o niebezpieczeństwie, gdybym puściła mu duszę na tamten świat, bez duchownego posiłku. A umarłaby w grzechu, jak mi Bóg miły, w grzechu by umarła! Pobiegnę po ojca Hilarego i po gromnicę. Nie będę nic mówić panu Stanisławowi, bo się boję, żeby mi nie przeszkodził. Ci młodzi mężczyźni, tak, szczególnie młodzi, nie chcą znać ani księży, ani gromnicy. On by gotów skrzyżać mnie za sprowadzenie księdza, gotówby nie pozwolić. Po cóż mam się go pytać o to, kiedy by to mogło wyjść na gorsze i dla chorój i dla kościoła. Zresztą i ksiądz Hilary na mnie by się gniewał. Wszak oni, biedaczki, żyją także z tego, co im dobry ludzie ofiarują, a on przecież jest spowiednikiem pani; słusznie się może czego spodziewać..

Takie myśli przebiegały po głowie poczciwej pani Dosińskiej, kiedy wydostawszy się pocichu z buduaru chorój, szła, a raczej biegła do folwarczku,

który niedaleko za cmentarzem się znajdował. Folwarczek ten należał do klasztoru, w kościele którego lubiła słuchać nabożeństw i spowiadać się matka Stanisława, bo jakkolwiek nie liczyła na swoim sumieniu żadnych grzechów ciężkich, wołała jednak pozbywać się tych, które sobie przypisywała, dalej od domu. Uważając księdza proboszcza za milego i przyzwoitego sąsiada, nie mogła się niejako odważyć na powierzanie mu swych tajemnic. Zręcznie więc wyjednała sobie jego pozwolenie na spowiadanie się w klasztorze pobliskiego miasteczka, pod pozorem, że tam są pochowani jój przodkowie, jój rodzice i że tam, na wspomnienie o tylu miłych sercu osobach największa skrucha ją przejmuje. Proboszcz, oświecony i rozsądny, nie spierał się z nią o to, co ona też ocenić umiała, przysługując mu się od czasu do czasu pięknymi podarunkami lub ofiarami ku upiększeniu kościoła. Zresztą nie zwracało to niczyjój uwagi, bo podobna predylekcja do miejsc spowiedzi, a szczególniej spowiedników, bardzo jest powszechną, a zatem i powszednią, tak że nawet w Warszawie, gdzie rzeczy te traktują się z mniejszym niż na prowincji interesem, niepoślednie w rozmowie poczciwych gospodyń miejsce, podczas odwiedzin wielkanocnych, zajmuje pogawędka o spowiedzi i o spowiednikach...

Trudno dociec, jakim się to stało sposobem, że z chwilą rozgłoszenia się niebezpieczeństwa choro-

by pani S*, folwarczek zarządzany dotąd przez oficjalistę, który ten obowiązek od lat kilku z zadowoleniem klasztoru sprawował, nowego otrzymał rządcę, albo raczej nadzorcę dla kierowania robotami przy ukończeniu żniw, już rozpoczętych bez tej nowej władzy naczelnój. Nikt jednak nie zwrócił na to uwagi; jeden tylko oficjalista, znalazłszy się nagle pod kontrolą, do której nie był wzwyczajonym, wyrażał się złośliwie:

— Szkoda, że nie jestem księdzem, nie przyjeżdżałby tu ojciec Hilary...

Z tego wyrażenia dowiadyuje się i czytelnik, że to ojciec Hilary był tym nowym chwilowym rządcą folwarku.

Ojciec Hilary jednak zasłużył wkrótce na względy podwładnego, bo pomimo swego zwierzchnictwa, bardzo łagodnie urząd swój sprawował, czyli pozwalał tamtemu robić jak dawniej, co mu się podoba, chociaż codzień solennie znajdował się od wschodu słońca do wieczora w polu i doglądał.. Dziwili się tylko ludzie roboczy, dla czego przekładał ojciec Hilary jedno głównie miejsce folwarku, chociaż roboty posunęły się już dawno gdzieindziej. A miejsce, które przekładał ten ojciec duchowny, dotykało właśnie granicy majątności pani S*.

Siedząc na kamieniu pod gruszą polną, ojciec Hilary patrzył na końce palców swojej boszej nogi i dumał o niebieskich — zapewne nie migdałach...

W tem spostrzegł śpieszącą, zadyszaną, zlaną potem, szanowną panią Dosińską, która uszczęśliwiona że go tak w porę znajduje, zawołała:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!.. Już czas, proszę księdza dobrodzieja...

— A, już?—odpowiedział ojciec Hilary. Dziękuję wam, Dosińska; ksiądz gwardjan podziękuje wam także. Czy z chorą niebezpiecznie?

— O bardzo.

— Ale ma jeszcze przytomność? Czy może wydawać jakie rozporządzenia?

— Co przytomności, to wiele nie widać...

— Pocóżście wcześniej znać mi nie dali.

— Bałam się syna.... Mówiłam mu już raz jeden, ale ani słyszeć o tem niechciał. Bał się przerazić matkę...

— To źle, rzekł ojciec Hilary, ale natychmiast dodał—no może jeszcze zdążę, powinienem się śpieszyć. Wy wracajcie do domu i zróbcie tak, żeby mi nie przeszkadzano.

Z temi słowy duchowny ruszył szybkim krokiem ku pracującym i siadłszy tam na wózek, który oczekiwał w pogotowiu, pojechał do parafjalnego kościoła, gdzie jako znany spowiednik pani S* i jako przybywający na wyraźne żądanie umierającej, otrzymał natychmiast od uśmiechającego się jakoś niezwykle proboszcza, komżę, stułę i święty wiatyk. Poczem udał się, nie tracąc ani chwili

czasu, w drogę do Roskoszy, bo czytelnik pamięta, że tak się nazywała wieś główna umierającej dziewcziczki. Przybył tam dzięki szybkiej jeździe zaraz po powrocie Dosińskiej, a ta, usłyszawszy turkot zbliżającego się wózka i czekając wejścia duchownego, zwróciła się natychmiast, skoro go we drzwiach ujrzała, ku pokojowi, w którym słyszeliśmy Stanisława i Teodora, rozmawiających ze sobą. Uczyniła to tak czas miarkując, aby w chwili kiedy uwiadomi syna o przybyciu księdza; duchowny ten był już wprowadzonym do pokoju chorój, ku czemu odpowiednie wydała już zarządzenie. I oto gwar, któryśmy podczas rozmowy dwóch przyjaciół słyszeli, spowodowany był tym manewrem gorliwej wartownicy, którą właściwiej możnaby nazwać wartownicą dusz ulatujących w wieczność...

— Proszę pana, zawołała pocichu ta niewiasta, otworzywszy drzwi, — proszę pana, ksiądz przyjechał.

— Ksiądz — do kogo? zapytał Stanisław.

— Do pani... a do kogóżby proszę pana... Wszak ci ludzie wiedzą o chorobie pani, rzekła z przedziwną niewinnością stróżka dusz ludzkich.

— Proboszcz, czy ojciec Hilary?

— Ojciec Hilary.

— To być nie może. Kto posłał po niego?

— Proszę pana — sam pewno, jako kapłan uważał za powinność swoją pośpieszyć...

— Matka przerazi się. Chcecie ją dobić. Matka nie wie o niebezpieczeństwie swojego położenia.... Gdzie jest ojciec Hilary? W imię Boga poprosić, żeby się wstrzymał.

— Już zapóźno proszę pana, rzekła z miną zakłopotania i żalu sprawczyni przerażenia syna z obawy o życie matki.

— Jakto zapóźno! Jeszcze się ze mną nie widział. Matka przestraszy się; ona myśli, że nie ma niebezpieczeństwa. To może ją dobić! Zresztą jest w gorączce, często nieprzytomna — cóż powie księdzu!?

— On wszedł już do pokoju pani i spełnia swoje obowiązki...

— Kto go tam wprowadził? zawołał pełnym gniewu głosem Stanisław. Jeżeli ty, to zadcpczę cię tu jędzo! Dobijasz mi matkę!...

— Och! Boże mój, Boże! Co to znaczy! Przed kapłanem wszędzie drzwi otwarte.

— Tak to usługują te robaki pelzające w błocie, rzekł Stanisław ciągle oburzony i spojrział na Teodora rozdzierająco. Przyjaciel wziął go za rękę i wskazał przeleklej wartownicy ruchem głowy, aby wyszła. Ale ta nim opuściła izbę, uważała za potrzebę ulżyć swojej boleści z powodu obrazy, jakiej uległa wołając pokorno-żałosnym głosem:

— Tak to się wynagradza moje noce bezsenne, moje stracone zdrowie moje dźwiganie chorój pani, moje pielęgnowanie, moje zabawianie jój, doglądanie ludzi, podawanie lekarstw godzina w godzinę, sekunda w sekundę! Tak to młodzi panowie obchodzą się dzisiaj z temi, co dla nich życie swoje oddali! Czy jabym siedziała przy kim tyle nocy, czybym tak usługiwała, gdyby to nie była matka pańska? O, i na pana przyjdzie godzina śmierci i pan kiedyś będziesz potrzebował ręki przychylnój. Ale może panu przyjdzie na to, że nie będzie komu podać lekarstwa. O! za takie pokrzywdzenie biednej kobiety nie będzie pan szczęśliwie umierał i ja panu nie mogę życzyć szczęśliwój śmierci! Nie mogę!

— Skończ te lamenty, rzekł Stanisław.

— Co to za ty? jakie to ty? kto mi śmie mówić ty? Ja jestem wdowa. Mąż mój mógł mi tylko mówić ty. Ja nie jestem żadna dziewczyna, których pan znasz tyle!

— Idź więc ztąd jedź z piekła, na utrapienie żywych i umierających zesłana! krzyknął Stanisław rozgniewany nie lamentami wartownicy, które w nim wzbudziły coś podobnego do uśmiechu, ale raczej myślą, że ona jest sprawczynią sprowadzenia ojca Hilarego. Idź, powtórzył, bo cię każe wydmuchnąć z tego domu jak słomkę. Sprowadziłaś więc księdza po to, aby słyszał twoje hałasy?

Argument o słonce poskutkował. Stróżka dusz odeszła, machając rozgniewana rękami, ale nie mówiąc już ani słowa.

Stanisław przejęty boleścią wyszedł za nią i rzucał się na krzesło w pokoju przytykającym do pokoju chorój; miłość synowska drżała na myśl, że matka może konać w tej chwili; w rozpaczach chciał drzwi otworzyć, ale poszanowanie dla obrzędów wiary wstrzymało go od tego. Powtarzał tylko od chwili do chwili.

— Co za okropne oczekiwanie!

Korzystając jednak z prawa, które dozwala nam wiedzieć więcej niż wiedział Stanisław, przedrzyjmy się do tajemniczego buduaru, aby się dowiedzieć, co się stało z nieszczęśliwą, tém więcej że śmiało to uczynić możemy, gdyż właśnie nie było tam jeszcze spowiedzi, której przeto natręctwem swoim nie sprofanujemy.

Ostatnie słowo, które przeszło przez usta chorój — było imię Teodora; już nie zniknęło ani z myśli, ani z wyobraźni, podniesionej powracającą gorączką. W miarę opanowywania przez nią skołatane go organizmu, cicha, jakby nadziemską muzyką, dolatująca uszu chorój i czarujące blaski dziwnej tęczy unosiły ją w coraz zawilsze labirynty widzeń przedśmiertnych; ale każdy z tych kształtów nieujętych przybierał rysy, osoby na którą ona oczekiwała. Oczekiwanie to wracało jej życie, które nikło

powoli; niespokojność obudzonej wyobraźni zastępowała to, co w życiu normalnem stanowi żywość odczuwania. Pograżona w białych poduszkach wyobrażała się pograżoną w niewysłowionej słodyczy, a kiedy ciemności zgonu chciały wkroczyć w jej oczy przybierając postaci ohydnych straszylek, rąk potwornych, oczu zazdrosnych, karawanów, lub żałobników, twarz Teodora, przy cichłej muzyce i grze światel zwyciężała te zastępy kroczące nieustannie ku jej skroniom. Odpędzała je myślą—zdawało się jej nawet, że odpędza je ręką.... Oczekiwała na Teodora. To oczekiwanie uroczyste utrzymywało ją na powierzchni srogiej bitwy dwóch pierwiastków śmierci i życia. Zdawało się jej chwilami, że spoczywa w rajskim jakimś ustroniu, które tylko mroczy się dla tego, że nie ma jeszcze Teodora...

Nareszcie drzwi się otworzyły. Chora poruszyła się na odgłos ich skrzypnięcia. Z niewymownem wysileniem zdołała twarz odwrócić w stronę tych drzwi i z pełnym błogim uśmiechem, jakim tylko chorzy uśmiechnąć się mogą, podniosła oczy ku upragnionemu. Co za okropne rozczarowanie! Na migającym tęczowo tle buduaru ukazała się twarz inna, poważna, a chociaż łagodna i przyjemna, ale okolona kapturem kapucyna, jakaż zwiastunka! Jak daleka od upragnionych rysów Teodora!

Stanisław nie mylił się bynajmniej. Chora prze-
 razila się i pierwszy raz uderzyła ją myśl, że już
 nie ma dla niej nadziei. Podniecona gorączką za-
 częła ważyć to niebezpieczeństwo, które wydało
 się jej tak nieprawdopodobnym w obec jej oczeki-
 wań i wrażeń, że odpychała wszelką myśl śmierci
 w tej samej chwili, kiedy śmierć czyhała już
 na nią.

Umierająca zebrała ostatnie siły.

— Tak, ja przecie widzę to własnymi oczami.
 To ojciec Hilary — gość zawsze dla mnie przyje-
 mny, ale dziś — po co dziś przychodzi taki powa-
 żny, ubrany w komżę i stułę? Miałażbym już umie-
 rać? pytała się myślą sama siebie chora i wpadła
 w to zamyślenie pozorne, które, jeśli w nie popa-
 dają umierający, jest najżywszą ich rozmową.

— Ojczy Hilary, czy mam być dysponowaną na
 śmierć? Czy tak już źle ze mną? rzekła chora, prze-
 rywając dumanie rozpaczy.

— Córkko, przychodzę do ciebie z Bogiem, a jak
 on zarządzi, tak będzie; możesz jeszcze wyzdrowieć
 i być dobrodziejką naszą...

— Ojczy Hilary, mylisz się — ja tu czekałam
 na kogo innego! Może przychodzisz, aby mi ślub
 dać z tym na którego czekałam?

— Nie córkko, klasztor chce pamiętać o twojej
 duszy na wypadek...

— Na wypadek, gdybym umarła!

— Córko, czy nie czujesz się względem kogo obowiązana?...

— Ojczy Hilary, co ty mówisz? rzekła wpadając w zupełną nieprzytomność, pod wpływem gniotącej ją obecności duchownego. Co on mówi ten ojciec Hilary? Po co on tu przyszedł. To warjat, to biedny warjatek, biedny księżyna. Cóż to, grają jakąś komedję? Czego oni robią komedję z boskich rzeczy? Bóg jeszcze nie woła mnie do siebie. Ja czekam na Teodora i Teodor tym razem przyjdzie!...

Tu gorączka znowu zesłała jej widma, od których myśl jej uciekając gwarzyła, gdy usta milczały:

— Zamiast Teodora widzę tego ojczulka! Jaka to metamorfoza! Tu tyle światła, takie tęcze, tak lubo anielsko, a oni mówią że ja umieram! O, tam jedzie karawan — dwa, trzy karawany! Tyle koni żalobnych, tyle żalobników, tyle pochodni... tu i tam migają! kto mnie straszy? Ksiądz Hilary mnie straszy! Precz precz z tem odemnie! To zawczasie, to nie dla mnie. Czemu nie widzę Teodora?

Tu powtórzyła myśl swoją głośno:

— Czemu nie widzę Teodora?!

To jedno w tej chwili czuć już tylko mogła. Wszystko inne zaćmiło się pod lodowatym naciśnięciem śmierci.

Ksiądz tymczasem stał nad nią z kielichem; widział, że nic mu już mówić nie pozostaje, że ta ko-

bieta zbliża się do straszliwego progu.... Chcąc więc przynajmniej umierającym oczom nieszczęśliwej ukazać majestat tajemnic Chrystusa, zbliżył się najprzód do drzwi, otworzył je na oścież dał poznać wzrokiem, że kto chce, wejść już może, — a potem zaczął mówić modlitwę i z jaśniejącym w ręku kielichem przystąpił do łoża. Blask migotliwy złota pod grą tęczyowych promieni był tak silnym, że umierająca jeszcze otworzyła oczy.... lecz ujrawszy ponad sobą twarz obcą, przychyłającą się ku niej, widząc postać jaśniejącą złocistym symbolem, ale przykrą w obec postaci, z której obrazem zchodziła do grobu, okazała tak wielkie przerażenie, że aż ksiądz się cofnął. Ona zaś, jakby chcąc się wyrwać z rąk śmierci, zebrała ostatnie siły, uniosła się na poduszkach z obłąkanym wzrokiem, i patrząc tak chwilę na blask kielicha, chciała coś powiedzieć; ale zdołała wydać jedynie cichy jakiś niedokończony okrzyk, opadając znowu na pościel. Tu podążył jój na pomoc Stanisław, lecz matka nie poznała już syna..... W chwili gdy załzawiony składał jój głowę na poduszkach, dusza jój opuściła skołatane cielesne mieszkanie. Pokój napełniał się stopniowo. Wszyscy się cisnęli, wielu szeptało o cudownych światłach, które się ukazują w pokoju umarłych. Na dworze w tym samym czasie dał się słyszeć turkot powozów. Jednym z nich odjeżdżał Teodor, bo choć kochał przyjaciela, posta-

nowił nie znajdować się na pogrzebie, aby nie być przedmiotem ciekawości sąsiadów, kobiet i plotkaczy. W drugim powozie najbliżsi znajomi, przywieźli nowego lekarza. Była to pani z sąsiedztwa, która dotąd nie opuszczając łoża chorój, dowiedziała się przed kilkunastu godzinami o pobycie w okolicy bardzo wsławionego lekarza i wybrała się po niego, zostawiwszy czuwanie nad chorą szanownej Dosińskiej; ta zaś wiernie dopełniła zlecenia. Oto i teraz widząc wysiadającą z powozu damę i lekarza, stróżka dusz ludzkich zawołała:

— Niech się państwo śpieszą bo może już po wszystkim.

— Po wszystkim! zawołała błędąc przybyła pani.

Lekarz ruszył ramionami charakterystycznie. Znać było w tym ruchu, że oprócz sławy, aureolę której zdawał się nosić na kapeluszu, myśl jego nie jest nieczułą i na niektóre inne rzeczy, tylko ludzkie...

— A czemuż nie siedzicie moja Dosińska, tam u chorój?

— Tam ksiądz jest.

— A wy z kąd wracacie?

— Później się pani dowie, odrzekła wartownica dusz z miną taje mniczą, ukrywając jakiś przedmiot pod chustką. Przybyła pani nie pytała więcej, tembardziej, że i rozmowa ta odbywając się w przejściu

przybyłych od powozu do pokoju choréj a teraz, umarléj, musiała się urwać na progu buduaru, z kąd wychodził kapucyn i kilka płaczących kobiet. W buduarze jednak znajdowały się jeszcze niektóre osoby.

Nagle wszystkie te osoby zaczęły się rozstępować na obie strony i światelko jakieś posępne, prawdziwie nadgrobné przewijało się pomiędzy zebranemi. Niosła je szanowna Dosińska, albo raczéj niosła gromnicę, którą odszukawszy u kogoś w oficynie, ukryła pod chustką bojąc się Stanisława a potem, puściwszy naprzód spotkanych przybyłych, zapaliła ją i wcisnęła się z nią w tłum, myśląc że może zdoła jeszcze wsadzić w ręce konającéj. W zapale nie widziała nawet księdza, o którego się obtarła, i rozpychając obecnych, przeciskała się do łoża, mówiąc prędko:

— Tu się dzieją niezwykle rzeczy — patrzcie na te światła, kiedy w pokoju ciemno. Téj duszyczce potrzeba światła, samo światło się objawia. Ja przyniosłam światło biedaczce.

— Ale chora już umarła, szepnął ktoś obok niéj.

— Umarła — patrzciel tak wcześnie! No i nie mogłam zdążyć! a to potrzebne duszyczce.

Stanisław stojąc obok zwłok matki spojrzal na tę sekutnicę. Nie zmięszala się wcale.

— Bo to pan, młody pan się gniewa, a z czegoż ja to robię, jeżeli nie z przywiązania? Panowie mło-

dzi nie wiedzą czego potrzeba duszyczce w takich razach. To święty obowiązek każdego człowieka podać umierającemu gromnicę. Przynajmniej za to nie będę pokrzywdzoną — mówiła prędko nieubłagana baba, z żalem gasząc świecę.

Stanisław nie mogąc znieść dłużej tego głosu, który brzmiał w jego uszach echem fatalnem, wymownym ruchem ręki i głowy dał poznać obecnym, aby opuścili pokój.

Gdy sam został, przypatrywał się z pewnym wyrazem bolesnego podziwu tęczowym światłom, przebiegającym buduar. Zamyślił się, a później, jakby coś odgadując, podniósł franki i oba okna otworzył. Światła całkowicie napełniły pokój, który zdawał się tonąć w morzu tęcz i pereł. Z ogrodu na który wychodziły okna, płynęło to światło. Przed oknami, o kilka zaledwie kroków, tryskała świetnymi strumieniami fontanna, którą nieboszczka z wielkim urządzeniem nakładem. W bassenie, naokoło miejsca z którego wytryskał główny słup wody, znajdowało się, z mlecznego szkła wyrobionych kilka olbrzymich kielichów lilji i innych fantastycznych kwiatów, obsadzonych na brązowych pozłacanych lodygach, tak że woda spadając z góry napowrót, uderzała swemi brylantami w te liście, które odzywały się jak arfa Eola. Naokoło bassenu, przy krawędzi z białego marmuru, wytryskały inne znowu strumienie a wszystko to krzyżując się i la-

miąc, bijąc się o siebie i rozpryskując rokosznie pod światłem słońca, błyszczało cudownemi barwami tęczy. Ztąd muzyka, która dochodziła do buduaru, ztąd światła tęczone, któreśmy także widzieli. Dla czego zaś światła te, pomimo zapuszczonych firanek, dostały się do wnętrza, łatwo by się był domyślił czytelnik, jeżeliby wiedział o wodotrysku przed oknami i jeżeliby się zbliżył do samych firanek, które jako nie rolety a zatem bardziej oddalone od szyb okien, tworzyły dosyć szerokie luki między sobą a framugami, tembardziej, że ze strony która była wolną od kierunku promieni słonecznych, sama pani Dosińska odsunęła firanki, aby wpuścić nieco światła, gdyż w przeciwnym razie, byłoby w buduarze daleko ciemniej, z powodu grubiej ciężkiej materji firanek. Przyczyna zaś szumu i nagłego od czasu do czasu znikania światel tęcowych polegała na tem, że drzewa, okalające dwór i nader blizkie wodotrysku, nachylając się pod silniejszymi podmuchami wiatru, zasłaniały słońce.

do Stanisław otworzywszy okna i spojrzawszy na brylantowo-tęczowy transparent pełen słońca i wesela, odwrócił się ze łzami na twarzy, przysłonił okna na nowo i przyklękawszy u łoża matki, długo nie mógł się podnieść ztamtąd, aż nareszcie pukanie pani, która przywiozła przedtem lekarza, zmusiło go powstać i opuścić zwłoki téj, bez której

czuł się osamotnionym tak okropnie, że nie miał ochoty powracać między ludzi.....

Tak umarła kobieta, której serce miłość prawdziwa nawiedziła zapóźno.

Tak umarła kobieta, która dotąd nie znalazła potęgi mężczyzny.

X

Stanisław nazywał zawsze samotnika gniechym,
albo kolumną. Najbardziej tego człowieka
pojmował, dla czego on to miasto nazywał gniechym,
jego wielbiciel.

„Ale gniech ten zachował się już paczyc. Za dwa
ty starca, jak zachował się już paczyc. Za dwa
żył się coraz gorzej, coraz bardziej. Układ się
one regularnie, wytrwale, nieprzerwanie w zachy-
ty hierarchii ludzkiego ducha. Nie przepadł
w grzechach, ale pozostał on na ciele, w
technicy, której znaczenie dla niego nie było
działnie jasnemu, mówił słowa do duszy, nie
współniecie dla wyżej, stały. A jeżeli nie
opowiadał się, po większej części w milczeniu, ro-
zwaniach, nie tanił, przeto przez mistrza
otrzymał, jako świadectwo, że serce i miłość, za-
ki zachowały, tyle na ciele, nieprzerwanie, dłoń
Josi.

Tak, rozwał i miłość, do czasu, do czasu.

... Tak umarła kobieta, która dotąd nie znała potęgi
 ... iabul ...
 ... Tak umarła kobieta, której serce miało prawni-
 ...
 ... Tak umarła kobieta, która dotąd nie znała potęgi
 ...

X.

Stanisław nazywał zawsze samotnika gmachem, albo kolumną. Znając charakter tego człowieka pojmiemy, dla czego mu to miano nadawał młody jego wielbiciel.

Ale gmach ten zaczynał się już paczyć. Na twarzy starca, jak szczyby lub rysy na murze, ukazywały się coraz gęstsze zmarszczki. Układały się one regularnie, wyraziście, nieubłagane w szczytny hieroglif ludzkiego ducha. Życie przepędzone w pracach myśli, zostawiło mu na czole ową literę tajemniczą, której znaczenie dla tłumu niedostępne dziwnie jasnymi mówiło słowa do dusz, mających współczucie dla wyższej istoty. A jeżeli cierpienie objawiało się po większej części w milczących rozważaniach, nie mniej przeto twarz myśliciela otrzymała, jako świadectwo burz serca i myśli, znaki zaszczytne, ryte na czole nieubłaganą dłonią losu.

Tak, rozważał i milczał... bo czemuż mógł zostać

w świecie, który go otaczał dzisiaj? Dwie tylko drogi pozostawiono mu do działania.

Temi drogami były: nauka i serce.

Szedł jedną i drugą. Ale wreszcie cykl jego działalności wypełnił się. Samotnik dokonał już wszystko to, co mógł dokonać.

Siły jego zaczęły się wyczerpywać. Myśl, która przestała już bojować z życiem, zwróciła się tem silniej przeciwko niemu. Ręce mu opadły, bo czuł, że już nic nie miał do spełnienia. Sam on niejako zakrył całunem własną przeszłość. Jeżeli mógł żyć teraz, to chyba pamiątką dzieł swoich, ale to było dla niego zamało.

Jako doskonały mechanik, mający nawet renome za granicą, autor kilku dzieł specjalnych, jak tylko mógł przykładał się do ogólnego dobra. Wezwano go niedawno jeszcze do kierowania robotami które miały za cel zużytkować niezmierne przestrzenie, nie przynoszące żadnej korzyści z powodu bagien i topieli. Obliczenia jego w tém ogromnym przedsięwzięciu były tak znakomite, że zjednały mu ogólne poważanie i zapewniły główne kierownictwo. Ale to było pośród cudzoziemców; bolało go więc, że usługi jego swoim nic nie przynoszą. Postanowił to wynagrodzić i powróciwszy do kraju oddał znakomite fundusze na użytek dobra publicznego. Wszystkie ważniejsze w kraju instytucje zasilily się owocem jego potęgi umysłowej. Tym

także sposobem zaspokoilo się i jego serce, pełne miłości dla braci. Czuł, że wypełnił, co mógł tylko, że zużytkował należycie wszystkie siły, jakie w darze od natury otrzymał.

A jednak — było to dla niego zamało!

Zaczynał uczuwać próżnię on, który nigdy jéj nie znalazł. Oprócz obowiązków, które z równą siłą pojmował umysłem i sercem, serce to wabiło go ciągle a teraz bardziej niż kiedykolwiek, w jakieś dziedziny uścisków, pieśni, cichych radości rodzinnych.

Zakończywszy swoje dzieła, uczuł silnie, że serce jego pragnie skończyć na tém, od czego zaczęło, na owych niewyczerpanej potęgi rozkoszach rodzinnych, które sobie obiecywał żeniąc się w młodości. Gotów był wyciągać ręce do tych postaci lubych, które samotna jego wyobraźnia stworzyła mu w powabnych rodzinnych obrazach. Pragnął ręki, któraby choć na chwilę rozmaszczyć mogła heroglify jego czoła, pragnął piersi, o któraby mógł oprzeć swoją głowę strudzoną, pragnął istot, które są dalszym ciągiem nas samych na ziemi, pragnął głosu, na dźwięk którego zamiera z rozkoszy serce ojcowskie, pragnął dziecięcych piosnek i szczeniów. Córkę, którą wzięła jego żona, przedstawiał sobie jako dziecko drobne.

Oddał wszystko co posiadał — serce, mienie dla ludzi, ale czuł, że i jemu także się coś należy.

Czy pragnął niepodobieństwa? I tak i nie podobno...

Tymczasem pozostał samotnym, czując że jeszcze żyje i pragnie pociechy.

Uczucia, przechodzące za skalę poziomą, nie wyczerpują się nigdy. Mogą się uciszyć, mogą być przytłumione, ale nie zamierają; stanowią one część składową duchowego organizmu i budzą się przy silniejszém poruszeniu. I ten starzec, któremu ze skarbów młodości pozostało w obliczu tylko jasne oko, którego twarz poorana chyliła się co chwila w zadumie, budził się od czasu do czasu jak młodzieniec, czuł mocno jak kochanek. Starzec ten miał serce, które jak i wszystkie inne jego przymioty, dążyło do nasycenia się, do pełni. Ztąd ta żywość w pożądaniu rodziny u schyłku życia. Czuł już zimę na swoich skroniach, czuł zmarszczki na czole, szukał przeto owocu, któryby go pocieszał w drodze pochylój życia, w drodze która się kończyła. Chociaż był gmachem, chciał aby paczące się podwaliny jego istoty nie martwiały na pustyni. Był starcem, ale był starcem życia nie śmierci; był zmęczonym, ale nie wyczerpanym. Wspaniała obraz ludzkiego serca, którego miłości nic wyiębić nie zdoła!

Siadywał często pośród zieleności i wpatrywał się w kwiaty; ale myśląc o kwiatkach zdobił niemi oblicza jakieś ukochane, nieznanne mu, lecz które,

jak mówiło mu serce, znać był powinien. On człowiek, mąż, pracownik, myśliciel, on co kocha, powinien mieć przy sobie takich, coby go kochali. Daremnie — był samotnym.

Spoglądał często na niebo, na gwiazdy, ale po takim wpatrywaniu się uczuwał potrzebę przelać swoje zachwyty w serce jego sercu podobne. A któż mógłby być tego godniejszym, któżby go lepiej zrozumiał, jak nie własne jego dziecko, gdyby je posiadał.

To ostatnie upragnienie było mu najmiłszém, bo wspomnienia z pożycia ze złośliwą kobietą, zacierały w nim jój obraz czarną już tylko zasłoną.

Po rozłączeniu się z panią Donatą, oprócz kilku jój listów, przepelnionych jadem złości i pogrózkami, nic nie słyszał o niej. Jakby naumyślnie, ukrywała miejsce swego pobytu, o którym wiedział chyba jeden Micuś. Ale starzec nie zdołał nigdy zniżić się do stosunków z tym nikczemnym człowiekiem, a raz nawet, zmuszonym był użyć siły swój ręki, kiedy Micuś chciał wykraść listy. Od Micusia przeto nic się nie dowiedział. Zamyślał się tylko starzec nad jednym z jój listów, właśnie tym, który chciał wykraść Micuś, a który pisany widać w najgwałtowniejszym przystępie gniewu, zawierał w sobie wyraźne groźby zemsty. Starzec z zamachu Micusia na ten dokument, mógł się przekonać, że żona jego żyje jeszcze, kiedy list bardzo dawno

już przedtem pisany, mógł być przedmiotem kradzieży; że jednak zła ta żona wydalając się z domu, zabrała z sobą wszelkie fundusze, jakie mu wniosła z posagiem, pozostawiając go własnej pracy i usiłowaniom, starzec przeto był spokojnym na sumieniu i niebardzo troszczył się o nią; córka za to stała mu w pamięci.

Niebardzo troszczył się o żonę, gdy był w pełni swojej działalności i pracy, ale gdy stanął niejako sam w obec siebie, widmo to zaczęło do niego powracać. Jaką może być zemsta téj kobiety, nad którą on raczej zemścić by się powinien, gdyby zemsta wchodziła w jego plany? Posiada ona może jaką z jego tajemnic, występnych? Ale on w sumieniu był spokojnym, życie jego było jasnym i otwartym, a tajemnice jego stanowiły dobre czyny. Zkąd jednak powstać mogła śmiałość téj kobiety do tego stopnia, że w owym liście groziła zemstą, napewno, zemstą jakby już dopelnioną, o której on tylko nie wie jeszcze? Nie mogąc jednak w przypuszczeniach swoich na niczem prawdopodobnym się zatrzymać, odpychał od siebie starzec myśli o złej żonie i o jéj zemście.

Pewnego razu, kiedy się przechadzał po swoim ogrodzie, przyszła do niego z koszykiem grzybów córka włościanina z wsi sąsiedniej. Była to jedna z tych dziewcząt, które ukazaniem się swoim ozywają i rozweselają. W każdej prawie wiosce znaj-

duje się jedna przynajmniej taka, która po stósowném przebraniu jój, mogłaby być zaszczytem najświetniejszych kół dziewiczych, znajduje się jeden przynajmniej kopciuszek, zmieniający się w dnie świąteczne w uroczy kwiat pól wioskowych — nadobny, czysty, hoży, uśmiechnięty, dyszący zdrowiem czystego nieba i pocziwego życia.

Starzec przechadzając się po wązkich uliczkach swego ogrodu spoglądał uważnie na obie strony, dopatrując które kwiaty świeżo się rozwinęły; jakże lubem było jego zdziwienie, gdy odwróciwszy się nagle na szmer poza sobą usłyszany, ujrzał stojącą przed nim w pełni wdzięku młodocia dziewczę. Twarzyczka jój w piękny owal zaokrąglona, oko błękitne, rumieniec jakby chcący wytrysnąć szkarłatem przez delikatne policzki, kibić lekka i wiotka, noga nawet wytworna i mała — wszystko to było kwiatem tak wspaniałym, że starzec patrzył się w dziewczę, jak mistrz w dzieło najwyższego mistrza...

Kupił grzyby, porozmawiał chwilę i z niewypowiedzianym żalem żegnał to wdzięczne zjawisko — jakież bowiem krańce dzieliły go od niej! Stała ona w niedosięgniętém oddaleniu, mógł ją tylko chwilę podziwiać, lub widzieć niekiedy zdaleka! Wszakże nie może być ani przyjacielem poufnym, ani ojcem. A jego córka — także daleko! Może już nie żyje!

To słowo—„ojciec“ wzruszało go coraz mocniej.

A może los obdarzyłby go i synem, może syn ten byłby mu zaszczytem? Może on ojciec zchodząc ze świata zchodziłby z uśmiechem szczęśliwych starców, pozostawiających na ziemi dalszy ciąg swego istnienia! Zaiste, co za rozkosz w chwilach własnego chylenia się do upadku, widzieć mocny dąb rozwijający się do życia. Boć jeżeli był w świecie *niczém*, to miał tyle jeszcze myśli i tyle pojęć, że wartoby było wpoić je w dzielnego syna. Jego *nic* było cofnięciem się w samego siebie i to samo nic mogłoby stać się obfitém nasieniem dla serca, któreby się o niego oparło. Pozostawienie spadkobiercy jego ducha, przelanie własnej miłości kraju, cnoty, nauki w syna byłoby także czynem...

Myśli jednak takie kończyć się musiały wstępnieniem. Co się stało, nie mogło już być naprawioném. Zła żona zburzyła cały gmach nadziei, które teraz nawet przy schyłku życia starca, stanęły przed nim, lecz już nie jako nadzieje, tylko jako widoki błogie, zgruchotane nazawsze życiem, co już minęło, co uczyniło starca samotnikiem.

Pocieszał się więc w swojej samotności starzec tem, że w braku dzieci własnych w braku własnego syna, starał się przelewać swoje pojęcia w młodych przyjaciół, którzy go niekiedy nawiedzali a w liczbie których był i Stanisław.

Ostatnią zaś ucieczką przed takimi własnymi

myślami, które go jednak coraz gęściej prześladowały, było czytanie, bez którego obejść się nie mógł i radosne napawanie się każdym szczegółem ziemi rodzinnej. Miłość jego dla swoich pól i łąk, dla skromnych kwiatów, niw zbożem się kołyszących, była, jakieśmy to na początku téj powieści widzieli, tyle silną, że na widok jaśniejącego słońca, kwiatu, gwiazdy, starzec wpadał w pewnego rodzaju ekstazę poetyczną.

Tak to upływało i dogasało życie wielkiego umysłu i serca. Krąg jego działalności był tak ściśle ograniczonym, że już musiał żyć tylko myślą. Nigdzie zaś, u schyłku życia, w obczyznę wyruszyć nie chciał, bo miłość wszystkiego co swoje, była najsilniejszym jego uczuciem. Téj nic opanować nie mogło. Gdyby musiał żyć zdala od swéj ziemi, wpadłby w obłąkanie. Szczytny jego umysł, zatrzymany w porywach rozleglejszego obywatelskiego życia, musiał się koniecznie czemś zadowolić do szczytności. Jeżeli kochał, to kochał swój kąt biedny, bez granic i nie było na świecie żadnej potęgi, któraby zdolną była rozłączyć go dobrowolnie z jego schronieniem. Miłość była jedyném, ostatniém polem, na którym rozległa skala jego ducha mogła się utrzymać; chciał przeto umrzeć mając przed oczami skromne chaty, z sercem pełnym jak święte naczynie, w którym gore ku niebu wielki ogień ofiarny.

Pewnego dnia, rano, po śniadaniu, kiedy się starzec jak zwykle zabrał do czytania, przybył do niego pewien nieznajomy. Pomimo, że się starzec zdziwił téj wizycie, przyjął go jednak ochoczo i uprzejmie.

Nieznajomy przyjechał z miasteczka pocztą, co zdawało się dowodzić, że z blizkich nie pochodzi okolic. Wiek jego nie przenosił lat czterdziestu pięciu. Twarz miał dosyć łagodną i rozsądną, czoło zarysowane regularnie i choć rzadkim pokryte włosem, ale nie łyse jeszcze. Oczy były żywe, jakby pragnące przedrzeć się w głąb istoty tego, na którego spoglądały. Nie nosił ani wąsów, ani bokobrodów, zawsze ogolony starannie. Gdyby nie żywy i jasny wyraz jego oczu, można by mniemać że człowiek ten wiele cierpiał, bo na twarzy było kilka rysów, świadczących o przebytych walkach duszy. Jakkolwiek twarz ta i ruchy jego nie obiecywały w nim człowieka o potężnych zarysach charakteru, można, jednak było wnosić, że go posiada i że to człowiek uczciwy. Takie przynajmniej uczynił wrażenie na starcu. Starzec, było to widoczném, równie się podobał przybyłemu. Kiedy już usiedli przy sobie, gość jakby tlómacząc się ze swego niespodziewanego przybycia, rzekł do Starca:

— Przypadek, bardzo zresztą dla mnie szczęśliwy, zdarzył, że wiadome mi są niektóre okoliczności pańskiego życia.

— Życie moje tak jest ubogiem w wypadki zajmujące, że doprawdy nie domyślałam się, coby mogło zwrócić na siebie uwagę postronnych, odpowiedział starzec z pewnym nieukontentowaniem, gdyż zdawało mu się przeczuwać w przybyłym jakiegoś deputata od instytucji, której w pomoc przyszedł.

— O, jeżelibyśmy mówili o tém właśnie, co mogłoby na siebie zwrócić uwagę postronnych, to moje słowa byłyby dziwnie naiwnemi w obec wdzięczności ogółu, który rozglasza prawdziwie obywatelskie czyny pana. Nie, wcale nie to miałem na myśli; mówię tu o okolicznościach najbliższych domowego pańskiego życia.

— O tém więc? odpowiedział starzec z podziwieniem. Dobrze, ale o jakich okolicznościach—dawnego czy terażniejszego bytu? Bo jeżeli masz pan na myśli stan mój dzisiejszy...

— Przybycie moje ma styczność z dawniejszemi i terażniejszymi wypadkami pańskiego bytu, wypadkami, o których może pan nie wie jeszcze.

Ostatnie słowa przybyły wymówił tonem tak łagodnym i trwożnym, że starzec spojrział na niego z dziwnym niepokojem.

— O których nie wiem jeszcze? powtórzył.

— Tak mi się zdaje przynajmniej.

— Cóż więc jest takiego i kim pan jesteś w obec rzeczy, o których mówić chcesz ze mną? Przyzna

pan, że zjawienie się pańskie i taka zapowiedź upoważnia mnie do żywego zapytania.

— Kim jestem? odpowiedział gość spokojnie— jestem panu życzliwym.

— To mało, bo dziwiłbym się, gdybyś pan był mi nieprzyjaznym.

— A jednak mógłbym łatwo nim zostać.

— Czym panu co złego uczynił?

— Bynajmniej, ale pan ma—żonę...

— A! to więc pana tu sprowadza? Czegóż może chcieć odemnie po kilkunastu latach rozłączenia?

— Panie, są kobiety, które nigdy uraz nie zapominają.

— Ma więc do mnie urazę.

— I żywą, niepokonaną.

— A między mną i tą urazą, czém pan jesteś, powtarzam?

— Życzliwym, raz jeszcze powtórzę z kolei.

Starzec spojrział mówiącemu w oczy; oczy te były jasne i rzeczywiście życzliwe.

— Ośmnaście lat upłynęło od chwili naszego rozłączenia się, mówił powoli i z niejakiem zadumaniem starzec. Wtem przyszło mu na myśl to, o czém już oddawna i uporczywie myślał, przyszły mu na myśl dzieci, niby jakieś gwiazdy idealne, oświecające pośepność jego wspomnień. Czynne życie już minęło, ale córka, którą pozwoił wydrzeć sobie—mogłaby otworzyć nową erę jego życia.

— Czy samą jest moja żona? Znasz pan ją dawno? Czy nie ma córki.

— Znam ją od lat dwóch dopiero. Pańska żona nie jest samą—ma potomstwo.

— Moje? czy moje! zawołał starzec podnosząc się i znowu siadając.

— Tak, niewątpliwie są to dzieci pana.

— Pan mi to zaręczasz? Pan mówisz, dzieci? Wiem o jednej córce.

— Przysięgam, a gdy będzie potrzeba, złożę na to dowody, że i druga córka jest dzieckiem pana.

— Więc ja mam dzieci! Panie, zważaj z kogo byś żartował; jeżeli działasz z polecenia żony, jeżeli to jakiś podstęp... Ale to być nie może, abys pan wprowadzał mnie w błąd dla igraszki..

To mówiąc starzec z trudnością oddychał, a początkową bladeść wzruszenia na jego twarzy zastąpił gwałtowny gorączkowy rumieniec.

— Więc ja mam dzieci! powtarzał... Ale panie, mówisz że jestem ojcem więcej niż jednego dziecka. Przyznaj pan, że dziwnie jesteś życzliwym... Wytlómacz się... wszakże widzisz moje wzruszenie, nie staram się go ukryć.

— Mówię do pana czystą prawdę. Wytlómaczyć się, najłatwiej: pan jesteś ojcem dwóch córek, z których jedna urodziła się w ośm miesięcy po

odjeździe żony od pana, a drugą pan znałeś dzie-
cięciem.

— Panie, musi być prawdą to co mówisz, jesteś dla mnie drogim niebieskim zwiastunem. Jest to radość o której marzyłem, nie mając nadziei aby takie marzenia ziścić się mogły. Więc mów mi prędzej, drogi mój panie, czy wiedzą te dzieci o swoim o, cu?

Oczy starca zdawały się rzucać promienie.

— Dzieci pana, odpowiedział gość, były...

— Jaktol były? na cóż ten okropny czas przeszły? Może więc już nie żyją? zawołał starzec znowu bledniejąc i chwytając gościa za rękę.

— Czyż wyraziłem się słowem: były? rzekł prędko zmięszany trwogą ojca nieznajomy. Pan jesteś ojcem dwóch córek.

— Ale te córki żyją przecież.

— O jednej wiem niewątpliwie, że żyje; druga — żyje zapewne...

— Czemuż taka niepewność?

— Ponieważ ta druga nie jest przy matce.

— A cóż się z nią stało?

— Nie wspominajmy o tém, nie wiem tego bliżej.

— Ach! panie, gdybyś mógł mi prawdę powiedzieć! Tą niepewnością trujesz radość, jakiej doświadczam z powodu pańskiego odkrycia.

— Jako warunek dalszych moich objaśnień kładę to, że nie będziemy wspominać o drugiej córce.

Co do niéj bowiem nic objaśnić nie mogę, a co do pierwszej, mogę dać nietylko objaśnienia, ale i coś więcej.

— Słowami swemi grasz pan na mojem sercu i w tony błogości i zgrozy. Miejże litość nad sercem ojca. Jeżeli się ciebie panie pytam, to pytam się o życie mojego dziecka!

— Wkrótce będziesz pan mógł zobaczyć swoje dziecko.

— Zobaczyć — i tylko jedno!

— Jak nateraz, jedno...

— A później?..

— Nie wiem...

— Gdzież więc jest to jedno dziecko?

— Umiem pojąć pańskie wzruszenie i współczuję panu, ale przytem pewny jestem, że nie zegnie ono hartu człowieka, co dał tyle dowodów zwycięstwa nad sobą i nad wszelkimi temi požądaniem, dla których ludzie gotowi odważyć się na wszystko. Panie, przestań mnie zapytywać.

— Ha, może i słuszném jest to, co slysze, ale zapominasz pan, że nie starałem się dotąd odnieść zwycięstwa nad uczuciami ojca!..

To rzekłszy starzec, zamyślił się, jakby z trwogą nad tem, czy powiedział prawdę...

— Przybyłem tu właśnie dla tego, abyś je pan zaspokoił; czynię to co mogę. Nie mogąc wrócić panu dwóch córek, wrócę jedną przynajmniej.

— Gdybym był poetą, nazwałbym pana aniołem zwiastunem, który w jedném ręku trzyma zielony wieniec radości i nadziei a z drugiej ciska okropne strzały smutku. Bierzmy więc to, co możemy; spotkajmy najprzód obraz radosny i nie pytajmy, co się kryje po za nim. Panie, spełnij swoje słowo i daj mi oglądać córkę... Ale być może, nie ma jój w tych stronach; zapewne przynosi mi pan tylko wiadomość o jój istnieniu, o tém że żyje?

— Przeciwnie, córka pańska znajduje się niedaleko i czeka ojca.

— Co za chwila błogosławiona! śpieszmy!

— Jam gotów.

Starzec nie pytał o więcej, zabrał się natychmiast do drogi, w którą się udali po śniadaniu. Radość i niecierpliwość nowego ojca wzbierały ciągle jak dwa prądy fal, zagłuszających się wzajemnie.

— Musi być piękną? prawda, że jest piękną i łagodną jak anioł? A zresztą jakąbykolwiek była, dla mnie będzie lubą i jasną jak zorza poranna. Cóżby dla mnie znaczyło, gdyby nawet była brzydka! Czyż spojrzalbym na nią z mniejszą radością? Chyba dla ludzi, dla obcych czynić to może różnicę — lecz co mnie obcy obchodzą? Tak, ależ znowu dla czego nie miałyby być piękną? Istotnie byłoby dla mnie pochlebném widzieć w córce kwiat piękna, górujący po nad innemi. Prędzójby znalazła męża, mąż więcej by ją kochał... ubóstwiałby ją.

Bo jeżeli ludzie kochają czasem do wysokiego stopnia dobroć samą bez piękności, to jakąż musi być miłość dla dobroci i piękności razem! Ale znowu jeżeli jest zarówno dobra jak piękna, to świat będzie się starał pochwycić ją, odebrać ojeu. Co to za plątanina życzeń i oczekiwań!.. Może mieć teraz blisko lat ośmnastu, jest więc w pełni młodości; może ją kto już upodobał sobie? Być może, ta radość moja pogrzebem jest samój siebie? Może przywitam córkę dla tego, abym się z nią pożegnał, nie prawdaż panie?

Starzec mówił to głosem drżącym, to mocnym, to cichym jak westchnienie; raz zwracał oczy na swego towarzysza a drugi raz powierzał swoje pytania i wykrzykniki przestrzeniom, które mijali i które jakby chciał wyprzedzić myślą... Na ostateczne zapytanie, zwrócone do towarzysza podróży, ten nic nie odpowiedział; schylił tylko głowę z jakimś tajemniczym półuśmiechem. Starzec nie słysząc odpowiedzi, ciągnął dalej swoje myśli w tym samym co pierwój sposobie:

— Za wolno jedziemy; konie nakarmione pewno nie dobrze albo... one być może nigdy nie pędziły prędej? Ale cóż, to są mierzynki, dwa poczciwe mierzynki i miernie też pojmują swoje przeznaczenie dzisiejsze. Przywykłe do spokoju i miary, nie mogą przekroczyć jej w obec moich niezmiernych oczekiwań. Nędzne szkapki, wiedzcież kogo nie-

siecie i do kogo przynieść macie starca... Szkoda, że nie zostawiliśmy koni pocztowych, któremi pan przyjechałeś; pocztowe konie przyzwyczajone do pędu; to konie zespolone często z najwalmniejszymi przedmiotami życia. Niosą jak na skrzydłach, podróżników, kochanków, umierających; unoszą nie raz tych, którzy z sobą znowu unoszą całe szczęście rodzin; przynoszą również wieści szczęścia tam, gdzie ich już nie oczekiwano, jak mnie na przykład. Śmierć, życie, naigrawanie się losu, niespodziane ciosy, uśmiechy fortuny, zwyciężonych lub zwycięzców, wielkie rezultaty rachub ludzkich, lekarzy mających wyrokować o śmierci lub zdrowiu — wszystko to noszą bieguny, często chude jak wioły, ale zawsze szybkie, jak chęć uraczonego pieniądza pocztyljona. Wyciągają na wiatr szyję, świszczą im grzywa, przyskają błotem kałuży jak młyny miotane ręką huraganu, lub zioną chmury śniegu jak srebrzyste kurzawy idealnych kalwakad powietrznych... Pocztyljon podnosi rękę jak laskę magiczną, jego pośpiech jest tajemniczym, wzbudzającym dreszcze... trąbka gra, lasy rozlegają się echem, wszystko żyje, myśl pędzi, wóz pędzi, świat wiruje w około — serce zapomina odległości... Tak, trzeba mi teraz biegunów, albo pary nawet, lokomotywy... ale nie moich mierzynków! Zresztą ani moje mierzyny, ani bieguny pocztowe, ani lokomotywa, nie zadowolniłyby mnie teraz. Panie, czy daleko jeszcze? <http://rcin.org.pl>

— Bardzo już blisko.

— Dokądże? bo zapomniałem nawet zapytać, gdzie mnie czeka córka.

— Do miasteczka.

— Które już widać!

— Tam jest córka.

Po upływie pół-godziny, mierzynki starca przyniosły jadących do miasteczka. Nieznajomy towarzysz starca kazał się zatrzymać przed drzwiami domu zajezdnego. Turkot zatrzymującej się bryczki wywiódł przed się dwie kobiety. Jedna z nich była już w wieku poważnym, druga wyglądała na dwudziestoletnią. Starsza patrzyła na starca okiem badawczém, ciekawém lecz zimném; młoda przejęta wzruszeniem, z rękami podniesionemi cokolwiek, jakby gotowa do poskoku, do lotu... Piękność, młodość i wzruszenie otaczały ją urokiem niewypowiedzianym.

— Pobiegnę, pomogę ojcu wysiąść, szepnęła drżąca panienka do stariej damy.

— Stój tu, zaczekaj, rzekła tamta; nie znalazł ojca wcale, po co więc tyle zapału.

Tymczasem starzec spojrział na dziewczę, nim wysiadł i zdawał się być mocno zdumionym.

— Co za podobieństwo, co za podobieństwo! mówił sam do siebie.

Starcowi przydała się pomoc przy wysiadaniu z bryczki. Spostrzegłszy dziewczę, patrzące w nie-

go z trudnym do opisania wyrazem, zdawał się tracić siły; dwakroć stawiał nogę na stopień i dwakroć mu ona opadała, tak że tylko przy pomocy swego towarzysza wydostał się z bryczki i szedł chwiejnym krokiem naprzeciw cudnego zjawiska milczący, uroczysty. Nie pytał się, czy dziewczica ta jest jego córką, jej wyraz zapewniał go o tém. I ona wreszcie nie zdołała dłużej wytrzymać pomimo rozkazu jój wartownicy — zerwała się nagle z miejsca, jasna i biała jak łabędź i pobiegła ku starcowi. Nieznajomy schylił głowę. Ojciec trzymał w objęciach swoje dziecię.

Po chwili wszyscy weszli do oddzielnej izby zajazdu.

Pierwsze przywitania jakoby wniebowziętego starca, radość, miłość, jakie okazywał znalezionej w tak niespodziewany sposób córce, zdawały się dziwić i gniewać starszą osobę, krórażmży widzieli. Była to posłana przez matkę dziewczicy towarzyszką, dla tego że jednej panienki, dla niej samój i dla świata, nie można było puszczać w drogę tylko z mężczyzną. Zdziwienie to pochodziło z tego, że podług opowiadań i zapewnień żony starca, miał on być przedstawicielem wszystkiego co tylko jest najokropniejszego na świecie. Nie przyznawała mu ani moralności, ani przyzwoitości nawet, mówiąc że język jego jest rozwiązłym i depreczującym wszelkie względy płci lub wiekowi należne. Przeciwnie

córka, chociaż tak samo usposobiona, poddała się odrazu swoim uczuciom i pomimo żywości swego usposobienia, ciągle jeszcze nie mogła osuszyć oczu od łez radości. To zaś, co gniewna żona nazywała nieprzyzwoitością w swoim mężu, mogło się tak niekiedy wprawdzie nazywać, ale w jakimże poziomie i ograniczonem pojęciu rzeczy! Starzec we wszystkiém przechodził zwykłą skalę form utartych; tak samo więc, gdy mu się zdarzyło natrafić na przedmiot, który go poruszył, ożywił lub podniósł, poddawał się chętnie prądowi myśli obudzonych i przekraczał te granice, które podług wymagań surowych krytyki obyczajowej, są koniecznymi. Jakążby więc zgrozą przejęło się serce matki dziewczęcia, gdyby była świadkiem uwag i wykrzykników starca, gdy siedząc na sofie i napawając się widokiem swojego dziecka mówił jakby do wszystkich i jakby do nikogo:

— Przywitałem nareszcie cudzek, rosnący zdala odemnie, a jednak mój własny; radośnie spojrział na mnie! To szczęście olśniewa mnie, gdybym był bardziej stary i osłabiony, ten grom szczęścia mógłby mnie zabić. Dobrze się stało, że mam jeszcze dosyć siły do zniesienia takiego gromu. Zaiste słońce może niekiedy czaszkę przepalić, a gdyby komu przyszło na myśl zadać śmierć człowiekowi zasypując go górą kwiatów, musiałby pod nią wyzionać ducha. Tak samo ja patrząc na skarb, o któ-

rym tylko marzyłem smutno i który nagle się staje moją własnością, gotów jestem bać się o moje życie. Wyraźnie niepodobna mi się teraz poruszyć z miejsca od szczęścia. Ten kątek sofy wydaje mi się w pół tronem, w pół zaś łóżem madejowém. Gdyby mi kto teraz chciał odebrać ten mój skarb, gdyby ona chciała uciec odemnie, czuję że biegłbym za nią jak młodzieniec; ale kiedy ją widzę przed sobą uśmiechniętą, patrzącą na mnie od chwili do chwili, jako na ojca, na ojca miłego dla niej, staje się bezwładnym, niepodobna mi otrząsnąć się z tego bezsilnego tryumfu. Co za zjawiska w sercu człowieka!.. Lekka postać tego dziecka zaćmiewa wszystko inne. Nie mogę myśleć o niczém inném bo nie chcę, ale czuję także, iż nie mógłbym pochwycić myślą żadnego innego przedmiotu, gdybym chciał nawet. Biegaj że, śmiej się, klaszcz w ręce miła ptaszyno mojej starości! Twoje oczy, twoje czoło, twoje włosy, twoje ręce, są dla mnie ogromnemi przedmiotami do myślenia. O każdym szczególe, który widzę na tém dziecku, mógłbym marzyć bez granic. W każdym jój ruchu nowość dla mnie, jakaś nad wyraz przedziwna! Cóż państwo patrzycie na mnie, jak na pomięszanego? Gdybyście mieli taką córkę, mówilibyście tak samo jak i ja teraz. Jestem jak instrument który gra, bo grać musi pod uderzeniem mistrza. Jój widok jest mistrzem który uderza. Śpiewam bo mi dobrze, bo

już nie boję się śmierci samotnej. Ona przyjdzie i oczy mi zamknie. Cóż chcecie, po raz pierwszy w życiu zasiadam do tak wielkiej uczyty. Gotów jestem teraz stać się krawcem lub szwaczką dla mojej córeczki. Chciałbym, aby żadna fałdka niedokładna nie psuła jej kibici. Jej pończoszka i trzewiczek są dla mnie rzeczami wielkiej wagi. Chciałbym ażeby mąż przyjął ją odemnie jako coś niesłychanego w dziejach piękna. Chciałbym, ażeby dziecię moje kochało swego ojca, jak niemowlę swoją piastunkę. Dziwne chęci, lecz chciałbym ażeby teraz dopiero rozpoczął się cały szereg pieśczot, które się mu odemnie należały. Rzecz niemożliwa i dla tego bardziej pożądana. Serce moje jest jak wulkan, który w jednej godzinie chce wynagrodzić ośmnaście lat uspienia!.. Dziecko ośmnastolatnie chciałbym widzieć w każdym z jego lat minionych — jestem skąpcem, któremu wydarto należne procenta od skarbu. Moja dziewczyna jest kochanką swojego ojca..

Towarzyszka panienki, która przez cały czas tego monologu starca patrzyła na niego jak na pomięzanego, przy ostatniem jego słowie wytrzeszczyła oczy i o mało co ręk nie załamała.

— Przepraszam że się ośmiele, ale są rzeczy... mówiła z przekąsem.

— Których i ojcu mówić nie wolno—nieprawdaż?

odpowiedział starzec, który spostrzegł ruch jój rozpaczliwy.

— Ależ proszę pana, córka pańska nie może być kochanką pana.

Starzec rozśmiał się bez przymusu; dziewczę patrzyło w ziemię bojąc się obrazić ojca i swoją towarzyszkę a właściwie nie wiedząc o co chodzi; towarzysz zaś podróży podszedł do oburzonej opiekunki i tonem wyrzutu powiedział:

— Po co to wtrącać się do rzeczy, których się nie rozumie.

— Jakto, ja nie rozumiem tych rzeczy? A któż je może rozumieć?

— Wszak pani nie byłaś matką, jak mi się zdaje.

— To nic nie znaczy.

— To znaczy, że pani nie możesz zrozumieć uniesień ojcowskich, bo lata panieństwa, choć długie, nic pani nie nauczyły.

Skromna towarzyszka Florentyny, takie bowiem miała imie córka starca, obraziła się ognście tym ostatnim docinkiem; widząc jednak, że wszystkie trzy osoby znajdujące się w pokoju, zwrócić się przeciwko niej gotowe, umilkła i tylko odgłos wydawany przez jój nadęte usta a podobny do cmoktania lub sykania, dowodził że miała ochotę kogoś ukąsić.

Tak przeszedł czas aż do późnego wieczora. Cho-

ciaż starcowi od chwili do chwili, pomimo radości jakiej się oddawał, przychodziły na myśl inne obrazy posepniejsze, starał się jednak usuwać je z przed siebie, albo raczej milczyć o nich, oddając się z dziwnie wygórowanym zapałem uciechom z widoku odnalezionój córki. Obrazami temi były—żona, jój cele, jój zamiary dalsze względem dziecka i tajemnicza zasłona kryjąca przed nim drugą jego córkę.

Domyśla się czytelnik, że starzec proponował, po przybyciu do miasteczka, tym którzy mu dziecko przywieźli, aby wszyscy zjechali do jego dworku i pozwolili mu tam swobodnie się cieszyć; ale inne widać mając polecenia, opiekunowie oświadczyli, że będą musieli wkrótce powrócić i wzięść z sobą pannę Florentynę, o którą matka jój bardzo by była niespokojną.

Starzec zamilkł i posmutniał, bo nie miał prawa dopominać się teraz dziecięcia, którym się nie opiekował przez lat kilkanaście, bo już przeczuwał że radość jego będzie o tyle krótkotrwałą o ile była niespodzianą. To samo również było przyczyną, że wszyscy oni pozostali w domu zajezdnym i dla tego może starzec wpadał w owe długie monologi, jakby pragnąc uświęcić ten akt uroczysty odzyskania córki pewnym rodzajem modlitwy do ukochanego przedmiotu. Gadatliwość jego objawiała się jakby w akkordach nagle zmartwychwstałej i długo uspionój radości... po za którą czekała ciemna nie-

pewność... Był gadatliwym chcąc odpędzić przykre przeczucia i zwątpienia.. i owo *podobieństwo*, które go przy spotkaniu uderzyło...

Nareszcie rozstano się na nocleg. Starzec nie spał noc całą, zanadto był poruszonym. Z upragnieniem dnia wyglądał, postanawiając dowiedzieć się o wszystkiém, co przed nim ukrywano. Nie pojmował także, co gra za rolę ów jegomość towarzyszący Florentynie. W ciągu bezsennéj nocy przypomniał sobie, że kilka razy towarzysza jego córki, jakby zabierała się do uroczystéj przemowy i że za każdym takim razem jegomość ów wstrzymywał ją mimicznym zakazem. Z upragnieniem przeto wyglądał ranka.

Zeszli się znowu wszyscy przy herbacie. Starzec nie mógł przyjąć pożywienia, bo go pożerały myśli, ale gdy spostrzegł, że córka jego i towarzyszące jéj osoby już się posiliły, wziął uśmiechniętą pannienkę za ramię, popatrzył na nią pełnym miłości wzrokiem i zapytał:

— Droga Florciu, teraz muszę porozmawiać z tobą. Dotąd przypatrywałem się tylko i było mi to dostateczném. Powiedz mi szczerze, czy mnie pokochałaś?

— Anim wiedziała, że mam takiego dobrego ojca,—jakżebym go kochać nie miała!

— Gdybyś była ze mną dłużej, pokochałabyś mnie więcej. Czy masz ochotę u mnie pozostać?

— Ochotę mam, ale... i przy tych słowach dziewczę opuściło oczy.

Starzec domyślił się natychmiast, że chodziło tu o matkę, więc zamilkł na chwilę i zadumał się. Rozdział między nim a żoną był tak wielki, że nawet dziecię, córka jasna i rumiana jak zorza, nie zdoła zbliżyć tych krańców! Co za skutki fatalnego połączenia dwóch osób, nie mających żadnej wspólności w pojęciach i charakterze. Nie śmiał biedny ojciec nic wspominać o matce, bo może on własny ojciec przedstawionym jój został, jako niegodziwy.

Z tego dwuznacznego położenia wybawiła starca towarzyska Florci, która uważała za stósowne zacząć swoją rolę.

— Florcia na żaden sposób nie mogłaby pozostać u pana, bo żona pańska uważałaby to za niewłaściwe, rzekła poważnie.

— Niech pani powie raczej, że nie mogłaby rozstać się z córką, z którą ośmnaście lat przepędziła, wtrącił nieznajomy towarzysz, łagodząc ostrość słów dozorczyńni.

Starzec schylił głowę, bo czuł, że nic przeciw temu powiedzieć nie może.

— Owszem, zdaje mi się, odparła urażona, że nie to byłoby przyczyną niezezwolenia na pozostawienie córki przy ojcu, a pan wiesz o tem najlepiej, bo wkrótce i tak Florcia u matki nie będzie.

Nieznajomy odwrócił oczy a dziewczynka się zapłoniła.

— Cóż więc sprowadziło do mnie moją córkę po to tylko, abym ją znowu utracił? objaśnijcie mnie państwo,—rzekł starzec smutnie.

— Ja koniecznie chciałam widzieć ojca choć raz w życiu, ja prosiłam mamy o to koniecznie, zawołała z rozjaśnionym wzrokiem Florentyna.

— Ty chciałaś widzieć swego ojca, dziewczynko!

— I być bardzo może, iż gdyby nie ustawiczne prośby Florci, nie przyjechalibyśmy tutaj, rzekła znowu dozorczyńni.

— I jabym nigdy może nie zobaczyła ojca.

— Nie—odparł nieznajomy—takie chęci musiałyby być spełnione, bo to są chęci święte. Taką chęć panny Florentyny, jeżeli nie matka, to ja musiałbym zaspokoić.

Starzec spoglądał na trzy otaczające go osoby, z podziwieniem.

— Widzę z tegoż wszystkiego, rzekł wreszcie, że pan jesteś bliższym mojej córki, niż ja, jój ojciec; zechciej więc objaśnić swoje stanowisko w tym przedmiocie.

— Florcia ma wkrótce wstąpić w związki małżeńskie, obwieściła miarowym głosem dozorczyńni.

— A, teraz domyślam się — pan zapewne masz być jój mężem?

— Jeżeli uzyskam zgodę na to ojca, jak uzyska-

łem już zezwolenie matki, rzekł powstając i kłaniając się przyzwoicie nieznanemu.

Panna podeszła do okna i zaczęła obrywać listki z krzaczku geranji, stojącego w donicze. Ojciec poglądał na nią jak na słońce, które zachodzi przed podróznikiem. Rzekł wreszcie.

— Ale pan uzyskałeś już i zgodę Florci?

— Panna Florentyna nie jest mi nieprzyjazną.

— Rzecz to zatem już umówiona, Florciu?

Dziewczę nie śmiało odpowiedzieć, ale odpowiedziała za nią dozorczyńni:

— Córka pańska zdała się w tym przedmiocie na matkę i jest zadowolona.

Starzec znowu zamilkł. Widział przed sobą narzeczonego w latach zanadto może dojrzałych dla takiej paniąki i pod wpływem tego wrażenia poglądał na niego od czasu do czasu badawczym okiem. Nieznajomy spostrzegł to i zrozumiał natychmiast, rzekł więc śpiesznie:

— Uważam za miły dla siebie obowiązek wyjaśnić wszystkie okoliczności mego życia i stanowiska ojcu téj, o rękę której proszę. Po to właśnie towarzyszyłem córce pańskiej; z téj jedynie przyczyny pochwyliłem sposobność poznania pana; na pierwsze bowiem oświadczenie panny Florentyny, że pragnie widzieć choć raz w życiu ojca, że inaczej nie przystąpi do ołtarza, przyłączyłem swoje prośby do prośb narzeczonej i wspólnymi siłami

wyjednaliśmy to zezwolenie od matki, to jest od żony pańskiej...

Starzec powstał, spojrział uroczyście na Florentynę a wzrok jego i ruchy były tak pełne miłości, że i córka nie mogła się oprzeć pociągowi serca; z ufnością podeszła ku ojcu i zapłakała z rozrzewnienia na jego piersiach.

— Więc to ty wydzieralaś się do mnie; położyłaś to za warunek zamężcia? Obyś była szczęśliwą!

— Będzie nią, wszystkie moje siły na to poświęcę,— rzekł nieznajomy.

Ale starzec już tych słów nie słyszał; trzymając jeszcze rękę na ramieniu Florentyny, stał z głową podniesioną, z wyrazem twarzy tragicznym, ze wzrokiem patrzącym w jakieś dziedziny bez granic i znowu potoki słów, zaczęły płynąć z jego ust, to prędkiej to zupełnie powoli i cicho... to szeptem niedosłyszonym:

— Zadają mi klęskę, w chwili najczystszej radości. Ta sama radość jest już klęską. W przeciągu dnia jednego każą mi przeżyć całe lata stracone! To co inni przenoszą przez długie koleje życia — ja, przenoszę w jednej chwili. To dzisiejsze spotkanie jest otworzeniem nieba i pierwszym stopniem w głąb jakiejś przepaści. To, czegom pragnął jako uwieńczenia życia, spełnia się i znika jak sen dziwaczny. Czy nie to czasem jest zemstą, którą mi grożono? Zaiste, skrepowano mnie i odsunięto

od wszystkiego, i zamkniętemu jakby w klatce, ukazano mi rozkosze, których tak długo pragnąłem!. I nie ma na to rady—nie można walczyć, ani z matką ani z narzeczonym. Matkę kocha ta, która mi jest dziś najdroższą na świecie, a ją samą kocha ten, który ma być jej mężem... I ja powinienbym się cieszyć z tego, że moja córka znajduje kochających a jednak — niepokoi mnie to, jest w tém coś nienaturalnego, dziwnego... Ha, nie mogę przedrzeć téj zasłony, bo może musiałbym odkryć rzeczy okropne... Zostawmy je na później.

Te ostatnie słowa mówił starzec tak cicho, że ich nikt z obecnych nie słyszał. Po chwili mówił jeszcze zwracając się do córki:

— Teraz nie możecie już dłużej ukrywać losu mojej drugiej córki—może umarła? — Milczycie — tém gorzej, szarpiecie mi serce. Pozwólcież mi uchwycić się za tę ostatnią deszczkę. Pojmijcież to pytanie ojca. Florciu, ty przynajmniej nie skłamięsz, ty zechcesz mnie pocieszyć, bo ty mnie zasłuchasz. Zjawiasz się przedemną i uciekasz. Czyż pozwolisz, abym tak został samotny? Pragnęłaś widzieć ojca, zechciejże teraz uspokoić jego obawy. Dwie was jest siostry; cóż stało się z drugą!

Dziewczę chciało odpowiedzieć, ale znak jej narzeczonego wstrzymał ją jeszcze.

— Jeżeli mnie nie wyjaśnicie, co stało się z dru-

gą córką moją, to nie oddam wam téj, którąście mi pokazali.

— Za chwilę los córki pańskiej będzie panu wiadomy, rzekł narzeczony.

— Jeżeli chowacie dla mnie pi run na później, to uderzcie nim odrazu. Czy druga córka umarła?

— Panie, gdyby umarła, byłby to zwykły chociaż okropny wypadek. Ale...

— Mówcież prędzój, chcecie mnie zmienić w tygrysa.

— Ale... powtórzył narzeczony, los córki pańskiej potrzebuje pewnych objaśnień...

— Błagam o nie, chcę je wam wydrzcć.

— Pójdźmy więc na przechadzkę, tam zaspokoję pana we wszystkiém. Pójdziemy wszyscy razem a może znajdzie się ślad córki pana.

— Ślad jój. Chodźmyż na tę okropną przechadzkę.. Prędzój, dręczycie mnie, zapominacie o względach należnych ojcu.

— Panie, względy te zmuszają nas do szanowania boleści ojca,

— Przygotowujecie mnie do jakiegoś ciosu.

Wszyscy milczeli i pochyłili głowy.

Za chwilę całe towarzystwo wyszło na przechadzkę pieszo w stronę majątności Stanisława, który po śmierci matki został jój właścicielem. Córka z dozorczynią szły przodem, starzec z narzeczonym umyślnie pozostawali w tyle, aby swobodnie rozma-

wiać. Ale starzec nagle się obrócił po za siebie. Powodem tego był turkot bryczki, która widać wcześniej i naumyślnie zamówiona, zdążyła śladem idących. Mierzynki starca parskaly ochoczo.

— Cóż znaczy ta bryczka, czy nasza przechadzka może być daleka? zapytał starzec.

— Być może, zmuszeni będziemy iść dalej, niż byśmy chcieli a w takim razie zda się bryczka i konie.

Widocznie narzeczony spodziewał się jakiegoś niezwykłego wzruszenia starca, kiedy podczas rozmów toczonych po zobaczeniu się ojca z córką, dawał kobietom znaki, aby milczały w niektórych razach. Zdawało się, że chował jakieś objaśnienie fatalne na sam koniec, że pragnął, aby starzec wysłuchał opowiadania tyżącego się żony i zameżcia córki, przed dowiedzeniem się o losie drugiego dziecka. Widząc się przeto samym w obec niespokojnego starca, zaczął mu wreszcie opowiadanie o swoich stosunkach z domem jego żony i o niej. Naturalnie, że opowiadanie to jakkolwiek dosyć sumienne, nie mogło być dostatecznie prawdziwem w ustach narzeczonego, który pragnął widocznie pozostawić na téj złej kobiecie pewne cechy dobroci i szlachetności.

Zastąpimy go więc w tém opowiadaniu i ażeby nie znudzić czytelnika, opowiedzmy sami w kilku słowach, co się stało z żoną starca po opuszczeniu jego domu.

XI.

Po rozstaniu się, zła żona postarała się najprzód o podniesienie ulokowanych na jej imię kapitałów, obiecując sobie, że prędzej czy później, mąż nędzą przyciśnięty uda się do niej z przeproszeniem i postanowiwszy odepchnąć go w takim razie. Omyliła się jednak na téj pierwszej rachubie; mąż zostawiony sam sobie, bez żadnych prawie funduszków, przywołał do życia wszystkie swoje zasoby naukowe, a że był specjalnie wykwalifikowanym, wkrótce przeto znalazł zajęcie i dostatnie środki utrzymania. Wypracował także model mostu żelaznego kratowego nowej konstrukcyi, w którym tak zręcznie połączył wymagania smaku estetycznego z trwałością budowy i oszczędnością materiału, że zjednało mu to sławę i za granicą. Wkrótce model kupiono za kilkadziesiąt tysięcy i proszono autora, aby przyjął na siebie kierownictwo robót. To było pierwszą podwaliną nowego niezależnego bytu starca dzisiejszego. Żona nic o tém nie wiedziała; jątrzył ją upór jak nazywała, złego męża. Ale świat nie był

tak skorym do podobnego obwinienia znakomitego pracownika i, jak zwykle w takich razach, mimo puszczał najważniejsze nawet oskarżenia rozdaśanej małżonki. Człowiek pojedynczy myli się często — ogół rzadko. Ogół nie depece opinji czyjéj-kolwiek na gołosłowne race gniewu jednéj lub drugiéj strony. Potrzebuje dowodów, a gdy ich nie posiada, kończy najczęściej tém, że pozostawia strony walczące *in statu quo*, nie odmawiając ani jednéj ani drugiéj swoich względów: trzyma się jednak na ostrożności i... czeka.

Ku wielkiemu swemu nieukontentowaniu, małżonka, widząc że nie może zniweczyć męża, postanowiła opuścić kraj, gdzie nie umieją cnót jój ocenić.

Wtedy los, jakby na próbę kobiecego serca i uczuć macierzyńskich, przyniósł jój to, co dla każdéj dobrej niewiasty najmilejsze stanowi nadzieje i gniewy rozbraja, przysłużył się jój potomstwem, to jest drugą córką, po upływie kilku miesięcy. To zmusiło ją do odłożenia powziętego zamiaru i do zajęcia się hodowaniem niemowlęcia. Ale wkrótce zachody te znużyły ją bardzo. Starsze dziecię, które wydało się jój piękniejszym, zostawiła przy sobie a drugie powierzyła mamce, skorzystawszy ze spotkania znajoméj kobiety z wsi niedalekiéj od dawnego mieszkania jój rodziców. Dobra kobieta otrzyma-

wszy odrazu sporą kwotę pieniędzy, szczerze zajęła się dzieckiem i wzięła je z sobą na wieś.

Tak załatwiwszy swoje interesa po upływie roku, wyjechała pani Donata za granicę ze starszą córeczką, maleńką Florcią. Fundusze jój były znaczne; myślała olśniona sporą liczbą tysięcy, że nigdy się nie wyczerpią, témbardziej, że jak sama jeszcze przed wyjazdem liczyła i jak ją zapewniali ci, którzy już mieszkali za granicą, jedne procenta od jój kapitałów będą dostatecznymi do bardzo przyzwoitego utrzymania. Pod tym względem, przyznać trzeba, zamiary jój były szczeremi, ale gdy przyszło do zastosowania, gdy po upływie lat kilku uczuła się jakby stałą mieszkanką Paryża, gdy nowe znajomości utworzyły nader liczne koło, duma popchnęła ją do nieustępowania tym, u których bywała; a ponieważ w liczbie tych osób znajdowały się damy z wyższego i bogatego towarzystwa, żony podupadłych markizów, bankierów, przedsiębiorców, musiała więc nowa ich towarzyszka bardzo się wysadzać, aby uniknąć zaćmienia. Doszła nawet do tego, że w mieście tak znaném z drożyzny, trzymała powóz i konie. Na takie wydatki nie wystarczały procenta od jój kapitałów, wychodziły więc procenta razem z kapitałem. Tymczasem Florcia rosła, kochała matkę i uczyła się pilnie, a jedynie dobrze wydanym groszem w Paryżu był ten, który obróciła matka na ukształcenie córki, bo chociaż

i ukształcenie to, bez ściśle oznaczonego kierunku, było dosyć powierzchowném, zawszeż w jedenastym już roku życia, Florentyna znała język niemiecki i angielski, prócz francuzkiego, na tyle, że mogła się bardzo płynnie rozmówić.

Tymczasem siostra jój rosła u wieśniaczki i, oprócz zdrowia i pięknej powierzchowności, co dawała sama wiejska natura, niczém nie mogła się pochwalić. Co gorsza, została na łasce wieśniaczki, bo matka w ciągu lat dziewięciu dosyłała regularnie umówioną kwotę, później nie dawała wcale znać o sobie.

Z początku zamierzała pani Donata powrócić do kraju i wziąć do siebie dziecię od mamki, ale na ten powrót właśnie zebrać się jakoś nie mogła. Sama zaś przed swoim sumieniem tłumaczyła się tém, że ojciec córkę odszuka i zajmie się jój wychowaniem, zapominając, że poleciwszy ukrywać pochodzenie dzieciny, utrudniała jój odnalezienie.

Będąc w Warszawie, dowiadywała się karmicielka po różnych miejscach, ale tam powiedziano jój że matka za granicą i że zapewne przysze później pieniądze. Pieniądze nie nadchodziły, dziewczynka rosła a wieśniaczka nie miała serca pozbywać się jój z domu, témbardziej że młode dziecię było bardzo chętném i zręczném do pracy. Dobra kobieta zanadto zwykła się z nią przez lat tyle, aby teraz puścić ją samą między ludzi. Przyjęła ją i uważała

za córkę, bo i własnych dzieci, oprócz jednego, które umarło w epoce przyjęcia przez nią na karmienie obcego dziecięcia, nie miała wcale. Poczciwe sąsiadki zazdrościły nawet samotnej wdowie tak rozgarniętego i miłego dziewczęcia, co z kolei wbijało w dumę przybraną matkę. Tym sposobem straciwszy jedną matkę w murach Paryża, odzyskała ją sierota w prostej wieśniaczce, która prócz pracy około domowej gospodarki i pacierza, niczego więcej nauczyć jej nie mogła. Powoli, pochodzenie tego dziecka tak się zatarło, że już w czasie, gdy przybył w te strony starzec, przyjaciel Stanisława, na jego prośby i kupił dworek, w którym teraz zamieszkiwał, nikt prawie nie mówił o prawdziwej matce, uważając dziewczynkę za córkę wieśniaczki. Tak upłynęło lat szesnaście, do chwili, w której—rozwinęły się jej uczucia. — Była także inna przyczyna, że wieśniaczka nie chciała pozbyć się swój wychowanki, lecz tę przyczynę chętnie stawiamy na drugim planie, wierząc w dobroć serca ludzkiego w ogóle i w poczciwość wieśniaczki w szczególności. Przyczyną tą było, że w jednym z ostatnich listów, jakby przeczuwając co złego, matka dziewczynki pisała, aby karmicielka jej, jak przedtém, tak i nadal trzymała w sekrecie przed ludźmi, że to dziecię jest jej córką, grożąc, że w przeciwnym razie pozbawi ją wynagrodzenia. Polecała karmicielce w razie zapytań, objaśniać, że to sierota, przez

biedną matkę zostawiona, jakby się wstydząc, że opuściwszy kraj z bardzo znacznemi funduszami, pozostawiła jedno dziecię na obcej opiece włościanki. Naturalnie że wstyd ten budzić mogła raczej duma niż uczucie.

Bądź co bądź, dziewczynka chowała się u wieśniaczki i uchodziła nawet za jej córkę. A jeżeli kto i domyślał się, albo z pogłoski mniemał, że to córka innéj kobiety, to cóż obchodził kogo los dziecka osoby cudzego nazwiska, osoby wcale nieznanéj i zapewne wątpliwéj reputacyi? Zresztą matka dosyłała wtedy jeszcze pieniądze,—rzecz więc bardzo zwyczajna, że dziecię karmiło się i wychowywało na wsi. Później zaś wszystko się zatarło w mgłę zapomnienia i tajemnicy, którą przez pamięć na dawniejsze zapomogi i na obiecaną w ostatnim liście sumnę, karmicielka trzymać umiała ściśle.

Teraz należałoby się zapytać, co miał za cel, w obec takiego postępowania żony starca, ów list który Micuś pragnął wykraść i który, o ile dotąd wiemy, groził zemstą mężowi? Ale czas przytoczyć treść jego, aby nam dopomógł do wyjaśnienia; list ten brzmiał jak następuje:

„Mój niegdyś mężu!

Dziwno panu zapewne, że jeszcze mogę się zniżyc pisząc do pana. Zdziwienie to byłoby za śpieszném. Nie chciałam nic nigdy od ciebie i teraz

prosić cię nie myślę. Owszem, powiadam otwarcie, że chciałabym cię widzieć żebrakiem, abyś prosząc u ludzi jałmużny, abyś mrać z głodu, przypominał o szczęściu małżeńskim, które zburzyłeś ręką tyrana i świętokradcy. Z domu poczciwego, dobrze wychowana i skromna, dostałam się w twoje szpony. Nie znając do owój chwili nic oprócz pieśczo-ty i opieki rodzicielskiej, musiałam znosić twoją niezłomną wolę. Moja uczciwość, moje łatwo wzruszające się serce, moje z tego powodu narzekania i łzy, nie znalazły w tobie współczującego męża, lecz zimnego szydercę. Nie było między nami żadnej nici połączenia, bo ludzie obcy byli dla mnie daleko przychylniejszemi. Naturalnie, że nie mogliśmy żyć razem, bo takie życie byłoby obrazą Boga, obrazą sakramentu małżeństwa. Rozstałam się z tobą, któregom nigdy znać nie była powinna. Powiedz, jeżeli umiesz, dla czego stanąłeś na mojej drodze? Gdyby nie ty, byłabym dzisiaj szanowaną matką i obywatelką. Gdyby nie ty, opływałabym w dostatki, bo posag, jaki ci wniosłam, pozwalał na najświetniejsze widoki. Gdyby nie ty, nie byłabym zmuszoną porzucać stron, które stały mi się nienawistnemi tylko przez ciebie. Gdyby nie ty, nie byłabym pozbawioną rad i wskazań doświadczonych przychylnych sąsiadów,—i gdyby nie ty, niszczycielu całego mego losu, nie traciłabym tak marnie swojej fortuny, nie znajdowałabym się

w krytycznym położeniu, nie byłabym bez opiekuna. Obcy muszą być moimi opiekunami. Cudzoziemcy lub przyjezdni z kraju, którym podoba się ulitować nademną, są jedynymi stróżami mojego losu... Tak, wtrąciłeś mnie w niedolę, ale mimo to gardzę tobą, uważam cię za niegodnego nawet do kierowania memi interesami, gdybyś chciał mnie prześlagać. Dzięki Bogu, mam jeszcze tyle, że mi na suchy kawałek chleba wystarczy. I gdyby o mnie tylko chodziło, nie widziałbyś tego listu. Ale wiedz, że zbrodnia twoja dotknęła nietylko mnie. *Najdrożsi są dotknięci mojem niepowodzeniem. Ci, którym chciałabym zduszy dopomódz, może tam teraz umierają z głodu, może giną z nędzy w zapomnieniu. Jeżeli tak jest, niech to będzie tobie karą!*

Piszę ten list dla tego tylko, abyś nie zasypiał ze swoim sumieniem, abyś nie myślał, że rozłączenie twoje nie pociągnęło żadnych za sobą skutków i nie wtrąciło tych, których los otarł się o ciebie, w przepaść niedoli. Oby przyszła kiedykolwiek chwila i twojej rozpacz, abyś nie pozbył się zupełnie uczuć człowieka dla tego tylko, by cię okropnie uderzyła i przygniotła zemsta sprawiedliwa. Ta zemsta już się gotuje. Ja zrzucam zawczasu z siebie wszelką odpowiedzialność, bo jestem tylko słabą, zgubioną przez ciebie kobietą! Tak, zemsta już się ułożyła sama, ani ja ani ty nie możemy jej powstrzymać. A jeżeli ja cierpię, cierp i ty przynaj-

mniej raz w życiu i miej serce, abyś cierpiał; miej oczy abyś widział własne nieszczęścia.

Twoja niegdyś żona.“

List ten na pierwszy zaraz rzut oka wydaje się pisanym w rozdrażnieniu. Tak było rzeczywiście. Długi téj pani tak urosły, że musiała bardzo już często przenosić nierozdzielne z niemi nieprzyjemności. Od tego czasu w ciągłych była kłopotach i zupełnie zaprzestała dosyłać pieniędzy dla córki pozostawionój w kraju. Jakkolwiek była złą i nieugiętą, była przecież matką. Zabolało ją serce, że drugie jój dziecko ginie gdzieś w zapomnieniu. Ale i w tym właśnie żalu, który powinien był wyjawić jój dobroć, raz jeszcze dowiodła, że miała serca bardzo mało a przynajmniej daleko mniej, niż gniewu i zatwardziałości. Zamiast bowiem wynagrodzić dziecięciu lata zapomnienia przynajmniej wskazaniem ojcę schronienia, ona wstydząc się swego postępuku, nie mogła się na to odważyć i wolała ciskać pioruny na męża. Gdyby na jój uwiadomienie nie zwrócił uwagi, miałyby wtedy prawo rzucać te pioruny. Ale ona myślała inaczej, z innego punktu patrzyła na ten przedmiot. Uważała męża, jako sprawcę rozłączenia się, a zatém i całej niedoli, kładła więc na karb jego i to zapomnienie, w jakie wtrąciła własne dziecię. Nie miała również tyle odwagi, aby opuszczoną córkę wziąć do siebie.

Czternasty rok jój życia, wychowanie włościańskie, prostactwo wiejskie w obec błyskotliwego wykształcenia, jakie zapewniła drugiej córce, wydało się jój skandalem, którego by przenieść nie miała siły w obec świata. Tak poświęciła jedno dziecko zupełnie i pod wpływem niejakich zgryzot sumienia napisała list wyżej przytoczony. Zemstą, która najwięcej obeszła męża, nazywała ona tę chwilę, kiedy mąż jój *dowie się o zatraconem dziecku* i dla tego pragnęła, aby nie stracił uczuć dla tém większego cierpienia przy odsłonięciu tajemnicy.

Pożałowała później, że posłała list podobny, bo po zimniejszém zbadaniu rzeczy zrozumiała, że w razie starcia, zemsta, którą grozi, powinna być rozjaśnioną i że mąż miał w ręku dowód jój złości, nieugiętości i dumy, które doprowadziły ją do zaguby własnego dziecka. Namówiła więc Micusia listownie, obiecawszy mu dobrą nagrodę, aby list ten wykradł, co jednakże, pozostało bez skutku i posłużyło nam do rozświetlenia tajemnicy.

Po pewnym przeciągu czasu fundusze jój zupełnie się wyczerpały, tak że w téj właśnie chwili, gdy Florentyna dorastała i gdy należało dom utrzymywać przyzwoicie, matka jój musiała posprzedawać kosztowniejsze rzeczy i uciekać z wykwintnego mieszkania.

Szczęściem, że charakter Florci pomimo pieśczośliwego wychowania już się zdołał zarysować. Miała

już niektóre swoje przekonania, pojmowała obowiązki. Zawsze dopytywała się o ojca, pragnęła go zobaczyć i prosiła matki o wyjaśnienia. Matka milczała, a córka z milczenia tego wysnuła domniemanie, że jakaś katastrofa oddaliła od nich ojca. Pragnęła własnymi oczami przekonać się, czy rzeczywiście jój ojciec jest tak złym człowiekiem, jak go matka niekiedy obcym opisywała.

Przyszły nareszcie dla obu kobiet te chwile fatalne, w których ludzie pytają się wzajemnie,— co jutro jeść będziemy?

Wtedy wystąpiła na pole działania Florentyna. Otrzymała ona w spuściźnie zdrowy rozsądek swojego ojca. Ujrawszy się w tak rozpacziwem położeniu, rzuciła się do lekcji i do robót damskich. Hafty wykwentne jój ręki były tak wykończone i tyle miały powodzenia, że obstalunków nie brakło. Córka tedy wybawiła matkę od zguby, a ciężar, który na siebie przyjęła, umiała tak nosić, że mógł się wydawać dla niój lekkim. Prawda, przeczuwała ona wyczerpanie się funduszków i przygotowywała się naprzód do téj swojej roli, zawsze jednak musiała niekiedy używać pewnego usiłowania, aby nie zapłakać pod nawałem pracy.

W tym to czasie prób i pracy przyjechał do Paryża z kraju daleki znajomy zrujnowanej pani. Nie był to nikt inny, jak towarzysz dzisiejszy panny Florentyny. Posiadał on bardzo znaczny i wzoro-

wo urządzony majątek postępowy, przynoszący mu znakomite dochody. Obrócił na ukształcenie się rolniczo-ekonomiczne całą swoją młodość, miał bowiem charakter tyle stały, że nie pomyślał o niczem innym dopóty, dopóki nie ujrzał dobrych owoców swojej nauki i pracy. Miał to sobie nawet za tak zwany punkt honoru, aby nie dozwolić wyprzedzić się w należytem ekonomicznem urządzeniu swego dobra byle przybyszowi, byle spekulantowi cudzoziemskiemu. Był to umysł zasad prawych, prostych; patrzył na rzeczy trzeźwo, bez marzeń, bez złudzeń. Lubił kobiety, uważał je nawet za koronę bytu domowego, ale tak znów był zamilowanym w swoich celach, że nie chciał przerywać pracy systematycznej weselnemi godami. Możeby i ożenił się dotąd, bo ochoty do tego mu nie brakło, ale zdrowo sądząc o rzeczach, trzeźwość tę zastosował i do żeniaczki. Wiedział z przykładów codziennych, jak trudno znaleźć kobietę, któraby stała się prawdziwą połową istoty mężczyzny; ażeby więc taką posiadać, trzeba było szukać, a na szukanie właśnie czasu mu brakowało. Był to człowiek, który rachował, ale rachował uczciwie, któremu trudno było co postanowić w najważniejszych sprawach życia; ale gdy raz już postanowił, szedł do celu niezachwianie. Czuł, że nie mógłby kochać kobiety jak Romeo, ale znał siebie i był przekonany, że umiałby uszanować najsubtelniejsze nawet odcienia duchowego

piękną kobiety. Był on, jedném słowem, trochę ekonomistą, trochę uczuciowym, a żaden z dwóch tych pierwiastków nie mógł odnieść nad drugim zwycięstwa. Ztąd to być może pochodziło zdrowie jego moralne i duchowe, bo obie krańcowe potęgi bytu ludzkiego pokrzepiały się wzajemnie.

Doszedłszy wreszcie rezultatów znakomitych w swoich pracach około gospodarstwa, postanowił spełnić drugie dzieło swego życia—ożenić się. Pragnął jednak poprzednio odświeżyć swój umysł i poznać świat szerszy. Był ukształconym, ale specjalność przez lat dwadzieścia przytarła w nim nabyte we wczesnej młodości nauki. W czterdziestym więc piątym roku życia, pozostawiwszy zarząd majątku w ręce rządcy, który zarazem był prawdziwym jego przyjacielem, udał się w podróż po Europie. Będąc w Paryżu, przypomniał dawną znajomość z matką Florentyny i zawiązał z nią stosunki, uderzony wdziękiem nadobnej panny. Na obczyźnie miłszą i bardziej pociągającą jest piękność rodzinna, piękność której najwytworniejsze paryżanki zaćmić nie zdołały. Starał się, aby mu pozwolono bywać w domu dwóch kobiet. Miłém swoim obejściem się zdołał to sobie wyjednać a zbadawszy stan rzeczy i oceniwszy bystrém okiem charakter poczciwej córki, rozgorzał ku niej przywiązaniem, jakiego dotąd nigdy nie uczuwał. Wtedy to powziął postanowienie ożenienia

się z Florentyną, jeżeliby ta nie odmówiła daleko posuniętemu już w latach kawalerowi.

Florentyna miłości dla niego nie uczuła, ale niepodobna jej było nie uznać w nim światłego człowieka, miłego towarzysza i dzielnego mężczyzny. I ona także pomimo darów duszy, zanadto blisko na świat już patrzyła, zanadto dotkliwie popadła w stan niedostatku, pośród potężnego nowoczesnego Babilonu, aby nie wyrobiła się w niej pewna praktyczność, która zaiste, nie ujmowała jej wdzięku, ale też i nie przedstawiała świata miłości w barwach idealno-oderwanych. Okazywała więc wiele życzliwości dla hołdującego jej podżyłego kawalera.

Tymczasem ze strony matki inne zaszły okoliczności. Skrycie, w chwilach nieobecności córki, zrujnowana dama skarżyła się płaczliwie nowemu przyjacielowi na swoje nieszczęśliwe położenie, a skarżyła się tak nieustannie, z taką rzec można zapamiętałością, że uczciwy gość nie mógł uważać tego inaczej, jak tylko za wezwanie o wsparcie. Z całą zatem delikatnością ofiarował jej w formie pożyczki kilka tysięcy franków. Pożyczka przyjęta została z wdzięcznością. Zmieniła się natychmiast postać domu. Przyjęcia pomimo szczupłości mieszkanka, wyszukiwanie nowych znajomości, teatru, przejażdżki zamiejskie i wszelkie przyjemności wielkiego miasta weszły na porządek dzienny. Floren-

tyna dziwiła się téj zmianie; matka uspokoiła ją tém, że pieniądze otrzymała z kraju, jako dawną swoją należytość od męża i wtedy to dziewczica oddała się z zapalem myśli ujrzenia kiedykolwiek ojca. W owym téż czasie otrzymała matka odpowiedź od Micusia o bezskuteczności usiłowań w wykra-
dzeniu listu, i wiadomość, że córka jój pozostawio-
na w kraju, umarła.

Śmiercią tą chciała uzbroić drugą córkę przeciw ojcu, wystawiając go jako tyrana, który gubi matkę i dzieci. Trudno było uwierzyć prostodusznemu dziecku, aby jój ojciec był tak okrutnym, témbar-
dziej że o istnieniu swojej siostry dowiedziała się dopiero teraz po raz pierwszy. Otworzyły się jój oczy cokolwiek, bo nastęczyło się jój pytanie, dla czego matka ukrywała rzecz tę tak długo? Przytém życie matki w Paryżu, strata majątku, ponowne szastanie otrzymanym teraz groszem, który uważa-
ła panienska za ostatki fortuny, zmuszały ją do my-
ślenia, że ojciec jest zapewne czémś lepszym, niż tém, czém go przedstawiano.

Wydając wzięte w tak poniżający sposób pienią-
dze, postanowiła zrujnowana pani spłacić je córką; zalecała jój przeto wszelką dla nowego przyjaciela
życzliwość i wystawiając wyjście za niego za mąż
jako szczęście, którego może nie zasługuje panien-
ka tak biedna jak ona.

Tu przyszło na myśl Florentynie, kto uczynił ją tak biedną; była jednak tyle szlachetną, że nie ośmieliła się wspomnieć o tém matce.

Po pierwszej pożyczce nastąpiła nowa. Gość chętnie przychylił się do tego żądania; starał się rośnąć we względy i łaskę u matki i u córki. Nareszcie matka pewnego dnia pomyślawszy o dziwnym tym rachunku, którego nigdy pieniądze zaspokoić nie mogła, przywołała córkę do siebie i zapytała:

— Powiedz mi Florciu, co téż ty myślisz o panu Erneście?

— Mężczyzna, którego koniecznie szanować potrzeba.

— Ja myślę to samo. Myślę przytém, że każda panna powinna by być dumną, jeżeliby się jój oświadczył...

— Dumną? a jeżeliby jój nie uszczęśliwił?

— Niepodobna, aby taki człowiek nie zdołał uszczęśliwić.

— Może pannę w swoim wieku... rzekła z uśmiechem Florentyna.

— Ja ci zaręczam, że on młodszy od wielu dzisiejszych młodzieńców. Samo zdrowie, sama dzielność, rozsądek ale nie zimny, rozsądek z uczciwością, z czułością serca. Zdaje mi się, że stara się o ciebie, czyżbyś ty tego jeszcze nie dostrzegła?

— Nie odstępuję nas, to prawda, ale myślałam, że już nie marzy o małżeństwie.

— Alboż raz napomykał ci o tém?

— Myślałam, że żartował.

— Niedoświadczona! on mówił więcej niż serjo, bo mówił prawie z uniesieniem.

— O, co do tego, do uniesień, to pan Ernest niezdolny.

— Bo jego uniesienie jest mężkiem, powstrzymaniem. Onby mówił żywiej, gdybyś ty była mu życzliwszą.

— Życzliwszą? Nikt zapewne nie jest mu życzliwszym.

— Więc go lubisz?

— Lubię bardzo. Rzadko znaleźć człowieka z tak określonym charakterem.

— Cieszy mnie taka dla niego sympatja, boś ty mu najsympatyczniejsza ze wszystkich kobiet na świecie.

— Ja — ze wszystkich na świecie?

— On cię kocha prawdziwie, on się wkrótce oświadczy...

— Nie dałam mu żadnego powodu... mówiła dziewczyna zapłonią, rozbierając w myśli swoje postępowanie.

— Życzliwość twoja była powodem. Życzliwość pięknej panny zachęca mężczyzn.

— Nawet w takim wieku?

— Nawet w stuletniej starości.

— Wszakże... stu lat on mieć nie musi...

— A widzisz — młody jest jeszcze. Przecież ty nikogo innego nie kochasz?

— Nietylko innego, ale nie kocham wcale nikogo.

— Przyjmij więc miłość tego, dla którego jesteś życzliwą.

— Dla czego mama żąda tak natarczywie? Czy już co mówił?

— On więcej niż mówił, bo złączył się z nami nierozzerwanym węzłem...

— On? Cóż to za połączenie?

— Winnyśmy mu wdzięczność.

— Cóż on uczynił dla nas?

— Wyratował nas z niedoli, z przepaści!

— To rzecz dla mnie zupełnie nowa, zawołało dziewczę blednąc.

— A jednak stało się to już dość dawno i trwa ciągle.

— Mamo, cóż to takiego?

— Wzięliśmy od niego kilkadziesiąt tysięcy złotych....

— My—ja? Wzięliśmy? nie rozumiem, pytała drżąc Florentyna...

— Poświęciłam się dla ciebie, dla twojego losu. Chciałam, ażeby ci było lepiej i przyjąłam pieniądze.

— Więc to nie nasze! Więc te stroje, to życie, te zabawy, za jego pieniędzy!

- Tak, to jego wszystko.
- Mamo, wdeptałaś nas obie w błoto!
- Nie, wdzięczność nie jest błotem.
- Więc ja mam zapłacić to sobą! Okropność!
- Pamiętaj na matkę — ostatni to środek ocaczenia.
- Żyliśmy spokojne i niezależne z mojej pracy!
- To już przeszłość—zabija nas terażniejszość... Pamiętaj, że odmową gubiąc siebie, zgubisz i matkę na opinji. Nazwą nas kobietami, czyhającemi na cudzy grosz, frymarczącemi sobą...
- Więc stoimy na progu hańby!
- Tak.
- I jedyném wyjściem z tego—małżeństwo?
- Tak. Decyduj się. W małżeństwie zginie nasz dług, ty będziesz panią. Czy się decydujesz?
- Czy może być rozważa tam, gdzie nie ma wyboru? Idę na oślepek.
- Matka cię poprowadzi.
- Matko, ja pójdę za tobą, ale dla tego tylko, że nie kocham jeszcze nikogo; gdyby serce moje było zajęte!... Okropna chwila!...
- Po tych słowach matka wyszła do drugiego pokoju a córka padłszy na krzesło, pograżyła się w rozpaczliwém dumaniu.
- Nie będziemy mówić, jak oswajała się Florentyna z nowém swoim przeznaczeniem; dosyć wspomnieć, że widząc ze strony pana Ernesta głębokie

przywiązanie, połączone z najczystszyym celem, uległa powoli temu ciężarowi i ubezwładnieniu woli własnej, przygotowanemu przez matkę. Pan Ernest umiał tak delikatnie unikać najmniejszej wzmianki o przyniesionej przez niego pomocy i tak wiele zdawał się dbać o nieprzymuszone postanowienie Florentyny; że ta zwykła się ze swoim położeniem, okazywała mu życzliwość z serca i z rozpodgoną twarzą przyjęła oświadczenie się tego człowieka o jej rękę. Za warunek jednak położyła to, że ślub odbędzie się w kraju, to jest po zobaczeniu się z ojcem, o błogosławieństwo którego bardzo się troszczyła, jakby obawiając się, aby błogosławiąca ręka samej tylko matki, nie sprowadziła na nią nieszczęścia. Od rozmowy, którąśmy powyżej słyszeli, bała się matki. Pragnęła także Florentyna pomodlić się na grobie siostry, której nigdy nie znała.

Umiał uszanować te uczucia pan Ernest i chcąc przyspieszyć swoje zaślubiny, przyspieszył naturalnie przyjazd do kraju, gdzie pozostawiwszy matkę narzeczonej w swoim majątku i wzięwszy starą pannę z sąsiedztwa dla towarzystwa Florentyny, przybył, jak to widzieliśmy, do kolumny Stanisława—Starca.

Kiedy kończył opowiadanie pan Ernest *na swój sposób*, towarzystwo mijało folwark Stanisława. Pan Ernest zatrzymał się i spojrział na Starca, któ-

ry znowu patrząc przed siebie, doświadczył jakby dreszczu.

— Może teraz siądziemy na bryczkę? rzekł narzeczony.

— Dokąd zdążamy? pytał starzec ciągle patrząc przed siebie.

— Do celu naszej przechadzki.

— Celem przechadzki było wyjaśnienie mi pobytu drugiej córki. Miałem usłyszeć o tém od pana, a tymczasem mówiąc o wszystkiém, o tém zamilczałeś.

— Bo mam tam zaprowadzić pana jeszcze....

— Więc to tu, w tych miejscach? pytał starzec bledniejąc i patrząc to na córkę, to na okolicę, jaka ich otaczała. Florentyna opuściła głowę i rzekła:

— I ja także mam zobaczyć to miejsce po raz pierwszy.

Po tych słowach wszyscy milczeli. Towarzystwo siadło do bryczki a mierzynki idące dotąd stępa, ruszyły kłusem.

XII.

Stanisław po śmierci swojej matki stał się bardzo jeszcze samotnikiem. U nikogo nie bywał, nikogo u siebie nie przyjmował. Pisał tylko dwa razy do Teodora, a w listach tych wylewał tyle gorzycy, jakby nic już nie miało go w życiu pocieszyć. Nie płakał, bo miał dosyć hartu i umiał panować nad sobą, ale nie mógł oprzeć się smutkowi, który go pożerał. Po stracie osób drogich, na każdym kroku doświadczyliśmy ich braku. Stanisław utracił obie istoty, w których jedynie widział prawdę dla siebie miłość bez granic—matkę i kochankę. Teraz sąsiadowały z sobą. Każda czynność jego, każda myśl o domu, pozbawioną była światła i ciepła. Urok, otaczający zgasłe osoby, był dla niego tak mocnym, że ludzie żywi zdawali mu się czémś jałowém, zimném, nieżycziwem. Choć nigdy w życiu uniesieniom się nie poddawał, teraz czuł potrzebę jakiegoś zespolenia ducha. Radby był wyciągać ręce lub zasypiać w ciszy na łonie téj mat-

ki, z którą oprócz żartobliwej lub dowcipnej rozmowy, żadnych innych stosunków bardziej poufnych nie miał nigdy. Czuł że utracił coś tak wielkiego, że nigdy nie będzie mógł tego zastąpić. Teraz widział, że jego przywiązanie bez form i głośnych oświadczeń, było przywiązaniem głębokiem. Odczuwał, że dotąd jedna tylko była istota, która kochała go takim jakim był, która mimo jego lekko-myślność pozorną i lekceważenie, widziała w nim ideał człowieka i że ludzie nie zastąpią mu takiego słońca ożywczego. Za tym większym cieniem zgasłego szczęścia ukazywał mu się i drugi. Była to pamięć o nieszczęsnjej ofierze miłości, poruszona, jak to widzieliśmy, świeżo zaszłym wypadkiem w ogrodzie starca.

Nie będzie się teraz dziwić czytelnik, że przechadzka ku cmentarzowi, była mu najmilszą. Są rozmaite usposobienia; jedni straciwszy ukochanych, boją się miejsc, gdzie leżą ich prochy, drudzy chętnie tam podążają. Stanisław był z liczby tych ostatnich; niezawsze on wprawdzie chodził, aby grób zobaczyć, bo ten wydawał mu się czasem i jakby okropnym żywym nieprzyjacielem, co zabrał najdroższe skarby, ale nie mógł się oprzeć chęci przechadzania się przynajmniej w miejscach, gdzie te skarby ukryto.

I teraz, jeżelibyśmy chcieli zobaczyć Stanisława, musielibyśmy zdążyć za nim w stronę cmentarza.

W nasuniętym na oczy słomianym kapeluszu, z głową spuszczoną, zbliża się właśnie ku cmentarzowi, albo raczej ku cmentarzom.

Przy drodze leżały dwa cmentarze obok siebie; katolicki sąsiedował z ewangelickim. Zdawały się żyć w wielkiej zgodzie ze sobą, tak pozór ich był jednostajnym; ale podwójne wrota i uliczka, jaka się utworzyła pomiędzy dwoma parkanami, ograniczającami każdy z nich, wskazywały wyraźnie, że wrota, otwarte dla jednych, nie mogą być otwartymi dla drugich. Na Stanisława szczególniejsze wrażenie czyniła ta właśnie uliczka. Cmentarze były na wzgórzu nierównem, uliczka więc w miarę stojących na drodze wybojów lub nagłych spadzistości, szła ku górze wężykowato. Było to szczególne przejście pomiędzy dwoma przeciwnymi sobie mieszkaniami; miejsce to było smutniejszem nawet od samych cmentarzy, bo tam, co chwila nowy mieszkaniec przybywał, co chwila, żywi pozostawiali ślady po zmarłych, a w uliczce, nigdy prawie stopa ludzka nie dotykała olbrzymich chwastów i trawy, rosnących dziewiczo. Nigdy nikomu na myśl nie przychodziło, przedrzeć się przez ten niziutki las krzewów, ostów, cierni i łopianów. Nie potrzeba sobie było przypominać strasznych wrót śmierci Danta, aby pomyśleć patrząc na tę wężykowatą uliczkę: „tu nie ma nadziei!“ Było to coś podobnego do przejścia, prowadzącego w samo serce

smutku... Owe napółspróchniałe skarpy drewniane, pokryte uschłemi i świeżemi liśćmi, owe szare deski parkanów, chylące się pod krzyże, stanowiły coś podobnego do zabudowań ulicy, z których wyglądają okiem wiecznego milczenia zagrobowi mieszkańcy. Szpary między deskami, stanowiły piętra; otwory i spruchniałe wyrwy przedstawiały okna. Samotność tego miejsca, wydawała się samotnością spotęgowaną. Najobojętniejszy, jeśliby się tam znalazł, czuł że żyje, że istnieją jakieś wieszczce przepaści pomiędzy dwoma przeciwnymi krańcami życia ludzkiego. Na tym ponurym jakby moście, prowadzącym przez Letę do krain nowych, uczuwałeś się schwytanym na gorącym uczynku życia. Oglądasz się, chcesz odpowiedzi od kogoś, od czegoś,— tymczasem wszystko tu milczy razem i szydzi i ukazuje wieszczko. Dróżka ta, mająca paręset kroków, zdawała się mieć długość nieskończoną. Zdawało ci się niepodobieństwem przedrzeć się przez te grobowe zielenie. Drogę ową zamykał ogromny krzak głogu, ustrojony polnym powojem; —patrzacemu przedstawiała się ona wchodzącą w jakieś mgły ciemne. Oko nie chciało patrzeć, nie chciało rozróżniać, czy na granicy téj dróżki jest drzewo, przestrzeń, liść, powój, dokąd się tamte dy przechodzi; cofało się w połowie dróżki, powracając czémprędzej w głąb wyobraźni...

Stanisław doznawał jakiejś dziwnie pozerającej ciekawości na widok téj dróżki i nie mógł ani razu przejść mimo, aby na nią nie spojrzeć. W przechadzkach swoich dochodził zwykle do tego miejsca, zatrzymywał się na długą chwilę a potem powracał do domu. Czasem tylko podchodził do samego parkanu i przekonawszy się, że kwiaty na grobie matki rosną pięknie, szedł dalej za cmentarz zobaczyć, czy i na drugiej mogile pamiętają o kwiatkach.

W chwili, kiedy spostrzegamy Stanisława, zbliżającego się ku tym miejscom, zwrócił jego uwagę na siebie, jakiś dźwięk, podobny do głosów ludzkich. Spojrzał na cmentarze, rysujące się oba na wzgórzach—tam nie ma nikogo, wrota zamknięte. Spojrzał naokoło w pola — i tam nikogo nie widać. Była to godzina piąta po południu; słońce świeciło w całym blasku; Stanisław nie obawiał się strachów, zdziwił się jednak niemało, nie umiając odgadnąć, zkadby głos ludzki dochodził. Ani mu przyszło na myśl, aby ktokolwiek ukrywał się za cmentarzem, lub odzywał się dla figlów, gdyż tam właśnie znajdowały się groby dla samobójców, lub tych, którzy umarli bez łaski kościoła. Od czasu do czasu jednak, to jakieś słowa, to dźwięk podobny do płaczu, to jakby potrząsanie czémś metalowém, niepokoiło jego uwagę. Zaczął się pilnie przysłuchiwać—głosy te zdawały się dolatywać z miejsca, znajdującego się pośrodku dwóch cmentarzy, na owéj

tajemniczej dróżce. Popatrzył chwilę w głąb' tego posepnego zaułka śmierci i wszedł tam nie bez pewnego jednak wzruszenia. W rzeczy nadnaturalne nie wierzył, ale wierzył swoim uszom. Spojrzał—dźwięki te same, w uliczce nic nie widać... Ruszył dalej, chciałby przeniknąć gęste zarośla okiem ostrowidza, ale ciągle to samo; tylko płacz i westchnienia wydały mu się prawdziwszemi. Może to jaka zbrodnia? pomyślał, może kogo zamordowano i sądząc że już martwy, wrzucono w tę nietykaną przez niczyją stopę zieloność? Pierwszy raz uczuł dreszcz zimny i trwożę. Ścisnął konwulsyjnie laskę, którą w ręku trzymał. Ponure ściany szarych parkanów zdawały się ujmować go jak w kleszcze. Ale Stanisław nie zdołał się cofnąć. Myśli jego przytem nabrały pewnej fantastyczności. Czyżby grób jaki płakał, czyżby umarli przemawiali z pod ziemi? Zajrzał po kolei przez szpary, do jednego i drugiego cmentarza, ciągle nikogo. Posuwał się naprzód z trudnością, trawy świeże pomieszane z uschłemi lat przeszłych, tworzyły jakiś niesłychanie puszysty kobierzec, w którym stopy jego zagłębiały się za każdym krokiem, tak że trzeba je było wydostawać z pewnym usiłowaniem. Znalazł się Stanisław niby w łapce cmentarniej. Ale niepojęte odgłosy rozdrażniły go; przebył już połowę dróżki i słyszał je wyraźniej: zdawały się wychodzić z krzaku głogowego, który zamykał przejście. Dotarł wreszcie

i do tego punktu z bijącą skronią, z wyobraźnią rozognioną, z dreszczem niepewności, który się jeszcze powiększył, gdy i przy krzaku nie znalazł nikogo... Wyszedł z uliczki i zaczął patrzeć przed siebie; głos, który nie ucichał, poprowadził go w jedno miejsce... Stanisław, który brnął przez państwo cieniów, zatrzymał się nagle, sam do widma podobny. Zbladł i zachwiał się, jakby od nieznanego postrzału; wzrok jego wlepiony w jedno miejsce, miał na sobie ową błyszczącą jak dziwna maść, rozlaną po żrenicy wilgoć najwyższego wzruszenia.

W zmartwychwstanie na ziemi nie wierzył, a tymczasem o kilkanaście kroków przed sobą spostrzega postać zmartwychwstałą! Na grobie dawniej jego kochanki, na grobie, który kazał ubrać kwiatami, klęczy ona sama, piękna jak gwiazda poranna, z temi samemi oczami, z temi ustami, z tą samą kibiścią, którą tyle razy się zachwycił! Widowisko niepojęte! W pierwszej chwili potrzebował wielkiego wysilenia, aby nie paść pod gromem tego nadludzkiego zjawiska. Istoty, które już dawno znikły pod ziemią, jaśnieją wśród kwiatów mogiły, w pełni powabów i krasy, jak w dniu pierwszego westchnienia miłości! Gdyby przyszedł tu w nocy, przy tajemniczych gwiazdach, mógłby uważać ten obraz za złudzenie, za fantastyczną potęgę hallucynacji. Lecz nie—on widzi przed sobą zmarłą ko-

chankę, przy pełnym blasku słońca, z życiem kwitnącém na twarzy!

W téj jednéj chwili niewysłowionego podziwu i zachwytu, w tém jedném drgnieniu trwogi, w obec tak niepojętego obrazu, Stanisław odczuł zachwyty anielskie i trwogi piekła.

W tém jedném krótkim spojrzeniu, które rzucił na zmartwychwstałą, uczuł się zniweczonym blaskiem tak oślepiającym, jakby mu do oczu sfrunął anioł z saméj piersi słońca.

Zachwiał się i nic widzieć nie mógł; chciał krzyknąć—głos zamarł mu na ustach. Tyle naraz otoczyło go promieni, że nie mógł schwycić powietrza dla oddechu.

Stanisław—niedowiarek, był przez to mgnienie oka najzabobonniejszym z ludzi. Słyszał płacz dziewicy zmartwychwstałej,—ten płacz zagrział mu ogromnym jękiem orkanów, majestatem trąby sądnej.

Po raz pierwszy utracił przytomność w obec wielkości nadprzyrodzonych.

Zatonął w oceanie trwogi i zachwytu...

Ale zatonął tylko na chwilę. Całe to wzruszenie, cały ten zachwyt, jakiego nie jeden z ludzi nie doświadczy nigdy, trwał tylko jedną chwilę. Wola mężka odniosła tryumf nad nieokreśloną potęgą wrażenia. Stanisław otrząsnął się z pierwszego ude-

rzenia, spojrział po raz drugi w miejsce, z kąd tyle zabłysło majestatu...

Postać zmartwychwstałej nie była samą. Przedstawiła mu się bez zmiany, podobnie jak za pierwszym na nią spojrzeniem, klęcząca wśród kwiatów na swym własnym grobie, pełna żalu i pełna życia, bo znać było, że płacz tylko powstrzymuje od uśmiechu usta i oczy jaśniejące; ale obok niej dostrzegł Stanisław leżącą przy grobie, z głową opartą o nasyp mogilny, postać drugą, która ukrywając twarz w dłoniach, dawała poznać, że żyje przez łkania, wstrząsające nią gwałtownie — dostrzegł Stanisław postać znanego sobie — Starca.

Zmiarkował tedy, że w tém zjawisku mają udział ludzie. Spojrział lotnie tu i owdzie; w niejakiem oddaleniu przy drzewie, zobaczył bryczkę i parę koni, które jedząc owies trzęsły, jak to zwykle bywa, mocno głowami, dzwoniąc tym sposobem wiszącymi wolno uzdami i krakowską uprzężą. Oprócz woźnicy, dostrzegł opartego o krawędź bryczki człowieka, który z współczuciem wpatrywał się w osoby, znajdujące się przy grobie. Był to narzeczony Florentyny — pan Ernest. Stara panna siedziała w bryczce.

Teraz i czytelnik ochłonał z nadprzyrodzonego wrażenia, jeżeli go doświadczył; domyśla się zapewne, że postacią zmartwychwstałą, była siostra zmarłego dziewczęcia — Florentyna.

Ukazanie się Stanisława, zdziwiło także obecne osoby, ale w chwili gdy stracił prawie przytomność na widok dziewicy i nim przyszedł do siebie, nim spojrział po raz drugi, już ona i pan Ernest i woźnica nie patrzyli na niego, nie śmiać przerywać uroczystości, która ich tam zgromadziła.

Milczeli więc wszyscy a Stanisław nie śmiał się odezwać. Czekał i patrzył na swój obraz niewysłowiony. Pochłaniał oczami całej swojej istoty doskonale odtworzenie przedmiotu pierwszych uczuć. Uczuł w sobie radość wielką. Dotąd chodził ponury, bo widział niepodobieństwo wynagrodzenia śmierci dziewicy, co zginęła dla niego. Nic ofiarować jój nie mógł, oprócz kilku kwiatów dla grobu. Teraz przedstawił mu się jój sobowtór, żyjący, promienny, przedstawiła mu się istota, której starałby się i potrafiłby dowieść, jak i on kochać umie, po strasznój nauce losu, zrozumiałwszy, czém jest miłość prawdziwa. Czekał, jakby przed sądem ostatecznym swojego szczęścia, czy mu dozwoloném będzie powziąć nadzieję. Patrzył, jak śmiertelnik na niedościgłe wspaniałości niebieskie, na te oczy, których blask tak rozumiał, tak niegdyś uwielbiał, tak marzył o nim po jego zniknięciu za grobem! Te same u niój widzi włosy, które pieścił niegdyś i których już nigdy ujrzyć nie miał. Ciemniejsze tylko nieco i wykwintniej ułożone. Ale ten sam zarys szyi, ten sam kształt piersi niepokalanych.

Takiż kształt rąk prześlicznych, tylko że teraz widzi je bielszemi, perłowemi. Te same usta — gdyby rzekły mu słowo przebaczenia, słowo miłości! Tak, cała postać ta sama, wszystko w niej to samo, tylko jakby w niebieskim przetworze. Wszystko jeszcze delikatniejsze, wytworniejsze, prócz tylko wyrazu dobroci, który świeci tak samo, jak na licach téj co już umarła.

Już przebiegały Stanisławowi myśli o rzuceniu się do stóp tego anioła, wykwitłego wśród popiołów cmentarzy, o wyznaniach, o prośbach poufnych, o wyjaśnieniu cudownej dziewicy, czém stała się dla niego... gdy nagle został zbudzony z zachwytu w którym się pograżył.

Nic nie może trwać bez przerwy. Pan Ernest uważał za potrzebne oderwać starca od grobu córki, zbliżył się przeto i dotknął bojaźliwie jego ręki. Florentyna lzy otarła i powstała. Starzec podniósł głowę milcząc, lecz z wyrazem takim, jakby pytał, czemu go budzą do życia, czemu go odrywają od grobu, który tyle powiezieć mu powinien! Na twarzy jego malował się straszliwy dramat milczenia. Długo nie mógł się rozstać z garścią ziemi, mówiącą do niego płaczem opuszczonej córki—dziecka, które przeniosło tyle boleści! Zaledwie przy wspólnych usiłowaniach pana Ernesta i Florentyny, udało się im odprowadzić ojca do bryczki.

Starzec Stanisława nie dostrzegł; za wiele w téj chwili widział oczami duszy, zawiele mówił w nim płomienny język bólu, aby zdołał poznać kogo i przywitać.

Florentyna także mało zwracała uwagi na przybysza, który tak niespodzianie stał się świadkiem ich smutku. Odjechała, wsiadłszy do bryczki przy pomocy pana Ernesta. Stanisław widział, jakby z przerażeniem, że jój rączka perłowa utonęła w mężczyń dłoni nieznanomego, a jój oko spojrzało ku niemu ze spokojnym wyrazem porozumienia.

Chciał przemówić do Starca, chciał się czegoś dowiedzieć z tajemnicy, którą w duszy odgadywał, ale nie śmiał przerywać tego niewymownie smutnego pożegnalnego obrzędu.

Stojąc, przykuty do miejsca, patrzył na odjeżdżających, a gdy zniknęli mu z oczu, już on na grób swój lub jój nie spojrzał. Cała jego istota owładnięta obrazem, wykwitłym cudownie na tym grobie, przeniosła się do żyjącego przeobrażenia zmarłej. Z ukazaniem się Florentyny, wszystko zmarłychwstało. Chęci Stanisława wzmagały się, miały nim jak huragan. Zakłębiły się w sercu uczucia z całą siłą pobudzone do życia. Patrzył na znikającą Florentynę, jak na część siebie ulatującą w przestrzeń. Podobnym był do ptaka, który chce szybować i targa pęta przywiązujące go do miejsca.

Pośpieszył do domu, przebrał się o tyle, o ile pozwoliła mu na to pałaca niecierpliwość, kazał zaprządź do powozu najlepsze konie i popędził w ślad za starcem i jego towarzyszami. Wszak starzec, jest mu tak przychylnym, tak go lubi, myślał—jeżeli to jego krewna, znajoma, powinowata, to on będzie jego protektorem.

Stanisław, pomimo że wiele czasu upłynęło, nim do domu z cmentarza powrócił i że musiał się przebrać, przybył do dworku starca wkrótce po jego przyjeździe, ponieważ wyborne jego konie pędziły galopem. Zdziwiło Florentynę i pana Ernesta przybycie tak nagle tego, którego niedawno widzieli nieproszonego przy cmentarzu.

Starzec siedział w kącie, już prawie zaciemnionym zupełnie od zmierzchu. Głowę opuścił na pierś i ciągle milczał. Od chwili jak upadł na grób swojej córki, nie mógł wymówić ani słowa. Stanisław podszedł ku niemu.

— Nie mogłem—rzekł—wytrzymać, aby się nie dowiedzieć, co za przygoda stała się panu.

Starzec milczał i wyciągnął tylko rękę na przywitanie. Wtedy Stanisław, zmieszany nieco, zwrócił się do dwóch obecnych w pokoju, mówiąc:

— Widzę, że ciężka jakaś boleść nawiedziła dom mojego sąsiada. Korzystałem zawsze z jego względów, cieszyłem się jego przyjaźnią; sądziłem więc teraz, że przyjaźń ta daje mi prawo do przybycia tu, pomimo smutku, jaki spostrzegłem. Czy przy-

bycie moje nie jest zbyt nagłem, natrętném? Raczą państwo powiedzieć mi to szczerze, a ja natychmiast oddalę się, choć... byłoby to dla mnie trudném nad wyraz.

Głos jego przy ostatnich słowach był bardzo wzruszonym, a chociaż niepodobna było dostrzedz wyrazu jego twarzy, z powodu zapadającego zmroku, jednak i Florentyna i Ernest nie wątpili, że oczy jego pochłaniają postać dziewczicy, témbardziej że narzeczony, jeszcze przy cmentarzu, widział już dobrze zachwyty, w jaki go wprowadził jój widok.

Na takie przemówienie Stanisława, i widząc jego zakłopotanie, starzec podniósł głowę i rzekł:

— Pierwszy raz w domu moim spostrzegasz tak chłodne przyjęcie, bo po raz pierwszy uderzyło w dom ten nieszczęście, na jakie, zdawało mi się, nie zasłużyłem. A jednak...

— Niech wiem, o co chodzi.

— Lepiej abys nie wiedział.

— Czym niegodzien, czy też...

— Stanisławie, rzekł starzec głosem, w którym burzył się ogrom smutku i lekki cień wyrzutu. Kobieta, która umarła dla ciebie, która cię kochała bez granic, była moją—córką...

Stanisław oparł się o stół obok się znajdujący. Starzec rzekł jeszcze:

— Już ci więc wiadomo. Nie spodziewałem się nigdy, abym u schyłku mego życia dowiedział się tyle!

— Panie, zawołał nagle stłumionym głosem Stanisław, czyż podobna abyś mnie za to odpychał!

— Nie odpycham! To co mówię, mówi ból mój okropny...

To rzekłszy starzec głowę opuścił i już milczał ciągle. Stanisław chciał jeszcze coś mówić, ale widząc rozpacz Starca, widząc że i dwie obecne osoby poglądną na niego z pewną obawą a nawet wstrętem, uklonił się wszystkim także w milczeniu i wyszedł, chociaż tak pragnął pozostać! Ale domyślał się, że młoda osoba, tyle podobna do zmarłej córki starca, nie może być nikim innym, jak tylko jej siostrą, to jest drugą córką; nie chciał więc natręctwem swoim uzbrajać przeciw sobie tej, którą ubóstwiał, przed którą zaraz gotów był upaść na kolana.

Nie będziemy opisywać, czego doznawał Stanisław powróciwszy do domu. Przystępowały ku niemu naprzemian dwa obrazy krańcowe — okropny akt śmierci dawniej kochanki, fatalność, która sprawiła, że dla niego umarła córka człowieka ukochanego mu nad wszystkich; i z drugiej strony obraz prawdziwie niebieskiej potęgi, łączący się ściśle z tym pierwszym; — bo skutkiem wyjaśnienia śmierci dziewicy, wypłynęła niespodzianie, jakby z wiecznych przepaści, druga postać, zupełnie tamtej po-

dobna! Nie mógł więc panować nad sobą; rzucał się szalonymi kręgami myśli, z jednego krańca na drugi. A jednak nie śmiał śpieszyć do starca; ogrom jego bólu go odstraszał. Nikt go tam nie prosił; zresztą, może dla téj drugiej córki jest tylko wstrętnym, jak każdy zabójca!

Dwa dni wytrzymał, ale nie zdołał zapanować nad sobą dnia trzeciego. Pojechał do starca. Zastał jeszcze gości w jego domu. Odetchnął. Świtał mu jakiś nieokreślony promyk nadziei.

Starzec był spokojnym. Boleści mężkich charakterów obywiają się bez rzutów gwałtownych. Ból przejmował go może bardziej, niż dnia pierwszego, ale powierzchownie zdawał się być ukojonym. Przyjął Stanisława z wyrazem twarzy surowym, ale przyjaznym. Starzec bowiem, przedewszystkiem logicznie myślący, nie mógł odepchnąć młodzieńca jako ojciec, skoro go nie odepchnął już jako człowiek, gdy wiedział o całym zajściu Stanisława z biedną, jak mniemał wieśniaczką. Przytem kombinował i to, że Stanisław jeszcze córki jego nie skrzywdził, a być może i nie posunąłby się aż do tego stopnia, skoro tego nie śmiał uczynić przed samą śmiercią dziewczicy, to jest w chwili, kiedy jej miłość wzrosła do najwyższej potęgi. Nie wiedział starzec, co za dramat straszliwy odegrał się w duszy jednego dziewczęcia!

Starzec musiał także objaśnić o Stanisławie i Florentynie i jój narzeczonego, bo wyszli oboje po jego przybyciu, przywitać się z nim i ciekawie się w niego zdawali wpatrywać.

Florentyna ubraną była w suknię szarą i tém cudniej płonęła jój twarz świeża, zachwycająca.

Ale uroku tego nie ożywiał najmniejszy rys, któryby świadczył, że Stanisław jest jój przyjemnym.

Świeciły w niej te same oczy, które miała jój siostra, ale oczy te nie patrzyły na niego. Nie było żadnego między nimi porozumienia duszy, a spojrzenia, które posyłał ku jój źrenicom Stanisław, ginęły w nich jak w głębiach nieskończoności, jak w nieokreślonej przepaści lazurów.

Nie będziemy powtarzać rozmów, jakie towarzystwo toczyło między sobą. Rozmowy te były konwencjonalnemi, a w każdym razie za blahemi, abyśmy je mieli przytaczać w obec zamiarów Stanisława, pełnych wzruszeń i nadziei, nie dających się określić w żadnej mowie. Było to coś podobnego do chwywania w objęcie całego obszaru światła, jakie ujrzyć był zdolny, w chwili gdy kroczyły za nim i groziły mu przepaściami smutku nieprzejrzone ciemności.

Po obiedzie Stanisław starał się wyprowadzić starca do ogrodu i pozostać z nim samym. Florentyna i Ernest nie przeszkadzali mu w tém wcale. Poszli pod rękę w inną stronę.

Wtedy Stanisław rzekł do starca, kiedy ten usiadł na darniowej ławie:

— Drogi panie, pragnę się najprzód przekonać, czy w sercu pana jest niechęć dla mnie.

— Niechęci nawet i nie było. Był żal, ale i ten zgasł teraz. Pozostał tylko ból jeden.

— Tak panie, jam nie skrzywdził tamtęj nieszczęśliwój.

— Skrzywdziła ją fatalność, którą jednak—jako mężczyzna, ja powinienem był przewidzieć...

— Pojmuję boleść ojca, pojmuję i swoje okropne stanowisko... Otóż dziś, jeżeli można, pragnę to wszystko wynagrodzić.

— Wynagrodzić? Bóg sam tego nie uczyni, bo nie wskrzesza...

— Więc jeżeli nie wynagrodzić, to uczynić wszystko, co będzie w mojej mocy, aby dać poznać, że umiem kochać, aby choć w części osłodzić ojcowskie cierpienia. Panie mój, przyjacielu, bo pozwoliłeś nazywać się tém imieniem, daj mi tę drugą córkę w zameście. Ona jest zupełnie podobną do tamtęj. Były to dwa kwiaty jednakowo stworzone. Jeden niebo wzięło sobie; pozwól mi błagać o drugi. Tamten pierwszy nauczył mnie, czém jest miłość,— ten więc drugi, jego sobowtór otoczę wszystkiém, na co starczy mój zasób duchowy. Wejdzie do mego domu i rozjaśni ciemność, którą pozostawiła w nim śmierć tamtęj. Panie, nie pozbawiaj mnie

tęj ostatniej nadziei. Nikomu nie mówiłem, dlaczego nie żenię się, pomimo ciągle zdarzających się partji; nie mówiłem nawet matce, lecz czyniłem to dla tego, że wstyd mi było przyznawać się, że nie umiał ocenić bezgranicznej, niebieskiej miłości, która po mojem tragicznem zgaśnięciu, nie pozwoliła mi już kochać innej kobiety. Tamta miłość wszystkie inne wdzięki zasłoniła sobą. Panu powiem tylko, że od owej okropnej chwili zdumniałem; będąc kochanym od anioła, nie chciałem patrzeć na poziome zabiegi. Ważność uczuć wyrosła w oczach moich niesłychanie. Chodziłem więc zimny, zamknięty w sobie i otwarty tylko dla przyjaciół. Patrzyłem na świat, jako na smutne wygnanie, z którego dla tego jedynie sam nie zszedłem, że ciekawem mi było bicie mego serca w dalszych latach. Kiedy się już uważałem za pozbawionego uroków i zachwyków, panie, zechciej uważać panie,—kobieta, owa wieszczą postać, co dla mnie umarła, zmartwychwstaje!... Zmartwychwstaje na jawie, w moich oczach, promieniejąca! Panie, pojmij moje uniesienie, pojmij burze serca. Serce powstało ze wszystkimi zachwykami i nadziejami. Serce odżyło chcąc we wszystkiém tém, czego dawniej nie czuło, wygórować dzisiaj. Wiesz panie lepiej, niż kto inny, że nieokreślone cele, że wołania duszy i zachwyty młodości, są właśnie rozstrzeloną miłością, którą kobieta zgarnia ku sobie. W po-

łączeniu z taką kobietą wypełniamy całkowicie próżnie życia. Nie wierzę w udział władz nadprzyrodzonych w świecie przyrodzonym, ale zjawienie się siostry tamtej ukochanej tak jest cudowném, dla mnie tak nieopisanie szczytném, że odepchnąć mnie od niej, byłoby to spełnić występki. Uważam tę drugą za swoją własność promienną, bo jęj oczy w tamtej patrzyły już na mnie i zamknęły się dla mnie! Ten skarb do nikogo już należć nie może, bo ja tylko pojąć mogę, co potrzeba jęj sercu, gdyż serce jęj było już dla mnie w piersi tamtej... Czyż ojciec takiej kobiety powierzy ją w inne ręce, czy przeniesie, aby nieznanym może ludziem ocierali się o nią?..

Skończył Stanisław; starzec patrzył na niego z podziwem; zrozumiał że miłość jego prawdziwa. Cóż jednak mógł na to odpowiedzić? Stanisław o tém nie pomyślał.

— Skończyłeś już twój dytyramb... widzę, że z duszy wypłynął; ja nawet słucham go z ożywieniem; ale zapominasz, że w tém o co prosisz, ja jestem bezsilny.

— Panie, jesteś jęj ojcem.

— Choćbym był ojcem pełnowładnym, to i tak mógłbym ci tylko pomódz dobrą chęcią. Bo cóżby znaczył mój wyrok w obec wyroku jęj serca! A tymczasem jestem ojcem bez żadnej władzy. Jestem takim ojcem, jakim ty jesteś kochankiem. Ja ją

uwielbiam, chciałbym aby przy mnie została... ale ona musi także słuchać i téj, przy której znajdowała się przez lat ośmnaście. Przyszłoby jój wybierać pomiędzy matką a ojcem... Ojciec jój nieznany, a matka ją wychowała. Nie chcę być niesprawiedliwym, nawet w najwyższej boleści. Jutro pożegna się ze mną.

— Jutro już! to być nie może.

— Zresztą, zdaje mi się, że spotkałeś ją zapóźno.

— Miałaby kochać?

— Kochać—nie wiem; ale ma narzeczonego.

— Czy nie ten, ciągle towarzyszący... jest narzeczonym?

— Odgadłeś, chociaż myślałem, że wcześniej już myśl ta przyszła ci do głowy.

Stanisław zerwał się z miejsca i schwycił się za głowę.

— Ona kocha tego człowieka! To być nie może. To szaleństwo, to mistyfikacja, to może prosta sprzedaż kobiety dla majątku, chyba to poświęcenie! Czy może w sercu dziewicy zapalić się miłość dla człowieka, który już przeżył światło swego życia! On schodzi z życia promiennego—ona rozkwita!

— Cóż więc uczynić? Nie wiem dla czego jest życzliwą temu człowiekowi, ale to widoczna, że mu sprzyja z całą swobodą nieprzymuszonej i wolnej woli. Jak sprawić, ażeby ciebie pokochała?

Stanisław cofnął się, jakby nagle zimną wodą oblany. Tak, cóż znaczy, że on ją uwielbia, gdy ona—może go nienawidzi, pomyślał. Żadnym słowem nie dała poznać swojej życzliwości, a obojętność wyziera z każdego jój spojrzenia, z każdego ruchu.

— Co najwięcej mogę uczynić dla ciebie—mówił starzec, widząc rozpacz Stanisława—to chyba to, że postaram się odwlec jój odjazd.

— Będzie to najwyższą usługą.

— Przez ten czas poznasz może, czego się masz spodziewać. Bo ona sama jest tu sędzią ostatecznym.

— Tak, ona zawyrokuje, czy życie moje ma się nanowo rozpocząć hymnem szczęścia, czy dniem nieskończonej żałoby...

To było zakończeniem rozmowy. Starzec, dotrzymując słowa zatrzymał jeszcze córkę u siebie w przeciągu dni ośmiu. Pan Ernest odrazu odgadł przyczynę, ale mężki jego charakter pozwolił mu ukryć, całą niespokojność, jakiej doznał. Przeciwnie, z uśmiechem na ustach spotykał niebezpiecznego rywala mającego za sobą młodość i piękność, równego mu w zamożności; zdawał się nawet ułatwiać zbliżenie i rozmowy dwojga młodych. Ale Florentyna patrzyła ciągle na Stanisława z pewną obawą, z pewnym wyrzutem; nie mogła oddzielić od jego osoby

śmierci swojej siostry, która teraz, gdyby nie on, żyłaby jeszcze i mogłaby być wybawioną z nicości, w którą popadła. Stanisław widział z rozpaczą obojętność najdroższej sobie osoby; zdawało mu się, że grzęźnie w jakimś oceanie ciemności, że się zapada. Przyjeżdżał codzien, i codzien Florentyna zbywała go lekkimi odpowiedziami. Ale chociaż z radością widział to pan Ernest, postanowił jednak rzecz tę rozstrzygnąć nieodwołalnie, jasno, nazawsze.

W przeddzień oddjazdu, gdy Stanisław oddalił się ze starcem do ogrodu, zbliżył się do Florentyny i rzekł głosem spokojnym, choć spokój ten ukrywał głębokie wzruszenie:

— Znalazłaś pani w tych stronach nowego konkurenta, który bynajmniej na to nie zważa, że jest już narzeczony. Jesteś pani dla niego świętą pamiątką, którąby chciał posiadać; ufa w swoją młodość; chce mi wydrzeć panią.

— I ja to dostrzegłam odrazu i proszę pana o jedną szczerą tylko odpowiedź. Czy ma pan powód być ze mnie niezadowolonym?

— Nie, pani postępowałaś dotąd z godnością.

— Tak chcę postępować i dalej.

— Tego mało. Ja muszę prosić pani o szczerą także odpowiedź.

— Słucham.

— Może czynisz pani ofiarę dla dwóch rzeczy: dla dotrzymania słowa i dla zobowiązań pieniężnych twojej matki. Otóż powiem, że jak jedno tak i dru-

gie jest niczém w obec ważności własnego przekonania pani. Ze słowa zwalniam i zobowiązania pieniężne znoszę; oddalając się, choć z bólem, jeżeli czujesz pani, jakikolwiek żal z powodu podania mi swojej ręki. Dosyć już żyłem na świecie, obowiązkiem więc jest moim przewidywać. Wolałbym dziś stracić panią, jako osobę jeszcze wolną, niż później widzieć swoją żonę, zwracającą oczy i serce ku innemu. Jeżeli przyjaciel ojca pani, jest jej miłszym odemnie, to znajdę odwagi dosyć do wypuszczenia ręki, którą on chce pochwycić. Za mną przemawia może tylko szczerłość a za nim—wszystko...

— Czy i to także, że jest widmem przypominającym mi śmierć mojej siostry, czy i to także ma przemawiać za nim? Szczerze mówię panu, że jestem dla niego obojętną, choćby nawet i przemawiało do mnie to wszystko, o czém pan mówi. Zanadto skromnie mówi pan o sobie. Nie wiem co czuję dla pana, ale zapewniam że czuję szacunek i że przykroby mi było postradać rękę, o którą się wspierałam w najcięższych chwilach życia.

— Wybacz mi więc pani takie moje pytania?

— Najzupełniej oceniam je, co pan powinien dostrzedz z mojej odpowiedzi.

— Jestem przeto spokojnym, rzekł pan Ernest i spojrzal na nią wzrokiem pełnym miłości i wdzięczności...

Nazajutrz odjechali, obiecując ojca uwiadomić o dniu wesela.

A Stanisław? Patrzył za znikającym obrazem jakby przerażony. Nie chciał się odwrócić, aby nie ujrzał drugiego obrazu, który mu groził, kroczył tuż za nim—obrazu śmiertelnej ciemności życia...

Ale nareszcie przyszła chwila — na jego oczy zapadły nieprzejrzane zasłony.

To, co go miało obudzić do życia, zgasło na zawsze.

Ujrzał się pielgrzymem, konającym w chwili, gdy miał zatopić się w promieniach cudu.

Cudowne zjawisko skazało go na cierpienie. Z miliona niepodobieństw w życiu ludzkim jedno niepodobieństwo stało się rzeczywistością, stworzyło doskonały obraz téj, którą utracił... Człowiek ten przeniósł radości zmartwychwstania po to, aby tém głębiej uczuł, co stracił wówczas. Zmartwychwstała ukazawszy mu powaby pierwotworu znikła, bo nie należała do niego. Ich dusze poszły osobno w niepochwycone przestrzenie.

Widział, że jedno tylko serce stworzone było dla niego i że takiego serca już nie znajdzie nawet w tak doskonałym jak siostra zmarłej odtworzeniu. Widział, że może jeszcze żyć, żenić się, podziwiać, myśleć i czuć, ale przekonał się także, iż nie może już nigdy, żadną potęgą, oddychać tak szeroko, patrzeć na świat tak jasno, patrzeć na piękno z takim

zachwytem, z jakimby spoglądał, gdyby mu moc zmartwychwstałej udzieliła część swęj twórczęj potęgi.

Zdawało mu się słyszeć nad sobą świsty wichrów zimnych, obejmujących jego istotę:

Przed kilku dniami był wulkanem miłości i nadziei—dziś stał się słupem kamiennym.

A Starzec? I on czuł, że został wypartym z kolei życia. Dotąd, jakkolwiek słabym przedstawiał sobie rezultat tego życia, mógł się tęp przynajmniej pocieszać, że spełnił wszystko, co było w jego mocy. Jeżeli prócz nauki i dobrze czynienia, widział się niczem w owém hierarchicznym znaczeniu, któreby mu dać mogło środki i władzę do kolosalnych przedsięwzięć, do planów rozległych, uszczęśliwiających społeczność, zawsze jednak przyznawał sobie w duchu, że życie jego nie było niczém w znaczeniu obywatelskiem. Dziś—po ostatniej katastrofie zaczął inaczej widzieć swoje stanowisko. Wystąpił przed nim ojcowski majestat, który dotąd lekcewał bezwiednie, a przynajmniej o nim zapominał. On, który tyle dzieci biednych odszukał i uszczęśliwił, własnego niegdyś nie wahał się porzucić! On, który drzał na śmierć lada róży piękniejszej, znalazł drugie swe dziecko ofiarą własnego niedbalstwa i złości jego matki—dziecię, o którym nawet nie wiedział, dziecię, które pełne uczuć olbrzymich i wielkich przymiotów, kwitło o kilka

kroków od niego samotne, gotowe przyjąć do swego organizmu duchowego wszystko, co może wytworzyć cudnego uroku istotę! On to, ojciec, nie znał dziecięcia, które czekało tylko ręki mistrza, aby stać się zaszczytem kobiet. On, ojciec, doświadczywszy najwyższej radości z odzyskania jednego dziecka, musiał przenosić natychmiast, bezpośrednio, najcięższą rozpacz z utraty drugiego. I ojciec ten, czuł się jakoby niegodnym ani téj radości, ani téj rozpacz... Czuł, że utracił do tych wielkich uczuć prawa. Zdawało mu się, że żywa jego córka z umarłą wzięły się za ręce i czyniły mu wyrzuty... Były chwile, kiedy świat zaczynał tańczyć przed nim jak w wyobraźni szalonego. Rwał włosy z głowy i padał na ziemię; uciekał od słońca... To, co niegdyś wydawało mu się pozostawieniem Florentyny w „dobrych rękach,” to jest przy matce—dziś wydało mu się lekceważeniem ojcowskiego obowiązku. Gdyby się był zajął tą starszą, musiałby wiedzieć i o drugiej. Dopuszczenie do tak straszliwej zatruty niewinnego dziecięcia, musiał poczytywać za swoją własną winę.

Cóż z tego, że matka była złą kobietą i niedbałą matką? On, co najwięcej, dobrym był człowiekiem, lecz również niedbałym ojcem! Nadto lekcewał świat kobiecy w postaci jednej złej kobiety. I czując nateraz żywiej niż kiedykolwiek wyższość swoją nad massami, czuł także iż większa ciąży na nim wina.

Jego rozum, doświadczenie, znajomość świata, poglądy jego rozległe, zwiększały jeszcze ten ciężar. Tém mocniej uczuł nicość swoją i winę, im dzielniejszym widział się mężczyzną. Długi i mozolny pochód jego życia zakończył się napiętnowaniem jego czoła, jako winowajcy! Wszystkie błogie owoce tego życia, zmałyły do nędznego prochu, w obec okropności, w której zginęło własne jego dziecko!

Świat kobiecy zemścił się za pogardę praw swoich i stanął mu przed oczy potężny, groźny, jak sędzia wzywający rachunku. Świat ten, otoczony majestatem połowiczności spraw ludzkich, ludzkiego szczęścia i ludzkiej niedoli, sięgnął po samotnika, który się cofnął, wszedłszy już niegdys w koło jego zaklęte... Świat ten, niby sunąc przed sobą olbrzymie mury niewinnego dziecięcia, druzgotał wszystko to, co mogło być jeszcze szczęściem dla tego człowieka. Im później nadszedł ten rachunek, tém był okropniejszym dla niego. Nie mógł już spoglądać w nieobjęte przestrzenie ze spokojem i ufnością; czuł, że jeżeli tam sądzono sprawy, musiałby schylić głowę—jako winowajca!... Na lat schyłku, czuł się wypartym z kolei losu; bo jeżeli zawsze gotowym był i umiał przenosić nieprzewidziane i niezasłużone nieszczęścia, to nigdy przecież nie przypuszczał, aby mu przyszło odcierpieć cios podobny.

Wspomnienia cierpień biednej sieroty uderzały w jego serce, jak przypyływy morza, a każda z tych fal potężnych jakoby nosiła na sobie napis okropny: „Zapomnieliście o mnie!“ I słysząc głosem ducha ten okrzyk, wołał starzec w rozpacz: „Dla czegoż ja byłem tym ojcem!“

Pozostała w jego życiu olbrzymia luka, której nie miał już czém zapełnić. Bo dotąd, jeżeli o jednym dziecku zapomniał, a o drugim nie wiedział, to spokojność sumienia pozwalała mu cieszyć się całym światem. Dziś—świat znikł mu z przed oczu, aby mu przedstawić jako wieczny wyrzut—zatracone dziecię...

I przebiegał myślą wszystko, co się działo naokoło niego, wszystkie cierpienia, jakie innych dotykały; ale nikogo nie znajdował tak winnym jak siebie, nikt nie przygotował tak chłodno, pełen sił i świadomości własnych przymiotów, jak on, swego nieszczęścia. I stanęła mu w myśli matka Stanisława, jój pogarda dla męskiego świata, jój pomiatanie mężczyznami, jój wymagania aby pojedynczy mężczyźni posiadali w sobie wszystko to, co jój fantazja wytworzyć zdołała; stanęła mu w myśli jój śmierć, jako wynik własnych dążeń ku zgubie, jako upadek u podwojów męskiego świata. Uważał ją niejako za paralellę z sobą... Ale nie! jój życie nie jest paralellą jego życiowego toru! To była kobieta działająca bez namysłu, była to ofiara

namiętności, złego może wychowania; ona nie znała planu życia, nie umiała panować nad sobą i padła prawie bezwiednie w objęcia śmiertelne męzkiego świata, który także za siebie mścić się potrafi, gdy on, pełen samowiedzy i panowania nad sobą, szedł chłodno, umiarkowanie—do tego samego rezultatu!... I przychodził mu na myśl Stanisław. Lecz i on mógł być uważanym tylko za niedoświadczonego młodzieńca, którego pociągnęły czary pięknej kobiety; bo kogóżby one nie pociągnęły! I im dalej szukał, tém bardziej oddzielała się od ogółu jego własna postać, a świat cały uosabiał mu się w świat groźnej kobiecości, który go chłostał zgryzotami sumienia. I on, owa kolumna, która pozostała sobą, pozostała silną do dni starości, nie była już dumnym ludzkiego ducha kolosem, lecz ruiną, pamiątką przeszłości. Kolumna uczuła się podmuloną w podstawie przez groźną katastrofę z kobiecego świata. Nic nie mogło zwyciężyć jego bólu, bo nic już nie mogło być wynagrodzonym z nie-szczęścia, którego on był osiłą. Widział, że są chwile, w których świat mężczyzn i świat kobiet, niby dwa huragany, brzemienne zniszczeniem, mogą być zaklęte majestatem męzkiej woli, męzkiej przytomności umysłu, lub cudnemi przymiotami kobiet. Lecz kiedy w obec tego starcia, ani jeden ani drugi żywioł nie zaklnie pędu, następuje chaos, z którego nikt nie wychodzi bez szwanku... On, starzec,

mógłby więc zakląć tę okropność, bo był panem siebie, był siebie świadomym. Nie uczynił tego i—upadł... Chwiał się jak kolos podminowany. Kłonił głowę coraz częściej.

Pomimo jednej córki, nie mógł odwrócić oczu od przepaści co pochłonęła drugą.

I pochylił się w tę przepaść, party wyrokiem, który sam przygotował.

Pochylał się tam lub patrzył w niebo w pełnej grozy sympatji, jaką żywią dusze wyższe do głębin i wysokości.

W głębiach śmierci dziecięcia widział pokarm, który żywił jego rozpacz, w wysokościach—doskonałość, w obec której on—ziemi kolumna—był nędznym prochem...

Świat już przestał istnieć dla niego.

I świat mężczyzny, bez świata kobiety, stał się—upadkiem...



XIII.

W pobliżu dworu pana Franciszka stało zabudowanie samotne, podobne do olbrzymiego gołębnika lub sernicy. Nie wszędzie ono jednakową ma nazwę. W rozmaitych okolicach kraju nazywają je to świrnem, świronkiem, to składem, to śpizarnią, to lamusem i t. p. Budynek ten stał na czterech grubych palach; wchodziło się tam po przystawianych schodkach, gdyż wzniesienie było niezbyt znacznem. Korzystały z tego w dniach burzy, upałów lub słoty, pomniejszych zwierzęta i drób domowy. Schodziły się tam najnieprzyjaźniejsze żywioły kryjąc się pod dachem, utworzonym przez spoczywającą na palach podłogę budynku. Indyki, kaczki, gęsi, ród kurzy — wszystko ocierało się tam o siebie. Ogólna potrzeba zgromadzała do jednego schronienia. Zmoczone od deszczu lub osłabione od gorąca stadka gęgały, puszyły się, gdakały, ale nie rozpoczynały walki. Bawiły się tam także ukradkiem dzieci służby dworskiej, jeżeli oko pana Franciszka nie wystraszyło ich ztamtąd.

I w dniu w którym zwracamy uwagę czytelnika na ten przybytek słoniny, kaszy, masła i suszonych śliwek, tak samo jak zwykle, patrzyły sobie na cztery strony świata, cztery okienka, wycięte w czterech ścianach szarego pudła na palach. Wyglądało to bardzo poczciwie i spokojnie. Szare pudło, pochylone cokolwiek od starości, przypominało coś śpiącego, niewinnego, tembardziej że zawartość tego schowania nie działała nieprzyjaźnie na umysły, przedstawiając owszem wyobraźni nader pożądanę w pewnych razach przedmioty, jako to: szynki, półgęski, wędzone polędwice.

Nic bardziej zwodnego nad powierzchowność. I czytelnik srodze by się pomylił gdyby poglądał na lamus pana Franciszka tak, jak to pudło patrzeć na siebie kazało.

Ktoby się bliżej przypatrzył, a zatem bliżej się podsunął, natenczas ucho mogłoby wspomódz oko i naprowadzić patrzącego na domysł, że lamus ten pomimo potężnej kłódki, wiszącej u małych jego drzwiczek i pomimo braku schodów, to jest jedynej z wnętrzem komunikacji, zawiera w sobie istoty żyjące, albo jedną przynajmniej taką istotę, co więcej — może istotę ludzką. Na domysł ten wprowadziłby czytelnika głos, jaki się kiedy niekiedy z wewnątrz wydobywał. Tak, nie był to głos żadnego z nieprzyjaciół ludzkich spiżarni — ani psa, ani kota, ani pisk szczura, ani ponure sapa-

nie złodzieja: był to po prostu głos kobiety, było to coś podobnego do jęku lub westchnienia, do tłumionego lub cichego płaczu. Tak, był to jęk ludzki, który raczej wzbudzał chęć niesienia pomocy, niż obawę o złodzieja, jęk nad wyraz żalony, samotny, wydostający się z za szarych desek, jak przez szpary więzienia.....

I lamus, poważny, niewinny, zmienia się nagle w oczach patrzącego w jakieś pudło szatańskie. Cztery okraciem podpierające go pale, przybierają postać jakichś łap potwornych, jakichś słupów, dźwigających tajemnicę ohydną. Nędzne szare deski uderzają oczy jak posępne ściany ciemnicy, stary poszarpany dach ze słomy staje się podobnym do olbrzymiej rozczochranej czupryny, kryjącej oblicze zgrozy.... kłódka zardzewiała, obciążająca karłowate drzwiczki, przybiera wagę i rozmiary olbrzymich zamków, otwierających wejście do przepaści.

Nagłą tę i rzeczywistą, w twoich czytelniku oczach zmianę, sprawił jedyny jęk ludzki. Wyobraźnia twoja potęguje boleść niewidzialną.

I spotęgowanie to nie będzie przesadą, jeżeli powiemy czytelnikowi, że nikt inny jak pan Francisek przemienił lamus na więzienie.

Zdumienie tego, ktoby usłyszał jęki, nie byłoby wygórowaniem, skoro by się dowiedział, że to więzienie jest turmą miłości.

I oburzeniem, jakiegoby doświadczył ten ktoby się o tem dowiedział, nie byłoby dosyć burzliwém, skoro by się przekonał, że miłość zamknięta w tój twierdzy jest miłością naszój lubėj, niewinnėj, pełnej powabów Zofji.

Tak to złe, kamienne serca, najzwyczajsze poziome przedmioty umieją zmieniać w siedliska ohydy. Człowiek stwarza i nadaje kształty wszystkiemu. Czyżby przez tyle lat historii i przykładów, nie zdołał wyrównać i zaleczyć wszystkich okropności, gdyby okropność, niestety! nie była jakby wrodzoną częścią składową jego duchowego organizmu!

Pan Franciszek po odjeździe Teodora dowiedział się, że Zofja pisała do niego list tajemniczy i że klucznica jest jėj pomocnicą, ona bowiem sama list ten oddała na pocztę.

Pan Franciszek sprawił burzę okropną, przewracał meble z gniewu, chciał bić klucznicę, pobił nawet żonę i córkę. Dotąd Zofja przenosiła męki ducha, teraz zaczęła znosić męczeństwo ciała. Ojciec zabronił do niėj dostępu klucznicy a więzienie pokojowe zmienił na to, przed które przyprowadziliśmy czytelnika. Tam to jęczała za swoję miłość Zofja.

Czytelnikowi trudnem do wiary zdawać się może to, że pan Franciszek obrał za więzienie lamus, pełen może rozmaitych zapasów. Nic nad to naturalniejszego. Przed kilku miesiącami doniesiono mu

że przez wyrwane w podłodze deski wykradziono z lamusa cztery półcie słoniny, korzec grochu, pięć ćwierci mąki i ćwierć suszonych owoców. W skutku tego postanowił urządzić inny lamus, bezpieczniejszy. Kazał przybudować z jednej strony dworu nową komorę i tam przenieść zapasy i sprzęty podręczne gospodarskie, a stare pudło na czterech łapach zostało pustkami, do czasu rozebrania go, które miało nastąpić późną jesienią, gdy się skończy w polu roboty.

Otóż i gotowe więzienie dla Zofji. Tam ją posadził ojciec na dni dziesięć, ażeby się wyleczyła z miłości i nieposłuszeństwa.

Gdy się znalazła samą w téj okropno-komicznej samotni Zofja, zwyciężona utrapieniem, głośnym poddała się płaczom, ale gdy nareszcie i płacz się wyczerpał, przepędzała dni całe milcząc i wdychając. Zabobonna do pewnego stopnia, przez ciągle przestawanie z nieukształconemi kobietami, z przerażeniem myślała o zbliżającej się nocy, którą będzie musiała przepędzić sama w tém niesłychanem zamknięciu. Ale i nocą: gdy czuwaniem i boleścią zmęczona, skurczyła się na słomianym sienniku, zaczęły swoje wycieczki hałaśliwe szczury, które mając wolny dostęp przez popsutą podłogę, nie mogły pomimo nowego mieszkańca, pozbawić się sposobności pogospodarowania w miejscu dawnych przysmaków, w miejscu, gdzie pachniała

jeszcze słonina i mięso. W nocy przeto spać nie mogła, bo nieraz, gdy się już zdrzemnęła, przebiegało wstrętne zwierzątko z obcesem, po jój piersiach. W dzień za to zasypiała na czas krótki. Nie czesała, nie myła, siedziała tak już dni cztery; wyglądała jak widmo urocze. Matka, która jój sama posiłek przynosiła, płakała nad nią, ale jój pomódz nie mogła.

Mimo takie zgnębienie, Zofja czuła jakąś oddaloną nadzieję. Naturalnym swoim rozsądkiem zmiarkowała, że cierpi za to co od niej nie zależy. We wszystkim innem słuchałaby ojca ślepo; w tém zaś, choćby nawet chciała, słuchaćby go nie mogła.

Czuła, że cierpi za jakąś wielką sprawę, wyższą nad ludzkie usiłowania. Prostota jój wychowania i prostota jój serca naprowadzały ją na myśl, czy czasem jój postępowanie nie jest prostym uporem, nieposłuszeństwem — zamyślała się, przyznawała że winna ściśle posłuszeństwo rodzicom, płakała że idzie przeciw woli ojca; z tem wszystkim jednak nie mogła obmyślić żadnego innego postępowania. Wpadła w jakieś pęta wzajemnie zwyciężających się myśli, póki nie zasnęła, a obudziwszy się marzyła znowu, jako o jedynej nagrodzie za męki które przynosi, o Teodorze. Była to uczciwa córka i wierna kochanka. Gdyby miała szlachetnego ojca, byłaby umiłowaniem dziecięciem i szczęśliwą oblubienicą.

Tymczasem pan Franciszek, załatwiwszy się w ten sposób z córką i spodziewając się, że ten areszt dziesięciodniowy „nauczy ją rozumu,“ zamyslał zrobić wielkie interesa na pszenicy, której jak z tegorocznego zbioru, tak i z plonów lat poprzednich, ogromne posiadał zapasy. Zajął się więc zupełnie swemi obrotami handlowemi; zanosilo się na wojnę; ceny zboża ciągle wzrastały. Ruch dostawców i przedsiębiorców był niesłychanym. Góry złote zajaśniały w wyobraźni pana Franciszka.

Zofja siedząc w swoim więzieniu obawiała się, ażeby rozgniewany ojciec nie oddalił z domu pocziwej klucznicy, jedyniej przyjaciółki dziewczęcia. Wyglądała niekiedy przez mały otwór swego ukrycia jedynie po to, czy czasem nie zobaczy na dzieidzińcu jój twarzy. Z wyrazu téj twarzy spodziewała się coś wyczytać, jak z księgi, której litery były jój dobrze znane. I rzeczywiście, udało się jój zobaczyć przechodzącą wdowę; ale cóż wyczytała z jój twarzy? tylko smutek jakiego doznawała życzliwa niewiasta na widok tak ciężkiej niedoli dziewczęcia. Ukradkiem jednak dawała jój klucznica do zrozumienia, aby miała nadzieję; lecz na tem tylko ograniczyć musiała swoją pomoc, gdyż lamus i w dzień i w nocy tak doskonale był strzeżonym, że na żaden sposób nie można było rozmawiać z uwięzioną.

Piątego dnia zamknięcia, Zofja siedząc na sieni-
niku zamyśliła się głęboko o swoim położeniu. Sły-
szała życie i głosy otaczającego ją świata. Jój pu-
dło więzienne wydawało się jój jakimś czarnym ba-
lonem nieszczęścia, pływającym wśród oceanów ja-
snego powietrza, złotego słońca, radości i swobody.
Rano lub wieczorem dolatywała ją niekiedy piosnka
ludzi idących na robotę lub powracających z pola.
Każdy z przechodzących odzywał się, wołał lub
rozmawiał głosem pełnym, harmonijnym, a głos
ten wydawał się niesłychanie szczęśliwym. Słysza-
ła dzieci wybiegające niekiedy, aby się gonić po
d dziedzińcu; słyszała śmiechy, radość, urywane
okrzyki chłopczyków, cieniutkie srebrne odpowie-
dzi dziewczątek, swobodny świergot ptasząt, prze-
latujących po niezmiernych przestrzeniach. Ona je-
dna tylko musi tu siedzieć nie pojmując dla czego
jest występna, nie widząc żadnego środka wyjścia
z przepaści, w którą wepchnęły ją gniewy ojca
i miłość Teodora!

W tem usłyszała szybkie bieganie po dziedzińcu;
jakiś popłoch wszczął się między służbą. Wchodzo-
no i wychodzono z domu, trzaskano drzwiami. Nie
mogła dosłyszeć słów, ale miarkowała, że się coś
stać musiało. Słyszała, że wytoczono bryczkę.
Wspięła się po deskach do otworu lamusa i spoj-
rzała ku domowi. Pierwsze jój myśli potwierdziły
się, łatwo na pierwszy rzut oka można było do-

strzedz popłoch z niezwykłego wypadku. Jeden z oficjalistów siadł na dopiero co zaprzężoną bryczkę i popędził drogą do miasteczka. Przeczuwała jakieś nieszczęście. Pomimo swego położenia, pragnęłaby i ona dowiedzieć się, co za przyczyna tego popłochu.

Czekała niedługo, bo zaledwie chwilę posiedziała na swoim sienniku zmęczona wspinaniem się ku okienkowi, doleciały do jęj uszu szybkie kroki tuż przy więzieniu. Potem ktoś wbiegł na przystawioną z hałasem drabinkę i drzwi zaczął otwierać.

Zofja drżała, oczekiwała w najwyższym wzruszeniu na jakąś nowinę. Wreszcie potężna kłódka opadła a w otwierających się drzwiach ukazała się Zofji klucznica, pół przestraszona, pół radosna, ożywiona, wzruszona także.

— Panno Zofjo, panno Zofjo! więzienie otworem... wychodźże panna.

— Co się stało! muszę najprzód wiedzieć, co się stało, mówiła w zimnych dreszczach Zofja i nie ruszała się z miejsca.

— Stało się, że więzienie otworem, czy to nie dosyć? O reszcie później powiem, a teraz uciekaj panna z téj śpiżarni.

Zofja wyszła powoli i spojrzała z trwogą na dom ojcowski.

— Niech się panienka nie boi, ojciec teraz nie wybiegnie.

— Więc się z nim coś stało złego?

— Złego panienko, — zachorował nagle. Pojechali po doktora.

Zofja nie mówiąc nic więcej rzuciła się ku izbie ojca.

Pan Franciszek leżał na swoim łóżku prawie bez przytomności. Było to bardzo silne uderzenie apoplektyczne. I powód był nie mały. Otrzymał cios w samo serce. To, do czego się całe życie garnał, zginęło jak *fata morgana*. Wszystkie uczucia, wszystkie cele poświęcił na zebranie majątku; nie oszczędzał zdrowia, narażał się na najprzykrzejsze zajścia i processa, na najcięższe mozoly, aby tylko zaokrąglić fortunę, — dziś tymczasem gmach ten tak długo budowany, rozsypał się w gruzy od jednego zamachu. Nie dziw przeto że pan Franciszek dostał apopleksji, skoro go doszła wiadomość o ciosie otrzymanym. Znany powszechnie bankier jeden z najpopularniejszych w Warszawie, uważany za najpewniejszego, tak bogaty, że same jego domy i sprzęty jego własnego lokalu mogły zawążyć miljony, człowiek, którego sytuacji pan Franciszek tak był pewnym, jak swojej własnej głowy — człowiek ten pozostawiwszy niezliczone długi, niepokończone interessa, dostawy, fabryki, pewnego dnia zniknął z miasta i z kraju, przepadł jak mara. Nic nie pomogły telegrafy, listy gończe, nagrody za schwytanie — świetny bankier znikł jak

w wodzie. Znikło z nim razem i trzykroć sto tysięcy złotych pana Franciszka, który mu je oddał na bardzo wysoki procent. To stawiało go odrazu w ostateczności. Nie będzie miał czem spłacać nadal majątku, który nabył. Zbliżał się już termin spłaty ośmdziesięciu tysięcy. Wyrugują go z siedziby, jeżeli nie zapłaci. Zostaje odrazu biednym, odartym z wszelkich nadziei, które pieścił tak długo. Tak, będzie musiał ustąpić z siedziby, którą zamyslał uświetnić. Pszenica, którą zebrał w znacznych massach, przyniesie mu niejaką kompensatę straty, nie będzie jednak dostateczną do utrzymania za nim majątku.

Wiadomość o tym strasznym wypadku dostarczono panu Franciszkowi wtedy, gdy się znajdował w polu; nie miał już siły powrócić ztamtąd — przyniesiono go na w pół żywym.

Pan Franciszek nigdy w życiu nie chorował. Był tęgim w sobie i mocnym, grubym w karku jak tur. Dotąd, przy dobrym bycie i nadziejach rozwijał się tylko; organizm jego doszedł do takiej prawidłowości w tym rozwoju, do takiej pełni, jak doskonale obciążony bęben, który funkcjonuje wybornie, jest pełnym dźwięku, sprężystości i siły, dopóki używanie go utrzymane jest we właściwych granicach, — ale ten sam bęben zostaje zniweczony, gdy jaka pięść potężna przebije go i otworzy głuchą próżnię wnętrza. Takim dla pana Franciszka

ciosem była wiadomość powyższa. Cały duch, który go wydymał, uleciał — pozostało tylko trochę skurczonego ciała.

Po kilku godzinach przyszedł do siebie, otworzył oczy i spojrział. Zdumienie jego było nie mniejsze od zdumienia Stanisława kiedy sądził, że widzi zmartwychwstałą. W nogach łóżka spostrzegł stojącą Zofję.

Pierwszy raz w życiu, coś jak dreszcz wstydu przebiegło po jego członkach; zdawało się, że nie był w stanie patrzeć na obraz, który przed sobą spostrzegł; zamknął znowu oczy. Żona jego siedziała w głowach łóżka, tam więc teraz oczy obrócił, spojrział powtórnie. Na żonę patrzył śmieliej jak na własną dziecię. Bezsilny i zniweczony, pozbawił się mocy, którą górował nad wszystkim, co go w domu otaczało. Przyszedł do nicości; gdy jego łagodne, anielskie dziecię, pozostało przy swojej niewinnej potędze uroku młodocianego i cnotliwego serca. Ojciec ten czuł się tak opróżnionym z wszelkich zasobów moralnych, że nie mógł znosić światłości własnego dziecka. Poznawało ile nienaturalnym był jego stosunek do wątłej rośliny dziewczęcej. Doświadczał więc pewnej bojaźni spostrzegłszy w swym nagłym i głębokim upadku istotę, którą przed kilku dniami zarygłował, którą deptał, wydzierając jej miłość i światło słońca!

Gdy spojrzał znowu na Zofję z pod zamkniętych prawie powiek, wydała mu się postacią skrzydlatą, promienną. Nie śmiał patrzeć na jej rysy, na wyraz twarzy, ale widział całość nadobną jej figury rysującą się jak nieokreślone, niedokończone obrazy w marzeniach, pełne blasków, barw tęczy, powiewów, szat białych i uśmiechów mistycznych.

Wielkie zjawisko miłości dziecięcej, rozwinęło przed upadłym pyszałkiem wszystkie powaby potęg, zatartych w życiu codziennem, lecz występujących przy wyrokach losu,

Zjawisko tem wspanialsze, że Zofja nie uczyniła tego bezmyślnie, bezwiednie, jakby nie pojmowała okropności, z jaką chciano wyrzeć miłość z jej serca. Przeciwnie uczyniła to z samowiedzą. Wychodząc z swego więzienia wiedziała, że wychodzi aby się zbliżyć do tego, który ją tak ciężko zdeptał; ale tem prędzej się tam śpieszyła, jakby pragnęła dowieść mu, że warta była chociaż jednego łaskawego słowa w swém życiu. Pragnęła pokazać mu, że ma serce, dobroć i przywiązanie dziecięce, którego on nigdy objawić jej nie dozwolił!

Tak zeszyły się te dwie długo rozdzielone potęgi—dobroci i pogardy wszystkiego co słabsze. Ale dziś ta potęga słabsza jaśniała jakby na wysokościach, nad łóżkiem co jedyne podpierało resztki zdruzgotanej pychy.

Tu zaczął poczuwać pan Franciszek, że jest ojcem. W upadku swoim wspomniał, że nie ma liczyć na kogo innego. Opuszczą go wszyscy — ale nie opuszczą go te, które dotąd deptał. Uczuł żal, ale wstyd i niemoc tłumili jego mowę.

Tak, uczuł wstyd pewien, że dotąd był tylko tyranem kobiety. Być może wstyd ten nie zmienił gruntu jego duszy, ale z tem wszystkiem ukazywał mu dzisiaj świat kobiecy w nieopisanie uroczyściej godności. Nie potrzebując przedtem niczego od świata kobiety, prócz prac gospodarskich, uczuł dzisiaj znaczenie, jakie świat ten posiada w ciężkich przejściach życia. Poznał, że są chwile, gdy można omijać kobietę, ale nie ma całkowitego i prawdziwego życia bez kobiety. Nadejść musi zawsze godzina, w której czeka nas zguba, jeżeli kobieta odwróci się od mężczyzny. Połowiczność kobiety posiada prawa, na wiecznych własnościach istoty męskiej oparte.

Zofja krzątała się ciągle. Przybyły lekarz zapewnił ją i matkę, że chory z tego pierwszego ataku wyleczyć się musi i że znowu do sił przyjdzie.

Jakże cieszyła się Zofja, że może ojca odzyskał! Tak, pan Franciszek ujrawszy się nagle bez pierzy w które był porośł, częściej zaczął się zwracać myślą ku osobom, które go doglądały. Straciwszy to, na czem polegała cała jego duma, stał się łagodnym jak baranek.

Poziome charatery mają to do siebie, że zdolne są korzyć się lub pysznić w miarę okoliczności. Tak samo i ten człowiek został ojcem wtedy, kiedy się ujrzał zniweczonym. Zawsze jednak uczuł się ojcem i to dobrze. Oszczędzi może Zofji cierpień, które jój dotąd zadawał.

Z całego składu domowego pana Franciszka, nikt mniej pewno nie okazywał żalu z powodu nagłej jego choroby i upadku, jak przyjaciółka Zofji, klucz-nica. Naturalnie że nie śmiała się zwierzać z tem dobrój panience, na którą poglądała z prawdziwem uwielbieniem na widok jój zachodów przy chorym, ale w duchu była nawet zadowoloną z takiej zmiany.

— Śmierci mu nie życzę — mówiła do siebie — ale nie żal mi bynajmniej, że go tak ogołocono. Ten człowiek jest dla mnie obcym, a jeżeli dola jego mnie obchodzi, to tylko dla tego, że jest ojcem Zofji. Byłabym obojętną, gdyby był jedynie moim panem, choćby nie miał tyrańskich zapędów; jestem zaś na niego zawziętą, ponieważ nie mogę mu przebaczyć takiego obchodzenia się z córką. Coś mi się widzi, że ta zmiana w losie jego, przyniesie zmianę i dla Zofji. Czemuż się mam smucić, że stracił majątek człowiek zły prawdziwie, kiedy ten właśnie majątek pobudzał go do poniewierania własnem dzieckiem. Zaczyna teraz rozmawiać do Zofji, czego nigdy dawniej nie było.

Zaczyna się uśmiechać... mój Boże, co to za uśmiech! — podobniejsze to do chęci ukąszenia — pokazuje zęby jak brytan łańcuchowy. Teraz pomyślmy, czy Zofja poniesie jaką stratę przez upadek ojca? Zdaje się żadnej. Gdyby był pozostał i nadal przy majątku jój ojciec — nigdyby dziewczyna za mąż nie wyszła, bo on nigdy nie pozwoliłby jój wyjść za Teodora, a ona wolałaby śmierć niż połączenie z kim innym. Jeżeliby zaś przeżyła ojca, to cóż by jój było po majątku na starość? Na starość może i Teodor będzie miał majątek? Zresztą ich miłość zaszła już tak daleko, że nie ma co myśleć o jój stłumieniu. Chociaż codzień można słyszeć śmiejących się i drwiących z miłości i ze zbytich uniesień, zaliczających to wszystko do dzieciństwa, od czasu do czasu jednak powtarzają się okropne wypadki, przez tłumienie świętego uczucia. Ten się otruł, ta się utopiła choć miljonowa, ten się zastrzelił. Niewiadomo, kto do czego dojść może — miłość to ogromnie spadzista droga, szybko się idzie po niej. Dopiero żal i wyrzekanie po niewczasie. Żalują, gadają, a wtedy jak można było zapobiedz nieszczęściu, milczeli albo męczyli i deptali wszystko, co święte. Zdaje mi się, że ja teraz mogę usłużyć Zofji; chwila to najodpowiedniejsza. Korzystajmy z czasu. Pan nasz, być może, znowu dorobi się pieniędzy i znowu zdumnieje. Dziś miękki jest jak wosk i o niczem innem nie

myśli, jak o korzystnej sprzedaży pszenicy, aby nie zejść z majątku, bez jakiego takiego zarobku. Widoki dobrego ożenienia córki już w nim przygasły. Zofja przestała być dla niego potrzebnem narzędziem. Tak tak, należy się śpieszyć.

Po takim rozbiorze teraźniejszych okoliczności domowych, klucznica pod pozorem odwiedzenia swych krewnych, mieszkających o mil kilka, wybrała się w drogę. Nikt jój nie przeszkadzał. Zamiast jednak przybycia do krewnych, przyjechała do domu Stanisława.

W dworze tym panował ponury smutek. Piękne pokoje stały pustkami. Wejście główne zamknięto. Stanisław urządził wejście do swego gabinetu z drugiej strony. Klucznica chcąc się zobaczyć ze Stanisławem, została przyprowadzoną do przedpokoju; tam zaś przesiadywał zwykle zaufany jego służący, którego nazywano „grubym Jantkiem.“

Gruby Jantek był rozgarniętym, zręcznym w poleceniach; znał oddawna wszelkie nawyki swego pana i opływał w łaskach jak pączek w maśle. Miał on dobrą zapłatę za swoje usługi, którą troskliwie składał na przyszłe gospodarstwo i żeniączkę. Z prostego wiejskiego parobka stał się ogładzonym służącym, a choć liberji nie nosił i ubierał się w krótką siermięgę z potrzebami, nie miał jednak wcale gapowatej miny prostaka. Nie miał także czelnej powierzchowności lokaja i przez

to właśnie podobał się Stanisławowi. W piekło, jak to mówią, skoczyłby za swojego pana. Stanisław nie potrzebował myśleć o żadnych potrzebach domowych; wszystko szło jak z płatka, wszystko było zawsze zrobionem, przygotowanem. Gruby Jantek widział że pan jego cierpi i że się niczem zajmować nie może, przeto gdy zarząd majątku przeszedł w ręce rządcy, gruby Jantek stał się kierownikiem kredensu i służby dworskiej. Nie zmieniło to jego poczciwości, owszem wzbudzało chęć tem usilniejszego usługiwania panu, ale zmieniło bardzo jego powierzchowność. Rosły ten dwudziestoletni chłopiec, w dobrym bycie i łaskach w krótkim czasie tak niezwykłej nabral tuszy, że wyglądał jakby wywatowany; czerwone jego puliczki błyszczwały się od tłuszczu a ramiona zaokrągliły się potężnie. Kiedy się bardzo zbiegał, chodził zasapany z wierzchnią wargą podniesioną i pokręcał rzadkie wąsy. Wyglądał wtedy bardzo poważnie i bardzo komicznie. Dziewczęta patrzyły na niego jak na ideał niedościgły, ale mimo to nazywały go grubym Jantkiem.

Na takiego to więc cerbera trafiła nasza klucznica, chcąc się widzieć ze Stanisławem, który wydał rozkaz, aż dotąd nieodwołany, ażeby nikogo obcego nie wpuszczano do niego a nawet aby nie przeszkadzano mu meldowaniem w wypadkach mniej zna-

czących, uznanie których zależało naturalnie od grubego Jantka.

Gdy klucznica weszła do przedpokoju, gruby Jantek podniósł się z miejsca, założył ręce na brzuchu, pochylił głowę na jedno z podniesionych ramion, bo mu się nie podobała dość pyszna mina klucznicy, i zapytał:

— A czego to pani?

— Widzieć się z panem potrzeba mi koniecznie.

— Koniecznie — ba! Żeby ja każdemu koniecznie ucho dawał, to mój pan nie miałby kiedy się posmucić!

— Ależ mój przyjacielu.

— Jaki ja tam przyjaciel — rzekł z lekceważeniem i machnął ręką gruby Jantek.

— Zkądżeś taki pyszny?

— A choćbym był i pyszny, to co imości do tego?

— Mnie do tego, że chcę się widzieć z twoim panem.

— Mój pan dla tego teraz tam siedzi — rzekł wskazując ręką na drzwi od sali sąsiedniej, wiodącej do gabinetu — żeby go nikt nie widział.

A imość taka prędko do zobaczenia!

— Ty kpisz sobie ze mnie gagatku!

— E — gdzie zaś?

— Coś ty za jeden? muszę się tobie przypatrzeć, rzekła z przekąsem klucznica.

— At widzi imość — to długa historja. Bo to dziewuchy lubią mnie trochę a przezwały mnie, nicponie, grubym Jantkiem.

— To ty jesteś gruby Jantek?— dobrze cię przezwały.

— Tak imość mówi, to imość także niedobra kobieta.

— A co tobie do tego?

— A co było imości do tego, czy ja gruby, czy nie gruby?

— Gaduło przeklęty, puścisz ty mnie do pana?

— Niech imość trochę zaczeka i odpocznie, ale lepiej na dworze; tu może by się imość nie дочекала.

— Co tu zrobić z tym głąbem? mówiła do siebie głośno, chodząc po pokoju rozgniewana klucznicą.

— Ech, bo i na to bym powiedział, bo takim głąbem to już mnie pan Bóg stworzył, ale jabym bardzo się strachał, kiejby mi kto kazał być taką imością, jak oto imość.

— Czy będziesz ty cicho?

— A po co też imość gada?

— Mówię ci, że cię pan wypędzi, że nie chcesz meldować.

— Ech, to już wypędzi mnie wtedy, jak ja tu ztąd imość wyproszę.

— To gadzina! gdybyś ty był u naszego pana On by cię nauczył,

— A to dziwowisko, że imość się tam wiele nie nauczyła.

Klucznica doszła prawie do wściekłości; widziała że wszystkie jój pogroźki odbijają się od drwiącego Jantka, jak groch od ściany. Nie wiedziała jak postąpić. Wreszcie po chwili namysłu przystąpiła do chłopaka i rzekła głosem uroczystym.

— Słuchaj dzieciaku, kochasz ty swego pana?

— A bo co? odrzekł z większą uwagą gruby Jantek.

— Bo co? bo myślę, że ty mu chcesz na złość zrobić, że go chcesz zmartwić.

— Ej, co imość mi gada!

— Jeżeli pana swego lubisz, to wiesz kogo i on lubi jak siebie samego.

— Ho, ho!

— Wiesz jak kocha pana Teodora.

— A — pana Teodora. No, to co imość powie?

— Widzisz więc, żeś głuptas — rzecz chodzi o pana Teodora.

— Tylko nie tak ostro. Na co mam mieć drugie przezwisko oprócz grubego Jantka?

— Słuchajże, idź powiedz panu, że przyszła kobieta która chce z nim mówić o rzeczy bardzo ważnej dla pana Teodora.

— A czemu imość tego odrazu nie powiedziała?

— Czyś mi dał mówić?

— Imość miała okrutnie chybki język.

— A ty mózg ogromnie tępy — no idź, idź bo poskarżę się panu, to boki ci schudną.

Na to gruby Jantek nic nie odpowiedział; poszedł do Stanisława i wrócił zostawiając za sobą drzwi naościęz otwarte.

— Można, krótko powiedział.

— A widzisz rzekła z dumą kobieta i przeszła pompatycznie mimo cerbera, który na ten raz milczał i stał nieporuszony jak kamień.

Stanisław był bardzo zmieniony. Twarz mu zbladła a oczy nabrały fosforycznego blasku. Postąpił ku klucznicy, zatrzymał się, spuścił głowę, potem nagle przetarł ręką po czole i spojrzał na nią jak człowiek z innego świata.

— A — to coś od Teodora?

— Nie, do pana Teodora, albo lepiej dla pana Teodora.

— Prawda — rzekł Stanisław patrząc w sufit — i Teodor także nieszczęśliwy,

— Chcę mu pomódz i jadę do Warszawy.

— Pani jedzie do Warszawy? powtórzył machinalnie.

— Chcę tam znaleźć pana Teodora.

— Chcąc znaleźć, potrzeba szukać... a szukać — to przyjemne zajęcie, rzekł jakby do siebie Stani-

ślaw. Ja już nie mam czego szukać... szczęśliwi, co szukają!

— Nie można się w tym domu z nikim dogadać: sługa wykpiasz a pan—warjat, mruzczała do siebie pod nosem klucznica. Nareszcie rzekła głośno:

— Nie wiem, gdzie mieszka pan Teodor; zajechałam tu naumyślnie prosić pana o jego adres.

— Adres? i owszem, zaraz napiszę.

Z temi słowy podszedł do biurka, wziął ćwiartkę papieru i kilka słów napisał. Skończywszy, z piórem w rękę oparł się na stole, opuścił głowę i zadumał się. Może obraz zmartwychwstania przesunął się przed jego oczami. Nagle otrząsnął się jakby z dziwnego uśpienia, wziął zamiast napisanego adresu, jeden ze swoich biletów wizytowych i podał go klucznicy. Ta przeczytała nazwisko i trzymając bilet w rękę patrzyła, jakby pytając, co ma z tém zrobić.

— Co pani tak się patrzy na mnie?

— Myślę nad tém, jak podług tego nazwiska znajdę mieszkanie pana Teodora.

— A — omyliłem się — przepraszam. Oto adres dokładny, rzekł Stanisław, szybko odbierając swój bilet i podając ćwiartkę z adresem. — To uczyniwszy znowu spoglądał na sufit.

— Nie ma co robić u tego pana. Dusza jego gdzieś na innym świecie. Nic go poruszyć nie mo-

że; — rzekła do siebie wdowa i podziękowawszy za adres, pośpieszyła do swéj najętej bryczki.

Po jéj wyjściu Stanisław upadł na sofę i zakrył twarz rękami.

Klucznica szczerze chciała usłużyć Zofji, śpieszyła więc jak tylko mogła. Po upływie dwóch godzin przejeżdżała przez znane miasteczko — rezydencję Micusia.

Nie mając nic do czynienia i nudząc się tylko podróżą, poczciwa kobieta gniewnie była zamyśloną, gdy nagle zbudziły ją z tego zamyślenia głosy zbliżającego się tłumu. Furman konie zatrzymał; klucznica szukała wzrokiem przyczyny tego ruchu, lecz jakże się zdziwiła, gdy w samym środku owéj gromady ujrzała Micusia we własnéj osobie, po obu stronach którego postępowali dwaj słudzy urzędowi. Micuś szedł szybkim krokiem, patrząc prosto przed siebie, ale jakby nic nie widząc. Stary cylindrowy kapelusznik nasunięty był na oczy; ponury wyraz jego prostackiéj twarzy nabrał dziwnej srogości przez zaciśnięcie ust i zębów. Zdawało się, że zgrzyta ze złości. Tuż za nim zdążyły bardzo ożywione i spocone od nagłego pośpiechu jakieś kobiety, na oko średniego stanu, głośno mówiące coś do siebie przy wyrazistéj gestykulacji. Otaczał zaś te główne osoby tłum miejscowego żydostwa i mieszczan.

Od gadatliwej przekupki dowiedziała się, że Micuś wplątał się w pewną sprawę co do znalezionych przez niego i zatrzymanych pieniędzy. Dalej dowiedziała się, że służąca gospodarza domu, w którym mieszkał, podpatrzyła jak liczył pieniądze i zawiadomiła prawego właściciela; to było powodem rewizji, przy czém, pomimo najuroczystszych zaprzeczeń Micusia, znaleziono pieniądze.

Klucznica dowiedziawszy się o tym dziwnym wypadku z Micusiem, wzruszyła tylko ramionami, i nie uczuwszy żadnego żalu, wsiadła na swoją bryczkę zdążając ku Warszawie.

XIV.

in Ci którzy nigdy wyższych nie doświadczyli radości, nie pieścili nadziei pełnych uroku, albo też nie doznali w rzeczywistości szczytnych wzruszeń serca, poglądają nieraz z szyderstwem na zachwyty dusz młodych, rwących się ku ideałom, obiecujących sobie w połączeniu z duszą lubiej, niewysłowione roskosze.

Ale nie czuć nigdy, albo stwardnieć na wrażenia szczytne, nie znaczy bynajmniej osłabić promienną dziedzinę świętego uroku.

Bo czyż ten urok, zawładnąwszy istotą, nie stwarza jej świata, nie zapełnia sobą może długich szeregów dni, czy nie daje często życia zamiast smutku?

Urok będąc złudzeniem jest najprawdziwszą rzeczywistością. Gdyby nie było uroku w życiu, to życie byłoby ciężarem nad siły.

Czyż ideał, pomimo że nie jest rzeczywistością, nie ma prawa na nazwę rzeczywistej potęgi?

Ewangelja Chrystusa jest ideałem a jednakże zdołała stworzyć nową społeczność.

Dosięgnąć ideału trudno; ale nie czuć jego promieni, może chyba ślepy.

I ślepemi są ci, którzy z szyderstwem patrzą w dziedzinę miłości, nazywając ją przemijającym światem złudzeń.

Jeżeli z nią nadzieja rozkwita, serce całym światem od dycha, jeżeli z nią siły się wzmagają, szczęście z jasnej przegląda źrenicy;— jeżeli bez niej człowiek trapieje, serce kamiennym staje się młotem, jasne, niebo nie ciągnie oka do siebie a zgryzoty rozdierają piersi: nie jest że wtedy dytykalną rzeczywistość potęg idealnych?

Wszystko pada i maleje nam w oczach, kiedy nas nie ożywia jakakolwiek postać szczęścia...

Nikt nie czuł tak doskonale tego na sobie jak Teodor.

Spadł z jednego świata w drugi. Był to świat utrapienia. Kołatał się po nim jak mara. Zdawało się że nic nie miał do czynienia z ludźmi, temi ludźmi których kochał w głębi ducha. Ale ponieważ wydarto mu istotę, którą kochał nad wszystko — inne więc istoty znikły z przed jego oczu. Patrzył dotąd na wszystko, ale gdy słońce jego zagasło, nie mógł niczego dostrzedz w ciemności.

Najwięcej trapiło go to, że nie mógł wymyślić sposobu dowiedzenia panu Franciszkowi czystości swoich zamiarów. Pan Franciszek zawsze mu dawał poznać, jakoby rozumiał, że Teodor nie starał się o nic innego, jak tylko o posag. „Jak wypro-

wadzić z błędu tego ciemnego człowieka? Jak go przekonać że sam jedynie anioł, którego on jest ojcem, przykuwa los mój do siebie? Jak zwyciężyć sąd tak fałszywy?“—myślał Teodor i nie znajdował żadnego sposobu. „A zresztą, choćby nawet i zdołał zrozumieć, że pragnę jedynie jego córki — nie poprawiło by to wcale mojej sprawy, albowiem on ją uważa jako towar, jako środek wywyższenia się; on gotów oddać ją w jakiegokolwiek ręce, byle były pieniężnemi. Uważa po prostu za niemożliwe, za niepodobne, oddanie jej w zamęcie człowiekowi bez majątku. Dziwna, bo właściwie w takim razie nic nawet nie zyska; oddając ją bogatemu, będzie musiał opatrzyć ją posagiem. Gdyby zaś mnie ją oddał — myślał dalej Teodor — nie potrzebowałby nic tracić, ukląkłbym przed Zofją, jako przed istotą, której prócz jej anielskich czarów nic więcej nie potrzeba. Weszłaby do mnie i napełniła moje mieszkanie bogactwem szczęścia, jasnościami spojrzeń, uśmiechów! Tak, nie ma na to rady, trzyma ją w szponach i nie puszcza. Jeden tylko byłby sposób, zdaje mi się, najskuteczniejszy, ale to sposób niepodobny do zastosowania w praktyce. Sposobem tym byłoby pozbawienie go majątku, ale takiego sposobu może użyć los chyba jeden. Gdyby mu wydarł majątek, wydarłby mu jego dumę. Co za szczególne położenie! Nikomu nigdy źle nie życzyłem, a tymczasem teraz radbym go widzieć że-

brakiem! Przydeptany nieszczęściem, bez rogów, oddałby mi moją najdroższą! Z jakąż radością, z jakim tryumfem dowiodłbym mu wtedy, że nie pragnąłem jego posagu!

Temi myślami zajęty był Teodor, gdy pałając chęcią ujrzenia swego ideału, nie mógł uczynić żadnego kroku do zbliżenia się z nim z obawy, aby mu nie przysporzyć cierpień i prześladowania.

Pewnego dnia kiedy jak zwykle, po powrocie z przechadzki, starał się przytłumić smutek czytaniem, jego Zofja zdawała mu się być bliższą niż kiedykolwiek. Co rzuci okiem na książkę i kilka zdań pochwyli, kładzie ją i nagle się obraca, jakby szukał jęj postaci. Samotność uczyniła go tak drażliwym i wrażliwym, że odległość dzieląca go od kochanki, prawie znikła. Twarz Zofji towarzyszyła mu wszędzie i nie pozwalała mu czytać, mówić, myśleć o niczem inném, jak tylko o nięj.

Czytał jakieś dzieło przyrodnicze. Oderwawszy oczy od książki i spojrzawszy wgląd' pokoju, jakby za lubym sobie obrazem, westchnął ciężko i znowu chciał czytać:

„Jestestwa organiczne, napełniają świat w niepojętej liczbie. Począwszy od kropli wody aż do ogromnych oceanów wszystko zamieszkane. Od pół martwych, pół roślinnych, aż do najwyżej ukształconych—szereg tworów przedstawia łańcuch, przed

którego nieskończonością cofa się badacz. — Istoty doskonalsze“...

Tu książka opadła znowu na stół. Czytelnik zamyślił się nad istotami doskonalszemi i w tejże chwili, jako przedstawicielka czegoś najdoskonalszego, błysnęła przed nim postać Zofji. Zaczęły mu świecić jój oczy, schyliła się ku niemu jój kibić niewysłowionego wdzięku, dotknęła go jój ręka jak skrzydło anioła. Przedstawiła mu się istotą tak doskonałą, że czytanie utonęło w tym kształcie jaśniejącym.

„Człowiek zaiste może się nazwać szczęśliwym, że w tym olbrzymim łańcuchu zajął miejsce dosyć wydatne. Prawda, brak mu wiele; z tém wszystkim tyle ma przymiotów, tyle potęgi umysłu, tyle wrodzonej zręczności i wyższości nad innemi stworzeniami, że prawdziwie szczęśliwym nazwać się może...“

Po przeczytaniu tego ostatniego słowa Teodor znowu położył książkę.

— Bardzo jest elastycznym ten wyraz — szczęście! Zaiste, szczęśliwym jestem w obec pewnych stworzeń, ale gdzież moje szczęście, gdy sobie przypomnę pana Franciszka! Ha, to prawo ogólne pojmowania szczęścia. Prawda że nie pełzam i nie śpię w norze, ale!...

Tu Teodor długo się zamyślał i znowu chwycił za książkę, zawoławszy:

— Czemuż ja łączę rozumowania badacza natury z rozumowaniami ludzkiego serca! Następnie czytał dalej:

„Natura jest opiekunką wszystkiego, ona pamięta o wszystkim, nic przez nią nie jest pominięte. Natura więc jest niby zamknięciem boskiego prawa w postać kochającą, w której objęciach, jak na Ionie...“

Tu znowu książka upadła, ale już na ziemię. Przed oczami Teodora zjawiała się pewna postać tak gwiazdzista, kochająca, że natura, mająca niby takie przymioty, nie mogła go już zajmować. Powstał z miejsca i krokiem szybkim zaczął chodzić po pokoju.

— Nie, czytać nie mogę! Są w życiu chwile, kiedy miłość jest potężną, kiedy zasłania sobą świat cały, kiedy sobą całą istotę naszą zapelnia. Ja jestem w tej chwili uroczystej życia. Czemuż!..

Tu zatrzymał się i oczy ręką zasłonił. Ale wkrótce z dumania tego obudziły go uderzenia we drzwi osoby obcej, której ręka widocznie szukała klamki.

Teodor pobiegł drzwi otworzyć i cofnął się ze zdumienia. Przed nim stała klucznica, Janowa. Zdawało mu się, że widzi na tej osobie ślady światłości, w której jaśniała mu Zofja. Wprowadził ją do pokoju, jak się wprowadza człowieka, któremu cześć oddają. Przyjaciółka, powiernica Zofji u niego — to radość nad radości! Pocziwa klucznica

nigdy w życiu pewno nie odbierała takich oznak uszanowania.

— Pani Janowa, wołał Teodor przytłumionym głosem, sadzając ją na pięknej sofie. Pani Janowa, boję się żeby mi się pani nie ulotniła, żeby to nie był sen tylko! Wszak prawda, że pani jesteś przyjaciółką Zofji? Dziwna rzecz, tak mi pani jesteś pożądaną, że boję się uwierzyć swojemu szczęściu!

Klucznica widząc się w ten sposób uczczoną i siedząc na miękkiej sofie, poglądała na Teodora okiem tak życzliwym i rozradowanem, że i on zaczął nabierać jakichś nadziei.

— Czy Zofja zdrowa, szczęśliwa?

— Zdrowa, dzięki Bogu, ale czy szczęśliwa... e, pan sobie żartuje, jakżeby mogła być szczęśliwą bez pana. Chyba że pan już bardzo szczęśliwy bez niej — mówiła z pewnym złośliwym uśmiechem pani Janowa.

— Ja szczęśliwy!

— A czemuż pan pyta się o jej szczęście? To tak samo, jakby kto rozerwał człowieka na dwoje a potem się pytał jednej lub drugiej połowy, czy jej dobrze na świecie.

— Ale pani Janowa — cóż Zofja?

— Zofja siedziała w ciemnicy — za pana. Oto jej szczęście.

Teodor zakrył oczy rękami. Klucznica mówiła dalej:

— Powiedziałabym, że za takie pytanie nie powinniśmy pana kochać, gdybym nie widziała, że i pan zmizerniałeś troszkę. No, nie smuć że się pan — siedziała w ciemnicy, ale już nie siedzi.

— Tak, a któż jęj tamto wynagrodzi! mówił ze schyloną głową Teodor.

— Och, można to jeszcze wynagrodzić, chyba że pan mało liczy na siebie.

— Pani Janowa, wy sobie żartujecie z takich cierpień!

— A tak tak, zapewne, i właśnie z wywieszonym od niewywczaśu i trudu językiem jak pies gończy, nie odpoczywając i nie nocując nigdzie, przybyłam tu do pana, sama kobieta do kawalera, ze wsi o mil dwadzieścia — ażeby z takich cierpień żartować. Wybornie pan odgaduje ludzi i ocenia, nie ma co mówić!

— Więc nie wiem, co mam myśleć — pani Janowa, miejcie litość, niech się dowiem czegokolwiek o Zofji.

— To mało.

— Jakto mało?

— Cóż znaczy tylko wiedzieć. Można wiedzieć, można się czegokolwiek dowiedzieć i być jeszcze smutniejszym, czyli że wiedzieć nie znaczy — mieć.

— Pani Janowa — to tortury.

— I mnie wytorturował pewien Gruby Jantek, ale niech mi pan nie przerywa, bo nie skończę.

— Kończ-że pani.

— Cóżbyś pan na tem skorzystał, że panna Zofja kocha pana? widocznie nic, a tymczasem, jeżeli ja panu powiem, że będziesz miał Zofję, że Zofja będzie należeć do pana, w takim razie —

— Pani Janowa, czy to prawda? — Zofja moja!

— Pan tak mówi, jakby nie chciał, ażeby była.

— Zofja moja!

— A czyjaż? Właśnie przyjechałam tutaj po to, ażebyś pan spróbował jeszcze, czy się wzięść nie da.

— Co do niej — to nie wiem... ale czy da ją wzięść jej ojciec.

Tu opowiedziała pani Janowa szczegółowo to, co zaszło od czasu wyjazdu Teodora i o czem już wiedzą czytelnicy.

— Cóż czynić w tém położeniu? zapytał Teodor po wysłuchaniu opowiadania klucznicy. Nie widzę w tem bynajmniej polepszenia mojej sprawy.

— Ech, proszę pana, widać że są pewne sprawy, gdzie dojrzałe wdowy są domyślniejsze niż najbardziej zakochani panowie. Chyba pan chce czego więcej oprócz panny Zofji?

— Ależ niczego więcej na świecie nie pragnę, tylko nie wiem —

— Co robić? Ja panu powiem. Niech się pan ze mną zabierze — pojedziemy razem.

— Dokąd? — zawołał zdziwiony Teodor.

— A gdzież jeżeli nie do rodziców panny Zofji?

Teodor zdrzął z radości.

— Co pani mówił

— To właśnie panu mówię i pana to zadziwia?

— Zadziwia, nawet bardzo. Żebyśmy czasem sprawy tém nie pogorszyli.

— Niech się pan zda na moje kobiece przeczucie.

— A jeżeli przeczucie omyli?

— Czy pan nie odważy się na pomyłkę dla panny Zofji!

Ja gotówbym zmylić się i tysiąc razy, jeżeliby tego potrzeba było dla Zofji, ale obawiam się, żeby ta właśnie pomyłka nie uzbroiła ojca na córkę i żeby jój jeszcze bardziej nie prześladował; tak przecie przyobiecał.

— Panie Teodorze, — od owego prześladowcy do dzisiejszego ojca panny Zofji jest tak daleko, jak od piekła do nieba. Niech się pan zda na mnie. Poprosi pan o rękę i wszystko będzie zakończone.

Teodor niedługo się namyślał. Jaśniejący ideał jego zanadto uroczo go wzywał; a jeżeli się chwilę wahał, to tylko dla tego, że się obawiał, aby nie zaszkodził Zofji. Zwyciężywszy ten skrupuł, już nie miał nic coby go wstrzymywało, gdy natomiast wabiło go wszystko w błogosławione miejsca jej pobytu. Ruszył więc jak mu to radziła pani Janowa z nią razem.

Choroba pana Franciszka przesiliła się już do tego stopnia, że chociaż wstawać jeszcze nie mógł, odzyskał jednak przytomność umysłu i spokojność. Wypadek z jego funduszami i choroba dziwnie go zmieniły. Jak zwykle u ludzi, pokładających wszystkie swoje nadzieje w pieniądzech, tak u niego wszystko z tym niespodziewanym ciosem upadło. Ziemia, zdawało mu się, z pod stóp jego wydartą została; nie miał za co pochwycić, oprzeć się na czym, nie miał już o czym myśleć — został zniewieczonym. Gdy to, co było jedynym przedmiotem jego myśli i planów, znikło — pan Franciszek był jak głaz, ubezwładniony, bezmyślny.

W takich to właśnie wypadkach wyjawia się wyższość ludzi dobrych chęci, ludzi serca, ludzi, którzy oprócz zwyczajnych spraw życia pieczą w duszy ideały. Wtedy to w razie utraty lub uszczerbku mienia, stanowiska, dobrobytu, sławy i t. p. występuje przed ich oczy niebieski przewodnik, któremu hołdowali całe życie, niezależnie od utartego toru spraw codziennych, lub celów nie nasycających moralnej natury człowieka. Wówczas pozostaje im jeszcze cała natura, niebo, muzyka, księga, miłość rodziny, roskosze miłości ojcowskiej — pozostaje im świat prawdziwego życia, dla którego właśnie istnieją wszelkie sprawy i przedsięwzięcia, od najdrobniejszych do najwyższych.

Bohater, prawodawca, myśliciel, badacz natury, wynalazca — wszyscy oni działają dla zapewnienia ludziom — szczęścia. Gdyby w działaniu ich nie było treści moralnej — czyny ich spotykałaby nienawiść społeczna.

Pan Franciszek, niestety! nic nigdy nie miał na myśli oprócz zaokrąglenia swoich funduszków w taki sposób, aby przeciwko jego *pocziwości* nic nikt powiedzieć nie mógł. Licząc długie godziny w półomdleniu, w jakie wprawiała go choroba, czuł się jakby w trumnie; świadomość utraty funduszków razila jego mózg wstrząśnięty, niby młot grobowy, świat już nie miał dla niego żadnego powabu. Żadne inne uczucia, żadne inne nadzieje nie przyszły go pocieszać. Otworzywszy oczy zamykał je natychmiast, jakby bojąc się patrzeć na światło dzienne, w którym nie widział nic prócz pustyni... Stał się łagodnym jak baranek; zdawał się być gladjatorem umierającym, bezbronny, przyciśnięty, godny litości. Dawna surowość i tęgość umysłu odbiegły go zupełnie. Bezsilność jego miała coś dziecinnego; brak myśli i brak wszelkiego uroku gnębiły go zarówno.

W takim stanie duchowym, zaczął przychodzić do siebie pan Franciszek i odzyskiwać siły. Zaczął częściej oczy otwierać i zawsze spotykał przed sobą jedyną postać, która, zdawało mu się, nigdy go nie opuszcza. Była to, jak pamiętają czytelnicy,

postać prześlicznej Zofji, która odchodziła tylko wtedy od łoża ojca, gdy ten zasypiał i zjawiała się znowu po chwilowym odpoczynku.

Widzieliśmy także, jak pewien wstyd i żal uczuwał, patrząc na córkę i matkę, czuwające przy jego łóżku, ale widzieliśmy przytem, że nie ożywiło to jego serca. Zapewne, poczuł się ojcem, ale w ostateczności, a uczucie to o tyle słabszem było od górującego nad wszystkiemi jego myślami ciosu majątkowego, że nie mogło się zdobyć na żadne słowo, żadne porozumienie z temi słabemi istotami, które deptał niedawno. Były to zaiste lube dla niego obrazy, ale nie wzruszały go, nie podnosiły, nie targaly węzła ojcowskiego serca, nie przejmowały go, jak Jakóba w Biblii, bólem radości we wnętrznościach.

Choroba trwała już dosyć długo, a chociaż pan Franciszek nie mógł się podnosić, lecz tyle siły odzyskał, że sen dziś go nie zaspakajał. Często więc całe godziny z oczami otwartemi przepędzał. Ale oczy te zwrócone były po większej części w ścianę, lub w którykolwiek punkt pokoju, chociaż Zofja prawie zawsze czuwała nad nim. Mimo usiłowań nie mógł zawiązać, albo raczej nie umiał zacząć rozmowy. Córka jaśniała nad jego łóżkiem jak wdziałło świetlane i nie zdawała się należeć do—ojca! Niekiedy jednak Zofja umęczona ciąglem czuwaniem, oparłszy się o poręcz łóżka, zasypiała.

Wtedy pan Franciszek zaczął się jój przypatrywać. Dawniej, kiedy ją przysposabiał na kandydatkę do względów Stanisława, widział jój rumieniec i pełność twarzy. Teraz, w chwilach nocnej ciszy i smutku, śpiąca na poręczy łóżka Zofja utraciła oba te powaby. Zbladła i zmizerniała. Jój rysy zwłaszcza we śnie nabrały téj tragiczności, która graniczy z rozpaczą. Rysy te nie ożywione siłą woli, we śnie nabierały wieszczego majestatu, bo już nie były wyrazem woli, ale wyrazem duszy, a prawda duszy umie przybierać kształty uderzające. Twarz jój oświecona lampką nocną, bielą śpiącą, z pod jasno-płowych splotów, jak obraz tajemniczy. Był to jakby świetlany duch legendy, czuwający nad nędzą ludzką. Wszystko w tym pokoju było smutkiem, utrapieniem, zwątpieniem, upośledzeniem ducha — ona jedna, choć także smutna przez sen nawet, zatrzymała na sobie światło nieśmiertelne, bo światło piękna. Patrząc na nią, doznawałbyś jednocześnie żalu nad wyraz i radości nie wysłowionej. Kiedybyś na nią spojrział, byłbyś gotów wyzwąć świat cały za ból, jaki jój przyczynił i upaść pod jój stopy, aby tylko ona spojrziała na ciebie.

Pan Franciszek słysząc że przez sen coś szepcze, spojrział na nią i nie mógł już wzroku oderwać. I jego oczy przykuł do siebie ten wyraz tragiczny jój rysów. Szczególnie zaś kiedy szeptała, usta jój zdawały się wymawiać słowa niezmiernego cier-

pienia. Ojciec patrzył na córkę z pewnem przerażeniem. Twarz jęj miała żywość jakby na jawie, uderzała blaskiem wieszczym. Ojciec nigdy nie widział jęj w ten sposób ożywionęj, bo zawsze wyraz prawdziwych jęj uczuć znikał pod ciężką jego dłonią przymusu i surowości. Sen odkrył prawdę i siłę jęj wzruszeń, jęj cierpień. Pan Franciszek przeraził się i obejrzał naokoło, jakby pragnął czyjęjs obecności, oprócz obecności, córki, szepczącęj coś do cieniów nocy. Słuchał z bijącym sercem po raz pierwszy, szeptu swego dziecęcica. Zaczął słuchać z uwagą, jak się pragnie dolszyść słowa wyroczeni.

Nareszcie z potoku słów półrozumiałyeh wypłynęło i tych kilka, które pan Franciszek zrozumiał:

— Teodorze, mówię ci że to napróžno!... szeptała Zofja i twarz jęj złożyła się jakby do płaczu...

— Teodorze? to nikt inny, jak ów człowiek, którego nie lubił — pomyślał pan Franciszek. Ciągłe nim zajęta i cierpi.

— Po coś tu przyjechał!.. Ojciec się rozgniewał!.. zawołała Zofja głośnieję i obudziła się. Spojrzała na ojca i spotkała jego oczy: Złękla się tych oczu, które nie zwiastowały jęj nigdy nic, prócz gniewu... spuścila więc swoje.

To schylenie głowy było tak pełne znaczenia, że przemówiło nawet do serca pana Franciszka. Po chwili zapytał:

— Czemu ty nie idziesz spać Zosiu, jak się należy a przede wszystkim, czemu się tak smucisz?

Zofja nic na to nie odpowiedziała, chociaż łagodny ton słów ojca niemało ją zadziwił.. Ale jakże mu powiedzieć o przyczynie swego smutku!

— Zosiu, przecież ja ciebie się pytam.

— I tu mi dobrze, rzekła pocichu.

— A sny masz bardzo przykre...

— Sny? odpowiedziała zapłoniona. Ja sama nie wiem, dla czego.

— No Zosiu, jesteś dla mnie tak dobrą, że gdybym miał czem wynagrodzić, chętniebym to uczynił.

— Och, proszę ojca, nic już dla mnie nie potrzeba... aby ojciec był zdrow tylko.

— Lepiej żebym umarł, bo zostałem żebrakiem!

— To się poprawi; lepiej nie myśleć o tem.

— Ja też nie myślę, jeżeli mogę. Ale powiedz mi szczerze—nie zapominasz o tym Teodorze?

— Ojcu tak przykro słyszeć to imię! odrzekła Zofja drżąc ze wzruszenia i płonąć.

— Ale mi przykrzej, że słyszę je w snach twoich. Ha, teraz już zapóźno — nic nie mamy. Cóż że go kochasz — u biedaków noga jego nie postanie!

— U biedaków — jego noga nie postanie—powtarzała machinalnie Zofja, ważąc myśl, której dotąd nie powzięła. O! on niechciał bogactw—dodała.

— Gdyby tu przyszedł... mówił znowu ojciec — nie byłbym dla niego tak surowym. Ale on nie przyjdzie. Będiesz miała dowód, jak niebezpiecznie jest kochać byle kogo.

Zofja na serjo starała się zbadać, czy jest na jawie.

— Nie byłby ojciec dla niego tak surowym! zawołała nagle ożywiona, chociaż głosem cichym. O! to on przyjdzie, on się tu zjawi choćby z za tysiąca mil.

— Jesteś tak pewna?

— O tak!...

To ostatnie „tak“ dźwiękło w cichym mroku nocnym, śpiewnie i pięknie nad wyraz. Był to jakby sygnał nadziei wśród posępnej ciemnicy spraw ludzkich.

Ale te same sprawy często tak prozaiczne, albo okropne, biegną przez obszary, w których napotykają serca pełne niebios, dusze pełne wieszczęj potęg. Świat czasem na pochyłościach przepaści i nieszczęść spostrzega aniołów, przepowiadających lepszą dolę.

Zofja była jednym z tych aniołów. Niewinna jak lilja, kochająca polotem całej duszy, wierzyła w tego, który jęj szczęście zwiastował. Ta wiara doprowadziła ją do widzeń wieszczych. Marzyła we śnie, ale tym snem była rzeczywistość. Biała jęj dusza przeczuła zbliżanie się ukochanego. Zofja przeła-

mała zwykłą swoją trwozę, gdy słyszała fałsz zadawany jego uczuciom, a jój „o tak!“ na pytanie ojca, brzmiało jak całe hymny.

Nie znikło bowiem jeszcze echo tego słowa, gdy na dziedzińcu zaturkotała bryczka, w której jechały dwie osoby. Było około godziny trzeciej z rana, zdziwił się przeto pan Franciszek, że o takiej porze ktoś dom jego nawiedza. Noc była piękna, jesienna, księżyc świecił na niebie bezchmurnem.

— Ktoby to mógł się zjawić w takim czasie? rzekł niespokojnie pan Franciszek, mając na myśli pozwy o wypłaty majątkowe. Zobacz Zosiu przez okno.

Zofja drżąca i jeszcze bledsza niż przedtem, podeszła ku oknu. Właśnie ktoś wyskoczył z bryczki; dziewczica chwyciła się za piersi.

— No cóż? czy się nie domyślasz — czy nie widać?

— Widać... rzekła Zofja słabym głosem, patrząc na obie postacie, które wyszły z bryczki i zdążyły szepcząc, ku bocznemu wejściu.

— Któż to być może — czy nie rozpoznajesz?

— Rozpoznaję —

— Więc któż?

— Teodor! zawołała z wysileniem i przysiadła półomdląła ze szczęścia na krześle, które stało przy oknie.

Nie będziemy opisywać tych szalonych przejść od trwogi do nadziei, które przeżyła Zofja; czytelnik przebywał je zapewne nie raz, albo przynajmniej raz w życiu podczas przesilenia swego losu. Przekonywa się wtedy człowiek, że posiada to, co nazywają sercem, przekonany się, jak blizkiemi są dreszcz śmiertelny i uniesienia radości, gwiazdziste obrazy wiary i nieme przepaści zwątpienia. Szczęście, jasność życia, pociąga go w formach najpowabniejszych—wtém czarny obraz niepewności zakrywa te formy. Śniłeś zieloność i wiosnę—przychodzi powiew zimowy i martwota północy; śniłeś spoczynek, wesołość, przyjacielskie zabawy — zjawia się na widnokregu widmo intrygi, śmierci, zdrady; pracując znaczną część życia w obczyźnie, wracasz nareszcie aby zobaczyć ojca, unosisz się radością, obiecujesz sobie tysiące roskoszy, zagroda rodzicielska uśmiecha ci się w złotych blaskach dzieciństwa — tymczasem widmo pustki, choroby albo innych nieszczęść paraliżuje twój polot, radeby wstrzymać twój przyjazd. Zdaje się, jakby człowiek stworzonym był na to, aby odczuwał dwa krańce, dwie wojujące ostateczności, aby nie znalazł, co jest łagodny uśmiech szczęścia, aby wpadał z szczytów nadziei w bezden śmutku!... Łatwo więc wyobrazimy sobie wzruszenia Zofji, jeżeli pomyślemy, że jéj wzruszenia niosły ją tam, gdzie serce najpotężniej panuje i rozkazuje, gdzie unie-

sienia są arcy-uniesieniami, gdzie nadzieje są prawdziwie niebieskimi, — jeżeli pomyślemy że Zofja, która dotąd nie zaznała szczęścia, ujrzała błysk jego pierwszy w postaci kochającego mężczyzny!

Nazajutrz pan Franciszek życzył sobie widzieć się z Teodorem. I jego zadziwiło niemało tak niespodziane przybycie człowieka, któremu tyle nagadał przykrości; przychodziła mu nawet myśl, czy czasem nie przybył naigrawać się z jego nieszczęścia; bądź co bądź, postanowił zobaczyć się z Teodorem. Wydał zaraz Zofji polecenie, ażeby zrana poprosiła go do niego. Dziewica przebywszy jeszcze w pokoju chorego ojca z pół godziny, może umyślnie aby się uspokoić, wyszła wreszcie przywitać się z przybyłymi. Poszła do pokoju matki, ale znalazła ją śpiącą po długim w nocy czuwaniu wraz z nią przy chorym mężu. Wyszła więc ztamtąd pocichu i ukazała się w gościnnym pokoju, na którym palił się dopiero co rozniecony z rozkazu klucznicy wesóły ogień na kominie. Gdy weszła Zofja, spotkała ją klucznica, która zasłaniając sobą Teodora i biorąc się pod boki rzekła z uśmiechem udanej dumy:

— Panno Zofjo, przepraszam za kłopot, że o takiej porze gościa przywiozłam.

— Przepraszamy za przykrość, dodał podchodząc Teodor.

Zofja spojrzała na jedną i na drugiego i nie wiedziała, co począć ze szczęścia; doświadczała istotnie pewnej przykrości, ale tak niebiańskiej i tak świetlanej, że chciałaby w niej umrzeć. Dwie łzy jak perły zabłysły na jej policzkach i spływały migotając od purpurowego płomienia w kominku. Spojrzała na Teodora płacząca i szczęśliwa; zdołała wyrzec tylko:

— Dziękuję!...

Teodor szybko przysunął się, schwycił ją za rękę i ucałował gorąco.

Klucznica odeszła na stronę z udanym znowu gniewem.

— Mój Boże — mówiła — tyle się najeździłam i natrudziłam a nikt o mnie nie dba. I po co to jeszcze usługiwać tym młodym!

Usiadła potem przy kominku pozwalając tym właśnie młodym rozmawiać dowoli. Najpierwszą wiadomością, którą Zofja powierzyła Teodorowi, było polecenie jej ojca, aby się jutro z nim widział. Można sobie wyobrazić, jak polecenie to uszczęśliwiło Teodora.

Byliby tak rozmawiali ciągle, gdyby nie pani Janowa, która zmęczona podróżą i nie mogąca przezwyciężyć snu przy ciepłym kominku, choć niechętnie, przerwała tę lubą rozmowę.

O godzinie dziesiątej rano Teodor gotów już był do przedstawienia się choremu ojcu. Wprowadziła go śmiała klucznica.

Postępując za nią Teodor doświadczał wrażenia, jak gdyby się zbliżał do jaskini grubego zwierza, obsaczonego i przypartego do jej głębi. Sprzęty bowiem nawet zdawały się świadczyć o posępnych upodobaniach swego pana. Owe brudne, kraciaste pokrowce, owe obrzydliwe sofki i stoły, obrazy częstochowskie w opstrzonych przez muchy czerwonych politurowanych ramach, owe cuchnące jakąś pleśnią pustki w pokojach, miały także swoje głosy. Należąc do bardzo zamożnego niedawno człowieka, głosiły wyraźnie, że od ich pana niczego duchowego, radosnego spodziewać się nie można. Nie miał on ani jednego z upodobań, przejawiających się w estetycznej rozrywce, w estetycznych sprzętach. Nie widział tam ani kwiatu, ani książki, ani wytworniejszego mebla, ani posążku, ani porządniejszego malowidła. Wszystko to zdawało się obwieszczać, że człowiek tu panujący musi mieć inne upodobania, kryjące się w pełnych pugilaresach i dobrze zamkniętych kuferkach.

Dreszcz więc pewien przejmował Teodora, kiedy się zagłębiał w to państwo posępne. Oko jego z nieprzezwyctężoném uprzedzeniem zatrzymywało się na tych brudach, które stanowiły mieszkanie człowieka, mającego taki skarb w domu, taką na-

dobną córkę. Jemu, jako kochającemu, wydało się to strasznym wandalizmem, jemu, który radby był rozesłać przed nią najpyszniejsze kobierce, radby był drogę jój usypał kwiatami!

Nareszcie przy jednych drzwiach zatrzymała się klucznica i wskazując ręką wejście, rzekła:

— Proszę.

— Proszę, proszę szanownego pana — dał się słyszeć chrapliwy głos z wnętrza pokoju.

Teodor wszedł i przywitał upadłego pyszałka. Prawie nie wierzył sobie, jak mógł się zmienić w ten sposób człowiek, który niedawno tak srodze go traktował. Zapominał o tém Teodor, że sam on reprezentował w tém spotkaniu potęgę treści społecznego życia, gdy witający go chory pyszałek przedstawiał nicość moralną. To, co ją dotąd maskowało, znikło, jakże więc mogła się przedstawić inaczej ta nicość młodzieńcowi, który żył i oddychał dla miłości, szczęścia, dla uczuć, który był jeszcze wulkanem. On stał na wysokości rozumień prawdziwie ludzkich, i radby był wetchnąć w świat swoją duszę ognistą — tamten konał z nicości; on czuł, że pomimo wszelkie burze losu, nie mógłby innym zostać jak dzisiaj — tamten straciwszy maść, którą smarował koła swego brudnego wozu życia, straciwszy pieniądz, wpadł w bezwładność. Nie mogły go wybawić żadne władze duchowe, bo ich nie miał.

Mimo to wszystko w przywitaniu Teodora przebijal szacunek, który mu natchnęła bliska obecność Zofji i pamięć na to, że chory jest jój ojcem.

— Niech pan siądzie tu przy mnie, oto krzeselko—brudne troszeczkę, no, co robić, jakto zwykle u hreczkosieja. Mój panie, młody jesteś, myślę jednak że masz już nie mało doświadczenia; powiem ci to tylko, że bieda doskwiera zawsze ludziom poczciwym. Kiedym za czasów mojej młodości czytywał książki, spotykałem tę prawdę prawie w każdój. Siadajże, siadaj kochany panie. — Racz mi też powiedzieć, jeżeli łaska, jakim sposobem znalazłeś się znowu w naszych stronach. Wątpię, ażebyś naumyślnie dążył w odwiedziny do poczciwój biedy. Pan jesteś młodym, pełno przed panem nadziei. Dla mnie tam starego już wszystko skończone. Ale proszę cię, panie Teodorze, siadaj, nie rób ceremonji, bo mnie zasmucisz, a zasmucić chorego człowieka jest grzechem.

— Dziękuję panu, siedzieć czy stać, wszystko mi jedno, bo najgłówniejszem jest to, że znajduję pana w tak przykrem położeniu.

— Jakto, wszystko jedno? czy to jesteś pan ekonomem, czy co? Równi z równymi rozmawiają w równych pozycjach, a kiedy ja wstać do pana nie mogę, to pan musisz siadać.

— To w takim razie—rzekł z uśmiechem siadając Teodor—do zupełnego zrównania się, potrzeba było, abym i ja się położył.

— Niech cię pan Bóg broni, abyś się w tym względzie zrównał ze mną. Moja choroba jest pierwszym stopniem do grobu. No, ale co tam będę powiedział o sobie, kiedy mam tak miłego gościa. Powiedz mi, drogi panie, co cię tu w nasze strony sprowadziło? Czy do pana Stanisława przyjechałeś?

— O nie, muszę się przyznać, że mało nawet myślałem w tym czasie o wiernym przyjacielu. Przyjechałem tu prosto z Warszawy, dowiedziawszy się o wypadku z pańskimi funduszami.

— Och ten wypadek! Jakto, w takim razie pamiętałeś o mnie?

— Pamiętałem więcej niż kiedy.

— Dla czego więcej niż kiedy?

— Bo w nieszczęściu człowiek bywa łaskawszym; myślałem więc, że łaskawiej zostanie przyjętym niż kiedyś, że będę mógł usłużyć panu w czémkolwiek.

— A — pan miałeś ten tylko zamiar? to szkoda mój drogi panie trudu na podobne rzeczy. Już ja tu sam jakoś trochę się wygrzebię z biedy, nim mnie z majątku wypędzą, — rzekł pan Franciszek znacznie chłodniej.

— Co do zamiaru usług... to ten zamiar tak jest naturalnym, że może być uważany jako konieczny przy innych zamiarach...

— Tak, tak, chyba przy innych zamiarach. A jakież mogły być inne pańskie zamiary?

— Panu te zamiary dawno są wiadome.

— Jakto i nie zmieniłeś ich teraz! Panie Teodorze namyśl się co robisz.

— Namysłać się teraz—zapóźno. Ta rzecz przeszła w postanowienie—w święte prawo serca.

— Ale może liczysz w czémkolwiek na mnie? Człowieku, młody człowieku, grubo byś się pomylił, gdybyś na co liczył z mojej strony. Nic mi nie pozostało oprócz pocziwego imienia. Bo widzisz, jestem ja człowiekiem trochę starzej daty, przywiązuje dosyć wagi do pocziwego imienia. Wy zaś, młodzi, trochę zepsuci, trochę za uczeni, lekceważący stare obyczaje, mało sobie cenicie pocziwe imię.

Teodor poglądał na mówiącego ze zdumieniem, chcąc pojąć, co on rozumie pod wyrazem pocziwy i jakie są czyny jego pocziwości. Ten mówił dalej:

— Sądzę więc, że wam młodym, przy zamięźciu, jedyne pocziwe imię za małym jest posagiem.

— Nie odpowiadam za innych, chociaż ten zarzut nie może się do wszystkich stosować; co do mnie, jak panu wiadomo, nigdy nie liczyłem na posag.

— Ja wiem o tém, ja wiem panie Teodorze, ale sam ja czułem się w obowiązku zaopatrzenia córki posagiem i dla tego...

Tu zaciął się pan Franciszek i nie wiedział co mówić. Teodorowi plątały się na ustach wyrazy, któremi chciał dokończyć zdanie interlokutora, ale przygryzł wargi i rzekł z uśmiechem:

— Co było a nie jest, nie pisze się w rejestr; mój pobyt terazniejszy w domu pańskim uważam za erę nową...

— A tak tak, uważaj to tak panie Teodorze, bo córka moja, która niedawno jeszcze mogła liczyć na posag, nigdy go już posiadać nie będzie!

— O żeby tylko tak było!

— Żeby tak było! Chcesz żeby nic nie miała?

— Panie chcieć tego, byłoby to cieszyć się z nieszczęścia, które dom ten nawiedziło, bo posag panny Zofji, był wypływem pomyślności jój ojca; gdyby więc posiadała go znowu — znaczyło by to, że ojciec znowu jest zamożnym, czego i ja życzyłbym panu, jako ojcu panny Zofji. Ale czy w takim razie, to jest w wypadku odzyskania posagu, miałbym ja dostęp do tego domu? obawiam się, że nie. Jeżeliby więc chodziło tylko o posag, to cieszyłbym się, gdyby go panna Zofja nie miała.

— Co ja widzę! Co to za zjawisko! Człowiek, który się cieszy, że nie ma posagul! Czy mówisz to otwarcie?

— Najotwarciój.

— I przyjechałeś tu wiedząc o mojem nieszczęściu?

— Dla tego jedynie żem się dowiedział, przyjechałem i — mówił powstając z krzesła — jeżeliby pan nie wziął mi znów tego za złe, przyjechałem po to, aby prosić o rękę panny Zofji.

— Jakżesz żyć będziecie?

— Wywalczyłem sobie byt niezależny. Nie będziemy cierpieć niedostatku.

— Jesteś pewny siebie, bez majątku?

— O tyle pewny, o ile to jest w mocy człowieka. W jakimkolwiek położeniu się znajdę, będę miał zawsze naswą własność to, czego złodziej nie ukradnie, nie zniszczy ogień, nie zabierze woda. Mam pewien dar od natury — który nazywają talentem. Po wielkich wysileniach, praca moja stała się produkcyjną. Pewne owoce tej pracy, chcę rzucić pod stopy panny Zofji... Jeżeli —

— Zwyciężyłeś! zawołał pan Franciszek i zamyslił się surowo.

Słowo to było dla Teodora natchnieniem. Słoneczny obraz szczęścia wyjrzał z poza ponurej twarzy groźnego przeciwnika, który już broń porzuca. Teodor spojrział panu Franciszkowi w oczy i mówił ze wzrastającym uniesieniem:

— Przewiduję więc, że mnie już pan nie odepchnie..

— O nie — człowieka z tak stałym charakterem!

— Ha, nie będę kłamał milczeniem. Nie mogę milczeć — przyzwolenie to jest dla mnie dzisiaj wszystkim! Bez tego byłem jakby tknięty paralizem

—od dzisiaj zaczyna się dla mnie uroczystość życia. Panie! jesteś jój ojcem, a zatem mogę cię zapewnić, że z nikim nie mogłaby być tak szczęśliwą, jak będzie ze mną. Wygląda to na zarozumiałość, a jednak zarozumiałością nie jest. Będę jój aniołem opiekuńczym, będę jój okiem, ręką, stopą, będę jój skinieniem. Panie, ciesz się, żeś odniósł tryumf nad swoją ku mnie niezyczliwością, bo ten tryumf jest szczęściem twego dziecka i szczęściem tego, który żyje tylko dla niego. Tak, ale to są wszystko rzeczy znane, oklepane; radość w takich chwilach jest zawsze jednakową. Ha, jeżeli czuję dumę, że'm stworzony człowiekiem, to radbym jednak zostać dziś czémkolwiek wyższém, mniej niż ja zwyczajném, aby ci panie dowieść, czém dla mnie jest Zofja! Oddając mi ją, oddajesz mi duszę, życie, nadzieję, siły, ufność w siebie i polot! Oddając mi Zofję, spełniasz wszystko moje! Teraz ręka pana jest mi pzyjazną—czy mogę ją uściśnąć!?

— Niech będzie zgoda między nami, rzekł pan Franciszek i wziął za rękę Teodora.

Porozmawiał jeszcze chwilę, a potem zadzwonił. Gdy przyszła jego żona, polecił jój poszukać Zofji i powrócić z nią razem. Powróciła wkrótce, prowadząc za sobą piękną dziewczę. Pan Franciszek uroczyście młodych pobłogosławił i prosił żony, aby ona uczyniła to samo, poczem opadł na poduszki

jakby z wysilenia. Obecni nie chcąc przeszkadzać jego spoczynkowi, wyszli coprędzej.

Od tej chwili Zofja ze zdziwieniem spostrzegła, że matka innym przemawia do niej głosem, innym tonem. Nie odstępowała ona teraz córki prawie ani na chwilę, z czego mocno był niezadowolonym Teodor, który uważał się za posiadacza uroków, jakie rozlewała wokoło jego ukochana, i za posiadacza wszelkiej wolnej jój chwili.

Dziwne to, ale do wytłómaczenia lat we takie przestoczenie się matki Zofji. Była to kobieta, która prawie utraciła swoją indywidualność pod grubym uciskiem pana Franciszka. Zwykle chodziła jak niema w swoim promienistym czepcu i co najwyżej, była tylko niekiedy wierném echem poleceń lub skinień męża, jeżeli się odzywała. Nikt nigdy nie słyszał jój sądów ani zdań własnych. Teraz widząc, że pan Franciszek złączył ręce młodych, uczucie matki z pod ciężaru bojaźni uwolnione, przemówiło z jój słabiutkiego serca. Chodziła nieodstępnie za córką, brząkając kluczami, mnąc róg fartucha, lub wstążeczkę czepka. Wreszcie zdołała pochwycić Zofję, kiedy ta była samą i, siadając posadziła swe dziecko obok siebie.

— Nie myśl dziecino moja, że ja cię nie kocham; nie ja to bylam winną *tamtemu!* Wyraz ten wymówiła ze szczególnym przyciskiem, odnosząc go do uwięzienia Zofji w lamusie.

— Ja nigdy nie przypisywałam tego mamie...

— Tak, moja najdroższa—mówiła pani Franciszkowa głosem niezwykle czułym—widzisz, przez całe życie, ja nie byłam tu w domu niczem innym jak służącą; musiałam milczeć, milczeć, milczeć. Widzisz, przez to odzwyczaiłam się od mówienia; przez to i do ciebie nic prawie nie mówiłam.

— A ja nieraz takbym tego pragnęła!

— Zosieczku, ja mam serce, a przez to myślę że mam, bo oto teraz, kiedy zabierasz się opuścić nasz dom, okropnie mi ciężko, ale to strasznie ciężko!

— Droga matko, ja kochałam matkę zawsze, rzekła Zofja kładąc czoło na jój ramię.

— Już teraz ani spać nie mogę, ani przyjmować posiłku.

— Ze smutku!

— Przecież tyś krew moja! Ja miałam to zawsze na pamięci, ale na język mi to nie przychodziło. Widzisz, bo mówić zapomniałam.

— Ale czemuż! Ja myślałam, że mnie i mama kocha mało!

— Kocha mało? Jestem bardzo wrażliwa; bojaźń zabiła we mnie wszystko na pozór. A jam się bała okropnie. Teraz za to odezwało mi się w sercu wszystko, co było przytłumione i z tego widzę, że bardzo trwożliwa kobieta, ale zawsze—matka!

Ostatnie słowo wyrzekła z wielkim wybuchem płaczu; łzami zalana przycisnęła do siebie Zofję,

która z całą słodyczą tej wielkiej nowiny, rzuciła się w objęcia macierzyńskie.

Tym to sposobem szczęście, które zajrzało do posępnego domu pana Franciszka, obok nieszczęścia, jakie go dotknęło, otworzyło usta nawet tej mumji przygnębienia i rozjaśniło radością matki jój oczy zwykle prawie bezmyślne. Pod wpływem dzieła jakie się dokonało, mimo niedoli, w domu tym odezwało się życie, jakiego nigdy przy dobrém powodzeniu nie było. Wielka tajemnica miłości! Jakżeż wielu musi być jeszcze ślepych, jeżeli tak często stają na przeszkodzie szczytnemu połączeniu serc kochających!..

Matka długo nie puszczała córki od siebie i poufną ich rozmowę przerwała dopiero klucznica, która chcąc czegoś od pani, znalazła ją trzymającą głowę Zofji w rękach.

— Musi już sprawa iść dobrze, zawołała z uśmiechem zadowolenia—kiedy gołąbeczka kryje się pod skrzydła matki. Cha cha, trzeba się śpieszyć, bo już tego niedługo.

— Pani Janowa, nie smućcie mnie—rzekła matka.

— Jakto niedługo? Alboż matkę utracę? rzekła znowu Zofja.

— Och, zaraz utracac; ja o tém nie mówię. Mówię o tém, że na prawo opiekowania się w sposób tak delikatny czeka także ktoś inny.

— Bądźcie cicho, pani Janowa!

— Panno Zofjo, proszę pamiętać, że to prawo obchodzi cokolwiek moją ambicję, bo kiedyś wiozła kogoś z Warszawy, mówiło mi przecucie, że on to prawo uzyska. Tymczasem, pan ten chodzi teraz samotny i bardzo a bardzo się nudzi. Przychodzę dowiedzieć się, co to znaczy.

— Pozwól mi się nacieszyć raz ostatni mojem dzieckiem, rzekła matka.

— Pani Janowa, żartujecie sobie ze mnie, ale was kocham, bo macie złote serce, mówiła Zofja.

— O ba! oprócz serca mam jeszcze i na karku cokolwiek.

— A, dobrą głowę—prawda, prawda! zawołały matka i córka.

— Czasem, moje panie, serca trochę za mało; trzeba być niekiedy przedsiębiorczą. Więc państwo wszyscy jesteście ze mnie zadowoleni? A, to i ja jestem z siebie zadowolona—rzekła radośnie dobra klucznica.

— Siadajcie przy nas, pani Janowa, porozmawiamy razem o przygotowaniach weselnych, mówiła matka.

— I owszem i owszem. Lubię ten przedmiot; w domu, gdzie się temi rzeczami zajmują, staje się wszystko czémś uroczystem. Te białe suknie, te kwiaty, welony, ta krzątanina około prześlicznej panny jakoś mi zawsze się uśmiechają...

— Siadajcie przy nas, powtórzyły obie kobiety, będziemy radzić nad tą uroczystością.

— Dobrze, ale gdzież usiądę? A oto usiądę tu sobie na dywaniku, na ziemi—mówiła klucznica, mieszcząc się przy kolanach Zofji i biorąc jedną jej rękę, gdy matka trzymała drugą. Na sofce siedzi matka i nie puszcza córki, co chce polecieć przesłiczna, biała do jakiegoś tam mężczyzny, do jakiegoś tam brzydkiego mężczyzny za żonę! Jak to zabawnie! Jakto, miałabym usiąść na krzeselku? Zdawałoby mi się, że jestem od panny Zofji za daleko, siadę więc przy jej przesłicznych nóżkach, które wkrótce ubiorę w białe trzewiki. Zemścimy się po raz ostatni na naszym klejnociku i wypieścimy, wycałujmy, zmordujmy koteczkę, nim od nas ucieknie nazawsze do tego niedobrego, co tam czyha za murem!.. No, no gadajcie panie, zeczynajcie; jak wyprawimy na gospodarstwo, to, co nigdy jeszcze nie gospodarowało? Jakto to będzie chodzić, myśleć, kombinować, a tu mąż... Bodaj to gospodarstwo! No, mówcież panie—od czego zaczniemy: czy od gospodarstwa, czy od ślubnej sukni?

Tym sposobem zaczęła się rozmowa, która trwała ku utrapieniu Teodora, bardzo długo i podczas której, trzy te kobiety doświadczały radości w życiu jedynych. Nigdy nie było im tak lubo i dobrze. Jedna była kochanką, druga matką, której serce po wielu latach przemówiło; trzecia przyjaciółką, ro-

zradowaną z tego, że ona niejako połączyła ręce istot pełnych miłości.

Stanisław nie zapomniał o Teodorze w stanowczej chwili jego życia. — Wiedząc o nieszczęściu, które spotkało pana Franciszka, jak również o tém, że jego przyjaciel także znakomitemi funduszami nie rozporządza, przyjechał do niego, aby się z nim rozmówić.

Po chwili rozmowy z panem Franciszkiem, który szeroko rozpościerał się przed gościem o swojej niedoli, czém bynajmniej nie natchnął współczuciem serca pożądanego sąsiada, Teodor zaprowadził Stanisława do swego pokoju.

— Co cię tu sprowadza, Stasiu? czy nie chcesz czasem zostać moim rywalem właśnie wtedy, kiedy u kresu moich oczekiwań i cierpień? rzekł z uśmiechem Teodor. Ty, w domu pana Franciszka?

— Przyjechałem do ciebie, aby właśnie ułatwić dojście twoje do kresu tych cierpień i oczekiwań.

— Zawsze ten sam! zawołał Teodor i uściśnął dłoń przyjaciela.

— Słuchaj Teodorze. Djament zapewne nie zyskuje na cenie, ani na blasku, gdy go się w złoto oprawia; oprawiają go jednak najświetniej, bo ma przymiot pierwszeństwa w swoim królestwie.

— Zgadzam się z tém zupełnie, ale dla czego ta problematyczna przedmowa?

— Jeżeli jest z jednej strony problematyczną, to z drugiej wprost odnosi się do najdroższego ci przedmiotu, a ten nie jest dla ciebie zagadką.

— Czy mówisz o Zofji?

— O nię mówię.

— Tém większa to dla mnie zagadka.

— Czyż Zofja nie jest ci pierwszą w królestwie ludzi? Nie odpowiadaj, bo chciałbyś odpowiedzieć, że jest więcej jeszcze niżli pierwszą, gdyby to było możliwém. Otóż godzi się, ażeby ten djament otoczyć świetną oprawą.

— Nie rozumiem.

— Ja ci wytłumaczę. Na tym fatalnym świecie znalazłeś los, który błysnął ci ognistemi głoskami szczęścia. To wiele, bom ja go nie znalazł i już nie znajdę.

Po tych słowach ciężko westchnął.

— Znajdziesz Stanisławie; prawe serca mają na świecie wielbicieli i wielbicielki.

— O pierwszych bym nie dbał—druga wpadła w bezdeń śmierci. Ale czemu zaczynasz mówić o mnie, kiedy ja chcę pomówić o tobie. Znalazłeś więc obraz, który przedstawia ci szczęście w postaci lubej i prawdziwie pięknej kobiety.

— Tak, znalazłem taki obraz i nie chcę nic więcej!

— Zaiste, to już wiele—granica pragnień, to wiele. Nie chcesz zatem więcej ty tylko, ale pozwól, abym chciał więcej ja—twój przyjaciel.

— Znowu nie rozumiem.

— Niedomyślny, — przyjaciel, przy tak uroczystej dla ciebie chwili, chce twój djament pomieścić w jak najświetniejszą oprawę. Jeszcze patrzysz na mnie i pytasz, co to ma znaczyć? Słuchaj więc dalej: Jakkolwiek wykuleś sobie w kamiennym tłumie ludzi byt niezależny, jest on przecież niezależnym o tyle tylko, o ile ci starczy na skromne potrzeby twojej słonecznej postaci i na zapewnienie wam cichego korzystania z życia. Nie jest to więc świetnością, godną tak wielkiego światła, jak szczęście.

— Przecież szczęście stworzyło światło, stało się słońcem.

— Dobrze, ale będzie lepiej, gdy słońce spotkaniem zostanie w podwojach twego domu tak, jak na to zasługuje. Słowem twoja Zofja, którą ty nazywasz słońcem, a ja djamentem, powinna znaleźć jak najlepszą oprawę, bo zresztą i słońcu przyjemniej, gdy świeci na przedmioty, godne jego światła.

— Zofja będzie patrzeć najprzód na mnie; czym ja jój niegodny?

— Och, wikłasz moje porównania; nie chwytaś za słowa, bo nigdy nie dojdziemy do ładu. Oprócz ciebie, Zofja spoglądać będzie także na dom, w który ją wprowadzisz. Dom ten powinien być przeto pięknie urządzone. Ty na to nie masz wielkich środków, gdy tymczasem ja — automat, posępne widmo krążące po świecie, mam tego aż nadto. Bo

to widzisz, zawsze tak bywa, że tam właśnie, gdzie gmach najpotrzebniejszy, nie ma materiału do budowy, a tam gdzie jest materiału do syta, nie ma budowiczego. Ty jesteś budowniczym a nie masz materiału, ja mam ten materiał a jestem—trupem.

— Stanisławie, bluźnisz.

— Mówię prawdę.

— Wszak żyjesz?

— Dla ciekawości co się później ze mną stanie, jeżeli się nie zastrzelę. Ale ciągle mi przerywasz. Umilknijże raz i pozwól mi dokończyć. Ażeby zatem twój djament godnie był oprawionym, przyjmij od przyjaciela to, co on uważa za zbyt cenne dla siebie, a co dla ciebie będzie mechaniczną pomocą, do uczczenia twej łubej. Musisz więc przyjąć odemnie tę paczkę, którą nazwałbym śmieciami, gdy by te śmieci nie miały znaczenia jednego z nerwów społecznych. Niepotrzebne mi to zupełnie; pleśnieje to i jestem w obawie, ażeby myszy nie zaczęły z tego użytkować.

— Pieniądze? a to na co?

— Zdaje mi się, że dosyć szeroko mówiłem, pragnąc objaśnić, na co.

— Nigdy. Kiedyżbym ci oddał?

— Kiedy by ci się podobało. Dla mnie ta kwapta jest niczem. Mam w kassie dwadzieścia razy tyle!

— Nie, teraz mi to niepotrzebne.

— Ja też nie na potrzeby to przyniosłem.

— Niepodobna.

— Jeżeli nie weźmiesz, spalę to w twoich oczach na ołtarzu przyjaźni. Ta paczka przeznaczoną została na rzecz przyjaźni. Gdy paczkę odrzucasz tak stanowczo—dla czegoż mam być mniej stanowczym? niech płonie na ołtarzu przyjaźni. A że spłonie, jeżeli nie weźmiesz, daję na to słowo honoru, którego nigdy napróżno z moich ust nie słyszysz.

To mówiąc, położył Stanisław paczkę na czapce Teodora, leżącej na stole. Teodor wiedział, że pogroźka przyjaciela czcząby nie była; nie mógł mu zatem odmówić, tembardziej, że nagle myśl mu jakaś błysnęła.

— Ha, przemódz ciebie nie można. Przyjmuję—rzekł Teodor i ścisnął przyjaciela za rękę.

— Prócz tego—mówił dalej Stanisław—wybieram się na bardzo długo za granicę, przeto dom mój pozostałby bezużytecznym i pustym. Chciałem cię prosić, abyś aż do czasu mego powrotu zajął go w swoje posiadanie i rozpoczął w nim życie twoje z żoną. Propozycję tę przyjąć powinienesz tém łatwiej, że nie czyniłbyś tego z potrzeby—bo masz własne mieszkanie i byt niezależny—lecz tylko dla przyjemności i spełnienia prośby przyjaciela. Nie odmawiaj, bo mi to bardzo przykro będzie. Zresztą połączmy to i z moją korzyścią; jeżeli dom i majątek zostanie pod twoim zarządem, natenczas nie będę się obawiać jego zniszczenia i kradzieży

rzadców. Jest to nawet pewien ciężar, którym w mojem przekonaniu obarczam ciebie.

— Czy koniecznie wyjeżdżasz i czemu za granicę?

— Wyjeżdżam koniecznie, bo już lepiej jeździć, niżeli siedzieć jak widmo w obec blasku zmartwychwstania.

— Zmartwychwstania!

— Tak, było tu prawdziwe zmartwychwstanie i było po to, aby ze mnie ostatecznie uczynić kamień niezwały.

— Stanisławie, wyjaśnienia.

Tu Stanisław opowiedział przyjacielowi zajście na cmentarzu, wylewając przed nim wszystkie swoje żale i smutki. Rozmowa ta wreszcie skończyła się na tém, że Teodor od dnia ślubu miał zostać opiekunem majątku Stanisława, który w tymże dniu postanowił wyjechać w podróż i donosić o sobie przyjacielowi dla przysyłania pieniędzy i prowadzenia korespondencji.

Dzień ślubu został wyznaczonym. Pomimo szczęścia, które, jak to widzieliśmy, zaświtało w domostwie pana Franciszka, trzy tam osoby można było chwytać od czasu do czasu na gorącym uczynku zadumy i troski.

Ma się rozumieć, że pan Franciszek pierwsze między niemi miejsce zajmował. Wstawszy z łóżka

wstał po to, aby się przygotowywać do porzucenia majątności, którą z takim mozołem przyprowadził do kwitnącego stanu. Czyż mogło go zajmować szczęście córki w obec takiej straty? Był on przede wszystkim gospodarzem, zawzięcie dumnym, a ojcem w dodatku tylko. Chodził więc samotny po polach i po stodołach z tak srogą miną, że obawiano się nawet, aby sobie co złego nie zrobił, jak ludzie mówili, czyli żeby się nie oddał rozpacz.

Drugą osobą zasmuconą była klucznica, pani Janowa, którą bardzo trapiła myśl rozłączenia się z kochaną swoją panną, gdy już zostanie panią. Niecierpliwa z natury, dała się już we znaki nie jednemu ze służących swoim zrzędzeniem i niesłychanym rygorem. Doszło nawet do tego, że rozbiła w przystępie złego humoru rzniętą szklanekę z kolorowego szkła, którą kiedyś dostała na imieniny od jednej ze swoich przyjaciółek. Pan Franciszek zapowiedział, że cała służba od nowego roku zostanie uwolnioną, chętnieby zatem i pani Janowa pojechała choćby na koniec świata ze swoją dzisiejszą panną. Ale cóż, kiedy przyszły małżonek będzie prowadzić dom i gospodarstwo bardzo szczupłe; jedna może skromna jaka służąca stanowić będzie całą służbę, ona więc, pani Janowa, jakkolwiek potrzebuje dla siebie nie wiele, nie mogłaby grać tak podrzędnej roli, to jest z gospodyni czynnej, dającej rozkazy, zmienić

się w warszawską kucharkę. Skarżyła się przeto ciągle przed Zofją i mówiła:

— Czemu to ten pan Teodor nie jest gospodarzem.

— Moja pani Janowa, prace jego cięższe są niż gospodarcze,—odpowiadała Zofja.

— To mało mnie obchodzi, mogą sobie być i cięższe; obchodzi mnie to, że te prace nie dają mu tyle, aby mógł przecież żyć z ludźmi, którzy go kochają...

— Jakto, pani Janowa, czy to ja nienawidzę Teodora?

— Ech, panno Zofjo, ja wiem, że się kocha tego pana, ale cóż z tego?

— Jakto, cóż z tego?

— Więc nic z tego, więc nic? A to mi wyborne! mnie to jakby już nie było na świecie. Ja mam być porzuconą, jak ta szklanka, co ją rozbiłam?

— Przebaczcie pani Janowa. Cóż robić. Ale jeżeli się rozłączymy, to nie nazawsze.

Po takich rozmowach Zofja całowała zwykle rozdaśaną klucznicę i uśmierzała jęj gniewy i żale, chociaż na krótko.

Trzecią osobą, na czole której także dosyć często zjawiały się chmury, był nie kto inny, jak sam Teodor. Troska ta pochodziła z przyczyny propozycji Stanisława i opatrzenia go pieniędzmi. Nie mógł zgryźć tego, że po wielkich usiłowaniach gdy doszedł do niezależności, znalazł się nagle oplątanym

w sieci przyjaciela. Wtenczas, gdy z pewną dumą i zadowoleniem myślał o rozpoczęciu nowego życia w skromnym, ale dźwigniętym własnymi pracami ustroniu, spostrzega się wprowadzonym do pięknego pałacyku i pomimo swój woli zaopatrzonym w pieniądze. Prawda, że to pochodzi od przyjaciela, ale zawsze plany jego skromnego życia zostały na jakiś czas przynajmniej sparaliżowane. Co do mieszkania i zarządzania dobrami Stanisława, uspokoił się nareszcie tém, że przyjąwszy na siebie tę rolę, będzie się starał, aby Stanisław żadnej ztąd straty nie poniósł; ale nie mógł sobie dać rady z owemi pieniędzmi, otrzymanymi od przyjaciela.

Takie było położenie osób wymienionych, w domu pana Franciszka. Jedna tylko Zofja jaśniała radością, bo choć myśl rozstania się z kochającymi i ją nawiedzała niekiedy, myśl ta jednak znikiała jako drobna i lotna chmurka w obec słonecznej miłości, unosząc ją ku Teodorowi.

Nie raz to już zauważono, że szczęście nie ma w sobie nic egoistycznego. Istota szczęścia leży w tém, że oświeca, rozgrzewa, wprowadza w swoje koło wszystko, o co zaczepi. Szczęście jest jakby jedną z sfer harmonijnych, w której blaskach wszystko uroczystą przybiera barwę.

Gdy więc szczęście po ciosach nieszczęścia zajrzało do domu pana Franciszka, nie mogło ono przejść

bez słonecznych śladów swojego nawiedzenia. Zobaczmy, jak dopełniło tego posłannictwa.

Po pewnej rozmowie Zofji z Teodorem, szczęście ukoronowało liljowe czoło dziewczycy większą niż kiedykolwiek radością, ożywiło jęj lazuruowe oczy większemi blaski. Szczęście klasnęło w dłonie jęj tak mocno, że aż z różowych zmieniły się w szkarłatne i uniosło ją—dokądże? Do pani Janowęj.

— Pani Janowa, słuchajcie! wołała Zofja ciągnąc za ramię gniewną przyjaciółkę, siedzącą na krześle przy oknie w swoim alkierzu.

— Czego mam słuchać—wolę nic nie słyszeć.

— Ale mówię pani, że lepiej teraz posłuchać.

— Czego? że panna Zofja za parę dni wyjedzie? Jest czego słuchać.

— Ale nie tego.

— Ciekawam czego?

— Chyba że pani Janowa już mnie nie kocha.

— Co to pannę Zofję obchodzi?

— Więc pani nie pojechałaby ze mną? Kto się tak gniewa, musi być złym na kogoś.

— A tak tak... ma panna Zofja rację.

— Więc nie zechce pani razem ze mną gospodarować?

— Gdzie, w Warszawie?

— Tu, w sąsiedztwie. Będziemy mieszkać na wsi i gospodarować.

— Panno Zofjo, bo rozbiję drugi kubek, a ten jest pamiątką po moim mężu! Zawołała klucznica zrywając się z miejsca i przyskakując do Zofji.

— Na co rozbijać kubki— lepiej się pocałować, bo będziemy razem!

I dwie przyjaciółki rzuciły się w objęcia, poczem nastąpiło wyjaśnienie.

W tym samym czasie Teodor spostrzegł czarną zadumę pana Franciszka. Ujrzał go pewnego razu wychodzącego z domu w pole z głową opuszczoną, z wyrazem twarzy tak złowrogim, że szczęście napełniające pierś Teodora, poruszyło się na ten przykry widok. I natychmiast szczęście to, niby biegun przeciwny, odpowiedziało na spostrzeżony smutek szlachetnym postanowieniem. Teodor szukał czegoś przez chwilę między swemi papierami a potem wyszedł za panem Franciszkiem. Dopędził go już w polu, gdzie nikogo prócz nich w bliskości nie było.

— A, to pan,— rzekł zrujnowany gospodarz, oglądając się i zatrzymując na odgłos kroków Teodora.

— Przepraszam, że może przerywam myśli; mam niewielki interes.

— Nie miewam teraz żadnych myśli; nie ma myśleć o czém, rzekł pan Franciszek ponuro.

— Czy uważa się pan za zupełnie zwyciężonego? Czy nic nie można przeciwstawić losowi?

— Żartuje pan ze mnie.

— Dostrzega pan to w moich wyrazach?

Wszystkim wiadomo, jak wielkiem jest moje nie-
szczęście.

I mnie wiadomo; chciałem właśnie pomówić o tém,
czy nie możnaby uczynić je mniejszém.

— Ha, mniejszém! — rzekł westchnąwszy pan
Franciszek.

— Mnie się zdaje, że to jest zawsze możliwém.

— Tak, przy pewnej małej rzeczy—

— Ja dokończę—przy dobrych—

— Pieniądzach, przy dobrych pieniądzach, panie
Teodorze.

— Ja zaś chciałem powiedzieć, że przy dobrych
przyjaciolach...

— Tu, pieniądz jest najlepszym przyjacielem..

— Nie, panie, bo przyjaciel może mieć najlepszy
pieniądz.

— Ha, przy moich zapasach pszenicy, która teraz
wysoko stoi, mógłbym... mógłbym cokolwiek wy-
brnąć... ale któż spojrz na zrujnowanego.

— Zapewne, pieniądz nie spojrz — ale przy-
jaciel...

— Nie mam przyjaciół...

— Ja będę jednym, jeżeli wolno.

— Pan? mówił gospodarz mierząc Teodora zdzi-
wionym wzrokiem.

— Jeżeli wolno, powtarzam.

— Zięć mój przyszły pyta się o to?

— Niechże więc przyszły zięć przekona się, czy nie możnaby zmniejszyć przykrości teściowi, za pomocą téj oto drobnostki.

Z temi słowy Teodor podał panu Franciszkowi starannie zawiniętą paczkę, stanowiącą połowę kwoty otrzymanej od Stanisława.

— Pieniądze! wykrzyknął pan Franciszek blady z podziwu, po odwinięciu paczki.

— Pięć listów zastawnych po pięć tysięcy! wołał znowu. Teodor uśmiechał się pełnią szczęścia i dumy.

— Co to znaczy? Może ze mnie żartujesz młody panie? No, weźże sobie listy napowrót. Już widziałem. Cóż to, czy dajesz posag za sobą?

— Nie dla zobaczenia je pokazałem.

— Jakto?

— One powinny pomódz razem z pszenicą do wybrnięcia z przykrego położenia.

— Więc to płacisz posag ojcu, biorąc córkę? Poniżasz mnie, panie.

— Takie rzeczy nie poniżają w rodzinie.

— Więc to na serjo! To byłoby zbawienie! wołał pan Franciszek, nieprzytomny prawie i chwycił Teodora za ręce.—Ten uśmiechał się ciągle.

— Ktoby pomyślał o takich kolejach! wołał znowu obdarowany bijąc się po głowie. Ktoby pomyślał, że pan będziesz moim wybawcą! Przebacz mi za moje poprzednie obejście się z tobą. Będę teraz

pracować znowu, aby ci oddać sumiennie taką zbawczą zapomogę. Jeszcze nie zginałem; będę pracować dla ciebie i dla Zofji. Nigdy nie byłem czułym człowiekiem. Ty mnie dopiero prawdziwie wzruszyłeś!

To mówiąc, pan Franciszek patrzył na Teodora jak na kolos, z oczu którego błyszczało słońce szczęścia.

Gdy się rozłączyli, Teodor długo patrząc za panem Franciszkiem z pogardą, jak sunął do domu ożywionym krokiem, rzekł sam do siebie:

— Znakomicie przysłużył mi się Stanisław, bo mi dopomógł do odniesienia zupełnego tryumfu. Jestem teraz spokojniejszy. Zdałby się ten fundusz może na co lepszego, ale cóż — ten pan jest ojcem mojej drogiej Zofji!

Tym sposobem szczęście objęło w czarowne swoje koło wszystko, co otaczało Teodora i Zofję.

W dniu ślubu, jak się tego każdy domyśla, była ona bardziej niż kiedy zachwycająca. Uroczystość chwili, białość ubrania, osiągnięcie zdobywanego tak ciężkim cierpieniem szczęścia, podniosły wdzięk jej do nadnaturalnej niejako świetności...

Stanisław przysłał przyjacielowi na usługi, wytworny swój wielki powóz, zaprzężony czterema dzielnymi karemi końmi w krakowskich chomątach; cugle trzymał w potężnej dłoni ulubieniec Stanisława, Gruby Jantek, który z dumą popisywał się

swoją sztuką. W krakowskiej czapce na ucho, w szkarłatnej kierezyi i granatowej sukni z brzęczącymi ozdobami, siedział Gruby Jantek na koźle i niby mistrz klawiszami instrumentu, przebierał rzemieniami cugli, zmuszając tym sposobem ogniście konie do tych rozmaitych ruchów i podskoków, które tak lubo uderzają oko.

Państwo młodzi powracali ze ślubu razem. Droga była wybornie utartą. Zbliżając się ku dworowi panna Franciszka, przejeżdżali w jedném miejscu ponad rzeką, przez aleje kasztanami wysadzone. Zdaleka za rzeką przedstawiał się w iskrzących barwach jesiennego słonecznego południa krajobraz porywający. Cała kraina z miasteczkami, wioskami, lasami, wzgórzami oddychała życiem i uśmiechem. Było to coś podobnego do płaszczyzn, jakie jest we zwyczaju malować naokoło góry, gdzie szatan kusi Chrystusa. Krajobraz ten jaśniejąc życiem wołał do życia, do szczęścia. Obejmował człowieka i unosił. Choćbyś umierał, zapomniałeś o śmierci i cierpieniu.

Jakimż więc hymnem odzywać się musiały dusze Teodora i Zofji!

Dzielny woźnica, ufny w bezpieczeństwo drogi i swoją sztukę, pędził czterema końmi jak wicher. Państwo młodzi lecieli wśród obszarów jak dwa wdziały szczęścia. Zdawało się im samym, że nie należeli w tej chwili do ludzi. Czuli, że przebywają

tę najuroczystszą a może jedyną w życiu chwilę, kiedy szczęście zajmuje całą istotę. Może być, choć go tak mało, rozmaite na ziemi szczęście: walki, zwycięstwa, poświęcenia, obowiązki—tworzą także pewną dziedzinę, którą nazywają szczęściem. Ale takie szczęście jest już pod pewnym względem anomalją, choć może być również szczytnem. Szczęście, które przejmowało dwie te połączone dusze, było wyższem nad wszystko... Uszczęśliwiała całkowicie, bo nie dozwalało widzieć niczego prócz słońca i uroczystych spojrzeń młodości. Kobieta i mężczyzna wstępując w życie, które może gotowało im smutne ludzkie koleje, znaleźli się dzisiaj obok siebie w doskonałej harmonji ducha.

Nie popełnili oni żadnych względem siebie przekroczeń w cudnej dziedzinie miłości. Wzajemny pociąg i szacunek zbliżył ich i połączył. Świat mężczyzny zlał się w uroczystym hymnie ducha z tajemnicami kobiecego świata. Był to mężczyzna, który nie pojmował życia bez jasnego wzroku kobiety; była to kobieta, która nie umiała być niczem innem, jak jasnością. Przeczuwali z uniesieniem, jak wiele otrzymają od siebie wzajemnie. Radości ich podobne były do dwóch światel, zlewających się w ciszy. Dusze ich stały się przybytkami, kryjącymi skarby męskiego i kobiecego świata, skarby, których nie osiągnie wielu, idących ku tym światom drogą pogardy lub lekceważenia. Mężczyzna

ten cenil kobietę z wieszczą wiarą w jej cudne potęgę; ta kobieta ceniła mężczyznę, jako gmach wszystkich swoich żądań i nadziei. Oddychali eterycznymi powiewy szczęścia; przeżywali chwilę tę bosko i doskonale, a sonety, w których niegdyś Teodor mówił, że cierpi jak bogi, zmieniły treść swą dla niego dzisiaj w tém tylko, że był jak bogi szczęśliwym.

Tonęli w jasności. Byli—chwilę może tylko—ale byli po za granicą cierpienia i zwątpień. Stanęli obok siebie z równymi potęgami szczęścia, którego nic jeszcze nie sparaliżowało, otuleni jakoby w promienny płaszcz słońca, pozostawiając za sobą we mgle, szereg postaci upadłych... między którymi odbijała się najwydatniej postać strapionego Starca.

I my zostawmy ich w tej chwili, kiedy spojrzenia są wieszczemi, gdy każde słowo jest dźwiękiem przedziwnej harmonji, gdy są wielkimi i czystymi nadzieje...

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA

KONIEC.

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72

Tel. 26-68-63



F
3676